



Martyna  
Racluchowska

Fałszywy  
Pieśniarz



Martyna Raduchowska

**FAŁSZYWY PIEŚNIARZ**



Copyright © by Martyna Raduchowska, MMXIX

Wydanie I

Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.



# Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Epilog](#)

## Prolog

Ogród wiecznej jesieni milczał złowrogo, jakby tylko czekał na ich pierwszy ruch.

Uśpiony, lecz czujny, dziki, a jednak martwy od koniuszków zwiedłych pnączy aż po wąsy przegniłych korzeni, nic sobie nie robił z panującego wokół lata czy nadchodzącej burzy. Nie skrzypnęła choćby jedna pokryta szronem gałąź. Nie zaszeleścił nawet jeden zmarznięty liść. Ani jedno źdźbło trawy nie drgnęło na porywistym wietrze. Suche, powykręcane szkielety roślin trwały w nienaturalnym bezruchu, rzucając przybyszom nieme wyzwanie.

Przez ostatnie miesiące Ida odwiedzała posiadłość Kusiciela częściej, niżby sobie tego życzyła, lecz dopiero teraz zrozumiała, że zapewne nigdy nie zdoła poznać wszystkich jej sekretów. Ani tych, które lśniły na widoku w zalanych słońcem kryształkach lodu, ani tych skrytych przed ludzkim okiem gdzieś głęboko pod ziemią. Do niedawna sądziła, że zna tu każdy kamień, każdy wiecheć trawy, każdą spróchniałą deskę w ścianie zapuszczonego domostwa, ale dziś ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że wszystkie jej wspomnienia związane z tym miejscem były tylko zamglonym snem. Jak gdyby uśpiony dotąd ogród nieoczekiwanie się przebudził – a ona razem z nim.

Czuła na sobie spojrzenia ukrytych w gąszczu ślepi, śledzących z uwagą każdy krok nieproszonych gości. Do jej uszu dochodziły szepty. Złowieszcze pomruki. Stłumione, nerwowe mamrotanie, ledwo słyszalne wśród pojękiwań wichru. W powietrzu przesyconym wonią mokrej ziemi, zbutwiałego drewna oraz gnijących liści wisiało coś jeszcze. Coś ulotnego i wyraźnego zarazem, jak ostry zapach dymu z jesiennego ogniska. Jakaś nieokreślona, lecz jasna zapowiedź rychłej nawałnicy, która nie miała żadnego związku z kapryśną pogodą...

Pograżona w zadumie szamanka nie od razu spostrzegła

wyciągniętą ku sobie dłoń. Uniosła głowę, napotkała przenikliwe oczy koloru deszczowego nieba. Dwie krople chłodnej stali wpatrywały się w nią intensywnie, jakby próbowały pochwycić jej rozproszony umysł i zakotwiczyć go z powrotem w rzeczywistości. Ida zamrugła raptownie, z niejakim trudem skupiła wzrok, a stojąca przed nią postać naraz nabrała szczegółów. Czarne włosy do ramion, znoszona kurtka z ciemnobrązowej skóry, koszulka ze spranym i zupełnie nieczytelnym nadrukiem, powycierane dżinsy, glany zdarte na nosach niemal do samej blachy – Kruchy wyglądał, jakby przyjechał na koncert rockowy, a nie na oględziny zwłok. A minę miał taką, jakby oględziny zwłok uważał za znacznie lepszą rozrywkę niż dzikie pogo pod sceną.

Szamanka odetchnęła głębiej, schowała do torby plik zmiętych, pokreślonych kartek, które przez cały ten czas kurczowo ścisnęła w dłoniach. A potem wzięła od łowcy parę lateksowych rękawiczek.

– Idziemy, partnerko? – zapytał wesoło i trącił ją łokciem w bok.

Przełknęła ślinę, starając się ignorować dreszcz niepokoju, który bez ostrzeżenia i bez wyraźnej przyczyny przebiegł jej po plecach. Ponownie zajrzała Kruchemu w oczy, po krótkim wahaniu skinęła głową.

– Idziemy, partnerze.

Dostrzegłszy wyraz jej twarzy, lekko unióśł brwi, ale ona szybko i niedbale machnęła dłonią na znak, że wszystko w porządku. Nic więc nie powiedział, o nic nie zapytał. Obrócił się na pięcie i żwawym krokiem ruszył do ogrodu Kusiciela. Ida jeszcze raz powiodła spojrzeniem po wyszczerbionym murze z szarego kamienia, po zapadniętym dachu przebłyskującym wśród zwichrowanych konarów, po pędach uschniętego bluszczu, może i całkiem już martwych, lecz z pewnością nadal trujących. Minęła dłuższa chwila, nim wreszcie podążyła za łowcą.

Dogoniła go tuż przed bramą wjazdową, którą oplątywał ciężki łańcuch spięty mosiężną kłódką. Minęli ją, maszerując ramię w ramię wzdłuż ziejącego dziurami ogrodzenia, a potem przez zardzewiałą, przekrzywioną furkę wkroczyli na miejsce zbrodni.

Na ich widok kryminaliści z Wydziału Opętania i Nawiedzeń

przerwali cichą rozmowę i zeszli pośpiesznie z ogrodowej ścieżki, robiąc im przejście.

– Mówiłem ci, że jesteś w Firmie sławna, szamanko od umarłaków – szepnął Kruchy. Nie zwolnił kroku i do nikogo nie zagadał, pozdrowił tylko znajomych techników lekkim skinieniem głowy. – Niszczycielko lustrzanych piekieł i pogromczyni Kusiciela.

– Kpij sobie, kpij – mruknęła Ida, starannie unikając taksujących spojrzeń. – Sławna czy osławiona?

Łowca uśmiechnął się lekko. Po krótkim zastanowieniu wzruszył ramionami.

– W obu przypadkach jedni będą cię podziwiać, a inni nienawidzić, więc co za różnica?

– W zasadzie żadna.

– No i sama widzisz. Kiedyś im przejdzie, zobaczysz.

Zboczyli ze ścieżki i zaczęli przedzierać się przez bujne zarośla. Przed nimi w płątaniu rachitycznych gałęzi majaczyła pękata sylwetka białego namiotu.

– Co my tu mamy, Szerszeń? – zawołał Kruchy, gdy po wyjściu z gęstwiny zatrzymali się przed taśmą w czarno-czerwone pasy.

Nazwany Szerszeniem technik, który jako jedyny z całej ekipy dochodzeniowo-śledczej nie zwrócił żadnej uwagi na ich przybycie, zerknął przez ramię z osobliwie nieobecną miną, jak gdyby głos łowcy wyrwał go nagle z głębokiego transu. Mężczyzna potrzebował chwili, aby na powrót nawiązać kontakt z rzeczywistością, po czym zamrugał i raptownie poderwał się z klęczek; na kolanach nieskazitelnie białego kombinezonu ochronnego widniały ciemne plamy błota. Podstarzały, przygarbiony, z ogoloną głową i, dla równowagi, sięgającą do pasa srebrzystą brodą przypominał stuletniego druida, lecz kiedy ruszył im na spotkanie, w jego sprężystym i zaskakująco energicznym kroku kryła się pewna młodzieńcza niecierpliwość.

Wszelkie skojarzenia ze statecznym celtyckim kapłanem zniknęły bez śladu w chwili, w której Szerszeń i Kruchy przybili sobie na powitanie skomplikowaną serię piątek i żółwików.

– Ida Brzezińska, szamanka od umarłaków, moja nowa partnerka – przedstawił dziewczynę łowca. – Krzysztof Szerszuła, szef sekcji



techników.

Ida uśmiechnęła się lekko, podała mężczyźnie rękę, po czym uśmiechnęła się szerzej, mocno zaciskając usta, zagryzając zęby i z całych sił starając się nie syknąć. Palce Szerszenia, twarde i silne niczym imadło, o mało nie zmiażdżyły jej dłoni.

– Miło mi poznać – huknął na nią z góry, aż podskoczyła.

– Mnie... uch... również... – Niemal westchnęła, gdy wreszcie ją puścił, po czym ukradkiem pokręciła nadgarstkiem, żeby przywrócić krążenie w zdrętwiałym przedramieniu.

Szerszeń nie czekał, aż łowca zacznie go ciągnąć za język, tylko od razu odstepił na bok i uniósł taśmę, wpuszczając ich na zabezpieczony teren. Na wpół zapraszającym, na wpół niezdecydowanym gestem wskazał namiot i ziejącą pod nim dziurę w ziemi. Sam jednak jakoś się nie kwapił, żeby tam wracać.

– Aż tak źle? – Kruchy także nie ruszył się z miejsca. – Nic nam nie powiesz?

– Nie bardzo jest co mówić – burknął technik. Obejrzał się na rozkopany grób i wydał usta. – Żadnych widocznych obrażeń, a nie mogę przeprowadzić dogłębnej ekspertyzy, bo zwłoki są oplecione potężnymi zakłęciami ochronnymi, które zakłamuja odczyty.

– Udało się je chociaż zidentyfikować?

– A skąd. Mamy całkowity zakaz dotykania ciała. Fotograf zrobił zdjęcia i posłał je analitykom, ale nie znaleźli w bazie nikogo, kto przypominałby denata...

– Zaraz, chwila. – Kruchy zmarszczył brwi. – Godzinę temu dostałem cynk, że znaleźliście same szczątki, a ty mi tu teraz o jakichś zdjęciach...

– Spodziewaliśmy się szczątków, bo to nam sugerowały sonary, zanim zaczęliśmy ekshumację – wyjaśnił Szerszeń spokojnie, lecz w jego bladoniebieskich oczach błysnęła iskierka irytacji. Najwyraźniej nie należał do ludzi, którzy lubią niespodzianki. – Też byliśmy zdziwieni faktycznym stanem zwłok. Dopiero po odkopaniu wykryliśmy aktywność magiczną, a wtedy dowództwo kazało nam natychmiast wstrzymać oględziny. Nic tu więcej nie zdziałyśmy bez nakazu przełamania zabezpieczeń ani bez biegłego nekromanty. Ruda

ma już prokuratora na linii.

Wszyscy troje zerknęli w kierunku czarownicy, która spacerowała nerwowo w tę i z powrotem z telefonem przy uchu. Bluzką i miedzianymi włosami zaczepiała o kolczaste liście ostrokrzewu.

– Ale znając Maćkowiaka i jego zamiłowanie do papierologii, nie dostaniemy decyzji szybciej niż za kilka dni.

– Pozwolisz nam się tu w międzyczasie trochę pokręcić?

– Sam nie wiem, Kruchy...

Szerszeń, który przez tę całą rozmowę zdawał się zupełnie ignorować obecność Idy, łypnął na nią teraz spod siwych, krzaczastych brwi, mrużąc pomarszczone powieki. Skanował ją z uwagą centymetr po centymetrze, aż w końcu speszona opuściła głowę i również zlustrowała swój ubiór. Nie znalazła niczego kompromitującego, żadnej plamy czy rozpiętego suwaka w najmniej odpowiednim miejscu... Zaraz jednak przyszło jej na myśl, że w szaroburej bluzie z kapturem, powycieranych dżinsach i rozdeptanych fioletowych trampkach nie wygląda zbyt profesjonalnie. Kruchy to co innego, z ponadsześćcioletnim stażem i świeżo otrzymanym awansem mógł sobie nosić, co mu się żywnie podobało. W przeciwieństwie do szamanki nie miał już nikomu nic do udowodnienia, a pierwsze wrażenie, jakiegokolwiek było, dawno przysłonił serią zawodowych sukcesów.

– Jesteś ekranowana, młoda? – spytał szorstko technik.

– Jestem ekranowana, młody? – Szamanka niepewnie zerknęła na łowcę.

– Jest ekranowana, staruszk. – Łowca uśmiechnął się i klepnął technika w ramię. – Osobiście założyłem na nas zasłony. Nic nam nie grozi.

Ostatnie zdanie wypowiedział z pełnym przekonaniem, a mimo to Ida jakoś nie potrafiła wyzbyć się wątpliwości. Zadrżała lekko, zapewne przez wiatr, który podstępnie wdzierał się pod ubranie.

A może wcale nie przez wiatr.

Bardziej czuła, niż wiedziała, że chodziło o coś więcej – coś znacznie gorszego. Miała wrażenie, że to czyjś lodowaty oddech mroził jej skórę na karku, że w świszczącym szumie kolejnych

podmuchów pobrzmiwały strzępki gorączkowych słów.

Potrząsnęła głową i naciągnęła kaptur bluzy aż po same brwi. Nie pomogło. Ogród nie przestawał do niej mówić, nie przestawał się gapić.

– Jak tam sobie chcecie. – Szerszeń zanurkował pod taśmą ze zwinnością, jakiej trudno było oczekiwać po kimś w jego wieku. – Życzę udanej zabawy – rzucił na odchodnym, nie oglądając się za siebie, po czym dołączył do głośnej grupki kryminalistów, którzy mówili coś jeden przez drugiego i wymachiwali rękami.

Kruchy mrugnął do Idy, po czym ruszył dziarsko w stronę namiotu. Podążyła jego śladem z wyraźnym ociąganiem. Stąpała po mokrych liściach jak po topniejącym lodzie przekonana, że lada moment wydarzy się coś, co już na zawsze zmieni jej wyobrażenie o tym miejscu. I rzeczywiście, już po kilku krokach usłyszała rozpaczliwy trzepot skórzastych skrzydeł, tak głośny, że odruchowo zerknęła przez ramię. Nie dostrzegła niczego. Jedynie szkarłatne plamy, które nagle wykwitły jej przed oczami.

W uszach gwałtownie zahuczała krew, serce mocno załomotało o mostek. Szamanka syknęła, kiedy widmowe kły i pazury wbiły się w jej ciało – nie z zewnątrz, lecz od środka, jakby uwięziony w niej demon postanowił nieoczekiwanie wydostać się na wolność.

Skoczyła do przodu, chwyciła łowcę za ramię. Nie cofnęła dłoni ani nie rozluźniła uścisku nawet wtedy, gdy się zatrzymał i obrócił w jej stronę.

– Nie jestem pewna, o co chodzi – odpowiedziała na pytanie, które dopiero miał zadać. Zamrugnęła szybko, potarła palcami powieki, aby pozbyć się sprzed oczu krwawych powidoków. – Nie podoba mi się to miejsce.

– Już tu przecież byliśmy. I to nieraz...

– Ale teraz coś jest inaczej. Gorzej niż zwykle.

– Miałaś wizję? Przeczucie?

– Nie... – zawahała się. – Tak. To chyba Pech próbuje mnie ostrzec.

– Twój demon. – Kruchy omiótł szamanę badawczym spojrzeniem, jakby oczekiwał, że opętująca ją istota lada chwila

zmaterializuje się gdzieś obok nich. – Ufasz mu?

– Czy wierzę, że dla odmiany chce uchronić mnie przed zagrożeniem? – Skrzywiła się sceptycznie. – Nigdy w życiu. W końcu żywi się moim strachem, im bardziej mam przerąbane, tym lepiej dla niego... No chyba że sam znajdzie się w niebezpieczeństwie – dodała po chwili namysłu. – A cokolwiek tu jest, on się tego boi.

– Może po prostu nie podobają mu się zaklęcia ochronne – zauważył trzeźwo łowca. – Demony nie są zbyt kompatybilne z białą magią.

– Może – przyznała bez oporów, ale i bez przekonania.

Kruchy zastanawiał się przez moment, po czym bez słowa odszedł tam, skąd dopiero co przyszli, w kierunku pękatych toreb ze sprzętem, ustawionych wzdłuż taśmy na brezentowej plandecie. Grzebał w nich przez jakiś czas, przerzucając w tę i z powrotem pobrzękującą cicho zawartość, wreszcie wrócił do Idy uzbrojony w dwa szerokie pasy. Podał jej jeden, drugi zapiął sobie na biodrach. Były identyczne, wykonane z metalowych blaszek w kształcie węzowych łusek, a wielkie klamry wyobrażały głowę kobry o rozpostartym kapturze i wyszczerzonych zębach.

– Emitery pola obronnego – wyjaśnił krótko. – Na wszelki wypadek. Zakładaj i chodź. Nie będziemy niczego dotykać, rozejrzemy się tylko.

Otoczeni sferami przydymionego, falującego powietrza podeszli do grobu, ostrożnie stawiając stopy na śliskim błocie. Zajrzeli do środka.

Denat musiał spędzić pod ziemią ładnych parę lat, na co wskazywały niezbitnie przegniłe strzępki ubrania, lecz same zwłoki nie nosiły żadnych widocznych śladów rozkładu. Skóra, choć blada niezdrową, sinawą bladością, przypominała skórę żywego człowieka, zdawała się nawet pomалу nabierać rumieńców od słońca i zimnego wiatru. Umazana ziemią twarz utrudniała dokładną ocenę wieku, ale po regularnych rysach, gęstych ciemnobrązowych włosach, gładkich dłoniach i szczupłej sylwetce dało się oszacować, że mężczyzna zmarł bardzo młodo, w okolicach trzydziestki.

Łagodnie oblicze zastygło mu w wyrazie niewinnego zdziwienia, Ida była jednak przekonana, że to tylko maska. Że ten spokojny

bezruch to pułapka, którą ktoś zastawił tu specjalnie na nich. Że na pozór martwe ciało aż rezonuje od tłumionego szyderczego śmiechu. Wyobraźnia zrobiła swoje i już w następnej sekundzie szamanka dostrzegła, jak oczy trupa poruszają się nieznacznie pod powiekami, a usta wypowiadają bezdźwięczne zaklęcia...

Cofnęła się gwałtownie, poślizgnęła na rozmiękłym gruncie. Dopiero gdy podtrzymana przez łowcę odzyskała równowagę, jej wzrok padł na wystające z ziemi kości. Ptasie i kocie czaszki, szczerbate grzebienie żeber, białe łańcuszki drobnych kręgosłupów.

– Stos ofiarny pierwsza klasa – mruknął Kruchy, wolno obchodząc grób.

– To była ofiara z niego czy dla niego? – zainteresowała się szamanka. Nie mogła zdecydować, która z tych możliwości bardziej ją niepokoi.

– Wnioskując po stanie zwłok, raczej to drugie. Ktoś się mocno natrudził, żeby założyć te zabezpieczenia. Wyczuwam zarówno białą, jak i czarną magię, a bardzo trudno splątać je ze sobą tak, by się nawzajem wzmacniały, zamiast neutralizować. Wyższa szkoła jazdy, powiadam ci.

– A te zabezpieczenia chronią jego czy raczej *przed nim*?

– Dobre pytanie. Zwłaszcza że to, co jest groźne dla twojego demona, niekoniecznie jest groźne dla nas. Ale od samego patrzenia niewiele się dowiemy. Szerszeń ma rację, bez nakazu i dobrego nekromanty nic tu po nas.

– A załatwienie jednego i drugiego trochę potrwa – sarknęła Ruda, ze złością dźgając palcem klawiaturę telefonu.

Nawet nie zauważyli, kiedy podeszła. Skrzywione wargi, głębokie cienie pod oczami i powieki zmrużone w wąziutkie szparki sugerowały, że świeżo objęte stanowisko w Wydziale Wewnętrznym dało jej już już nieźle popalić. Ale Ida nie miała ani nadziei, ani złudzeń. Czarownica wbrew pozorom była w swoim żywiole, jej miodowe tęczówki jarzyły się jasno jak nigdy dotąd. Szanse na to, by zechciała przekazać dowodzenie nad tym śledztwem komuś innemu, wynosiły zero. A nawet mniej.

– Maćkowiak ma już papiery na biurku. – Kobieta

z westchnieniem wrzuciła komórkę do torby. – Ale zanim je rozpatrzy i puści dalej, zdążymy tu wszyscy zapuścić korzenie. – Z niechęcią zerknęła na szamankę. – Twój ruch, smarkulo.

Ida nie zapytała, co to znaczy. Świetnie wiedziała, o co chodzi.

I wcale a wcale nie czuła się gotowa.

Poderwała głowę, gdy ciężkie, skotłowane chmury rozpruł szybki zygzak błyskawicy.

– Najwyższy czas, żebyś porozmawiała z Demonem Luster.

Jakby tylko czekając na te słowa, po niebie przetoczył się grom, a pierwsze krople deszczu zabębniły głośno w dach namiotu.

Szamanka nic nie powiedziała. W końcu rozkaz to rozkaz. Patrzyła ponuro, jak strugi lodowatej wody sieką obumarłą trawę i wyszarpują liście z rosochatych drzew. Czuła w kościach, że wbrew temu, czego wszyscy oczekiwali, jej spotkanie z Kusicielem to jeszcze nie będzie koniec, lecz zaledwie początek wyjątkowo paskudnych kłopotów.

A ponieważ miała Pecha, miała również rację.



## Rozdział pierwszy

Płomień podrygiwał niemrawo na czubku czerwonej świecy, kopiąc gęstym, czarnym dymem i raz po raz spluwając iskrami. Taniec ognia hipnotyzował, usypiał, podobnie jak przyjemny zapach kadzidła, szaławii i rozgrzanego wosku.

Ida ziewnęła głośno, przetarła zmęczone oczy. Bez specjalnej nadziei sięgnęła po filiżankę zimnej już kawy i wypła do dna, krzywiąc się z niesmakiem. Nie miała wątpliwości, że to, na co czekała od wielu tygodni, wydarzy się właśnie tej nocy, lecz zupełnie nie potrafiła się skoncentrować. Zamiast nasłuchiwać znajomej Pieśni Umarłych, zamiast przywoływać obrazy z wieszczego snu, który lada moment miał się ziścić, wciąż mimowolnie powracała myślami do Kusiciela oraz mężczyzny zakopanego w jego martwym ogrodzie.

Roztrząsanie dawnych niepowodzeń z pewnością nie było zdrowe ani dla ciała, ani dla umysłu – a już szczególnie dla duszy, wyjątkowo wrażliwej na destrukcyjne działanie negatywnych emocji oraz czarnych, melancholijnych myśli – lecz Ida nic nie mogła na to poradzić. Wbiła wzrok w abstrakcyjny wzorek z fusów na dnie filiżanki i, chcąc nie chcąc, pogrążyła się we wspomnieniach.

Minęły już ponad trzy miesiące, odkąd udała się do aresztu śledczego na swoją pierwszą i jak na razie ostatnią rozmowę z Markiem Karewiczem, nekromantą, porywaczem i seryjnym mordercą. Osławionym Kusicielem znanym również jako Demon Luster.

I przez cały ten czas śledztwo nie posunęło się nawet o krok.

Karewicz wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom wcale nie był chętny do współpracy. Pytania szamanki zbywał upartym milczeniem, wpatrując się w nią z drapieżną fascynacją, od której aż cierpła skóra. Przypięty do stołu i podłogi łańcuchami z metalu tłumiącego magię, nonszalancko muskał palcami kajdany na nadgarstkach, jakby poprawiał mankiety eleganckiej koszuli. Całym

sobą dawał do zrozumienia, że jest mu doskonale obojętne, co z nim uczynią, udzielanie zaś szamance jakichkolwiek informacji bynajmniej nie leży w jego dobrze rozumianym interesie.

Zdawał się w ogóle nie słuchać tego, co mówiła, lecz Ida gotowa była iść o dowolny zakład, że w rzeczywistości chłonał łapczywie każde jej słowo. W końcu to on się uparł, że chce rozmawiać wyłącznie z dziewczyną, która przywróciła mu pamięć i wyciągnęła go z lustra. Zażądał tego spotkania albo dla czystej rozrywki i zabicia czasu, albo jednak czegoś od niej chciał. Szamanka instynktownie stawiała na to drugie. Po tym, jak weszła w zwierciadło i dotknęła jego duszy, znała Kusiciela w jakiś nieokreślony, nie do końca rozumiały, czysto podświadomy sposób. Wyczuwała bardziej, niż wiedziała, że potrzebował jej tak samo, jak ona potrzebowała jego, i tylko czekał, aż złoży mu właściwą propozycję. Nie została jednak upoważniona do prowadzenia negocjacji z zatrzymanym. Nie miała nic, co mogłaby mu zaoferować w zamian za pomoc w śledztwie. Potrzebowała innego sposobu, aby nakłonić go do mówienia, a z braku wprawy musiała improwizować.

Przełom nastąpił dopiero wtedy, gdy machnąwszy ręką na protokół przesłuchania, odsunęła na bok przygotowany przez Rudą kwestionariusz i poszła na całość. Niby od niechcienia i całkowicie niezgodnie z prawdą zasugerowała Kusicielowi, że eksperci z Wydziału Opętania i Nawiedzeń są coraz bliżej złamania zabezpieczeń chroniących ciało tajemniczego nieboszczyka w jego ogrodzie. Przez parę chwil z satysfakcją obserwowała zmiany na niewzruszonym dotąd obliczu Demona Luster, dumna, że oto wreszcie zdobyła nad nim przewagę, że dzielący ich mur nieodwracalnie zaczął się kruszyć.

Krew momentalnie odpłynęła mu z twarzy, rysy się wyostrzyły, źrenice rozszerzyły do granic, całkowicie pochłaniając różnobarwne tęczęwki. Głęboko nabrał powietrza i szamanka była pewna, że wreszcie coś powie...

Zerwał się z krzesła z takim impetem, że nie zdążyła choćby mrugnąć. Złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie mocnym, brutalnym szarpnięciem, które poczuła aż w korzeniach zębów. Jego twarz znalazła się nagle centymetr od jej twarzy. Czuła na policzkach

gorący oddech, tonęła w ostrym zapachu pieprzu i imbiru, a przyszpilona spojrzeniem dziko wytrzeszczonych oczu nie była zdolna do żadnego ruchu.

– Jestem tobą rozczarowany – wychrypiał z trudem, głosem wzburzoną i zduszonym zarazem, jakby dławił się własnym gniewem. – Po kimś, kto odnalazł klucz do moich luster, spodziewałem się znacznie więcej rozsądku. Nie waż się, wiedźmo! – warknął głośnie, by przekrzyczeć upiorny ryk syren, od którego aż zadygotała podłoga i zawibrowały ściany. W tej właśnie chwili, zalany rozżętym, czerwonym światłem lamp alarmowych, naprawdę wyglądał jak demon. – Nie waż się dotykać tego grobu! Powiedz tym głupcom, by trzymali się od niego z daleka, rozumiesz? – Gdy nie odpowiedziała, nie mogąc znaleźć słów, chwycił ją za ramię i silnie potrząsnął. – ROZUMIESZ?!

– Czyj to grób? – zasyczała trochę z podszytej strachem złości, a trochę z bólu. – Kogo zakopałeś w ogrodzie?

Kusiciel otworzył usta, ale nagle zawahał się i zamknął je z powrotem. Jak oparzony odepchnął ją od siebie, bez sił opadł na krzesło.

– Ja... – zająknął się i skrzywił. Głośno przełknął ślinę. – Nie pamiętam... – szepnął z rozpaczliwą pustką w oczach, tak cicho, że musiała odczytywać słowa z ruchu jego warg. – Pomóż mi – zdążył jeszcze poprosić, zanim drzwi z łomotem wyrznęły o ścianę, a do środka wpadli strażnicy.

Dwaj doskoczyli do Karewicza, trzeci zamknął Idę w żelaznym uścisku i nie zważając na jej protesty, brutalnie wywłókł ją na korytarz.

Nawet świdrujące w uszach wycie alarmu nie zdołało zagłuszyć huku zaklęcia paraliżującego, wrzasku Kusiciela ani głuchego łoskotu, z jakim jego bezwładne ciało zważyło się na podłogę pokoju przesłuchań.

Szamanka westchnęła głęboko i o mały włos nie zgasła przy tym świecy. Płomyk prychnął, załopotał niczym maleńka chorągiew ze złota i dymu, na dobre wyrrywając dziewczynę z rozmyślań.

Przywoływany duch wciąż się nie zjawiał i Ida zaczynała powoli

dochodzić do wniosku, że może jednak się pomyliła. Może śmierć nie miała jeszcze zamiaru zebrać swego żniwa. W snach widywała co prawda księżyc tuż przed pełnią, taki sam, jaki wisiał dzisiaj na wieczornym niebie, zanim zakryły go chmury, ale niewykluczone, że był to tylko symbol, którego nie umiała właściwie odczytać.

Znudzona i poirytowana wstała z impetem od kuchennego stołu. Gwałtownie odsunięte krzesło uderzyło o szafki, budząc drzemiącego na parapecie Gryzaka. Koszmarek otworzył jedno żółte ślepie, zmierzył swoją panią wzrokiem pełnym najgłębszego potępienia, po czym ziewnął i zasłonił sobie pyszczek lisim ogonem. Ida dopiero teraz, kiedy na dobre wypadła z lekkiego półtransu, poczuła, że przemarzła na kość, aż się cała telepie. Cicho zamknęła uchylone okno, podrapała łapacza snów za uszami, a potem na palcach przeszła na drugą stronę kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę.

Szum czajnika, dzwonienie kropel deszczu o szyby, miarowe posapywanie Gryzaka, głęboki, senny pomruk, który przetaczał się wolno przez każdą deskę starej willi, od poczerniałych dachówek aż po obluzowane klepki parkietu – szamanka nie usłyszała żadnego z tych dźwięków, w jej głowie wciąż rozbrzmiewał rozgorączkowany szept Demona Luster.

„Nie pamiętam... Pomóż mi”.

Dlaczego nie pamiętasz, skoro podobno zwróciłam ci wspomnienia, pytała go w myślach po raz nie wiadomo który.

Jak mam ci pomóc?

I dlaczego, do diabła, po tym wszystkim, co zrobiłeś, w ogóle chce ci pomagać?!

Minęło tyle czasu, a ona wciąż nie znalazła na to żadnej odpowiedzi.

Gdyby tylko udało jej się ponownie z nim porozmawiać... Ale po ich ostatnim spotkaniu Kusiciel wpadł niespodziewanie w katatoniczny stupor, od tygodni nie odezwał się do nikogo ani słowem i spędzał właśnie kolejny miesiąc na oddziale psychiatrycznym. Nikt nigdy nie powiedział jej tego wprost, lecz szamanka podejrzewała, że to właśnie ją i jej nieudane przesłuchanie obarczono winą za kiepski stan psychiczny zatrzymanego. I że to

dlatego Ruda od wielu tygodni trzyma Idę z dala od śledztwa, pozwalając jej jedynie na udział w porannych odprawach.

Stęskniona za swoją nieodżałowaną psychologią dziewczyna bez szemrania chodziła na wszystkie sugerowane kursy oraz szkolenia dla rekrutów, na inne zapisywała się nawet z własnej nieprzymuszonej woli – a jednak świadomość, że bierze w nich udział niejako za karę i że pod ich pretekstem została właściwie wykluczona z zespołu, była nad wyraz gorzka. Wydawało się, że nawet Kruchy ostatnio trzyma się od szamanki na dystans, a to już całkiem paskudziło jej humor.

Na domiar złego przyjaciel Demona Luster i jego partner w zbrodni, siewca zapomnienia Feliks Szkudlarek, który niegdyś odebrał Kusicielowi pamięć, a potem przez lata ukrywał go przed organami ścigania, zacierając ślady po dokonywanych przez niego zbrodniach, konsekwentnie odmawiał zeznań. Najlepsi czytacze umysłów w kraju nie byli w stanie przejrzeć utkanej przez niego mgły niepamięci i dotąd nie wyłowili z jego jaźni ani jednej sensownej myśli. A zaklęcia chroniące bezimiennego nieboszczyka z ogrodu okazały się tak silne i skomplikowane, że nekromanci wciąż nie zdołali ich rozplątać.

Nie mówiąc nic nikomu, Ida próbowała na własną rękę przywołać duszę Anonima, ale ponieważ, po pierwsze, nic o nim nie wiedziała, po drugie, do miejsca jego pochówku nikomu nie wolno się było zbliżać, a po trzecie, echo śmierci, które mogłoby pomóc nawiązać kontakt, całkowicie zagłuszała strzegąca grobu magia, jej wezwania wpadały w zaświatowy eter jak kamienie w wodę i do tej pory pozostawały bez odpowiedzi.

Innymi słowy, po przeszło trzech miesiącach mozolnych oraz całkowicie jałowych wysiłków sytuacja rysowała się raczej niewesoło. Trup nadal tkwił w ziemi za domem Kusiciela, śledztwo utknęło w martwym punkcie, a Rudej, która w desperacji sprowadzała coraz to nowych specjalistów z całej Polski, powoli kończyły się pomysły.

Atmosfera w Firmie robiła się napięta i Ida dawno już nie przywitała weekendu z taką ulgą jak dzisiaj. Weekend bynajmniej nie oznaczał dla niej wolnego od pracy, o czym najlepiej świadczyły ostatnie godziny zmarnowane bezpowrotnie nad rytuałem

przywołania, ale wołała już zacządzić się kadzidłami i paść trupem we własnej kuchni, niż znosić humory żółzowatej szefowej choćby ułamek sekundy dłużej.

Trzy herbaty, dwie kawy oraz pół świecy później wyczerpana szamanka już miała dać za wygraną i powlec się do łóżka, gdy wreszcie poczuła za plecami czyjąś obecność. Wolno odstawiła filiżankę na spodek i nie wstając z krzesła, obróciła się w stronę od dawna oczekiwanego gościa.

Dziewczyna. Na oko osiemnastoletnia. Niska, szczupła, krótko ostrzyżona. Ubrana jedynie w białą męską koszulę i czarne koronkowe figi. Ida nie widziała dobrze jej twarzy, lecz od razu rozpoznała aurę. Nie miała wątpliwości, że to o tej śmierci śniła przez ostatni miesiąc, że to właśnie tą duszą powinna się teraz zaopiekować.

Wzięła świecę ze stołu, podeszła bliżej.

Zjawa zdawała się w ogóle jej nie dostrzegać. Nie unosiła się w powietrzu, jak to mają w zwyczaju duchy z dłuższym stażem czy po prostu większą świadomością stanu własnej egzystencji, tylko stała twardo na podłodze, przestępując z jednej bosej stopy na drugą. Wodziła wokół szeroko otwartymi, niebieskimi oczami, wyraźnie dezorientowana, niepewna, jak tu trafiła. Koszulę, majtki i ścięte na pazia włosy koloru starego złota miała całkiem przemoczone, woda spływała jej po policzkach, po białych ustach, po łabędziej szyi, na której widniały ciemnofioletowe krwiaki...

Niech to szlag, pomyślała szamanka, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech.

– Witaj – przemówiła łagodnie do ducha.

Nic. Żadnej reakcji.

– Mam na imię Ida, a ty?

Widmo milczało, wciąż z tym samym zagubionym wyrazem twarzy. Słowa szamanki odbijały się od jego na wpół prześwitującej postaci jak od dźwiękoszczelnej szyby.

– Pamiętasz, kim jesteś? – spróbowała Ida raz jeszcze, dla porządku.

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna zrobiła parę chwiejnych



kroków, a szamance wydało się naraz, że słyszy ciche popluskiwanie, że powietrze wokół widziadła burzy się i faluje, dziwnie zgęstniałe, mętne jak mydliny. Usta zjawy poruszyły się, lecz zamiast słów wypłynęło z nich jedynie kilka bąbli powietrza.

– Tak to my się nie dogadamy – mruknęła Ida pod nosem, unosząc świecę na wysokość twarzy. – Wracaj tam, skąd przybyłaś – powiedziała głośniejszym głosem, choć było jasne, że nieznajoma nie mogła jej słyszeć. – Niedługo znów się spotkamy – obiecała z przekonaniem, po czym zdmuchnęła płomyk.

Zjawy wydała z siebie krótki, bulgoczący krzyk i już po chwili pozostał po niej jedynie poszum rozbryzgiwanej wody i ślady mokrych stóp na wytartym parkiecie.

Szamanka zerknęła na zegar tykający głośno nad lodówką. Dochodziła druga. Za oknem szalała jesienna zawierucha, deszcz głośno brzęczał o szyby, rozmazując światło ulicznych latarni w ruchliwe, pomarańczowe plamy. W jednostajnym jęku wiatru dało się słyszeć ciche zawodzenie zagubionej duszy, a to oznaczało, że nie mogła być daleko. Ida teoretycznie powinna bez chwili zwłoki udać się na poszukiwania, ale jeszcze nie upadła na głowę, żeby o takiej porze i w taką pogodę samotnie podążać tropem potencjalnej ofiary morderstwa. Tym bardziej że tuż po zabójstwie dziewczyna prawdopodobnie wciąż miała towarzystwo, którego za wszelką cenę należało unikać.

Ida przez moment rozważała, czy nie zadzwonić do Kruchego albo do swojego oficera kontaktowego z wrocławskiej policji kryminalnej, uznała jednak, że nie będzie nikogo wyciągać z łóżka w środku nocy, w dodatku na początku weekendu, tylko dlatego, że ma podejrzenia, za to żadnych dowodów na ich poparcie.

Zamiast tego pogasiła resztę świec i kadzidła, zdusiła w popielniczce pęki tłących się ziół, po czym z kubkiem herbaty w dłoni oraz rozmruczanym Gryzakiem pod pachą udała się wreszcie na zasłużony odpoczynek.

Parę godzin później wymaszerowała w mglistą, wilgotną szarość nadchodzącego świtu. Nie musiała zbyt mocno wyęźać wewnętrzznego Oka ani w ogóle zastanawiać się nad tym, dokąd

zmierza. Nogi same prowadziły ją ścieżką między sennymi willami, a małeńka iskierka czekającej na nią duszy, która migotała w oddali niczym błędny ogień zagubiony pośród bagien, z każdym krokiem rozbłyskiwała jaśniejszym, cieplejszym światłem. Mokra liście mlaskały pod stopami szamanki i przyklejały jej się do butów, kałuże chlupotały, a ciężki, gęsty opar owijał się leniwie wokół kostek, stawiając niemal namacalny opór.

Po zaledwie dziesięciu minutach dotarła na miejsce. Zatrzymała się przed wysokim blokiem mieszkalnym w ładnej, spokojnej okolicy pełnej drzew, zadbanych trawników, ogródków działkowych i spacerowych alejek. Zadarła głowę, omiotła wzrokiem ścianę ciemnych okien. Budynek nie różniłby się absolutnie niczym od pozostałych domów przy tej ulicy, gdyby nie to, że klatka numer dziewięć przyzywała ją żarliwym, natarczywym szeptem.

Zanim szamanka zdążyła choćby pomyśleć, jak dostanie się do środka, z bramy wyszła zaspana kobieta z równie zaspanym spanielem, który niemal szorował nosem po betonie, co rusz potykając się o własną smycz. Ida uprzejmie przytrzymała im drzwi. Odpowiedziała na grzeczne, acz niezbyt przytomne „dzień dobry”, po czym dziarskim krokiem przekroczyła próg i ruszyła w stronę schodów.

Na czwartym piętrze musiała zwolnić, na szóstym przystanąć dla złapania tchu, na ósme wgramoliła się już wyłącznie siłą woli, przeklinając w duchu zdradzieckie papierosy oraz swoją pożałowania godną kondycję. Święcie przekonana, że lada moment albo wypluje płuca razem z krtanią, albo się udławi szaleńczo łomoczącym sercem, klapnęła tyłkiem na stopień, rozpięła kurtkę, przetała rękawem spocone czoło. Kiedy już nieco uspokoiła oddech, podniosła głowę i wbiła pełne pretensji spojrzenie w drzwi z numerem dwadzieścia siedem.

Tak, to te. Bez wątplenia.

Umiała to stwierdzić nawet bez dotykania klamki, choć wcześniej na wszelki wypadek muskała dłonią wszystkie mijane po drodze na górę.

Nasłuchiwała przez chwilę, ale z mieszkania nie dochodził

najmniejszy nawet dźwięk. Z cichym stęknieniem dźwignęła się na nogi, przyłożyła dłoń do framugi pokrytej łuszczącą się farbą.

– Czego chcesz? – warknął na nią wizjer. – Mówiłam ci tyle razy, żebyś dał mi spokój!

Ida zacisnęła powieki, starając się pochwycić szybkie powidoki, które rozbłyskiwały jej pod czaszką w bezgłośnych eksplozjach. Próbowwała połączyć migawki w czytelniejszy obraz, ułożyć je w kolejności niczym kadry filmu, lecz umykały przed jej świadomością jak cienie przed płomieniem świecy, zanim zdążyła zarejestrować szczegóły. Dostrzegła jedynie zarys wysokiej i barczystej sylwetki. A potem poczuła potężną, brutalną siłę, z jaką niewyraźna postać naparła na zamykające się drzwi...

Szamanka gwałtownym ruchem cofnęła dłoń, otworzyła oczy, wypuściła bezwiednie wstrzymywane powietrze. Gdy stało się jasne, że mieszkanie nie ma jej już nic więcej do powiedzenia, wydobyła z torby mlecznobiały kryształ, który dostała od Kruchego na zakończenie szkolenia z wykrywania źródeł mocy, i ostrożnie położyła go na wycieraczkę. Czekwała blisko minutę, ale nie zmienił koloru, nie znalazł żadnych śladów magicznej energii – jeśli więc faktycznie doszło tu do przestępstwa, była to sprawa dla zwykłej policji.

Ida schowała amulet, dokładnie wytarła framugę jednorazową nawilżaną chusteczką do okularów. Powoli wycofała się spod drzwi, wsiadła do windy i wróciła na parter.

Kilka minut później siedziała na ławce obok placu zabaw po drugiej stronie bloku, popijając gorącą, słodką kawę z termosu. Dzień zapowiadał się piękny. Była to zaiste miła odmiana, gdyż w tym roku złota polska jesień za żadne skarby świata nie chciała trzymać się kalendarza. Wrzesień podejrzanie szybko przywdział żółto-rudo-brązowe barwy października, październik zaś, chociaż dopiero obejmował władzę nad światem, już teraz przypominał raczej końcówkę listopada: ponurą, deszczową i tchnącą nieprzyjaznym chłodem.

Dzisiejszy poranek dawał pewne nadzieje na poprawę pogody. Wiatr przegnał granatowe chmury, niebo na wschodzie powoli

nabierało rumieńców od pierwszych nieśmiałych promieni słońca. Szamanka przez kilka chwil napawała się tym widokiem, a potem naciągnęła kaptur, wcisnęła dłonie głęboko w kieszenie kurtki, przymknęła powieki. Uwolniła duszę z ciała, pozwalając, by silniejszy podmuch uniósł ją razem z mgłą wysoko nad parującą ziemię.

Wślizgnęła się do mieszkania przez zasłonięte okno. Odrobina światła, która wpadała do salonu przez wąską szczelinę w kotarach, kładła się bladą, podłużną plamą na stole z resztkami kolacji, drobnymi ognikami płonęła w kryształach dwóch pękatych kieliszków, lśniła na gładkim szkle butelki czerwonego wina, migotała w wazonie z bukietem herbacianych róż, wciąż owiniętych ozdobną folią. Pozostałą część pokoju skrywał gęsty cień pogłębiony dodatkowo ciemnym kolorem ścian. Sunąca na oślep Ida nie wpadała na meble tylko dlatego, że chwilowo nie miała ciała, a wyjście do pograżonego w półmroku przedpokoju znalazła czystym przypadkiem. Obróciła się niepewnie wokół własnej osi, szukając wzrokiem jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Zamarła w powietrzu, gdy kątem oka dostrzegła cienką linię chłodnego blasku sączącego się przez szparę między podłogą a zamkniętymi drzwiami. Ida podpłynęła bliżej, wyciągnęła dłoń, pozwalając, by jej widmowe palce wtopiły się w lakierowane drewno.

– Co ty robisz, oszalałeś?! – wrzasnęło jej prosto do ucha. – Nie dotykaj mnie! Puszczaj, bo zacznę krzyczeć! Mówię poważnie, wynoś się w tej chwili, wyno...

Głos zamilkł w pół słowa. Rozległ się stłumiony krzyk, potem głośny plusk. I naraz wszystko ucichło.

Szamanka po krótkim wahaniu przeniknęła na drugą stronę drzwi.

Najpierw zobaczyła nogi. Drobnie stopy o zadbanym paznokciach pociągniętych bladym różowym lakierem. Zgrabne, ładnie umięśnione łydki. Kształtne, choć nieco zbyt kościste kolana.

Ida westchnęła w duchu i wolno zbliżyła się do wanny. Wybałuszone niebieskie oczy spojrzały na nią smutno zza zasłony mętnej od mydła wody. Krótkie włosy sterczały wokół głowy nieruchomą aureolą, rozczapierzone w pośmiertnym skurczu dłonie zaplątały się w zaciśniętą na szyi czarną tkaninę.

– Powiedziałam mu, że z nami koniec – zaszemrały kapiące z kranu krople. – Ale on postanowił zakończyć to po swojemu.

Szamanka nie odpowiedziała. Czekwała, aż duch wyjdzie z ukrycia.

– Wiedziałaś, że to się wydarzy – stwierdziło oskarżycielsko lustro.  
– Wiedziałaś, wiedziałaś, wiedziałaś...

– I nie zrobiłaś nic – szepnął samotny pęcherzyk powietrza, rozpryskując się bezdźwięcznie na gładkiej powierzchni wody.

– Pozwoliłaś mi zginąć – wychrypiała skulona przy wannie postać, której jeszcze przed momentem z pewnością tam nie było. – Dlaczego?

Ida przycupnęła naprzeciwko zjawy, unosząc się tuż nad mokrymi kafelkami podłogi.

– Nie miałam wyboru – wyjaśniła ze znużeniem. I choć w zasadzie było to zgodne z prawdą, to i tak czuła się podle. – Nie wolno mi ratować tych, którym pisane jest umrzeć.

– Dlaczego?

– Bo wtedy musiałyby umrzeć ktoś inny. Być może ja. Życie za życie. Śmierć za śmierć. Tak to niestety działa.

Podobno, dodała w myślach.

Zjawy zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę.

– To musi być okropne – mruknęła wreszcie. – Wiedzieć, że komuś grozi niebezpieczeństwo, i tylko biernie czekać, aż wróżba się spełni. Nie zniosłabym tego. Nie wiem, jak ty to znosisz.

Szamanka odwróciła głowę, uciekła przed przenikliwym spojrzeniem błękitnych oczu. Dziewczyna trafiła w sedno, uderzyła w najczulszą strunę skrytą głęboko w zakamarkach Idowej duszy.

Kiedy blisko rok temu dopiero przyuczała się do zawodu pod czujnym okiem zmarłej ciotki, perspektywa biernego czekania, aż osoba, której śmierć przepowie, kopnie w kalendarz, nie wydawała się Idzie wcale taka zła. Prawdę mówiąc, nawet jej ulżyło. Już samą opiekę nad zbłąkanymi zjawami uznała wtedy za wystarczający wysiłek i aż nadto wielką odpowiedzialność, a co dopiero, gdyby miała jeszcze rzucać się na ratunek każdemu, kogo ujrzy w swoich wieszczych snach.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

Po tym jak dosłownie przeszła przez piekło, żeby ocalić własną skórę na przekór wszelkim przepowiedniom, beczynność i obojętność wobec tragicznego losu innych ludzi zaczęły nagle trącić hipokryzją. Nie umiała już siedzieć z założonymi rękami. Walka o przetrwanie za bardzo weszła jej w krew, wyrobiła odruchy, jakich szamanka wcale nie zamierzała w sobie dusić. I chociaż Ida znała zasady rządzące jej niewdzięczną profesją, przyłapała się na tym, że mimowolnie analizuje nocne wizje w poszukiwaniu wskazówek, symboli, ukrytych znaczeń – czegokolwiek, co pozwoliłoby jej odwrócić bieg wydarzeń. No bo skoro nawiedzające ją niedawno koszmary o jej własnym smutnym końcu nie okazały się ostatecznie żadnym nieuniknionym wyrokiem, lecz jedynie ostrzeżeniem, dlaczego nie miałyby traktować swojego daru jako syreny alarmowej? Sygnału do działania? Może wszystkie te senne przywidzenia odzwierciedlały zaledwie jedną z wielu wersji przyszłości zamiast scenariusza, który koniecznie musiał się spełnić?

Ida wcale nie była pewna, czy w decydującej chwili znalazłaby w sobie dość odwagi, aby z premedytacją złamać Prawa Śmierci, spróbować oszukać przeznaczenie i dla odmiany uratować komuś życie. A potem stawić czoło konsekwencjom. Odkąd powróciła z piekieł Demona Luster, przeprowadziła w zaświaty już ponad tuzin zjaw, lecz ani razu nie stanęła jeszcze przed podobną decyzją. Nie mogła wywołać ani zlokalizować dusz ludzi, którzy wciąż żyli, a jej złowróżbne sny jak na złość stały się tak niejasne i chaotyczne, że wprost niemożliwe do zinterpretowania, skutkiem czego Ida nie miała żadnych szans na jakąkolwiek interwencję i przybywała na miejsce, gdy było już za późno. Zupełnie jak gdyby tajemnicza siła wyższa czuwająca nad porządkiem wszechrzeczy przejrzała zamiary zbuntowanej szamanki i postanowiła pokrzyżować jej plany.

Zresztą w skrytości ducha Ida podejrzewała, że gdyby przyszło co do czego, gdyby naprawdę miała wybór, czy ratować, czy pomóc umrzeć... stchórzyłaby. Żadna z Teklowych ksiąg nie mówiła wprost, że za cudze życie musiałaby zapłacić swoim, istniała jednak taka możliwość. Szamanka tłumaczyła sobie, że pierwsza zasada jakiegokolwiek pomocy każe ratującemu unikać zbędnego ryzyka



i dbać przede wszystkim o własne bezpieczeństwo, ale i tak czuła wstyd. Bo przecież dla niej samej ktoś zaryzykował. I tylko dzięki temu jeszcze tu była.

– Przyszłaś, żeby mnie zabrać w zaświaty, prawda? – zapytała dziewczyna po długiej chwili milczenia, wyrывая Idę z ponurych rozmyślań.

– Tak – odparła i nawet nie starała się ukryć ulgi.

Rzadko się zdarzało, aby duchy ludzi, którzy zginęli w tragicznych okolicznościach, nie tylko zdawały sobie sprawę z własnej śmierci, ale jeszcze potrafiły rozpoznać medium. Najgorsza w tej pracy – prócz beczynnego czekania na kolejny zgon, rzecz jasna – była właśnie nader częsta i kłopotliwa konieczność uświadamiania duszom, że są już tylko duszami, a ich czas na ziemi bezpowrotnie dobiegł końca. Bardzo niewiele zjaw przyjmowało to z takim spokojem.

– A jeżeli nie zechcę stąd odejść?

– Twoja wola. – Szamanka wzruszyła ramionami. – Ale jeżeli pozostaniesz zbyt długo po stronie żywych, rozpułniesz się w nicość. A to nic przyjemnego, wierz mi na słowo.

Dziewczyna zerknęła w stronę wanny. Zagryzła wargi, szybko odwróciła wzrok.

– Przecież nie mogę tego tak zostawić – wycedziła, a jej niebieskie tęczęwki zabłysły od zimnego gniewu. – On musi zapłacić za to, co zrobił. Chcę go odnaleźć. Chcę mu zgotować piekło na ziemi. Chcę go nawiedzać i dręczyć w snach, dopóki nie oszaleje, nie wyskoczy oknem, nie podetnie sobie żył albo...

– Odradzam – przerwała jej spokojnie Ida. – Jeśli zmienisz się w poltergeista lub upiora, prędzej czy później dopadną cię pogromcy duchów. Oni nie dbają o to, czy wypędzana przez nich dusza trafi w zaświaty. Ich priorytetem jest dobro żyjących, a nie umarłaków. Jest znacznie lepszy sposób, żeby zniszczyć draniowi życie – dodała szybko, bo zjaw już otwierała usta, żeby wznowić protesty. – Powiedz mi dokładnie, co tu się wydarzyło, a ja poinformuję, kogo trzeba. Zrobię wszystko, żeby twój zabójca trafił za kratki, masz na to moje słowo. Tylko pozwól mi zabrać cię stąd w bezpieczne miejsce. Proszę.

Dziewczyna milczała długo, wodząc palcami po ciemnofioletowych wybroczynach na białej, łabędziej szyi.

A potem zwinęła dłonie w pięści, hardo poderwała głowę. I zaczęła opowiadać.

– Nie ma to jak świeży trup w piękny sobotni poranek – mruknął starszy sierżant Tomasz Smoczyński, gdy tylko Ida otworzyła drzwi jego samochodu i z ciężkim westchnieniem opadła na fotel pasażera.

Poszarzała ze zmęczenia cera, zmierzwiona blond czupryna i sinawe worki pod powiekami zdradzały, że podobnie jak szamanka niezbyt dobrze spał tej nocy. O ile w ogóle. Wyglądał, jakby broda w dowolnej chwili mogła mu opaść na szeroką pierś, ale jasnozielone oczy z żółtawymi obwódkami wokół źrenic pozostawały przytomne i bystre.

Ida wybąkała coś niewyraźnie w odpowiedzi. Drżącymi rękami wyjęła z torby termos, naląła do nakrętki aromatycznej kawy, siorbnęła łyk.

– Chcesz trochę?

Pokręcił głową, wskazując na tekturowy kubek ze Starbucksa, który tkwił w plastikowym uchwycie obok drążka zmiany biegów. Policjant przyglądał się bez słowa, jak dziewczyna wyciera rękawem resztki topniejącego szronu z policzków i brwi, jak zgina i prostuje zaczerwienione z zimna palce. Powstrzymał się od komentarza, choć słońce przygrzewało od samego rana i termometr na wyświetlaczu wskazywał prawie dwadzieścia stopni na plusie.

– Mam nadzieję, że niczego nie dotykałaś – powiedział sucho, właściwie jedynie po to, żeby przerwać przedłużającą się ciszę.

– Tylko framugi drzwi wejściowych. Nie martw się, wytarłam odciski. I nie, powtarzam raz jeszcze: nie mogę używać rękawiczek.

Nie zapytał dlaczego, mimo że strasznie go korciło. Właściwa odpowiedź brzęczała mu gdzieś z tyłu głowy, ale szybko przegnał ją ze świadomości. Odkąd jego przełożony, nadkomisarz Poniedziałek z komendy wojewódzkiej, przedstawił mu tę dziwną dziewczynę jako nieoficjalnego informatora policji kryminalnej, Smoczyński regularnie utwierdzał się w przekonaniu, że pewnych rzeczy po prostu lepiej nie wiedzieć.

– Marlena Zawadzka – powiedziała Ida zmęczonym głosem, strzepując mokry śnieg z włosów czarnych jak krucze pióra. – Świeżo upieczona studentka weterynarii. Mieszkanie, które zajmowała, należy do jej rodziców, oboje obecnie przebywają za granicą. Tu masz wszystkie nazwiska, telefony i adresy, jakie udało mi się zdobyć. – Podała mu wydobytą z kieszeni, gęsto zapisaną kartkę. – Marlena w przyszłym tygodniu skończyłaby dziewiętnaście lat, wczoraj wieczorem świętowała swoje urodziny ze starszym o dwa lata chłopakiem, Rafałem Mazurkiem. Romantyczna kolacja przy świecach, upojne chwile w sypialni, wspólna kąpiel... Masz obraz. Wyszedł od niej tuż przed pierwszą w nocy, a po kilku minutach usłyszała pukanie do drzwi. Była pewna, że to Rafał zapomniał komórki albo kluczyków od samochodu, co jak sama twierdzi, dość często mu się zdarzało, więc nawet nie wyjrzała na klatkę przez wizjer...

Umilkła na blisko minutę, lecz Smoczyński w ogóle tego nie zauważył. Umysł całkiem mu się zawiesił, zapętlił, po czym zaczął buzować, gdy dotarł do niego sens trzech niepozornych słów:

„jak sama twierdzi”.

Policjant wzdrygnął się lekko, wyobraziwszy sobie gadające zwłoki zamordowanej studentki, zaraz jednak skarcił się w duchu za tę idiotyczną myśl. Czym prędzej zdusił w zarodku kiełkujące w nim przypuszczenia oraz domysły, które nie miały racji bytu w jego zdroworozsądkowym obrazie świata. Nie miały, i już. Ida po prostu się przejęczyła, o tak, z pewnością. Alternatywa zwyczajnie nie wchodziła w grę.

Szamanka tymczasem pociągnęła duży, nieśpieszny łyk, wygrzebała z torby paczkę papierosów i zapalki. Pytająco zerknęła na Smoczyńskiego, a on bez słowa uchylił okna. Zapaliła, zaciągnęła się głęboko, przymykając powieki.

– Przed drzwiami stał jej eks, Patryk Górczewski, lat dwadzieścia trzy – podjęła, nie otwierając oczu. – Zerwała z nim blisko rok temu i jak już się pewnie domyślasz, kiepsko to przyjął. Wydzwaniał, pisał esemesy, nagabywał znajomych Marleny, wypytywał, czy kogoś sobie znalazła, przychodził do kawiarni, gdzie dorabiała wieczorami na

ćwierć etatu, i robił sceny na oczach klientów... Potem trochę się uspokoił i tylko od czasu do czasu wysyłał jej wiadomości z prośbą o spotkanie, które konsekwentnie ignorowała. Dzisiejszej nocy widziała go po raz pierwszy od wielu tygodni. Kazała mu iść precz, ale nie zdążyła zamknąć drzwi... – Urwała na moment, by wciągnąć do płuc kolejną porcję nikotyny. – Górczewski to kawał chłopca, bez trudu wdarł się do mieszkania. Musiał wiedzieć, że jej rodzice wyjechali, pewnie już od jakiegoś czasu obserwował dom. Zeszłej nocy zczekał, aż Rafał sobie pójdzie i Marlena zostanie sama.

Ida strzepnęła popiół za okno. Milczała przez kilka chwil, obserwując wijący się w powietrzu dym.

– Udusił ją albo utopił – rzekła wreszcie bezbarwnym tonem. – Ciało leży w wannie pełnej wody, z czarną pończochą zaciśniętą wokół szyi.

– Skąd... – wyrwało się Smoczyńskiemu, ale zaraz ugryzł się w język. – Masz ubłocone buty – zauważył zamiast tego, wbijając wzrok w jej sfatygowane trzewiki. – Jeśli weszłaś do tego mieszkania...

– Nie weszłam, a przynajmniej nie w konwencjonalny sposób – przerwała mu, po czym uśmiechnęła się blado na widok jego miny. – Górczewski zabrał klucze i zamknął za sobą drzwi na cztery spusty, ale spokojna głowa. Nie zostawiłam po sobie żadnych śladów, jakie mogliby wykryć wasi kryminaliści.

Odwrócił głowę, żeby nie dostrzegła, jak wykrzywia wargi. Choć jej zapewnienia jeszcze nigdy nie okazały się jedynie pustymi przechwałkami, choć w jej głosie nie zadźwięczała ani jedna arogancka nuta, choć doskonale wiedział, że bynajmniej nie próbowała mu zaimponować, tylko starała się rozwiać jego obawy, poczuł nagle taką irytację, że aż zaswędziało go skóra. Ida nie była zarozumiała i paradoksalnie miał jej to za złe. Bo gdyby była, dałaby mu doskonały powód, żeby zerwać tę niecodzienną współpracę, wycofać się znad niebezpiecznie cienkiej granicy między logiczną, przyziemną, namacalną rzeczywistością a światem, którego w ogóle nie znał i którego wcale nie życzył sobie poznawać.

Jeszcze trzy miesiące temu szydził bezlitośnie z kolegów po fachu,

kiedy zamiast zatrudnić profilerę do pracy przy wyjątkowo skomplikowanych śledztwach, zwracali się o pomoc do jednego z rzekomych jasnowidzów, wypromowanych przez pseudodokumentalne programy telewizyjne – nieznośnie pyszałkowatego typu, który bardzo dużo gadał i bardzo niewiele z tego wynikało. Smoczyński naprawdę wolałby nabijać się teraz z nadkomisarza Poniedziałka za sam pomysł angażowania w czynności śledcze kogoś takiego jak Ida oraz z samego siebie za to, że w ogóle dał się w to wciągnąć. A jednak ku swemu zdumieniu i rozczarowaniu nie miał żadnych powodów do kpin. Jakkolwiek niełatwo mu to przychodziło, musiał uczciwie przyznać, że z tą dziewczyną pracowało się o niebo wygodniej i skuteczniej niż bez niej. I chyba powoli zaczynał rozumieć, co go w tym wszystkim najbardziej wytrącało z równowagi: świadomość, że zamiast na własnym doświadczeniu oraz żmudnie zdobywanych kompetencjach coraz częściej polegał na tajemniczych umiejętnościach jakiejś pokręconej smarkuli.

Usłyszał, jak Ida nabiera powietrza, kątem oka dostrzegł, jak otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Rozmyśliła się jednak w ostatniej chwili i ponownie zacisnęła wargi na papierosie. Rozżarzona końcówka zmieniła się z sykiem w kolejny wałeczek popiołu.

– Sąsiedzi niczego nie słyszeli? – zapytał oschle.

Wydmuchnęła ostatnią chmurę dymu, po czym zgmiotła niedopałek w samochodowej popielniczce.

– Niestety nie. Piętro niżej trwała impreza, muzyka musiała zagłuszyć odgłosy szarpaniny.

– No to będzie trzeba poczekać, aż ten... jak mu tam? Oberek? – Zerknął na kartkę.

– Mazurek.

– Aż Mazurek odkryje zwłoki.

– Rafał nie ma kluczy. A poza tym pojechał na kilka dni na wieś do rodziców, wraca dopiero w środę rano.

– A koleżanki? Znajomi z pracy?

– Marlena wzięła sobie wolny weekend, z nikim się nie umawiała. Wczoraj rozmawiała z matką. Ze względu na różnicę czasu

zdzwanianają się tylko dwa razy w tygodniu, w piątki i we wtorki.

– Niedobrze, cholera. – Smoczyński w zamyśleniu zabębnił dłońmi o kierownicę. – Zanim kogokolwiek zaniepokoi brak kontaktu z Marleną, zanim ktokolwiek stwierdzi, że trzeba zawiadomić policję, minie kawał czasu... A ja nie mogę po raz kolejny powołać się na anonimowy cynk o popełnionym przestępstwie, bo w końcu kumple zaczną podejrzewać, że sam mam coś wspólnego z tymi wszystkimi zgonami. Już teraz co poniektórzy krzywo na mnie patrzą.

– Byłbyś chyba pierwszym seryjniakiem o tak różnorodnym modus operandi – stwierdziła, siląc się na żartobliwy ton, ale z marnym skutkiem. – Rany od noża, wypchnięcie przez okno, trutka na szczury w pomidorowej, rzekome przedawkowanie leków, upozorowane powieszenie, a teraz utopienie łamane przez uduszenie... Niezły repertuar.

Policjant nie skomentował. Wyjął swoją kawę z uchwytu i wypił duszkiem.

– Poniedziałek nie przewidział na podobne sytuacje jakichś nadzwyczajnych procedur? – zagadnęła go po chwili.

– Nie. W naszej komendzie prawie nikt nie słyszał o żadnym WON-ie i nadkomisarzowi bardzo zależy, żeby tak pozostało. Wam, zdaje się, również.

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Mruknęła coś niezrozumiale pod nosem, wzruszając ramionami, a to mogło oznaczać wszystko.

– Nienawidzę bezczynności. – Gniewnym ruchem zgniółł tekturowy kubek, po czym bez ceregieli cisnął go na tylne siedzenie.

– Witaj w klubie. – Ida wyjęła z kieszeni telefon, sprawdziła godzinę na wyświetlaczu. – Dobra, ja się zwijam, bo padam z nóg. Kiedy już dostaniecie zgłoszenie albo gdybyś miał jeszcze jakieś pytania, dzwoń.

– Podwieźć cię gdzieś? – spytał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Miał nadzieję, że odmówi, i chyba wyczuła to tym swoim szóstym zmysłem, bo przyglądała mu się przez kilka sekund z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie – rzuciła wreszcie, a Smoczyński musiał się bardzo pilnować, żeby nie odetchnąć z ulgą. – Po tym wszystkim spacer dobrze mi



zrobi. Ale dzięki za propozycję.

Machnęła mu dłonią na pożegnanie, odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi i ruszyła żwirową alejką przez zalany słońcem plac zabaw, pomyślał, że choć znakomicie sprawdzała się w roli informatorki, naprawdę, ale to naprawdę wolałby jej już nigdy więcej nie oglądać na oczy.

## Rozdział drugi

– Wyglądasz gorzej, niż ja się czuję – przywitał się wesoło Kruchy. Szamanka nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do sali odpraw i zajął krzesło obok niej.

– Ciężki weekend? – spytała.

– Chyba nie aż tak jak twój.

Nie musiała nic mówić, wystarczyło, że popatrzyła na łowcę ze zboląłą miną.

– Oho. Działo się, jak widzę. Co tym razem?

– Niby to samo co zwykle – mruknęła, ponownie wbijając wzrok w zgaszony ekran projekcyjny. – Ale nie do końca. Nigdy dotąd nie przeprowadzałam nikogo młodszego ode mnie. Straszne uczucie.

Łowca ze zrozumieniem pokiwał głową. Obserwował w milczeniu ponury profil szamanki, nie po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy ostatnio słyszał jej śmiech. Dokonywał tego odkrycia regularnie od ładnych paru tygodni i za każdym razem budziło w nim przykrą mieszaninę niepokoju oraz nie do końca zrozumiałej irytacji.

– Ta biedna dziewczyna nie skończyła nawet dziewiętnastu lat – kontynuowała Ida nie swoim, zupełnie wypranym z emocji głosem. – Dopiero co zdała maturę i zaczęła studia, niedawno znalazła nową pracę, po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochała. A na dodatek... – zająknęła się. Odgarnęła z twarzy splątane włosy, przez blisko minutę masowała w milczeniu podkrążone powieki.

Nauczony doświadczeniem Kruchy nie próbował jej popędzać. Czekał cierpliwie, obracając w palcach benzynową zapalniczkę.

– Podejrzewa, że była w ciąży – szepnęła wreszcie szamanka. – Patrzyłam na jej śmierć każdej nocy od przeszło miesiąca, ale sny ani razu nie pokazały mi żadnego dziecka. A skoro nie śniłam o dziecku, to by oznaczało, że nie powinno było umrzeć, a ja przybyłam za późno, żeby temu zapobiec. I na samą myśl o tym, że leżą tam teraz

oboje i gniją w mydlinach... – Wzdrygnęła się, odwróciła głowę.

– To pewnie marna pociecha – powiedział łowca po chwili taktownej ciszy – ale może ta dziewczyna zwyczajnie się pomyliła, a ty niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty?

– Obyś miał rację. – Skuliła ramiona, międląc w dłoniach powyciągane rękawy swetra. W niepojęty sposób przypominała teraz jednocześnie zagubioną, spłoszoną dziewczynkę oraz przygniecioną życiem staruszkę, która na nic już nie potrafi reagować inaczej niż tylko melancholijną rezygnacją. – Tyle że w gruncie rzeczy to bez różnicy, jest dziecko czy go nie ma. Ja już po prostu na dobre przestałam rozumieć, na cholerę mi dar widzenia przyszłości, skoro nie wolno mi jej zmieniać. Rok temu nawet się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło... – Zerknęła na Kruchego. – No sam powiedz, jaki w tym jest sens? Przepowiednie potrafią mnie nawiedzać przez wiele długich tygodni, zanim wreszcie się urzeczywistnią, a ja się pytam: po co?

Nie miał na to żadnej odpowiedzi, więc tylko bezradnie rozłożył ręce.

– Otóż właśnie. Tekla twierdzi, że to po to, żeby mnie psychicznie przygotować do kolejnego zadania, jednak ostatnio... – Szamanka niespokojnie zawierciła się na krześle. – Ostatnio coraz częściej nachodzi mnie taka okropna myśl, że to nie śmierć zsyła mi sny, tylko moje sny zsyłają śmierć, a ja próbuję ścigać się z własnym umysłem...

– Urocza perspektywa.

– Wiedziałam, że ci się spodoba.

Wymienili blade uśmiechy.

– Rozmawiałeś z Rudą? – Szybko zmieniła temat, żeby przełamać wreszcie tę grobową atmosferę.

– A jak sądzisz, czemu się tu ukrywam? – Kruchy obejrzał się na drzwi, jakby chciał sprawdzić, czy czarownica przypadkiem nie podsłuchuje w progu. – Jest wściekła jak wszyscy diabli. Naskoczyła na mnie z samego rana i zaczęła coś pleść o zaległych raportach, które ma na biurku już od zeszłego wtorku. Zdecydowanie za dużo ostatnio pracuje, a za mało śpi, powoli przestaje ogarniać mapę...

– Powiedziała ci, dlaczego odwołała dzisiejszą odprawę?

– Taaaa... Warszawa przysłała nam kolejny zespół speców od deszyfrowania zakłęb – odrzekł na wpół z nadzieją, na wpół sceptycznie. – Ruda zamknęła się z nimi w konferencyjnym i właśnie składa sprawozdanie z tego, co udało nam się ustalić na temat zwłok w ogrodzie Kusiciela. Czyli już od przeszło godziny nawija o niczym, no bo przecież nadal guzik wiemy. Ale, ale – zreflektował się – my tu sobie gadu-gadu, a czy ty przypadkiem nie powinnaś być teraz na sesji z czytaczami?

– Znowu mi ją przełożyli – poskarżyła się, lecz Kruchy odniósł wrażenie, że w rzeczywistości przyjęła to z ulgą. – Dostali dziś do analizy nową partię zapisów z jaźni Szkudlarka i Karewicza, ponoć będą w nich grzebać przynajmniej do środy. Już od miesiąca odgrają się, że prześwietlą mi głowę, żeby, cytuję, „zmapować ektoplazmatyczną aktywność umysłu oraz zidentyfikować indywidualną psychoenergetyczną sygnaturę daru wieszczego śnienia”, koniec cytatu. Czyli że co? Tak w praktyce?

– Czyli że w praktyce szczytają sobie aurę twoich snów i sprawdzą, czy zostawiają po sobie jakieś unikatowe ślady, które pozwolą odróżnić je od innych nadprzyrodzonych mocy – wyjaśnił łowca. – Wszyscy nowi pracownicy Firmy przechodzą taką wiwisekcję, to standardowa procedura. Coś jak pobieranie mentalnych odcisków palców. – Zerknął na zegarek. – Zejdziemy na dół na śniadanie, zanim Ruda skończy się spowiadać ważniakom ze stolicy i znowu zacznie na nas wrzeszczeć? Umieram z głodu.

– Ty zawsze umierasz z głodu.

– I zamierzasz beczynnie przyglądać się mojej agonii, okrutna kobieto? Masz pojęcie, jak ja cierpię?

Ida przewróciła oczami, lecz nie potrafiła stłumić uśmiechu, więc pośpiesznie odwróciła głowę. Sięgnęła po torbę, z teatralnym westchnieniem wstała z krzesła, a Kruchy wyszczerzył się radośnie od ucha do ucha, po czym rażnym krokiem ruszył za nią do kantyny.

Dwa dni później szamanka stanęła przed pracownią czytaczy umysłów. Zapukała do drzwi raz, potem drugi, ale nikt nie odpowiadał. Przez parę chwil stała niezdecydowana pośrodku pustego korytarza, po czym niepewnie zajrzała do środka.

Słaby, pulsujący blask magicznych kryształów wydobywał z ciemności rzędy zagraconych półek i zarysy dwóch skulonych obok siebie sylwetek. W głośnym syku zakłęb słyhać było niecierpliwe szepty oraz pełne irytacji prychnięcia. Zaciekawiona Ida cicho zamknęła za sobą drzwi, po czym ruszyła w tamtym kierunku, klucząc ostrożnie w mrocznym labiryncie regałów. Dotarła do ciężkiego, dębowego stołu ustawionego pośrodku pomieszczenia, zajrzała przez ramię kobiecie z siwymi dreadami, upiętymi na czubku głowy w nastroszoną cebulkę, i zmarszczyła brwi, nie bardzo rozumiejąc, na co właściwie patrzy.

W leżącej pośrodku blatu głębokiej czarze z matowego szkła buzowały kłęby białych jak mleko oparów, w których majaczyły widmowe, niewyraźne kształty. W drugim identycznym naczyniu bulgotał oleisty mrok, w nim zaś dla odmiany nie majaczyło nic. Czytaczka co jakiś czas pochylała się raz nad jedną, raz nad drugą misą, aby wrzucić do nich garść maleńkich kamyków lub wpuścić pipetą kilka kropel tajemniczych substancji, a siedzący obok krępy, łysiejący mężczyzna zapisywał coś w grubym zeszycie, cmokał z niezadowoleniem i mamrotał przekleństwa.

– Nie marnuj więcej komponentów, Margo, widzisz przecież, że nic z tego nie będzie. – Czytacz gwałtownie zatrzaskał notes. – Karewicz ma w mózgu cholerną czarną dziurę, a Szkudlarek nadal zbyt skutecznie się maskuje.

– Ale robimy postępy – odparła spokojnie kobieta, obserwując, jak potraktowane kolejnym specyfikiem mleczne tumany nabierają na moment wściekle kanarkowej barwy. – Mgła zapomnienia w umyśle siewcy chyba jakby zaczyna się przersedzać...

– W oficjalnym raporcie nie ma miejsca na „chyba jakby” – sarknął mężczyzna. Dramatycznym gestem wpił palce w rzadkie włosy i przejechał dłońmi po pomarszczonej twarzy. – Babrzemy się w tych mentalnych pierdach już prawie cztery miesiące! Wyleją nas na zbity pysk, jeśli szybko nie przedstawimy jakichś konkretów...

– Straszny fatalista z ciebie, Grzesiu. Sprawdźbyś lepiej, czy Brzezińska już przysłała, zamiast tak panikować.

– Już przysłałam, dzień dobry – przywitała się grzecznie szamanka,

na co oboje czytacz raptownie poderwali głowy i obrócili się na krzesłach. – Pukałam – zapewniła szybko Ida, napotkawszy karcące spojrzenie Grzegorza. – Nikt nie odpowiadał, a drzwi były otwarte, więc...

Mężczyzna uciszył ją gestem, po czym bez słowa wskazał wolne krzesło po przeciwnej stronie stołu.

– Następnym razem – rzekł cierpko, gdy posłusznie zajęła miejsce – zaczekaj na korytarzu, aż po ciebie wyjdę. Nie powinnaś oglądać zawartości cudzych umysłów, nie masz odpowiednich uprawnień...

– Och, doprawdy – zachnęła się Margo, łypiąc na kolegę znad wielkich okularów w kształcie motyli skrzydeł. – Od kiedy to jesteś taki zasadniczy? Dałbyś spokój, przecież to ona doprowadziła do zatrzymania tych zwyrodnialców...

– I teraz pławi się w blasku chwały, a my odwalamy całą czarną robotę – przerwał jej opryskliwie czytacz, jeszcze bardziej naburmuszony. – Tak koncertowo spartoliła przesłuchanie Kusiciela, że o, proszę bardzo! – Dźgnął palcem czarę z kipiącą czernią. – Proszę, jak mu się mózg zlasował!

Kobieta omiotła wzrokiem sufit, po czym posłała szamance pokrzepiający uśmiech.

– Nie przejmuj się tym jęczybułą, robi się nieznośny, kiedy spada mu cukier. No już, już, zjedz pierniczka, Grzesiu. – Podsunęła mu paterę z domowymi wypiekami, którą w bladym świetle kryształów Ida omyłkowo wzięła za jeszcze jedno naczynie do analizy ektoplazmatycznych widziadeł.

Czytaczowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Natychmiast porwał pierwsze z brzegu ciastko, odgryzł ponad połowę za jednym zamachem, sypiąc sobie na koszulę śniegiem lukru i okruszków, po czym zaczął przeżuwać z takim zapamiętaniem, jakby miażdżył w zębach kości swego najgorszego wroga.

– A tak serio, to co się właściwie stało Kusicielowi? – spytała szamanka, starając się nie zwracać uwagi na wyzywającą minę Grzegorza ani na miarowe, złowrogie pochrupywanie.

– Nie wiemy – westchnęła Margo. – Umysł mu zgasł z niewiadomych przyczyn, a sporadyczne, króciutkie rozbłyski

świadomości... O! Takie jak teraz, widziałaś?

– Mhm.

– No więc te rozbłyski sugerują, że mózg Karewicza bez powodzenia próbuje się zresetować. Zaobserwowaliśmy też zastanawiająco wysoką aktywność ośrodków pamięci, lecz te wydają się całkiem puste... U siewcy natomiast sprawa wygląda wręcz odwrotnie: jaźń prawie mu pęka w szwach od natłoku wspomnień, ale skubaniec bardzo umiejętnie je przed nami ukrywa.

Niepomna na ostrzegawcze pochrząkiwania czytacza Ida pochyliła się nad czarą Szkudlarka. Zarysy sylwetek migające tu i ówdzie w śnieżnej zamieci wydały jej się dziwnie znajome, lecz były zbyt blade i rozmyte, aby dać punkt zaczepienia dla konkretnych skojarzeń. Po chwili przeniosła wzrok na spowity czernią umysł Demona Luster, a pod czaszką natychmiast rozbrzmiały jej znajome słowa:

„Nie pamiętam... Pomóż mi”.

– Może potrzebujemy jeszcze jednego klucza do wspomnień... – pomyślała na głos, skubiąc palcami nitkę przy nadprutym brzegu swetra.

– Co tam mamrocześ? – Grzegorz przerwał energiczne otrzepywanie spodni. Spojrzał na szamanę z żywym zainteresowaniem i jakby cieniem zaskoczenia.

Wyrwana z zadumy Ida uniosła głowę znad misy.

– Na pewno widzieliście taśmy z przesłuchania... – zaczęła nieśmiało, ale nie dał jej dokończyć.

– Żeby to raz – parsknął obcesowo, a twarz zmarszczyła mu się w złośliwym grymasie. – Instruktorzy używają teraz twojego nagrania jako przykładu, jak *nie należy tego robić*.

Szamanka odchrząknęła z zażenowaniem, czując, że się rumieni.

– Wiecie też z pewnością, że kilkanaście lat temu Szkudlarek zaserwował Karewiczowi kontrolowaną amnezję, zamykając jego wspomnienia w szklanej kuli – podjęła, niezmiernie ucieszona, że głos jednak jej nie zdrzął. – Jeśli wierzyć temu, co mi zeznał Kusiciel, i przyjąć, że kula, którą mu oddałam w lustrach, faktycznie nie zdołała przywrócić mu całej pamięci, to może siewca zaklął część jego

retrospekcji w jakiś inny przedmiot? – Oparła brodę na splecionych dłoniach i milczała przez kilka chwil, wodząc wzrokiem od czary do czary. – Karewicz się zawiesił – dodała z namysłem – bo bezskutecznie próbuje przypomnieć sobie coś, czego zwyczajnie nie ma w jego głowie. Z kolei Szkudlarek używa zasłony dymnej, żebyśmy nie znaleźli właściwego klucza...

– Ha! – ucieszyła się czytaczka. – No i co ty na to powiesz, Grzesiu?

Nie powiedział nic, całkowicie pochłonięty doprowadzaniem do porządku obsypanej lukrem odzieży.

– Wpadliśmy na ten pomysł już przed dwoma miesiącami, po konsultacjach z Ireneuszem Kuźmikiem, specjalistą od implantacji fałszywych zapisów pamięciowych – poinformowała Margo, a szamanka uśmiechnęła się mimowolnie na dźwięk znajomego nazwiska. – I to chyba faktycznie dobry trop, bo gdy tylko zaczęliśmy wypytywać Szkudlarka o zgromadzone przez niego klucze do wspomnień, mgła w jego umyśle momentalnie zgęstniała, jakby ją w popłochu zacerował. A to, co tutaj widzisz – kobieta wskazała misę ze skłębioną bielą – te wszystkie eteryczne, płynne kontury, to wynik wielotygodniowych przesłuchań, podczas których pokazywaliśmy mu zdjęcia jego kolekcji i wypytywaliśmy o każdą rzecz z osobna. Strasznie długo to trwało, bo sama widziałaś, jaką on ma rupieciarnię w chałupie. W dodatku tak skrupulatnie zabezpieczył te artefakty, że nikt, prócz prawowitych właścicieli, nie ma szans poznać ich zawartości. Jeszcze nie udało nam się ustalić, czy mgła zrzęda mu na widok jakiegoś konkretnego przedmiotu, czy po prostu siewca powoli zaczyna opadać z sił, ale nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później całkiem się przed nami odsłoni...

– Karewicz od razu rozpoznał szklaną kulę – powiedziała szamanka po chwili zastanowienia – więc i teraz powinno wystarczyć, że dotknie swojego klucza, żeby... – urwała i zerknęła bystro na Margo. – Istnieje pewnie jakiś ważny powód, dla którego po prostu nie pokazujecie Kusicielowi wszystkich przedmiotów po kolei, zgadza się?

– Zgadza, zgadza – przyznała markotnie czytaczka. –



Zaprezentowanie mu blisko siedmiu tysięcy szpargałów zajęłoby całe wieki, ale to bezsprzecznie najłatwiejsza metoda na znalezienie właściwego artefaktu i odblokowanie Karewicza. I to za jednym zamachem. – Kobieta zdjęła okulary, chuchnęła na szkła i przetarła je metodycznie skrajem roboczego fartucha. – Niestety, już podczas kontaktu z pierwszym kluczem Kusiciel dostał czegoś w rodzaju ataku epilepsji. Uzdrawiacze określili to jako „ostrą reakcję wstrząsową na ekto plazmatyczną aurę cudzego umysłu”. Zabronili nam dalszych eksperymentów, bo się boją, że kolejnego szoku jego mózg może zwyczajnie nie wytrzymać. Pozwolą nam skonfrontować Karewicza wyłącznie z przedmiotem, co do którego będziemy w stu procentach pewni, że to właściwy klucz... Chciałbyś może coś dodać, mój drogi? – rzuciła słodko w kierunku Grzegorza, a gdy ten zaburczał niezrozumiale pod nosem i ostentacyjnie odwrócił głowę, posłała Idzie porozumiewawcze mrugnięcie. – Nie znosi przegrywać – oznajmiła konspiracyjnym szeptem. – Założył się ze mną, że Firma zatrudniła cię tylko ze względu na twoją sławną rodzinę. Ale ja wiedziałam, że ktoś, kto wytropił Demona Luster oraz jego psychopatycznego wspólnika, musi mieć do zaoferowania coś więcej niż tylko ładną buzię i wyśmienite koneksje. No i proszę, jak pięknie potrafisz dedukować! Poza tym słyszałam, że zostałaś wydziedziczona, od roku nie utrzymujesz żadnych kontaktów z rodziną, a skoro tak, to przecież nie mogłaś liczyć na wstawiennictwo wpływowego tatusia, prawda?

Idę zatkało. A gdy po chwili otrząsnęła się z pierwszego szoku i dotarło do niej, że Margo nie pyta retorycznie, tylko naprawdę spodziewa się odpowiedzi, zatkało ją znowu. Tym razem na dłużej.

Zwielokrotnione echa dawno wybrzmiałych głosów uderzyły w nią z siłą gromu, szarpnęły za duszę tak mocno, że aż zabolą.

„Jeśli nie potrafisz zdobyć się na choćby odrobinę poświęcenia, żeby uratować honor tej rodziny, ty samolubny, nieudolny pasożycie, to nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Tyle starań, tyle wyrzeczeń, żeby jakoś wyprowadzić cię na ludzi, i wszystko na nic, wszystko zrujnowałaś!

Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę! Wynoś się! Wynoś,

słyszysz?!”.

Szarpnęła głową, żeby uciszyć tętniące w uszach wrzaski.

– Z chwilą, w której trafiłam pod opiekę ciotki i rozpoczęłam szkolenie na medium, rodzice całkiem przestali się do mnie przyznawać – odparła w końcu, siląc się na swobodny ton. – Ojciec prędzej połknąłby własny tupecik, niż poręczył za taką czarną owcę jak ja. Ba, na samą wieść, że ich wyrodna córeczka dalej plami honor rodu, tym razem wstępując do służb porządkowych, zamiast wziąć sobie czarodzieja za męża i wynagrodzić im jakoś swoje pożałowania godne beztalencie zgrają uzdolnionych magicznie wnucząt, niechybnie dostali z matką zawału. Chociaż nie... Nie doszły mnie słuchy o żadnym pogrzebie, więc najwyraźniej skończyło się tylko na ataku hysterii – urwała i przeniosła zdziwiony wzrok na swoje dłonie. Zaciskała je bezwiednie na poręczach krzesła, tak mocno, że pod paznokciami wykwitły ciemne półksiężyce nabiegłej krwi. – Mam nadzieję, że to rozwiewa wątpliwości co do moich rzekomych koneksji – dodała cierpko, krzyżując ramiona na piersi. – A teraz, jeśli pozwolicie, przejdźmy już wreszcie do moich snów. Za godzinę mam szkolenie z taktyki i technik prowadzenia przesłuchań, a kto jak kto, lecz ja w żadnym wypadku nie powinnam go przegapić. No sami rozumiecie, jeszcze jeden spektakularny blamaż i po raz drugi zostanę sierotą, tym razem oficjalnie... – Zamilkła wreszcie, bo choć miała na podorędziu cały potok bardzo gorzkich słów, to nagle zabrakło jej powietrza. Zaczerpnąwszy tchu, jakoś straciła zapał i nie powiedziała już nic, tylko z cichym fuknięciem opadła na oparcie.

Margo, która przez całą tyradę szamanki siedziała nieruchomo niczym zaklęta w posąg, zamrugała raptownie, poprawiła okulary i kaszlnęła w pięść. Grzegorz strzepnął niewidzialny paproch z rękawa, jeszcze raz dla pewności starannie zlustrował całe ubranie, zaszurał butami o podłogę, jakby wymiatał okruchy spod krzesła.

– Wygrałam zakład – mruknęła wreszcie kobieta, nie wiadomo, do kolegi czy do Idy, po czym szybko wstała od stołu i zaczęła szperać wśród sprzętów zgromadzonych na pobliskim regale. Czytacz zaś w nieoczekiwanym geście życzliwości pchnął w stronę szamanki paterę z wypiekami.

– Trochę węglowodanów i od razu poczujesz się lepiej – bąknął wyraźnie zmieszany jej miną oraz nader wymownym milczeniem. – Wiem, co mówię, przeprowadzam regularne eksperymenty na własnym organizmie. Mam dwóch braci i cztery siostry, a to mnie matka uważa za zakalę rodzi...

– Jestem jedynaczką – przerwała mu Ida nieco oschlej, niż zamierzała.

– Yhym... – stropił się. Potarł w zamyśleniu nieogolony policzek i przygładził zaczeskę. – No cóż, nie zazdrozczę. W moim przypadku presja wygórowanych oczekiwań rozłożyła się przynajmniej na siedem głów, a co siedem, to, wiadomo, nie jedna. Wolę sobie nawet nie wyobrażać, co by było, gdybym miał ją znosić solo... – Wzdrygnął się na samą myśl. A potem z zakłopotaniem uśmiechnął się do szamanki i zachęcająco kiwnął podbródkiem w stronę okazałej fury łakoci.

Ida z niemałym trudem przełknęła cisnące się na usta przekleństwa i omiotła paterę chmurnym spojrzeniem.

Po chwili wahania sięgnęła po szarlotkę.

Godzinę później wypadła na zatłoczony korytarz jak wystrzelona z procy. Sprawnie lawirując w tłumie pracowników WON-u, wydostała się z największego ścisku i ruszyła dalej biegiem tylko po to, aby tuż za rogiem o mały włos nie zderzyć się z Kruchym. Wybąkała przeprosiny i próbowała go wyminąć, ale zastąpił jej drogę.

– Nie wygłupiaj się, jestem spóźniona na szkole...

– Szkolenie odwołane – uciął, a w jego oczach dostrzegła błysk ekscytacji. – Nekromanta z Wawy twierdzi, że rozpracował zaklęcia ochronne, mamy wszyscy stawić się w ogrodzie Kusiciela.

– Ja też? – zdziwiła się szczerze.

– No przecież. Co to w ogóle za pytanie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zerknął ponad jej ramieniem w stronę pokoju czytaczy, jakby już się domyślał, o co chodzi. Zacięty wyraz na twarzy dziewczyny tylko potwierdzał te podejrzenia. Ale ona jak zwykle nie zamierzała się skarżyć, a on przezornie wolał nie drążyć tematu przy świadkach. Przez dłuższą chwilę stali pośrodku korytarza w wymownym milczeniu, czując na sobie ciekawskie

spojrzenia przechodzących obok ludzi, a potem jak na komendę zrobili w tył zwrot i ruszyli razem w kierunku schodów.

– No to co jest grane? – zagadnął, gdy schodzili na parter.

Wbiła ręce w kieszenie, a wzrok w czubki własnych butów i zaburczała coś wymijająco pod nosem.

– Nie znoszę, kiedy to robisz. – Skrzywił się. – Mistrzynią udawania, że wszystko jest w porządku, to ty nigdy nie zostaniesz, wierz mi na słowo, więc równie dobrze możesz dać sobie spokój. – Ponieważ nie zareagowała, przystanął na półpiętrze. Poczekał, aż szamanka też się zatrzyma i obróci w jego stronę. – Wykrztusisz to wreszcie czy mam cię zawlec z powrotem do Margo na sondowanie mózgu?

Stał teraz parę stopni wyżej, musiała więc mocno zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Czy wszyscy w Firmie uważają, że to ojciec załatwił mi tę robotę? – wypaliła i natychmiast pożałowała, uświadomiwszy sobie, że chyba jednak woli tego nie wiedzieć.

– I niby to cię aż tak gryzie? – zdumiał się łowca.

– A nie powinno?

Bez pośpiechu pokonał dzielące ich schody. Oparł się bokiem o poręcz i głęboko westchnął.

– Ci, którzy znają szczegóły sprawy Kusiciela – zaczął po chwili, starannie dobierając słowa – i okoliczności jego zatrzymania, doskonale rozumieją, dlaczego dowództwo postanowiło cię zatrudnić. Jest ich jednak stosunkowo niewielu, a reszta... no cóż. – Niedbale machnął ręką. – Spekuluje, plotkuje, rzuca niewybrednymi komentarzami, dając się ponieść stereotypom i własnym uprzedzeniom... Normalka. Pod tym względem nasza Firma nie różni się od innych.

– Czyli większość uważa, że jadę sobie przez życie na pleckach tatusia – podsumowała kwaśno. – No wprost cudownie.

– Mniej więcej połowa – sprostował po krótkim zastanowieniu. – Pozostali są zdania, że to moja sprawka, bo jak wieść niesie, zagroziłem odejściem, jeśli nie zaoferują ci stanowiska.

Łypnęła na niego podejrzliwie.

– Ale ty chyba nie...

– Nie. Wręcz przeciwnie. Zagroziłem odejściem, jeśli cię zwerbują.

Zbita z tropu przestąpiła niepewnie z nogi na nogę i przez parę długich sekund nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Bądź tak miły i rozwiń myśl, bo nie wiem, czy cię pacnąć, czy co – bąknęła w końcu.

Roześmiał się krótko i szczerze.

– Po raz pierwszy wpadli na pomysł, żeby cię zrekrutować, kiedy jeszcze leżałaś nieprzytomna w szpitalu. No i delikatnie mówiąc, nie spodobał mi się sposób, w jaki mieli zamiar... hmmm... – zawahał się, zabębnił palcami w poręcz – nakłonić cię do współpracy. Wiesz, w razie, gdybyś nie zechciała przystać na nią dobrowolnie.

– Kolejna podszyta szantażem oferta nie do odrzucenia – błysnęła domyślnością. – Na to nasze nielegalne śledztwo w sprawie Kusiciela z pewnością znalazłoby się kilka paragrafów... Mam rację? Przynajmniej tak to załatwiłeś za pierwszym razem.

– Wtedy jeszcze cię nie lubiłem – odparł z rozbijającą beztroską szczerością. – A skoro już polubiłem, to nie zamierzałem dłużej trzymać w szachu. Poza tym założyłem, że po tym, jak cudem przeżyłaś wyprawę do piekieł Kusiciela, nie będziesz chciała znowu się narażać na bliskie kontakty z czarną magią. To moje ultimatum to był zresztą tylko pic na wodę, fotomontaż, tak naprawdę wcale nie zamierzałem odchodzić. Ale podziałało i dali ci wybór. Potem z kolei padła sugestia, żebyśmy zostali partnerami, i doszedłem do wniosku, że chyba jakoś to zniosę...

– Dziękuję ci pięknie – burknęła, z trudem powstrzymując uśmiech.

– Ależ proszę uprzejmie. – Wyszczerył się znowu, zaraz jednak spoważniał. Przez moment wyglądał, jakby toczył zaciekle bój z myślami i samym sobą, nim wreszcie dodał: – Ale jeśli mam być zupełnie szczerzy, to z perspektywy czasu wolałbym, żebyś odmówiła.

Wzięła się pod boki, hardo zadarła głowę.

– Bo niańczenie największej kompromitacji w historii WON-u okazało się jednak zbyt kłopotliwe?

– To też – przytaknął ochoczo, czym zarobił sobie na zamaszystego

kopniaka w goleń. – O, i jeszcze dlatego – sapnął, rozmasowując stłuczone miejsce.

– A na serio?

Zawahał się, wyprostował, bacznie rozejrzał wokół. Zaczekał, aż długonoga sekretarka w obcisłym kostiumiku i zabójczych szpilach minie ich wdzięcznym truchcikiem i zniknie za zakretem schodów.

– A na serio – zniżył głos – to ponieważ zdałem sobie sprawę, że jako partner i członek zespołu mam dramatycznie kiepskie notowania – wyznał na pozór niefrasobliwym tonem, ale zdradził go cień goryczy, który nieoczekiwanie przebiegł mu przez twarz. Kruchy chrząknął i co było do niego zupełnie niepodobne, uciekł spojrzeniem w bok. – Ze wszystkich ludzi, z którymi zdarzyło mi się bliżej pracować, przeżyła tylko Ruda, bo wrednego najwyraźniej nic nie ruszy – podjął, starając się obrócić te słowa w cyniczny żart, jednak szamanka nie dała się oszukać i usłyszała je dokładnie tak, jak należało. – Lista osób gryzących piach z mojego powodu jest cholernie długa i bardzo nie chciałbym dopisywać do niej kolejnego imienia.

Ida nabrała powietrza, żeby coś powiedzieć, lecz w głowie miała pustkę, więc szybko zamknęła usta. Długo patrzyła na Kruchego, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że dopiero teraz widzi go naprawdę. Jak gdyby do tej pory ukrywał się przed nią za subtelnym, magicznym kamuflażem. Jakby po raz pierwszy, odkąd się znali, postanowił wreszcie zdjąć zasłony, opuścić gardę, pokazać jej wszystkie nawiedzające go duchy. Przez moment szamance zdawało się nawet, że za plecami łowcy faktycznie dostrzega niewyraźne, widmowe sylwetki, utkane z cienia, drobinek kurzu i stężałego powietrza. Rozpoznała ich bez trudu: Kota, Żuku, Robal...

Lena.

Zginęli na służbie na długo przed tym, zanim Kruchy pojawił się w życiu Idy, ale kiedyś ukradkiem przejrzała ich akta i znalazła zdjęcia.

Bała się odezwać, żeby nie palnąć przypadkiem czegoś głupiego, a jednak cisza, którą przy odrobinie dobrej woli można było początkowo uznać za taktowną, stawała się krępująca i czym prędzej

należało ją przerwać.

– Tamto to był przecież zwykły wypadek przy pracy... – zaczęła ostrożnie, po czym zaraz zganiała się w myślach, stwierdziwszy że zgrozą, że zabrzmiało to jak pusty frazes na odczepnego.

– Bardzo eufemistycznie powiedziane – wtrącił łowca, a ona nie była pewna, czy właśnie zaserwował jej komplement, czy może raczej przytyk.

– ...a poza tym nie zapominaj, że ja też jestem wredna.

– Obawiam się, że nie na tyle, żeby to cię ocaliło – odparował z posepnym rozbawieniem. – A historia nader często lubi się powtarzać.

– Jak na kogoś, kto nie wierzy w zły los, przejawiasz czasem zaskakujące skłonności do fatalizmu – zauważyła z nutką ironii w głosie, bo w tych rzadkich chwilach, w których stare demony powracały, aby upomnieć się o duszę Kruchego, zatopić w niej zęby i rozorać pazurami wciąż niezabliźnione rany, takie docinki zazwyczaj szybko poprawiały mu nastrój.

Ale nie tym razem.

– Nic nie poradzę, że ni stąd, ni zowąd obrywam flashbackami. I wierz mi lub nie, Ido, ale w takich sytuacjach cholernie trudno zachować luzacki optymizm. – Kruchy podciągnął rękaw kurtki, spojrzął na zegarek. – Jeśli nie chcemy, żeby nekromanta zaczął zabawę bez nas, musimy się pośpieszyć – rzucił jak gdyby nigdy nic, po czym odepchnął się od poręczy i ruszył po stopniach. Poczekał na szamankę u stóp schodów, kompulsywnie bawiąc się zapalniczką, a potem wyszli z budynku na zalany słońcem parking.

Przez całą drogę do posiadłości Demona Luster żadne z nich nie odezwało się już więcej ani słowem.

## Rozdział trzeci

Zaczęło się, jeszcze zanim wkroczyli do ogrodu.

Łowca zaparkował terenówkę przed zniszczonym murem z szarego kamienia, gdzie stało kilkanaście innych aut, w tym trzy czarne vany na warszawskich rejestracjach. Ida odpięła pasy, sięgnęła do klamki, ale wysiąść już nie zdążyła.

Ledwo uchyliła drzwi, poczuła, jak przez jej ciało przebiega zimny, nieznośnie powolny piorun, jak skóra na plecach pęka z mokrym trzaskiem, a powietrze w boleśnie ściśniętych płucach zaczyna buzować niczym podpalony gaz. Świat rozpuścił jej się przed oczami w szarą, bezkształtną breję, zaroił milionem roztańczonych plam. Wyprężyła się gwałtownie i ze świstem zaczerpnęła tchu, wbijając paznokcie w krawędź fotela.

– Ida? – Kruchy, który zdążył już wysiąść, szybko wskoczył z powrotem do samochodu i chwycił ją za ramię. – Ida, co się dzieje?

– Pech... – wydusiła z trudem i całkowitym przekonaniem, że nieszkodliwy dotąd demon lada moment rozedrze ją na pół. – Jasna cholera, wściekł się czy c-co... – urwała zaskoczona.

Rwący ból w całym ciele ustąpił równie nagle, jak się pojawił. Przez blisko pół minuty siedziała zupełnie nieruchomo w oczekiwaniu na kolejny atak, a gdy ten nie nastąpił, otarła spocone czoło wierzchem dłoni.

– Chyba już po wszy... – zamilkła znowu, gdy naraz coś ciepłego załaskotało ją nieprzyjemnie między łopatkami.

Ostrożnie uniosła i opuściła barki. Skręciła tułów raz w jedną, raz w drugą stronę, lecz wrażenie nie zniknęło. Sięgnęła pod włosy, dotknęła mokrego, lepkiego karku. Zerknęła na dłoń i sapnęła głośno, a łowca zaklął pod nosem.

Minęło parę długich sekund, zanim wreszcie oderwali oczy od jej palców umazanych ciemną czerwienią i wymienili pełne napięcia spojrzenia. Kruchy jako pierwszy odzyskał zdolność ruchu.



Gwałtownie zatrzaskała za sobą drzwi, aż zadygotała na wpół opuszczona szyba.

– Pochylił głowę – zakomenderował, wyciągając apteczkę ze schowka pod deską rozdzielczą.

Ida bez słowa zsunęła kurtkę z ramion, odgarnęła włosy, posłusznie zgięła się wpół, podczas gdy on wkładał rękawiczki i rozrywał zębami paczkę jałowej gazy. Najpierw zajrzał dziewczynie za kołnierz, a potem podciągnął jej sweter powyżej łopatek, dokładnie lustrując plecy.

– Nigdzie nie widzę otwartej rany – stwierdził po jakimś czasie, kiedy już wytarł krew i na wszelki wypadek przemył skórę płynem odkażającym.

Szamanka zauważyła mimowolnie, że miał w tym sporą wprawę, i nie była pewna, czy bardziej ją to uspokaja, czy wręcz przeciwnie.

– Masz tu za to spore, mocno zaognione znamiona – referował dalej. – Przypominają świeżo zasklepione szramy od pazurów...

Wpatrzona we własne kolana drgnęła, gdy łowca powiódł palcami po zagojonym skaleczeniu, rysując na jej kręgosłupie pięć długich linii.

– Boli?

– Teraz nie.

– Wcale?

– Wcale.

– Hmm, ciekawe...

– Co? – zaniepokoiła się, dostrzegłszy kątem oka, jak Kruchy sięga po telefon.

– Zabliźniają się i wchłaniają na moich oczach... Głowa z powrotem w dół, proszę. – Pośpiesznie zrobił parę zdjęć, a potem nagrał kilkunastosekundowy filmik. – O, i już prawie nie ma po nich śladu.

Słyszając, jak łowca ściąga rękawiczki, zgniata papierowe opakowania po zużytej gazie i zasuwa zamek błyskawiczny apteczki, szamanka wyprostowała się powoli, z wahaniem, centymetr po centymetrze. Obciągnęła sweter, obróciła głowę w prawo, potem w lewo, nieznacznie poruszyła ramionami. Fizycznie czuła się

najzupełniej normalnie, jak gdyby nic jej przed chwilą nie próbowało rozerwać na strzępy.

– Widziałeś już coś takiego? – spytała spokojnie, bardzo dumna z tego, że tak dobrze panuje nad głosem. W rzeczywistości z nerwów ledwo mogła usiedzieć na miejscu.

– Kilka razy. – Kruchy podał jej swoją komórkę. – Podobne znaki tworzą się czasem na ciałach opętanych.

– Samoistnie?

– O, bynajmniej.

– Czyli to sprawka Pecha?

– Wszystko na to wskazuje.

Ida uważnie obejrzała fotki oraz nagranie i stwierdziła, że uwiecznione na nich szybko zablizniające się rany wyglądają, jakby zadał je niedźwiedź, a nie maciupeńki nietoperz, którego postać przyjmował zwykle jej czarnomagiczny pasażer na gapę. Ani ona, ani Pech nie byli pewni, kiedy dokładnie ją opętał, wiedzieli jedynie, że doszło do tego przy jednej z dwóch okazji, gdy niechcący rozbiła lustro i tym samym otworzyła wążutką szczelinę między wymiarami. Takie opętanie trwało zwykle siedem ludzkich lat – właśnie tyle czasu pomniejsze demony potrzebowały, aby nabrać sił i przeżyć poza organizmem swojego żywiciela w świecie, gdzie życiodajnej piekielnej energii było jak na lekarstwo. A to oznaczało, że dusze szamanki i jej czarciego pasożyta miały pozostać splecione jeszcze przez co najmniej trzydzieści jeden długich miesięcy. W porywach do pięćdziesięciu pięciu.

Po tej stronie zwierciadła Pech pozostawał niewidzialny, lecz gdy Ida odwiedzała go w lustrze, czasem próbował ją nastraszyć, przemieniając się w skorpiona, tłustego pająka o włochatych odnóżach lub coś równie odstręczającego i niewielkiego zarazem. Podczas kolejnych przepoczwarzeń szybko doszedł do wniosku, że wiarygodnie wychodzą mu jedynie stworzenia o nikczemniejszych gabarytach, bo kiedy próbował przybrać kształt większego drapieźnika, kończył jako jego rozczulająco niegroźna, puchata miniaturka, co całkowicie psuło zamierzony efekt. I chociaż szamanka za nic nie umiała wyjaśnić, jakim cudem zdołał zadać jej dzisiaj tyle

bólu, była całkowicie pewna, że pełnowymiarowy niedźwiedź, wilk czy nawet ryś pozostawały daleko poza zasięgiem siedzącego w niej diablika. O ile w ogóle kaliber czarta przekładał się jakoś na jego potencjał destrukcyjny, bo może i w tym wypadku rozmiar wcale nie miał znaczenia.

– Takie znamiona zazwyczaj powstają na skórze ofiar, gdy siedzące w nich diabły bronią się przed wypędzeniem – kontynuował rzeczowo łowca. – Potężne demony potrafią w samoobronie zadać nosicielowi bardzo ciężkie, nawet permanentne obrażenia. Ale te pomniejsze zostawiają jedynie krótkotrwałe, a często jedynie widmowe, iluzoryczne znaki. Nie spodziewałem się, przyznaję, że taki czarnomagiczny plankton jak twój Pech zdoła wyrządzić ci jakąkolwiek krzywdę, bez względu na to, jak silny jest jego instynkt przetrwania...

Z każdym jego słowem jaskółcze brwi szamanki wędrowały w górę czoła, coraz wyżej i wyżej.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś mnie przed chwilą próbował wyegzorcyzmować?

– Nie ciebie. – Kruchy machnął ręką w stronę bramy oplecionej zwiedłym bluszczem. – Dostałaś ataku niemal w tym samym momencie, w którym fala uderzeniowa zaklęć oczyszczających dotarła do nas z ogrodu. Nekromanta rozpoczął już wstępne rytuały, a ty i twój demon znaleźliście się po prostu w polu rażenia... A propos pola, wzięłaś ze sobą emiter osłonowy?

– Tak.

– Zuch dziewczyna. Zakładaj, raz-dwa, zanim znowu oberwiesz rykoszetem.

– A to ekranowanie, o którym wspominałeś Szerszeniowi? – spytała, grzebiąc gorączkowo w wyładowanej po brzegi torbie i psiocząc w duchu na własne bałaganiarstwo. – Dlaczego nie zadziałało?

– Pewnie dlatego, że nie obejmuje Pecha – stwierdził z irytacją łowca. – Zupełnie nie potrafię go wyczuć, a co za tym idzie, nie mogę też zabezpieczyć. Ciebie ekranowanie ochroniło, ale on dostał całym impetem, a skoro dzielicie cielesną powłokę, to przy okazji oberwałaś

i ty... Emitery pola obronnego to już inna sprawa – zapewnił pośpiesznie, pochwycawszy jej spłoszone spojrzenie. – Aktywują się, zanim wrogi impuls w ogóle dotrze do ciała. Co prawda pochłaniają przede wszystkim energię czarnomagiczną, ale powinny też osłabić inne zaklęcia ofensywne. W tym i egzorcyzmy.

Szamanka wydobyła w końcu metalowy pas z klamrą w kształcie głowy kobry, pośpiesznie zapięła go sobie na biodrach. Nagle zrobiło jej się bardzo zimno, drżącymi rękami włożyła kurtkę.

– Czasami naprawdę warto się spóźnić – rzucił Kruchy niby-zartobliwym tonem, lecz w głosie zabrzmiała mu jakaś twarda, zgrzytliwa nuta. – Nie jestem pewien, co by było, gdybyś zdążyła wejść do ogrodu i stała akurat w samym epicentrum...

– Wiele razy byłam przecież poddawana oczyszczaniu – przypomniawszy sobie, znów zerkając na imponujące szramy na zdjęciach z mieszaniną grozy i nieklamanej podziwu. – Nigdy dotąd nic mi przy tym nie dolegało. Zresztą sam mówiłeś, że Pech to wyjątkowo mały, za to cholernie sprytny demon, który łatwo potrafi prześlizgnąć się przez luki w zaklęciach.

– No cóż... – Łowca w zamyśleniu otworzył kciukiem wieczko benzynowej zapalniczki, zamknął je, otworzył znowu. Klik, klik. Klik. – Najwyraźniej ten gość z Wawy jest rzeczywiście tak dobry w swoim fachu, jak twierdzi Ruda, i w jego magii nie ma żadnych luk.

Klik, klik. Klik, klik.

Szamanka łypnęła na Kruchego znad komórki. Wydawał się zupełnie rozluźniony i pewien tego, co mówi, lecz po lekko przygaszonych oczach, niespokojnych palcach, a także nienaturalnie znieruchomiałej twarzy poznała, że ubierał w słowa jedynie te bardziej optymistyczne ze wszystkich myśli, które aktualnie krążyły mu pod czaszką.

– Albo mój atak nie ma jednak nic wspólnego z rytuałem oczyszczającym – skwitowała, dając mu do zrozumienia, że umie czytać między wierszami. – Bo to właśnie tym się teraz niby wcale nie martwisz, prawda, partnerze?

Kli...

Dłoń łowcy zastygła w pół ruchu.

– Prawda, partnerko – przyznał z ociąganiem. – Tylko jeśli nie z rytuałem, to z czym?

– Nie wiem, strzelałam w ciemno. – Zdecydowanym ruchem oddała mu telefon. – Muszę pogadać z Pechem.

Kruchy organicznie wręcz nie znosił, gdy Ida korzystała ze swojego daru w jego obecności, lecz tym razem, o dziwo, przytaknął bez chwili namysłu. Następnie czym prędzej uchylił szybę, wsunął papierosa do ust i trzasnął zapalniczką, żeby zawczasu przysłonić sobie dymem widok jej sinej, pokrytej szronem skóry, który nieodmiennie psuł mu samopoczucie i, co gorsza, apetyt na resztę dnia.

Szamanka przekręciła lusterko wsteczne tak, aby ujrzeć w nim własne odbicie. Zapięła kurtkę aż po samą szyję, nasunęła kaptur, wygodniej usadowiła się w fotelu. Przez dobre pół minuty intensywnie patrzyła sobie w oczy, jak ktoś, kto próbuje dokonać autohipnozy lub dojrzeć we własnej twarzy zupełnie inną twarz, po czym wyślizgnęła się ze zwiotczonego ciała i zanurzyła miękko w zimne, gładkie szkło.

Tego dnia powietrze po drugiej stronie lustra miało ciepłą barwę sepii oraz osobliwie ziarnistą konsystencję, jak gdyby składało się z maleńkich pęcherzyków wypełnionych ciemnokremowym dymem. Miałkie światło jesiennego słońca sypało się na ziemię niby bursztynowy pył lub płatki starego złota, a wszystkie wydobyte z cienia kontury podrygiwały nieustannie, to odrobinę przesuwając się w bok, to znów wskakując z powrotem na poprzednie miejsca, przez co świat zwierciadeł przypominał film odtwarzany ze starej, podniszczonej taśmy.

Ida przez kilka chwil wpatrywała się w dach okazałej ruiny, będącej niegdyś domem Kusiciela – zapadnięty, dziurawy, pokryty połamanymi dachówkami i tabaczkowym mchem, który przezierał w oddali pomiędzy koślawych drzew za murem z beżowego kamienia. Lustrzane odbicie podupadłej rezydencji, choć niemal całkowicie ukryte w nieokiełznanym gąszczu, sprawiało jeszcze upiorniejsze wrażenie niż jego rzeczywisty pierwowzór. Zafascynowana widokiem szamanka musiała włożyć sporo wysiłku,

by odgonić niezbyt miłe wspomnienia, odwrócić głowę i rozejrzeć się czujnie po wnętrzu terenówki.

Kruczego nie było obok, a jednak czuła jego ulotną, rozproszoną obecność, jakby rozbity na atomy unosił się w powietrzu wraz z drobkami cynamonowego kurzu. Wnęka pod deską rozdzielczą również pozostawała pusta, podobnie kanapa z tyłu oraz szeroka półka nad bagażnikiem. Ida położyła dłoń na klamce, zamierzając przeprowadzić szybki rekonesans wokół samochodu, a wtedy do jej uszu dobiegło cichutkie, miarowe ni to powarkiwanie, ni to skomlenie dochodzące gdzieś z dołu, zza fotela kierowcy. Zajrzała przez szparę między oparciami, lecz w czekoladowym półmroku niczego nie była w stanie dostrzec. Lampka w suficie, i owszem, zadziałała, ale prószyla okruchami zbyt nikłego blasku, które gasły niczym stygnące iskry, zanim sięgnęły podłogi. Dziewczyna wysiadła na żwirowy podjazd, obeszła terenówkę, po czym powoli otworzyła tylne drzwi.

Demon leżał na wycieracze między kanapą a przednim siedzeniem. Zwinięty w kłębek, ciasno opatulony skórzastymi skrzydłami, z głową ukrytą w drżących ramionach, przywodził na myśl zwiędnięty liść lub kokon nocnego motyla z wyjątkowo strachliwą poczworką uwieczoną w środku.

– Jak się trzymasz, Peszku? – zagała Ida, kucając tuż przy nim.

Zakwilił żałościwie w ramach odpowiedzi.

Wyglądał znacznie gorzej niż trzy i pół miesiąca temu, kiedy wyraził tak gwałtowny sprzeciw wobec oględzin bezimiennych zwłok, że szamanka wyraźnie poczuła jego obecność we własnym ciele, czego nie miała okazji doświadczyć nigdy wcześniej ani nigdy później, aż do dzisiejszego incydentu. Za pierwszym razem wszystko przebiegło dużo łagodniej: Ida była daleka od wrażenia, że jeszcze chwila i eksploduje w bardzo dosłownym znaczeniu tego słowa, Pech natomiast, choć wyraźnie wytrącony z równowagi, uparcie bagatelizował całe zdarzenie. Nagabywany przez dziewczynę o przyczyny tej nagłej paniki, konsekwentnie zbywał wszystkie pytania niedbałym machnięciem skrzydła oraz dość mętными wyjaśnieniami, że próbował tylko ostrzec Idę przed silnym źródłem czarnomagicznej energii.

Wbrew pozorom nie było w tym jednak zbyt wiele sensu, gdyż po pierwsze, demony uwielbiały czarną magię, toteż rzadko kiedy z własnej i nieprzymuszonej woli przepuszczały okazję, żeby pławić się w jej mrocznej aurze. A po drugie, jako istota żywiąca się strachem, smutkiem oraz całą gamą negatywnych emocji Pech powinien raczej popychać szamankę w kierunku potencjalnych kłopotów, jak to robił do tej pory, a nie ją od nich odciągać, czego do tej pory nie robił prawie wcale. Sytuacje, w których od bezpieczeństwa dziewczyny zależało też jego własne, stanowiły jedyny wyjątek od owej reguły, a skoro tak, to wniosek nasuwał się sam. Nader niewesoły zresztą. Oczywiście niewykluczone, że gwałtowną reakcją demona wywołały białe zaklęcia chroniące bezimienny grób, bardzo przykre dla istot czarnomagicznych, a przy tym całkowicie nieszkodliwe dla ludzi, ale gdyby rzeczywiście o to chodziło, dlaczego po prostu tego nie przyznał?

Kiedy szamanka podzieliła się z czartem swoimi wątpliwościami i po raz kolejny zaczęła dociekać, czy podczas ich ostatniej wizyty w ogrodzie Kusiciela nie wyczuł aby przypadkiem czegoś jeszcze prócz demonicznej energii rezonującej od anonimowego trupa, Pech zaprzeczył – krótko, pośpiesznie, kategorycznie. Zbyt krótko, zbyt pośpiesznie i zbyt kategorycznie jak na gust jego coraz bardziej podejrzliwej żywicielki. Na wieść o problemach z neutralizacją zaklęć defensywnych, które osłaniały grób, Pech momentalnie się odprężył i odzyskał rezon, co nie uszło bynajmniej uwagi Idy i jeszcze mocniej podsyciło jej niejasne obawy.

Ale dopiero teraz, patrząc na zwiniętego w kłębek demona i słuchając jego cichutkiego zawodzenia, naprawdę zaczęła się o niego martwić.

A przy okazji – a może i przede wszystkim – o siebie.

– Peszek? – spróbowała raz jeszcze. – W porządku, mały? To musiało cię cholernie boleć, ale już po wszystkim, to się nie powtórzy, nie ma się czego bać. Słyszysz? – Kontrolnie trąciła go palcem w bok. Nie zareagował. – Hej? Dałbyś chociaż jakiś znak, że nie gadam w próżnię.

Stęknął coś niezrozumiale, ciaśniej owinał się błoniastymi

skrzydłami, wciąż jednak nie podnosił kosmatej głowy. Ida przyglądała mu się ze współczuciem. Po chwili wahania uniosła go z podłogi samochodu, przytuliła niezgrabnie, po czym zaczęła kołysać w ramionach. Z pewnym rozbawieniem uświadomiła sobie, że nabiera niezłej wprawy w utulaniu kwilących diabląt. Pech przywarł do niej całym dygocącym ciałkiem, wczepiając pazurki w gruby sweter. I wtedy wśród żalosnych jęków i nieartykułowanego mamrotania wychwyciła całkiem wyraźne słowa:

– Zabierz mnie tam... Błagam, zabierz mnie do niego... Ja muszę... Uuuyyych... Muszę przy nim być... Teraz, natychmiast, już... Proszę, proszę, och, proszę...

– Przy kim? – spytała, zastygając w bezruchu.

– ...proszę, proszę! On jest taki... Taki... Urghhh... Taki pyszny... On mnie nakarmi... Nasyci sobą, da mi siebie i już nigdy więcej nie będę musiał... Rozumiesz...? Jestem mu potrzebny, tak bardzo, bardzo potrzebny...

– Pech? O kim ty mówisz? Pech!

– W ogrodzie! – zawył rozdzierająco. Nagle wyprężył się i uniósł łeb. – Czeka na nas... Chodźmy do ogrodu, Ido... Chodźmy tam teraz, szybko, to najlepszy moment... Wypuść mnie stąd, błagam, uwolnij... Pozwól mi do niego dołączyć... Ja... Aaaaaghhh! Ja muszę z nim być...!

Odsunęła demona od siebie na długość ramion, spojrzała w brudnożółte ślepie o nabrzmiałych głodem źrenicach. Zbyt późno zrozumiała, że Pech wcale się nie bał, nie próbował uciec przed tym, co czaiło się w zwłokach tajemniczego mężczyzny.

On pragnął złożyć się temu czemuś w ofierze.

Rzucił się na nią z przenikliwym wizgiem, wściekle bijąc skrzydłami. Próbowwała się zasłonić, lecz był znacznie szybszy, niemożliwie silny. Wrzasnął jej prosto w twarz głosem z twardego metalu, ściana rozświetnionego powietrza zmiotła ją z nóg, ziemia z impetem wyrznęła w plecy. Ból eksplodował z tyłu głowy, płynnym ołowiem rozlał się po czaszce, zatopił umysł w gorącej smole; myśli połamane na kawałki ugrzęzły na granicy jawy i snu.

Zamroczonego Ida ogromnym wysiłkiem woli zdołała unieść



opadające powieki, skupić rozbiegany wzrok. Pech siedział jej na piersi niczym nocna mara, wielka chmura skondensowanej, oleistej czerni. Drobinki światła pierzchały od demona niczym spłoszone świetliki, zanurzając go w coraz głębszym cieniu. Szamanka nie widziała wyraźnie, lecz mimo to – czy może raczej właśnie dlatego – zdawało jej się, że morfujący nieustannie mrok, z którego był upleciony, co rusz przybiera ludzki kształt, że w skotłowanych kłębach dostrzega twarz obcego mężczyzny. Ostro zarysowane, zapadnięte policzki, drapieźnie zwięzione oczy, półksiężyc zębów wyszczerzonych w obłąkańczym uśmiechu kota z Cheshire...

I naraz twarz szaleńca zniknęła bezpowrotnie w atramentowym dymie. Pech, rozdęty do granic niepojętą mocą, zaryczał potępieńczo, zamachał skrzydłami ciemniejszymi niż noc. A potem runął na sztywną z przerażenia Idę, zdusił jej krzyk, zatopił kły w szyi. Zaślepiąca bólem poczuła, że topnieje, że kurczy się raptownie niby okruch lodu zaciśnięty w dłoni, a jej wypełniony duszną mgłą umysł odpływa, kropla po kropli, w miękką nieświadomość.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało.

Była pewna, że umiera.

Ocucił ją dopiero przenikliwy chłód szkła, gdy pazurzaste łapy brutalnie wypchnęły ją z lustra.

Wzrok zamglony, dźwięki jak spod wody, w nozdrzach trupi odór, dotyk jak przez kokon waty, góra w dole, dół nad głową, strony świata pogubione, wymieszane, świat wiruje, leci, nie wiadomo dokąd, na oślep, na złamanie karku, a ona za nim, szybko, prędzej, tam, naprzód, a więc lewo... Nie! Jednak w prawo, przez furkę do ogrodu, między drzewa, i dalej, zaroślami, aż do dziury w ziemi, a potem skok w ciemność i już nic, nic, nic, cudowne, kuszące, ciepłe NIC, nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęła niczego...

Słowa łowcy spływały po umyśle Idy jak deszcz po szybie. Wiedziała, że to jego głos woła ją z oddali, poznała go od razu, poznałaby wszędzie, ale nie chciała słuchać, nie mogła, nie umiała. Napędzana cudzą wolą była nie do zatrzymania, znieczulona na ból wyginała ciało w niepojęty sposób, wywijając się z każdego chwytu, z każdej dźwigni. Kruchy podciął jej nogi i padła jak długa, uderzając

skronią w pień jabłoni, aż zahuczało jej w uszach. Zamiast zemdleć, czołgała się dalej, na brzuchu, na kolanach, po chwili znów biegła. Pożar w płucach, lód na skórze, krew zalewa oczy, wszystko wokół czerwone. Bark trzasnął sucho, gdy Kruchy znów ją dopadł; nawet nie zauważyła, wyrwała mu z rąk wybite ze stawu ramię, pognąła dalej. Potknęła się o kamień albo korzeń, coś chrupnęło w kostce, stopę wykręciło pod dziwnym kątem, lecz to przecież bez znaczenia, zaraz będzie po wszystkim, zaraz będzie dobrze, najlepiej, bo potem już nic, nic, NIC...

Zderzyła się z powietrzem i jakby poraził ją prąd. Nieoczekiwanie odzyskała zmysły, zamrugła, rozejrzała się prędko. Przed nią migotała kopuła zielonkawego blasku, a wewnątrz majaczyły sylwetki kilkunastu ludzi. Słyszała, jak Kruchy wywrzaskuje przekleństwa i łamie gałęzie, przedzierając się w ślad za nią przez chaszczę. Był blisko.

Zdaży, ucieszyła się. Nie wejdę tam, nie pozwoli mi, zdaży...

Nie zdażył.

Ida zaparła się obcasami w ziemię, wplotła palce w cierniste pędy rosnącej obok dzikiej róży i nie weszła w krąg zaklęć nekromanty. Coś weszło tam nią. Powodując jej drżącymi rękoma, rozpięto kłamię pasa, odrzuciło go w krzaki. Pokracznie zginało i prostowało nogi, przyciskało do boku dłonie, którymi próbowała ucześcić się mijanych drzew, więziło głos w krtani skurczonej tak, że z trudem łapała powietrze. Teraz dopiero czuła obezwładniający ból w poturbowanym ciele i łkała bezgłośnie, gdzieś głęboko w sobie, dławiąc się łzami.

Pech, pomyślała z rozpaczą, proszę, przestań.

Nie odpowiedział.

Pech!

Cisza.

Ida nie szła dalej. Coś nią szło.

Magiczna bariera zaskwierczała za jej plecami, błoto zamlaskało głośnie w rytm szybkich kroków. Szamanka z całych sił starała się wryć stopy w ziemię, lecz zamiast tego znów zaczęła biec.

– Ida, nie rób tego! Stój! – wrzasnął za nią Kruchy. – Hej! Zatrzymajcie ją!

Zebrany wokół grobu tłumek zafalował niespokojnie, głowy jedna po drugiej obróciły się w stronę kuśtykającej ku nim dziewczyny.

– Nie mogę teraz przerwać! – zawołał pochylony nad grobem nekromanta, spętany aureolą czarnych błyskawic.

Otoczający go ludzie, którzy wzmacniali zaklęcia własną magią, gapili się na Idę z rosnącym niepokojem, inni mówili coś do Rudej, przekrzykując się nawzajem i gestykulując energicznie. Dwoje funkcjonariuszy zabezpieczających teren – szamanka знаła ich z widzenia, lecz nie pamiętała imion; niski i krępy brunet oraz kobieta chuda jak patyk, ze sterczącą na wszystkie strony bujną blond czupryną – zastąpiło dziewczynie drogę, po czym cofnęło się odruchowo na widok jej oczu.

– Łapcie ją, do cholery! – Ostry głos czarownicy smagnał powietrze niczym bicz. – Robert, nie pozwól jej podejść!

Ida zaklęła w myślach, gdy Pech zacisnął jej powieki i wyrzucił do przodu rozczapierzone dłonie. Obalili ją bez trudu, przygnietli do ziemi, demon nie pozwolił im jednak skrępować sobie rąk. Rzucając się dziko, wijąc i sycząc jak rozwścieczony wąż, znowu próbował rozerwać szamankę na pół, wreszcie wyrwał się z jej gardła razem z krzykiem i rozbryzgiem krwi. Oszalała z bólu darła się wniebogłose, chlastała paznokciami po policzkach, szyjach, dłoniach, kłapała zębami tuż przy pochylonych nad nią twarzach...

Coś huknęło, bezwładny ciężar przygniótł szamankę do ziemi, unieruchomił. Ktoś wrzasnął, ktoś westchnął ze zgrozą, poleciały przekleństwa, paniczne wołania o pomoc.

I naraz Ida ze zdziwieniem stwierdziła, że nadal żyje, że oto wypływa z powrotem na powierzchnię. Otworzyła oczy w samą porę, by zobaczyć, jak duchy leżących na niej martwych funkcjonariuszy opuszczają ciała, wzbijając się w powietrze niby humanoidalne obłoki pary. Zjawa kobiety spojrzała na szamankę z błagalnym przerażeniem, po czym natychmiast zbladła, zrzędała, rozplynęła się bez śladu.

Widmo agenta zwanego Robertem również zaczęło się rozpraszać... Ale zbyt wolno, zbyt późno.

Na wpół ludzka, na wpół nietoperza plama skłębionego mroku,

która wykwitła ponad grobem niczym grzyb atomowy, runęła przez ogród z siłą i prędkością tsunami prosto na struchlałą ze strachu duszę mężczyzny, a potem...

A potem pochłoneła ją na oczach Idy, wessała, pożarła z oślizgłym mlaśnięciem rozszarpywanej ektoplazmy.

Szamanka ujrzała jeszcze obłąkańczy uśmiech kota z Cheshire, zanim jej umysł uznał, że ma tego dosyć, i wyłączył światło.

## Rozdział czwarty

Ktoś podźwignął szamankę z ziemi, podtrzymał w pozycji siedzącej, napierając torsem na jej plecy. Ból ocucił ją już dobrą chwilę temu. Była w pełni świadoma tego, co się z nią dzieje, ale za nic nie chciała otwierać oczu. Nie chciała zobaczyć tego, na co zaraz będą kazali jej patrzeć.

– Ida. – Tuż przy swoim uchu usłyszała niespokojny głos Kruchego, nieco stłumiony przez kaptur, który jakimś cudem nie zsunął jej się z głowy. – Słyszysz mnie?

– N-nie.

– Świetnie. Możesz wstać?

– Nie wiem... – jęknęła słabo. – Ale wiem, że nie chcę.

– Też bym nie chciał na twoim miejscu, ale obawiam się, że nie masz wyjścia.

– Mhm...

Wsunął ręce pod pachy dziewczyny, pociągnął ją w górę.

– Uuuch... – Z wysiłku natychmiast zabrakło jej tchu. – Boli, cholera...

– To dobrze. Znaczy, żyjesz.

– A co... nie byłeś... pewien?

– Patrząc na ciebie, łatwo się pomylić. – Wcale nie żartował, poznała po tonie. – Wyglądasz jak świeżo ekshumowana.

– Ale przecież... – stęknęła, próbując napiąć mięśnie z waty – ... przecież rozmawiamy...

– Też mi dowód, w aurze nekromanty wszystkie trupy zaczynają gadać.

Przełknęła ślinę, skaleczone gardło zapłonęło, jakby zamiast języka miała w ustach kłęb kolczastego drutu. Próbując przenieść ciężar ciała na zdrową stopę, powoli zbierała się w sobie, żeby zadać pytanie, na które i tak znała już odpowiedź. Ale może to jednak był tylko zły sen, może opętanie odebrało jej rozum i pokazało sceny,

które wcale się nie wydarzyły, może...

– A Robert i... – zająknęła się zawstydzona, że nawet nie zna imienia kobiety, która próbowała powstrzymać nieuniknione i zapłaciła za to najwyższą cenę. – I...

– Marysia.

– Marysia – powtórzyła szeptem.

– Niestety, cokolwiek siedziało w Anonimie, zabiło oboje na miejscu.

– Moimi rękami? – spytała głucho.

– Co? – Kruchy znieruchomiał.

Na chwilę przestał się z nią siłować, skutkiem czego klapnęła ciężko z powrotem na ziemię. Odchyliła głowę na jego pierś, zerknęła w górę. Nawet widząc twarz łowcy do góry nogami, zorientowała się, że pytanie go zaskoczyło.

– Słyszałeś. Czy to ja ich...? No wiesz.

– Skąd ci to...

– Skąd, skąd! Ty już zapomniałeś, co ja mam w kartotece?

– Trudno zapomnieć.

– No więc?

– Pytasz, czy ich zadrapałaś i zagryzłaś na śmierć? Nie, chociaż było blisko. Padli w momencie, w którym nekromanta dezaktywował pieczęcie na grobie.

– Tylko oni? – dopytywała z nadzieją. – A co z resztą?

– Wszyscy żyją, nawet nie zostali draśnięci. Skończyłaś przesłuchanie?

– T-tak... Na razie tak.

– No to dalej, podnoś tyłek z ziemi, bo już cały zdrętwiałem.

Idzie udało się w końcu dźwignąć na chwiejne nogi, lewa kostka momentalnie zapłonęła bólem. Szamanka zachwiała się, w oczach jej pociemniało, w uszach zatętniła krew. Zacisnęła powieki, odetchnęła głębiej raz i drugi. Kruchy pokierował jej ramionami, aż palce natrafiły na twardą, wilgotną chropowatość. Ciasno objęła pień drzewa, oparła czoło o szorstką, cudownie chłodną korę. Zawroty głowy minęły i już po chwili nawet odechciało jej się wymiotować. Nie było źle.

I jednocześnie było bardzo źle. A nawet gorzej.

– Spójrz na mnie.

– Y-y... – zaprotestowała jak dziecko, czując nieznośne pieczenie pod powiekami.

– Spójrz na mnie – powtórzył z naciskiem. – Muszę zobaczyć twoje źrenice.

Popatrzyła na Kruchego przez łyzy, które natychmiast spłynęły jej po policzkach dwiema szybkimi strużkami. Nie odwracając wzroku od łowcy, starła je szorstkim ruchem dłoni. Pokiwał głową ze zrozumieniem, poważny jak rzadko kiedy. Najpierw zdjął jej kaptur i obejrzał uważnie ranę na skroni. Potem dłonią w poplamionej krwi lateksowej rękawiczce ujął Idę za podbródek, przekreślił jej głowę w stronę słońca. Syknęła cicho, zmrużyła oczy.

– Nie mamy wiele czasu, zaraz cię złączą maglować – mruknął cicho, ledwo poruszając ustami i udając, że całkowicie pochłania go sprawdzanie reakcji jej źrenic na światło. – Mów prędko, co to, do diabła, było.

– Pech przywłókł mnie tutaj, żeby złożyć się w ofierze – odszepnęła.

– Anonimowi. – To nie było pytanie.

– Tak. Gdy tylko nekromanta naruszył strukturę zaklęć, Anonim zaczął przyzywać Pecha. To nie egzorcyzmy wywołały tamten wcześniejszy atak, to wcale nie była reakcja obronna.

– To Pech cię opętał czy...

– Pech, ale nie bez pomocy. Wyraźnie czułam w nim obcą obecność. Widziałam twarz jakiegoś faceta, tyle że...

– Mów.

– Ten facet w niczym nie przypominał Anonima.

Kruchy zaklął pod nosem, nad wyraz plugawie.

– Doskonale – powiedział głośniejszym głosem i wykonał dłonią gest wiktorii. – Ile widzisz palców?

– Dwa... To znaczy pięć. Dwa trzymasz w górze.

– Dobrze. Podążaj wzrokiem – polecił, wodząc jej palcem tuż przed nosem.

Zrobiła, co kazał, zawroty głowy wróciły ze zdwojoną siłą.

– Niedobrze – zaszemrał. – Cokolwiek siedziało w tym ciele, to nie mogła być zwykła demoniczna magia. Skoro zdołało przelać swoją moc w twojego czarta i wzmocnić go na tyle, by przejął nad tobą kontrolę, oznacza to, że miało swój umysł, świadomość, wolę... Niedobrze, psiakrew.

– Dlaczego używasz czasu przeszłego?

– Sama zobaczysz. – Zerknął szybko ponad ramieniem dziewczyny. W głowie nadal jej dzwoniło, dopiero teraz usłyszała zbliżające się kroki. – Nie mów nikomu o Pechu. Tylko Rudej, ale to potem, jak już będziemy sami. Jasne?

– Jasne. A co mam mówić?

– Coś wymyślisz – uciał i odstąpił od Idy o krok. – Chyba obejdziesz się bez hospitalizacji – oznajmił, zwracając się do kogoś, kto stał jej za plecami. – Ale powinien obejrzeć ją lekarz.

– Ambulans jest w drodze – odezwał się chłodny, niski głos. – Do tego czasu powinniśmy skończyć.

Szamanka obejrzała się i drgnęła, napotkawszy przeszywające spojrzenie krępego mężczyzny o ciemnych włosach zebranych nad czołem skórzaną opaską. Dłonie i przedramiona znaczyły mu świeże blizny po oparzeniach: zaognione, połyskliwe linie splatały się w skomplikowane wzory i znikwały pod podwiniętymi rękawami czarnej koszuli.

– Nadkomisarz Łukasz Chmielarz, Wydział Wewnętrzny – wycedził nekromanta. – Pani pozwoli z nami. – Nie czekając na jej odpowiedź, ujął Idę pod ramię i poprowadził, utykającą, w stronę grobu.

Kopiec białoszarego popiołu, tyle pozostało z ciała Anonima. Nic poza tym. Wszystko inne – ptasie czaszki, drabinki kruchych żeber, drobne kręgosłupy zwinięte w paciorkowate spirale – nadal bieliło się w grudach czarnej ziemi. Tylko zwłoki bezimiennego faceta rozsypały się w proch.

Ogród nie szeptał już, najwyraźniej nie miał Idzie nic więcej do powiedzenia. Patrzyła na sypkie szczątki czegoś, co zmieniło ją na moment w swoją marionetkę, i wiedziała, że ono wciąż gdzieś tutaj jest. Czeka. Wystarczy jeden fałszywy ruch, jedno nierozważne słowo, a wtedy...



– No? – rzuciła ostro Ruda. – Mówże, dziewczyno. Kruchy twierdzi, że to pilne.

– Nie powiedziałam im prawdy – odrzekła Ida, wskazując na nekromantę, który w towarzystwie swojej świty ubranej w identyczne czarne opończe z szerokimi kapturami zmierzał właśnie w stronę wyjścia z ogrodu. – Złożyłam fałszywe zeznania.

– Brawo – prychnęła czarownica. – Doprawdy, wiesz. Oby tak dalej i dostaniesz awans, zanim się obejrzysz.

– W dupie mam awans – palnęła szamanka ze szczerością, na jaką w życiu by się nie zdobyła w podobnych okolicznościach, gdyby nie silne środki uspokajające, którymi nafaszerowali ją uzdrowiacze.

Kruchy, Ruda i reszta wstrząśniętej ekipy również dostali po flaszeczce z mlecznego szkła, a wypity przez nich specyfik łagodził objawy traumy, pomagał zebrać myśli i wprowadził całe towarzystwo w dość wisielczy humor.

– Zapamiętam. – Kobieta podeszła krok bliżej. Była niższa od szamanki niemal o głowę, lecz w tej chwili zdawała się ogromna i groźna niczym napeężona ogniem smoczyca. Płomiennorude włosy i roziskrzona tęcza koloru miodu tylko potęgowały to wrażenie. – Czy ja aby na pewno chcę wiedzieć, dlaczego skłamałaś?

– Na pewno nie chcesz.

– Tego się obawiałam. – Ruda z westchnieniem wbiła wzrok w okopcony dach białego namiotu. – Dobra, gadaj teraz albo zamilknij na wieki i radź sobie sama.

Ida zerknęła na Kruchego w nadziei, że może jednak przejmie od niej tę niewdzięczną pałeczkę, ale łowca był zbyt zaprzątnięty własnymi myślami i nie zauważył jej niemego wołania o pomoc. Zwinnie obrócił płonąca zapalniczkę między palcami, zamknięte kciukiem wieczko szczęknęło metalicznie.

– Powiedziałam im to, co chcieli usłyszeć – zaczęła szamanka, sadwiąc się wygodniej na wieku skrzyni ze skafandrami i maskami ochronnymi. – Właściwie nie musiałam za bardzo kombinować, wystarczyło im nie przerywać i tylko grzecznie przytakiwać. Otóż jestem najsłabszym ogniwem zespołu, mój dar w ogólności, a rozluźniona więź duszy z ciałem w szczególności stanowią lukę

w zabezpieczeniach antymagicznych, wystawiają na niebezpieczeństwo mnie i moich kolegów. Słowem, zbyt pochopnie dopuściłaś mnie do czynnej służby.

– Piękne dzięki – skomentowała cierpko Ruda z ledwo słyszalną nutą tłumionego lekami niepokoju w głosie. – Twoja rekrutacja i wdrożenie odbyły się podręcznikowo. Owszem, były pewne wątpliwości co do tego, czy elastyczne połączenie między twoją duszą a cielesną powłoką nie osłabi zabezpieczeń przeciw zakłębom penetracyjnym. Kilku członków komisji zgłosiło w tej kwestii swoje zastrzeżenia, ale ostatecznie zostali przegłosowani... Hmm. – Potarła dłonią czoło, lekko wyduła wargi. – Bardzo jestem ciekawa, co zdaniem naszych szanownych gości z Warszawy tutaj właściwie zaszło. Bo skoro tak ochoczo przypisują mi winę za tę katastrofę, zapewne mają już jakąś hipotezę?

– Mają, a i owszem – potwierdziła Ida.

– No? Nawijaj.

– Twierdzą, że podczas akcji w pieklach Demon Luster zainfekował mi jaźń, a teraz za pośrednictwem magii, do niedawna zamkniętej w grobie, z łatwością zdołał narzucić mi swoją wolę. Czytaczę dziś rano prześwietlili mi umysł, Margo przed chwilą złożyła warszawiakom raport przez telefon. Ponoć znalazła ślady aury Kusiciela w mojej własnej aurze.

– Ha. – Czarownica pokiwała głową. – Wygodnie... Bardzo wygodnie.

– Sądysz, że Margo...

– Nie sędzę – ucięła Ruda. – To oczywiste, że Kusiciel odcisnął w tobie swoje piętno. Spotkania z demonami, nawet takimi w ludzkiej skórze, zawsze zostawiają pamiątki. U ciebie te ślady są wyjątkowo wyraźne, bo w końcu jakkolwiek by patrzeć, wkraczając w jego lustra, weszłaś mu do głowy i stanęłaś z nim dusza w duszę... – Urwała i ściągnęła brwi tak, że zwały się w jedną linię ognia nad płonącymi oczami. – W szpitalu przeszłaś wszystkie testy, jakie przewiduje protokół – podjęła po krótkim zastanowieniu, wolno cedząc słowa – i nie znaleźliśmy oznak magicznej infiltracji. Ale skoro Łuk kładzie teraz taki nacisk na twoją... hmmm... odmienność,

zamierza pewnie udowodnić, że w przypadku szamanki od umarłaków, o której przecież tak mało wiemy, należało zastosować jakieś nadzwyczajne procedury. Próbuje rozegrać wszystko tak, żeby udowodnić moją niekompetencję i odebrać mi dowodzenie śledztwem...

– Łuk? – Potwornie zmęczona, obolała i przytępiona eliksirami Ida z trudem łączyła wątki. – Ach... – Olśnienie, zamotawszy się w mętnych, przypadkowych skojarzeniach, nadeszło z poślizgiem. – Nekromanta Chmielarz.

– Tak, Łukasz Chmielarz, arcy mistrz nekromancji i demonologii stosowanej. Ma do mnie żal, bo buchnąłam mu stołek Wrońskiego sprzed nosa, od lat ostrzył sobie zęby na jego posadę. Jest o wiele zdolniejszy i znacznie mniej podły od naszego Filipka, ale jak widać, nie chce przepuścić okazji, żeby mnie zdyskredytować. – Ruda kopnęła z rozmachem wielką hałdę ziemi, czarne grudki posypały się z szumem na dno opustoszałego grobu. – Przygotował się, skubaniec. Najwyraźniej grzebał ci w aktach i teraz stara się rozkręcić aferę na podstawie tych paru obiekcji zgłoszonych podczas twojej rekrutacji... – Zakłęła plugawie i popatrzyła na dziewczynę z wyrzutem. – No dobra, to wersję Łuka już znamy. A jak było naprawdę?

Ida i Kruchy wymienili niewesołe spojrzenia.

– Naprawdę – odezwał się łowca, odchrząknawszy – w ciele Anonima siedział rozumny byt, który próbował zmusić demona Idy do złożenia mu się w ofierze.

– A potem... – Szamanka zawahała się na moment, po czym dokończyła dobitnie: – A potem ten rozumny byt zeżarł duszę Roberta.

Zaskoczony Kruchy raptownie poderwał głowę.

– Że... że co? – wykrztusiła czarownica.

– Widziałam na własne oczy. Ta istota wchłonęła Robertowego ducha, zanim zdążył odejść w zaświaty.

– Maryśkę też?

– Nie.

– Dlaczego? Znaczy, to dobrze, że nie, oczywiście, że dobrze... – zreflektowała się prędko Ruda. – Ale dlaczego?

– Świetne pytanie – mruknęła ponuro szamanka. – Nie mam pojęcia. Chyba nie zdążyła jej dopaść, zanim zniknęła, czy ki czort...

Czarownica przetarła twarz dłonią i zaczęła kursować między burtami namiotu, trawiąc to, co właśnie usłyszała.

– Czy to znaczy, że to twój demon tak cię załatwił? – zapytała szorstko, okręcając się gwałtownie na obcasie.

– Tak. Ale nie zrobił tego sam. To coś użyczyło mu własnej mocy od momentu, kiedy nekromanta poluźnił sieci zaklęć chroniących zwłoki. Mam powody, aby podejrzewać, że szeptało do niego wcześniej, już podczas pierwszych oględzin zwłok. I nie, nic nie wskazuje na to, żeby działało pod wpływem Kusiciela. W lustrach spotkałam jego demony, ta istota w ogóle ich nie przypomina...

Czarownica zmęła w ustach przekleństwo. Jeszcze przez chwilę wędrowała w tę i z powrotem, jakby nie potrafiła ustać spokojnie w jednym miejscu, a potem nagle klapnęła ciężko na skrzynię ze sprzętem. Oparła łokcie na kolanach i zwiesiła głowę, wpijając palce w loki koloru świeżej rdzy.

– Ja pierdołę – podsumowała elokwentnie, przemawiając do przydeptanej kępy trawy u swych stóp.

– A czemu rzuciła się tylko na Roberta i Marię? – spytał Kruchy. – Czemu zeżarła tylko jedno z nich?

Szamanka wzruszyła ramionami i zasyczała przeciągle, gdy świeżo nastawiony bark odpowiedział ostrym bólem promieniującym aż do łokcia.

– Oficjalna wersja brzmi tak – sapnęła słabo, chwytając się za biceps – że zginęli, ponieważ uwolniona z ciała magia Kusiciela chciała zabić mnie. Wiecie, że niby w zemście za to, że rozpieprzyłam mu lustro i doprowadziłam do jego zatrzymania. Robert i Maria oberwali przy okazji, a ja zostałam ocalona tylko dzięki błyskawicznym kontrzaklęciom nekromanty Łukasza Chmielarza.

Czarownica parsknęła pogardliwie.

– Gówno prawda – skwitował z przekonaniem łowca. – Wszystko widziałem, Chmielarz spóźnił się z reakcją o całe sekundy. Miotnął czarem neutralizującym, kiedy Rob i Marysia byli już martwi, ty leżałaś nieprzytomna, a powietrze nad wami przestało kipieć mocą

i strzelać iskrami...

– Łuk uwielbia zgrywać bohatera, przyzwyczajaj się – poradziła mu sucho Ruda. – Chociaż zwykle nie musi naginać faktów, takie sztuczki rezerwuje na specjalne okazje. Nie byłabym specjalnie zaskoczona, gdyby naprawdę wierzył w to, co mówi. Łamanie zabezpieczeń wokół Anonima dało mu mocno w kość, a zmęczony umysł potrafi płatać figle.

– Bronisz go? – zdziwił się Kruchy. – Myślałem, że będziesz wściekła.

– Jestem wściekła, ale szanuję Łuka i nawet trochę go lubię. Nie znaczy to jednak wcale, że mu ufam. – Czarownica spojrzała na szamanę, a w jej miodowych oczach zapłonęły niebezpieczne iskry. – Dobrze zrobiłaś, nie podważając jego wersji wypadków.

– Nie będziesz miała kłopotów? – spytała Ida.

Kobieta uśmiechnęła się nieładnie kątem ust.

– Z tobą w zespole? Żartujesz sobie?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Łuk postara się narobić mi smrodu, ale nie zamierzam oddawać mu stanowiska walkowerem. Nie żebyś za mną tęskniła, prawda?

– Prawda – przyznała szczerze szamanka. – Ale jeśli mam wybierać, to lepsze znane zło niż nieznanne.

– No i już wiesz, dlaczego jeszcze nie wywaliłam cię z ekipy.

Uśmiechnęły się do siebie w złośliwym porozumieniu.

– To teraz chciałabym się dowiedzieć, dlaczego miałam kłamać. – Ida powiodła spojrzeniem od kobiety do łowcy i z powrotem. – Czemu to takie ważne, czy to coś opętało mnie, posługując się Pechem, czy zrobiło to bez jego pośrednictwa?

Kruchy i Ruda popatrzyli po sobie ponuro. Łowca gestem dał znać czarownicy, by czyniła honory.

– O ile czarna magia potrafi omamić człowieka – zaczęła kobieta, kiedy rozsiadła się wygodniej na skrzyni i założyła nogę na nogę – i zmusić go do rzeczy, których w innym wypadku nigdy by nie zrobił, o tyle nie umie wpłynąć na żadnego, nawet pomniejszego demona. Demon na demona też nie, chyba że sam go stworzył, ale to wyjątek. To czart decyduje, czy da się skusić mrocznej energii, czy też nie:

pochodząc od niej, jest w pewnym sensie uodporniony na jej hipnotyczne działanie. Dlatego do walki z tymi istotami na nic się zdają uprzednio przygotowane artefakty, tylko potrzebni są łowcy, nekromanci, czarnoksiężnicy... To siła ich umysłów wpleciona w magiczne więzy i zaklęcia potrafi władać umysłami demonów, a nie magia sama w sobie. Egzorcyzmy i polowania to nic innego jak pojedynki na siłę woli. Gdyby więc kontrolę nad tobą przejęło owo coś, co tkwiło w naszym bezimiennym trupie, nie byłoby w tym niczego niezwykłego, takie rzeczy zdarzają się u nas nagminnie. Każde źródło czarnomagicznej mocy jest inne, każde działa na ludzi w odmienny sposób i nie byłoby nic dziwnego w tym, że tylko ty zostałaś opętana. Skoro jednak padło na Pecha, a nie bezpośrednio na ciebie, mówimy o jakiejś myślącej istocie pociągającej za demoniczne sznurki, a to mocno komplikuje sprawę. Myślące istoty w przeciwieństwie do pasywnych źródeł mocy mają bowiem jakiś cel. I zazwyczaj kiedy dążą do tego celu, zamieniają nasze życie w piekło. Na dodatek nigdy dotąd nie spotkaliśmy się z bytem pożerającym inne byty... – Umilkła, przeczesła włosy palcami i ponownie wbiła wzrok w ziemię.

– Jeśli miałbym zgadywać – odezwał się łowca, przerywając ciężkie milczenie, które zawisło nad pustym grobem niczym upiór – obstawiam, że gdy tylko zorientował się, z czym ma do czynienia, Kusiciel zapuszkował tę istotę w cudzym ciele i zahamował procesy gnilne, żeby więzienie się nie rozpadło. Ten grób to nie była żadna zasadzka. A raczej była, ale nie na nas. Karewicz nie chciał, żeby ktokolwiek odkrył tego trupa, co poniekąd dał Idzie do zrozumienia podczas przesłuchania. Ostrzegaliśmy, żebyśmy nie ruszali zwłok. No i teraz mamy za swoje.

– Twój demon dopiął swego? – spytała czarownica, zwracając się do szamanki. – Złożył się w ofierze i został pożarty?

– Nie jestem pewna... – Ida w zastanowieniu potarła dłonią czoło. – Pod koniec byłam już nieźle zamroczone, ale Pech na sto procent próbował się ze mnie wydostać... I zdaje mi się, że na krótko, zanim całkiem odplynęłam, faktycznie widziałam go poza moim ciałem.

– Pod żadnym pozorem nie wspominaj o tym ludziom Chmielarza

– przykazała Ruda twardym tonem. – O Robercie powiemy mu w dogodnej chwili, ale o czarcie ani słowa, jasne? Opętania agentów to nasz chleb powszedni, prawie każdy był kiedyś zainfekowany jakimś pomniejszym czartem, dlatego w twoich aktach nie ma nawet słowa o Pechu. Ale jak to zwykle z tobą bywa, twój przypadek jest wyjątkowy.

– Oczywiście, że wyjątkowy, jakżeby inaczej – przytaknęła kwaśno Ida. – Moja dusza i dusza Pecha są... czy może raczej były splecione lustrzaną kłutwą.

– Właśnie. Jeśli Łuk dowie się, że Kusiciel wcale nie chciał cię w zemście zamordować, tylko uwolniliśmy jakieś potężne, rozumne paskudztwo, a na dodatek to rozumne paskudztwo pożarło związanego z tobą demona, zabierze cię do Warszawy, podda kwarantannie i eksperymentom i nie wiem, kiedy wyjdiesz z ich laboratorium.

– I to cię niby martwi?

– Dzień rozłąki i serce by mi pękło z hukiem. – Ruda teatralnym gestem zmięła koszulę na piersiach. – Kruchemu tym bardziej, i to razem z rozumem, jak zwykle. Pognałby cię odbijać, a kto jak kto, ale on ma już pewne doświadczenie w ratowaniu białogłów zamkniętych w wieży. Prawda, Kostek?

– Prawda, Zosiu – przytaknął spokojnie łowca z braku lepszej alternatywy, bo i nie było żadnego sensu zaprzeczać.

Ruda łypnęła na niego surowo spod półprzymkniętych powiek. Ida wiedziała, że wciąż nikomu nie wyjawiał, w jaki sposób udało mu się wykraść beznadziejnie opętaną podczas akcji i spisaną na straty Lenę z pilnie strzeżonego szpitala Firmy, aby szukać dla niej ratunku u szemranego demonologa, który działał po ciemnej stronie prawa. Łowca rozmawiał z szamanką o tamtych wydarzeniach jeden jedyny raz i od tamtej pory nieustannie czuła w kościach, że jego historia ma jakieś drugie dno, lecz mimo ciekawości nie odważyła się drążyć tematu.

– Ty po prostu nie chcesz, żeby to Chmielarz rozwiązał zagadkę rozumnego bytu, ot co – rzuciła z przekąsem Ida w stronę czarownicy.

– Bo taki obrót spraw jeszcze bardziej podkopałby twoją pozycję.

– Ty też tego nie chcesz, smarkulo – odparowała chłodno Ruda. – Po pierwsze, jak sama kiedyś przyznałaś, przyłączyłaś się do nas, żeby odkryć wszystkie tajemnice Kusiciela, i obie dobrze wiemy, że nie zamierzasz pozwolić, by ktokolwiek cię w tym wyręczył. Po drugie, jeśli Chmielarz faktycznie mnie wygryzie, możesz się pożegnać z posadą. On nie toleruje znaków zapytania ani słabych ogniów w ekipie, a za takie cię przecież uważa. – Dostrzegłszy niepokój w oczach szamanki, czarownica uśmiechnęła się zjadliwie. – Poza tym – ciągnęła – mam na uwadze dobro całej Firmy. W przeciwieństwie do reszty dowództwa tylko ja wiem, do czego jesteś zdolna. Wolę mieć cię na oku i osobiście dopilnować, żebyś nie narobiła głupstw. Jeśli trafisz do kwatery głównej, to znając twoje destrukcyjne skłonności, rozpieprzysz nam system od środka i nie będzie czego zbierać.

– Ha. Ha. Bardzo zabawne.

– Ja wcale nie żartowałam.

– Chmielarz zostanie we Wrocławiu aż do wyjaśnienia wszystkich okoliczności śmierci Marii i Roberta – wciął się Kruchy, zanim Ida zdążyła zripostować. – A to oznacza, że będzie bacznie śledził każdy nasz krok i tylko czekał na jakieś potknięcie. Musimy na niego uważać.

– To jaki jest plan? – zaniepokoiła się szamanka. – Jeśli znowu wyślą mnie do czytaczy i zobaczą moje wspomnienia z tej rozmowy, wszystko wyjdzie na jaw...

– Tym bym się akurat na razie nie przejmował. Twoje dzisiejsze zeznania potwierdziły wersję Łuka, więc na razie nie ma żadnych podstaw, żeby cię przeświecić. Zadbamy o to, żeby tak pozostało.

– Czyli co robimy?

– Czyli po prostu robimy swoje – zarządziła twardo czarownica z drapieżnym błyskiem w oku. – Skupiamy się na śledztwie. Musimy znaleźć sposób, żeby wyrwać Karewicza z marazmu i zmusić go do mówienia.

– A wtedy Chmielarz niech się buja. – Szamanka pokiwała głową.

– To też – zgodziła się Ruda. – Ale co ważniejsze, im prędzej ustalimy, z jakim diabelstwem mamy do czynienia, tym lepiej



przygotujemy się na kolejny kataklizm. Bo ten nadejdzie, i to szybko. Nie miejcie złudzeń.

– No ja akurat nie mam żadnych – westchnęła smętnie Ida. – Znając moje szczęście...

– Ej, a może ten rozumny byt właśnie zdjął z ciebie klątwę i pożarty przez niego Pech nie będzie cię już prześladował? – rzucił Kruchy, a widząc, jak czarownica i szamanka niczym lustrzane odbicia wykrzywają twarze w identycznych grymasach szczerego powątpiewania, nie wytrzymał i parsknął krótkim, cierpkim śmiechem.

## Rozdział piąty

Szamanka obudziła się nad ranem z dziwnym uczuciem, jakby ktoś niespodziewanie wyrwał ją z zimnej, bezkresnej czerni, wytrącił jej umysł nie tyle ze stanu uśpienia, ile nieistnienia. Jak gdyby zamiast usnąć, na kilka godzin po prostu... zniknęła. A teraz została z powrotem powołana do życia, nagle, bez przyczyny, ot tak. Pstryk! I znów była.

Zaledwie parę miesięcy temu miała przedsmak tego, jak to jest pogrążyć się w niebycie, i naprawdę, ale to naprawdę nie życzyła sobie podobnych wrażeń już nigdy więcej. Tym bardziej że dotąd ani razu nie straciła kontaktu z własną jaźnią, nic tak całkiem nie odłączyło od prądu jej świadomego i nieświadomego umysłu – zwykle jakaś część jej nadal czuwała, nawet jeśli nie towarzyszyły temu żadne przytomne myśli. Ale tym razem...

Ida wzdrygnęła się, czując, że oblewa ją zimny pot. Potrząsnęła głową, aby odgonić lepkie macki lodowatej smoły, które próbowały na powrót wlać jej się do czaszki i zalepić zmysły.

Długo leżała na wznak w szarzejących ciemnościach, wpatrzona w splekaną farbę na suficie, i usilnie starała się przypomnieć sobie, o czym śniła. Bo przecież musiała o czymś śnić, śniła co noc, albo całkiem nowe sny, albo jeszcze raz te same, w ramach przypomnienia o czekającym ją zadaniu. Teraz jednakże nie pamiętała niczego. Tylko pustkę. Mrok spokojny i nieruchomy niczym gładkie lustro wody. Żadnych zapachów, żadnych dźwięków, ani strzępka obrazu, ani kropli koloru. Nic. Poprzedniej nocy było podobnie, lecz po przebudzeniu uznała, że to zapewne z winy eliksirów. Uzdrowiciele, zorientowani w naturze jej daru, poinformowali ją o skutkach ubocznych i zapewnili, że za jakiś tydzień wszystko powinno wrócić do normy. Bardzo chciała im wierzyć.

Wyciągnęła rękę, wymacała lampkę na nocnej szafce, pstryknęła włącznikiem. Żarówka zamrugła niechętnie i dopiero po chwili

zalała pokój ciepłym pomarańczowym światłem. Ida usiadła z jękiem na krawędzi łóżka, rozmasowała wciąż doskwierający bark. Ostrożnie podźwignęła się na nogi, przytrzymując słupka z rzeźbionego drewna, i pośpiesznie przeniosła ciężar ciała na zdrową stopę. Przez kilka chwil wpatrywała się we własne odbicie w owalnym zwierciadle w zdobionej ramie, stojącym na misternie rzeźbionych podpórkach obok zabytkowej, dębowej szafy po przeciwnej stronie sypialni. Dziewczyna stwierdziła, że wciąż wygląda jak ofiara przemocy domowej, opuchnięta, pokaleczona, cała pokryta malowniczymi sińcami we wszystkich kolorach tęczy. Musiała jednak przyznać, że pod wpływem zaklęć uzdrowiaczy i magicznych medykamentów obrażenia goiły się nad podziw szybko. Od akcji w ogrodzie nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin, a chociaż Ida nadal odczuwała tu i ówdzie niemały dyskomfort, mogła już poruszać się w miarę sprawnie bez pomocy kul. Na całe szczęście pomyślnie przeszła w firmowym szpitalu serię egzorcyzmów oraz rytuałów oczyszczających, a ponieważ nie wykryto wokół niej ani śladu obcej aury, nie było żadnych przeciwwskazań, aby resztę rekonwalescencji odbyła pod własnym dachem.

Włożyła szlafrok, biedząc się przez chwilę z nadwyreżowanym ramieniem, które, sztywne i zdrewniałe, za nic nie chciało przejść przez rękaw z grubego frotté, a potem powoli zeszła po schodach do kuchni. Łyknęła pigułki przeciwbólowe i zaparzyła sobie mocnej herbaty z miodem i cytryną. Usiadła przy stole. Parujący kubek postawiła na jedynym wolnym skrawku blatu wśród piętrzących się wszędzie papierzysk: akt sprawy, powiększonych odbitek kolorowych fotografii, jej własnych odręcznych notatek oraz pootwieranych ksiąg Tekli – opasłych tomiszcz oprawionych w pociemniałą i wyślizganą ze starości skórę, w których szamanka bezskutecznie szukała jakichkolwiek informacji na temat istot pożerających ludzkie dusze. Tylko część dokumentacji leżała posegregowana w schludnych stosikach, reszta walała się w przyprawiającym o oczopląs chaosie i, niestety, na razie w tym szaleństwie nie sposób było dostrzec żadnej metody. A szkoda.

Na jednej kupce leżały zdjęcia, na które umysł siewcy

zapomnienia nie raczył zareagować w żaden znaczący sposób. Następną tworzyło raptem siedem odbitek budzących nieznaczące i trudne do zinterpretowania poruszenie w ośrodkach pamięci Szkuclarka (wytarty skórzany portfel, staroświecki gramofon, sznur ogromnych błękitnych pereł, rozlatujący się notes zapisany pięknie kaligrafowaną łaciną, dziecięca grzechotka, złote spinki do mankietów oraz pusty flakon po damskich perfumach). Na kolejnych trzech, dużo wyższych od pierwszej i drugiej razem wziętych, Ida ułożyła fotografie, które przy każdej prezentacji przynosiły inne, wykluczające się wzajemnie efekty: doskonałą obojętność na przemian ze wzmożoną aktywacją neuronów.

Siewca, choć wyraźnie słabł i tracił kontrolę nad własnymi myślami, wciąż się nie poddawał. Wielokrotnie obejrzał wszystkie okazywane mu klucze do wspomnień z twarzą pokerzysty, nie raczył choćby mrugnąć czy głośniej przełknąć śliny. Jego jaźń monitorowana w czasie rzeczywistym przez Margo i Grzegorza raz po raz wyłaniała się z mgielnej toni niepamięci, istniała zatem nadzieja, że facet w końcu zacznie sypać, świadomie lub nie. Tyle tylko że wtedy cały proces trzeba będzie zapewne zacząć od początku, aby upewnić się, że aktywność jego mózgu rośnie w odpowiedzi na widok konkretnego przedmiotu, a nie dlatego, że siewca znów celowo fiksuje myśli na przypadkowej rzeczy, żeby po raz kolejny wywieść ich w pole. W mydleniu oczu i ukrywaniu faktów doprawdy nie miał sobie równych.

A już całkowicie wyprowadził śledczych z równowagi, kiedy po wczorajszej sesji u czytaczy bezczelnie zaproponował swoją pełną współpracę, ale tylko pod warunkiem, że WON zapewni jemu oraz Kusicielowi pełen immunitet oraz status świadka koronnego. Takie żądanie było oczywiście nie do przyjęcia – przynajmniej na razie. Siewca nie był głupi. Zorientował się, że w obliczu ich sromotnej klęski w ogrodzie, o której zdołał się dowiedzieć sobie tylko znanym sposobem, wartość skrywanych przez niego informacji rosła z każdą godziną i jeśli śledztwo szybko nie nabierze impetu, to prędzej czy później prokurator będzie musiał iść na pewne ustępstwa...

Ida poderwała głowę, gdy od okna dobiegł ją cichy szmer.

Zerknęła przez ramię akurat, by zobaczyć, jak zaspany Gryzak przeciąga się i preży grzbiet, ziewając szeroko, stawia na sztorc nastroszoną lisią kitę i drapie pazurkami o drewniany parapet. Uśmiechnęła się, odsunęła na krześle od stołu, przywołała go gestem. Koszmarek dał susa na podłogę, potruchtał do szamanki i wskoczył jej na kolana. Przez blisko minutę mościł się w pełnym skupieniu, wręcz z namaszczeniem, metodycznie ugniatając łapkami uda swojej pani, zanim wreszcie z gracją zwinął się w wibrujący kłębek i złożył łebek na jej podołku. Podrapała go za uszami i rozmruczał się na dobre, z lubością zmrużył powieki. Głaskała stworka przez kilka chwil, rozkoszując się bijącym od niego ciepłem, a potem ujęła jego pyszczek w obie dłonie. Zajrzała głęboko w wielkie ślepia, które momentalnie przestały być żółte.

Tak jak się obawiała, nie znalazła w nich nic. Absolutnie nic. Nie złapał żadnego snu.

To, że nie pamiętała, co jej się śniło, nie stanowiło samo w sobie żadnego powodu do niepokoju. Ot, zdarzało się, zwłaszcza gdy była chora albo przemęczona, a obecnie spełniał wszak oba te warunki. Ale to, że łapacz nie zjadł żadnego z sennych majaków, których świadomie nie zarejestrowała, było co najmniej zastanawiające. Gryzak to przecież straszny łakomczuch, a do tego łakomczuch z misją: został powołany do życia, aby chronić zdrowie psychiczne swojej pani i zapewniać jej pełną kontrolę nad nawiedzającymi ją majakami. Nigdy nie wybrzydzał, pałaszował ze smakiem wieszczce wizje, koszmary, abstrakcyjne karykatury wspomnień z minionych dni oraz podświadome marzenia, do jakich Ida nikomu by się nie przyznała nawet na torturach. Słowem, co noc karmił się wytworami jej umysłu, a potem pokazywał wszystkie wyłapanie przez siebie widziadła.

Tymczasem już drugi poranek z rzędu, gdy patrzyła mu prosto w ślepia, zamiast obrazów z przyszłości, przeszłości lub alternatywnej wersji teraźniejszości widziała dwie bezdenne studnie, wypełnione po brzegi płynnym mrokiem. Z dwiema plamami nieskalanej czerni w miejscu oczu Gryzak wyglądał dosyć złowrogo. W tej chwili niczym nie przypominał utkanego ze snów wesołego stworzenia

o temperamencie stanowiącym idealnie zrównoważone połączenie pełnego godności osobistej kota indywidualisty, wiernego, inteligentnego psa, skorego do psot szczwanego lisa i nadaktywnej tchórzofretki.

Ida westchnęła cicho, głaszcząc mięciutkie fioletowe futro. Łapacz zamrugał raptownie, czerń zasnuwająca mu białka i tęczę tęczówki rozwiewała się powoli pod wpływem pieszczot niczym kadzidlany dym. Wreszcie całkiem wyparowała, ukazując na powrót ogromne żółtożółte krążki i wąziutkie szparki źrenic w kształcie wieloramiennych gwiazdek.

Szamanka westchnęła cicho, po czym powróciła do przerwanej tuż przed północą zajęcia. Teoretycznie do końca tygodnia przebywała na zwolnieniu lekarskim, ale ostatnio, a już zwłaszcza po niedawnych wydarzeniach, nie umiała znieść bezczynności. Napiała się herbaty i grzejąc dłoń na kubku, zaczęła uważnie przeglądać zdjęcia Szkuclarkowych rupieci w nadziei, że może przypomni sobie któryś z uwiecznionych na nim przedmiotów. W końcu przed paroma miesiącami widziała część tej kolekcji na własne oczy. Przy odrobinie szczęścia jakieś przypadkowe skojarzenie popchnie jej myśli na odpowiedni tor i pozwoli namierzyć właściwy klucz do wspomnień Demona Luster.

Po godzinie musiała ułożyć niezadowolonego koszmara na stosach papierów i wmasować sobie maść w obolały bark. Po dwóch godzinach zażyła kolejną dawkę leków, od których zrobiła się jednocześnie senna i nadpobudliwa, przez co za cholerę nie potrafiła się skupić. Po trzech podjęła następną próbę przywołania ducha Roberta, równie nieudaną jak poprzednie, co tylko potwierdzało, że biedak istotnie został pożarty. Tym bardziej że widmo Marii, która zginęła w tych samych okolicznościach, przybyło od razu. Kobieta była jednak wciąż zbyt wstrząśnięta swoją nagłą śmiercią, żeby udzielić jakichkolwiek sensownych odpowiedzi, a na sam widok Idy wpadła w panikę i zaczęła wrzeszczeć. Szamanka czym prędzej odesłała zjawę z powrotem w zaświaty, lecz echo jej krzyku jeszcze długo odbijało się od ścian kuchni, wprawiając wszystkie szklanki w brzękliwe wibrowanie.

Po czterech godzinach, kiedy już wykąpana, ubrana i najedzona obserwowała przez okno, jak wschodzące słońce zalewa otaczający willę ogród złocisto-różową bielą, Ida uznała, że jest w na tyle przyzwoitej formie, aby spróbować przeprawy na drugą stronę lustra.

Wróciła do sypialni. Ułożyła się wygodnie na łóżku, podkładając sobie pod plecy wielkie puchowe poduchy i opatulając się ciepłym wełnianym kocem. Wystarczyło, że zerknęła w ustawione w kącie lustro, i niemal od razu poczuła, że więź między materialną a niematerialną częścią jej istnienia osłabła, a dusza jest gotowa na opuszczenie powłoki. Wyślizgnęła się z ciała gładko, jakby zrzucała skórę, zostawiając za sobą skostniałą, pokrytą szronem wylinkę. Przepłynęła przez pokój, lekka i zwiewna niczym morska bryza, po czym dała nura w szklaną toń.

Powietrze w zwierciadlanej willi jak zwykle było zielonkawe i gęste niczym woda w sadzawce. Butelkowozielone cienie, seledynowe promienie słońca wpadające przez okno, pistacjowe firany sięgające oliwkowych desek podłogi. Ida okręciła się wokół własnej osi. Z ulgą zauważyła, że w czysto eterycznej postaci nie doskwierało jej ani ramię, ani kostka, ani paskudne rozcięcie na skroni, które jeszcze przed momentem pulsowało i swędziało nieznośnie pod opatrunkiem.

Sprawdziła sypialnię, zaglądając w każdy kąt, a potem udała się na rekonesans po domu. Zakładała, że jeśli Pechowi jakimś cudem udało się jednak przeżyć, zostanie go w piwnicy, jego ulubionej kryjówce, ale z rozmysłem odwlekała moment, kiedy przekona się, czy jej obawy są słuszne.

Jak się wkrótce okazało – były.

Ida z westchnieniem przysiadła na betonowych stopniach, lustrując uważnie puste pomieszczenie. Z kuchni dochodziło donośne tykanie odwróconego zegara, którego wskazówki wędrowały w lewo, w przeciwnym kierunku niż po właściwej stronie zwierciadła. W tym odrobinę zmienionym odgłosie kryła się ulotna, złudna nadzieja, że pewne rzeczy można jeszcze cofnąć...

– Pech? – przemówiła szamanka do zgniłozielonych cieni pod schodami. – Jesteś tam?

Cienie nie odpowiedziały, zakotłowały się tylko miękko i bezgłośnie.

Dziewczyna długo nie ruszała się z miejsca, wyobrażając sobie, że czart lada moment sfrunie na podłogę z plamy mroku pod sufitem albo spleźnie po ścianie jako pajak czy inne obrzydliwe okropieństwo, w jakie z upodobaniem się przemieniał, żeby napędzić jej stracha, a potem na nim ucztować. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Ida nigdy nie potrafiła wyczuć więzi, która od co najmniej dwóch lat spajała ich dusze, nie umiała za jej pomocą porozumieć się z Pechem – aby to zrobić, musiała wejść w lustra. Po drugiej stronie łącząca ich klątwa dużo silniej dawała o sobie znać i zwykle szamanka od razu wiedziała, że jej demon jest w pobliżu. Nawet kiedy krył się przed nią w cieniu, czekając na odpowiedni moment do kolejnej próby przyprawienia jej o zawał albo chociaż palpacje, wyraźnie czuła jego obecność. Czarnomagiczna energia, z której był upleciony, wprawiała powietrze w leciutkie drgania, rezonowała delikatnie w zwierciadlanej czasoprzestrzeni niczym w pudle gitary. Tym razem jednak świat luster trwał zupełnie nieruchomo, jakby świadomy niebezpieczeństwa szykował się w napięciu na dalszy rozwój wypadków.

Ida wstała, odruchowo otrzepując spodnie z pyłu i kurzu, które wzbiły się w powietrze świetlistą chmurą przywodzącą na myśl wrózkowy pył, po czym dla porządku zeszła po schodach i przespacerowała się po piwnicy. A potem powstała kilka chwil w limonkowej plamie światła, w miejscu, gdzie słoneczne promienie wpadały przez brudne okno i rozlewały się połyskliwą kałużą po surowym betonie podłogi. Szamanka okręciła się na pięcie raz i drugi, niezdecydowana, co dalej.

W końcu rada nierada złożyła broń, zakończyła bezowocne poszukiwania. Powlokła się na górę, opuściła zwierciadła i powróciła do ciała, opalizującego srebrem od maleńkich kryształków lodu. Przeprawa okazała się dla jej organizmu dużo większym obciążeniem, niż zakładała, resztę dnia spędziła więc w pozycji embrionalnej, telepiąc się pod pierzyną i głośno szcękając zębami. Mimo zmęczenia nie mogła zapaść w drzemkę, po pierwsze dlatego, że nie miała



najmniejszej ochoty na nurzanie się umysłem w zimnej, głuchej pustce, a po drugie, czuła zbyt silny i denerwująco niesprecyzowany lęk, który za nic nie pozwalał się odprężyć. Przez kilka godzin trwała więc w osobliwym, nerwowym ośpieniu, dopóki ciszy nie przerwał ostry świergot dzwonka, kontrapunktowany natrętnym pukaniem.

Ida wstała z jękiem, zgarniając z łóżka koc. Okryła się nim niby opończą, a potem popędzana dzwonkiem i łomotaniem w drzwi zesza powoli do przedpokoju.

## Rozdział szósty

Gdy tylko ciężkie, okute żelaznymi zdobieniami drzwi otworzyły się przy jękliwym akompaniamencie dawno nieoliwionych zawiasów, starszy sierżant Tomasz Smoczyński wziął głęboki wdech, aby jak zwykle od razu sucho i rzeczowo wyłożyć, z czym przyszedł, lecz ujrawszy stojącą w progu dziewczynę, sapnął tylko ze zgrozą i wytrzeszczył oczy.

– Jak widać na załączonym obrazku, to nie jest najlepszy tydzień mojego życia – mruknęła kwaśno szamanka, po czym cofnęła się i gestem zaprosiła policjanta do środka. – A tu dopiero piątek, strach pomyśleć, jak będzie wyglądać mój weekend.

Po chwili wahania Smoczyński wkroczył do przedpokoju. Zwykle rozmawiali na ganku, krótko i treściwie, nie bawiąc się w kawy, herbaty ani wymianę choćby zdawkowych grzeczności, gdyż żadne z nich nie miało ochoty spędzać w swoim towarzystwie więcej czasu, niż to absolutnie konieczne. A teraz policjant po raz pierwszy znalazł się wewnątrz wiekowej, złowrogiej willi i skarcił się w myślach za ukłucie niepokoju, które poczuł na widok mrocznych zakamarków, gdzie osobliwie ruchliwe cienie zdawały się poszeptywać do niego cichutko na powitanie. Drgnął, gdy Ida z trzaskiem zamknęła drzwi za jego plecami, pogrążając ich w jeszcze głębszym półmroku.

– Kto cię tak załatwił? – spytał, wreszcie odzyskawszy głos.

Niedbale machnęła ręką, ale w jej piwnych oczach zauważył dziwny błysk.

– A taki jeden rozumny by... hmm... klient.

– Rozumny klient – powtórzył z podejrzliwą miną. – Nie wiem, co w tym rozumnego, ale manto spuścił ci pierwszorzędne. Chcesz złożyć zawiadomienie?

– Nie, to się zdarzyło na służbie. Sprawa jest... powiedzmy, że pod kontrolą.

– W takim razie nie zazdroszczę roboty.

– Ja sobie też nie. Kawy?

Zawahał się znowu. Przełknął ślinę, głośno, z wysiłkiem.

– N-nie... Lepiej nie. Dzięki.

– Ziółek na uspokojenie?

– Co?

Ciaśniej opatuliła się kocem, oparła plecami o drzwi i popatrzyła na policjanta bystro, zdmuchując z czoła czarny lok.

– Wzrok masz rozbiegany, oddech krótki i nierówny, tętnicę na czole zaraz ci rozsadzi. Pytam zatem z troski i dobroci serca: chcesz ziółek?

Wydał wargi w taki sposób, że nie zdziwiłaby się specjalnie, gdyby zbył ją jakimś niewybrednym komentarem, ale zamiast tego westchnął ciężko i skinął głową. Krótko, zdecydowanie.

– A wiesz, że chętnie?

Przypomniawszy sobie o rozłożonych na stole poufnych dokumentach, szamanka zamiast do kuchni poprowadziła policjanta do salonu, a sama poszła przygotować napar własnej receptury z kozłka lekarskiego, kwiatu lipy, melisy oraz rumianku. Wróciła po kilku minutach, niosąc bambusową tacę z japońskim żeliwnym czajniczkiem i dwiema czarkami. Postawiła wszystko na stoliku kawowym, napełniła naczynia intensywnie pachnącym napojem o barwie miodu. Smoczyński przez cały ten czas stał przy oknie, milczący, nieobecny, zapatrzony w dal. Ida musiała podstawić mu czarkę pod sam nos i chrząknąć, żeby w ogóle to zauważył. Bez słowa przyjął swoją porcję ziółek, wypił duszkiem, kaszlnął w pięść.

– Ughhh... Mocne cholerstwo – wykrztusił.

– Dolej sobie, bo widzę, że sprawa jest poważna.

Znów skrzywił się niechętnie, łypnął na nią spode łba.

– Ty stanowczo zbyt wiele widzisz – oznajmił z pretensją i nie ulegało wątpliwości, że wyrzucał z siebie to, co już od dawna leżało mu na wątrobie. – Mówiłem ci to już?

– Nie. Ale pomyślałeś nieraz.

– Skąd... – zachnął się i czym prędzej ugryzł w język. – I o tym właśnie mówię – prychnął. – Właśnie o tym.

Uśmiechnęła się pod nosem. Wyjęła mu czarę z dłoni, napełniła naparem i wręczyła z powrotem. Przyjął bez protestów, wypił jak wódkę, jednym wielkim haustem.

– Znalazłam dwa trupy w tej wannie, nie jednego, prawda? – spytała, kiedy odstawiał naczynko na parapet. Dłoń drgnęła mu nieznacznie, ceramika wybiła na drewnie krótkie, głucho staccato.

– Skąd o tym wiesz? – Po raz pierwszy zdecydował się dokończyć to niebezpieczne pytanie. A skoro już raz przekroczył granicę, zaraz pojawiło się drugie: – Kim ty jesteś, dziewczyno?

Zwlekąła z odpowiedzią parę chwil, ze spokojem odwzajemniając jego chmurne spojrzenie.

– Nadkomisarz Poniedziałek nie zabronił ci czasem...

– To on mnie tu przysłał – przerwał jej szybko. – W świetle ostatnich... nadzwyczajnych okoliczności stwierdził, że powinienem poznać prawdę o WON-ie. I o tobie. Sam nie chciał nic mówić, kazał szukać odpowiedzi u źródła.

– Nie jestem upoważniona do udzielania informacji o organizacji, dla której pracuję – odparła, siorbnąwszy ziółek. – Ale o sobie mogę, jeśli naprawdę tego chcesz. Zastanów się dobrze.

– Naprawdę tego chcę.

– W porządku. – Ze stukiem postawiła czarę na tacy. – Tylko najpierw powiedz: ktoś znalazł Zawadzką?

– Tak. Ciotka. – Smoczyński zapatrzył się w okno. – We wtorek ojciec Marleny kilkakrotnie próbował się do niej dodzwonić. Tak jak wspominałaś, byli tego dnia umówieni na telefon, ale za każdym razem odpowiadała mu poczta głosowa. W środę to samo. Zaniepokojony skontaktował się ze swoją siostrą Gabrielą Frąc i poprosił, żeby pojechała sprawdzić, co się dzieje. Na nasze szczęście, a swoje nieszczęście, miała zapasowe klucze... Dostaliśmy zgłoszenie, w środę o dziewiętej zero dwie. Dziś rano przeprowadzono sekcję.

– Są już wyniki?

– Są. W płucach miała pełno wody. Została utopiona.

– A czy... była w ciąży?

Uniósł głowę, popatrzył szamance prosto w oczy. Nie musiał nic mówić. Wiedziała.

– Czternasty tydzień – wymamrotał. – Chłopczyk.

Ida poczuła, jak zmęczenie wlewa się w jej ciało płynnym, szybko tężejącym ołowiem. Usiadła na kanapie, przetarła twarz dłonią. Syknęła przeciągle, gdy zapomniawszy się, natrafiła palcami na skaleczenie na skroni, które natychmiast odezwało się nieprzyjemnym pulsowaniem.

– Rafał już wie? – spytała cicho.

– Wie. Wczoraj z nim rozmawiałem. Niestety nie osobiście, tylko przez telefon, bo wciąż nie wrócił od rodziców... – Smoczyński opadł na fotel naprzeciwko szamanki, odchylił głowę na oparcie i zapatrzył się w sufit. – I szybko stamtąd nie wróci. Dzisiaj nad ranem próbował odebrać sobie życie. Sznur, na którym się powiesił, nie wytrzymał i pękł, ale i tak chłopaka cudem odratowali, matka znalazła go dosłownie w ostatniej chwili... Rafał przebywa obecnie na obserwacji na oddziale psychiatrycznym, rodzice przechodzą załamanie nerwowe, a ja po raz kolejny szczerze znienawidziłem swoją robotę.

– A Patryk Górczewski?

– Udało nam się go namierzyć już w środę wieczorem, bo jak ostatni kretyn zabrał z miejsca zbrodni komórkę Marleny i myślał, że jak ją wyłączy, to to wystarczy, żeby nikt jej nie znalazł. Od dwóch dni siedzi w areszcie śledczym. Dzwoniłem, żeby ci o tym powiedzieć, ale przełączało mnie na pocztę głosową. Teraz już wiem dlaczego – dodał, omiatając wzrokiem jej siniaki i opatrunek na głowie. – Górczewski przez te kilka dni zdążył skołować sobie trefne alibi, właśnie je obalamy za pomocą rejestru GPS z jego telefonu i nagrań z kamer miejskich. Jak tylko wrócą wyniki z laboratorium, postawimy mu zarzuty.

– Mam nadzieję, że szczególnie za kratami – syknęła mściwie.

– Szanse są spore.

– Doskonale.

Milczeli długo, wsłuchani w tykanie kuchennego zegara, które odbijało się echem po ciemnym, cichym domu. Wreszcie Smoczyński odepchnął się gwałtownie plecami od fotela, nachylił w stronę szamanki, opierając łokcie na kolanach, a podbródek na splecionych dłoniach.

– To teraz opowiedz mi swoją smutną historię, Ido Brzezińska – zażądał tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zamieniam się w słuch.

Szamanka podrapała paznokciem blat stolika, zeszkrobując łuszczący się lakier i zachodząc w głowę, od czego zacząć, ile zdradzić, a ile zataić, jak przekonać tego twardo stąpającego po ziemi policjanta, że jego informatorka wbrew pozorom nie ma żadnych urojeń ani wcale nie jest wariatką. A potem uznawszy, że najlepiej wyłożyć po prostu kawę na ławę i niech się dzieje, co chce, upiła łyk naparu i uśmiechnęła się do Smoczyńskiego – trochę przepraszająco, a trochę z rozbawieniem na myśl o tym, jaką zrobi minę, kiedy już wysłucha jej do końca. Podejrzewała, że na czekający go szok ziółka mogą nie wystarczyć.

– Na początek musisz wiedzieć, Tomasz Smoczyński, że rozmawiasz z dziewczyną, która ma w życiu paskudnego pecha...

Pół godziny później Ida klęła pod nosem, wcierając sobie w bark kolejną porcję maści przeciwzapalnej i wodząc oczami w ślad za policjantem, który od ładnych paru minut pałętał się bez celu po salonie, a minę miał przy tym dość zropanzoną.

– Dobrze ziółka nie są złe – westchnął w końcu, zwalając się ciężko na kanapę obok szamanki – ale napiłbym się chętnie czegoś mocniejszego.

– Ja też. Na moje nieszczęście jestem na lekach.

– A ja prowadzę.

– Przerąbane – stwierdziła smętnie.

– Po całości – zgodził się, wpijając obie dłonie w zmierzwioną czuprynę.

Ida przyglądała mu się kątem oka i mimowolnie zastanawiała, jak by zareagował, gdyby opowiedziała mu wszystko. Całą prawdę o sobie, o WON-ie, o Kusicielu i siewcy zapomnienia, o czarnej magii i świecie luster pełnym demonicznych istot, które tylko czekają, aż ktoś po tej stronie szkła rozbije zwierciadło, o rozumnej, bezcielesnej potworze fruującej sobie radośnie po Wrocławiu i planującej nie wiadomo co, kiedy ani w jakim celu... Smoczyński poznał zaledwie skrawek większego obrazu, precyzyjnie odłowiony z morza nieprawdopodobieństw, które naprawdę się wydarzyły i w które

z pewnością za nic by nie uwierzył. Już przecież nawet tę szczyptę niewiarygodnych faktów przełknął z widocznym trudem i nie ulegało wątpliwości, że czeka go bolesna mentalna niestrawność.

Dawał już zresztą pierwsze objawy: gapił się w podłogę z rozpaczliwą nadzieją, że zobaczy w niej coś, co przywróci mu wiarę w normalność, i trzymał oburącz za pękającą głowę. Jakby nieznana mu dotąd rzeczywistość weszła w ostrą reakcję chemiczną z jego do bólu logicznym, racjonalnym umysłem, jakby próbowała czym prędzej uciec mu spod czaszki, rozsadzając ją w drobny mak, zwać ze świadomości w czarną dziurę błogiej niepamięci. Ignorancja to wybawienie, jakiego szamanka właśnie brutalnie go pozbawiła. I tak, trochę było jej z tego powodu przykro. A może nawet trochę bardziej niż trochę. Zbyt dobrze pamiętała swoją własną beznadziejną pogoń za zwyczajnym życiem, aby nie uczić teraz chwilą ciszy cudzego zniweczonego marzenia o szarej przyziemności. Jednak czuła też przy tym cień złośliwej satysfakcji, że wystarczyło zaledwie kilka dosadnych słów, aby powalić na łopatki tego nieznośnego faceta, który do tej pory odnosił się do niej z podejrzliwym dystansem i bez odrobiny sympatii czy zwykłej ludzkiej wdzięczności.

Zgarnawszy tacę ze stolika, zostawiła policjanta sam na sam z jego rozwalonym w gruzy światem i poszła do kuchni przygotować świeżą porcję ziół. Gdy dziesięć minut później wróciła do salonu, Smoczyński wciąż siedział w tej samej pozycji, z tym samym obłędem w jasnozielonych oczach.

– No to już wiesz – podsumowała sucho, siadając w fotelu, w którym on nie wytrzymał nawet połowy jej opowieści: gdy tylko zaczęła objaśniać, na czym polega zawód szamanki od umarlaków, Smoczyński zerwał się na równe nogi, aby czym prędzej rozchodzić wszystkie te fantastyczne rewelacje, żadną miarą niemieszczące mu się w światopoglądzie.

- Wiem – mruknął. – Więcej, niżbym chciał.
- Ciesz się zatem, że nie powiedziałam ci wszystkiego.
- Cieszę się. I dziękuję. – Na ile umiała ocenić, był daleki od kpin, powiedział to całkiem szczerze. Po raz pierwszy.
- Ależ nie ma za co. Dla własnego dobra przyjmij jednak do

wiadomości, że pokazałam ci zaledwie maleńki okruch z samego czubka góry lodowej.

– Jasne – przytaknął, zwieszając głowę z rezygnacją. – Będę pamiętał.

– No to teraz znowu twoja kolej, żeby mówić – odezwała się po chwili ciszy, podając mu parującą czarękę.

Przyjął ją z widoczną ulgą, pociągnął długi łyk, a szamanka sięgnęła po fiolkę pigułek i szklanę z wodą.

– O tym, co kazało ci tu przyjść i zadać pytania, na które wcale nie chciałeś znać odpowiedzi.

Popatrzył na Idę tak, że o mało nie zakrztusiła się tabletką. Coś w jasnozielonych oczach policjanta kazało podejrzewać, że jego oswojony, zdroworozsądkowy, przeciętny świat zaczął drzeć w posadach długo przed tym, zanim Smoczyński zdecydował się przekroczyć próg tego domu.

– Obawiam się, że mam zbyt ubogie słownictwo, żeby opisać to, co dziś zobaczyłem – powiedział poważnie, bez śladu ironii w głosie. – Chyba lepiej będzie, jeśli cię tam zabiorę i wszystko pokażę. Niekoniecznie teraz – zastrzegł szybko, widząc, jak dziewczyna łyka pośpiesznie kolejne pigułki i popija je wielkimi łykami wody. – Jeśli nie czujesz się na siłach...

– Nie czuję się – przyznała szczerze, po czym zdecydowanym ruchem odstawiła szklanę na stół. – Ale coś mi mówi, że nie powinniśmy tego odkładać na później.

– A mówi ci to kobieca intuicja czy... – urwał, nie wiedząc, jak to właściwie nazwać. – Czy ta druga? – dokończył słabo, tonem pokonanego, który stracił już wszelką nadzieję na ocalenie przed niewygodną prawdą.

– Obie – odparła z przekonaniem. Odrzuciła koc i powoli wstała z fotela, mocno wpierając dłonie w miękkie podłokietniki. – To co, jedziemy?

Kiedy dotarli na miejsce, słońce chyliło się już ku zachodowi, a porywisty wiatr zasnuwał pogodne dotąd niebo pierzyną ciemnoszarych, nabrzmiałych wodą chmur. W przyjemnie rześkim powietrzu unosił się już ziemisty zapach nadchodzącego deszczu,



a także nikła woń spalenizny. W pobliskich ogródkach działkowych ktoś zapewne palił liście.

Smoczyński zaparkował samochód niedaleko centrum, lecz gdyby Ida przez całą drogę pilnie nie śledziła trasy, teraz nigdy by nie zgadła, że znajdują się dosłownie rzut kamieniem od serca miasta. Od wymuskanych, zabytkowych kamieniczek w Rynku dzieliły ich niecałe trzy kilometry, tymczasem okolica do złudzenia przypominała zapuszczone peryferia. Szamanka przesunęła wzrokiem po dzikich jabłoniach o gałęziach obsypanych maleńkimi, pomarszczonymi owocami, po zapuszczonych garażach pomazanych równie krzykliwym co niezbyt udanym graffiti, po niemożliwie wyrośniętych chaszczach, których bujne pędy wystawały wysoko ponad kryte papą dachy. Ciszę, zakłócaną dotąd jedynie rytmicznym cykaniem świerszczy wśród wysokich traw, rozdarło nagle wściekłe ujadanie psa, dobiegające gdzieś z głębi pobliskiego blokowiska, oraz rytmiczny stukot przejeżdżającego obok pociągu.

Ida pytająco zerknęła na Smoczyńskiego i zdziwiła się bardzo, widząc, że jego twarz przybrała kolor gaszonego wapna.

– To tu – potwierdził, pochwywszy jej pytające spojrzenie. – Trzeci garaż od lewej.

Szamanka nachyliła się do przedniej szyby, wyteżyła wzrok. Rzeczywiście, zaledwie kilkanaście metrów dalej, w szarzyźnie zapadającego zmierzchu majaczyły jaśniejsze wstęgi policyjnej taśmy ostrzegawczej. Pomalowany ciemną farbą garaż mocno wyróżniał się na tle pozostałych, upstrzonych pstrokatymi kulfonami, które stanowiły świadectwo dość liberalnego podejścia do zasad ortografii, a także niezaprzeczalnej wprawy w składaniu rymów częstochowskich i kreśleniu obelżywych piktogramów.

Smoczyński zgasił silnik, zaciągnął ręczny, z wyraźnym ociąganiem wyjął kluczyki ze stacyjki. Przez chwilę przekładał je z brzękiem z ręki do ręki, wreszcie schował do kieszeni granatowej kurtki. Wstrzymał powietrze, jakby szykował się do nurkowania, i wysiadł prosto w błotnistą kałużę. Nawet nie zauważył, że stoi po kostki w brudnej wodzie, wpatrzony w czerniące się przed nimi drzwi. Z transu wytrąciły go dopiero ciche przekleństwa Idy.

Odwrócił głowę, ujrzał, jak jego poturbowana informatorka niezdarnie gramoli się z samochodu, po czym szybko okrążył auto i podał jej ramię. Szamanka podejrzewała, że nie zrobił tego bynajmniej z czystej grzeczności, bo jak dotąd nigdy nie wykazywał podobnych skłonności, tylko raczej po to, żeby zająć czymś ręce i choć przez chwilę nie myśleć o tym, co zamierzał jej pokazać. Ona sama, choć wyciszona lekami i ziołowym naparem, poczuła, jak zdenerwowanie policjanta zaczyna jej się udzielać.

Wkroczyli wolno na betonowy podjazd, przeszli pod taśmą przywiązaną do czterech biało-czerwonych palików. Zatrzymali się przed drzwiami i dopiero teraz, z bliska, Ida spostrzegła, że czarna farba pokrywająca garaż wcale nie jest farbą. To była sadza. Zwęglone drzwi wisiały krzywo na osmalonych i powyginanych od gorąca zawiasach. Okopconie wylewało się na beton przez szparę pod spalonymi deskami ciemną, półokrągłą plamą, której nienaturalnie regularne granice wyglądały niczym nakreślone cyrklem.

Szamanka wyjęła z torby mlecznobiały kryształ od Kruchego i podała go policjantowi.

– Połóż go pod drzwiami, proszę – powiedziała łagodnie. – Trochę trudno mi się schylać.

Zrobił, co kazała, bez zbędnych pytań czy komentarzy. Ale nie byłby sobą, gdyby chociaż lekkim wydeciem ust nie zademonstrował odruchowego, wręcz instynktownego sceptycyzmu wobec podobnych guseł. Ida przez moment miała ochotę poczęstować policjanta jakąś zjadliwą uwagą, bo przecież to on do niej dzisiaj przyszedł z prośbą o pomoc, a nie odwrotnie. Uznała jednak, że i tak nieźle już oberwał jak na jeden dzień. Niech sobie teraz nie dowierza i ironizuje do woli, jeśli dzięki temu łatwiej mu się stąpa po zgliszczach swej dawnej rzeczywistości. Kiedyś mu przejdzie.

Zmilczała więc i wbiła wzrok w amulet. Nie zmienił barwy, ale po kilku chwilach w jego wnętrzu zaczął tlić się delikatny, migotliwy blask. Dobry znak. Nigdzie wokół nie było aktywnej magii, kryształ wykrył tylko nieszkodliwe, gasnące widmo zaklęć.

Smoczyński na dany znak oddał dziewczynie amulet, a widząc, jak ta wyciąga rękę do na wpół stopionej klamki, szybko ścisnął ją za

łokieć. Wyjął zza pazuchy dwie pary rękawiczek, wręczył szamance jedną, drugą wsunął na dłonie.

– Nie chodzi o to, że zostawisz ślady, bo już zrobiliśmy oględziny – wyjaśnił. – Ale uwierz mi, nie chcesz niczego tutaj dotykać.

– Nic mi nie będzie. – Szamanka ponownie spojrzała na drzwi, po czym musnęła spalone drewno samymi opuszkami.

Dźwięk, który uderzył w nią z siłą rozpędzonego pociągu, to nie był krzyk. Nawet nie wrzask.

Wycie.

Ogłuszający, nieludzki skowyt przeorał jej mózg, świdrował w uszach i korzeniach zębów. Buchający zewsząd żar był tak niemożliwie gorący, że aż lodowaty. Ida dostała dreszczy, choć wszystko w niej płonęło. Dym gryzł i palił w ustach, w gardle, w płucach. Każdy oddech dusił, zamieniając się w konwulsyjny charkot. Przed oczami tańczyły jej wielkie czarne ćmy, pot kapał z sykiem z ogarniętych ogniem włosów. Grunt zakołysał się, przechylił, rozstał w przepaść.

Nie była pewna, jak długo spadała.

Jęknęła, gdy beton grzmotnął ją boleśnie w kolana i dłonie, a piasek wbił się pod skórę tysiącem maleńkich żadeł.

– A nie mówiłem? – stęknął niewyraźnie Smoczyński. Jego głos dochodził z daleka, jak gdyby spod ziemi.

Szamanka dyszała ciężko, z trudem przełykając zbierającą się w ustach ślinę i powstrzymując mdłości. Poczwała na sobie ręce policjanta, gdy objął ją w pasie i mocno pociągnął w górę. Usiłowała mu pomóc, robiła, co mogła, aby rozprostować i usztywnić nogi, ale wciąż zdradziecko gięły się pod jej ciężarem niby plastelina. Gestem dała Smoczyńskiemu znać, że to na nic, po czym na czworakach odpełzła aż za taśmę. Padła na wznak, krztusząc się cudownie zimnym powietrzem.

– A nie mówiłem? – powtórzył policjant, kucając obok. Jego twarz bielą na tle fioletowo-szarego nieba niczym trupia maska. Był potwornie blady, oczy lśniły mu w ciemnościach jak w gorączce. – Jesteś strasznie głupio uparta, wiesz o tym?

Nie odpowiedziała. Ani nie była w stanie wydobyć z siebie głosu,

ani nie wiedziała, co na to rzec, żeby przypadkiem nie przyznać mu racji.

Smoczyński wymamrotał coś pod nosem, z dezaprobatą kręcąc rozczochraną głową. A potem nagle chwycił się za brzuch, zerwał na równe nogi i odbiegł gdzieś między pogrążone w mroku dzikie jabłonie. Wymiotował długo, gwałtownie, a że wcześniej wlał w siebie dwa dzbanki ziołowego naparu, to zaiste miał czym.

Podczas gdy on toczył w krzakach nierówną walkę ze zbuntowanym żołądkiem, Ida zdołała w końcu stanąć o własnych siłach. Wyprostowała się ostrożnie, z twardym postanowieniem, że przynajmniej do końca tego miesiąca nie wpakuje się znowu w sytuację, w której ktoś będzie musiał zeskrobywać ją z ziemi.

– W porządku? – rzuciła w mrok, skąd dochodziły stłumione przekleństwa i spazmatyczny kaszel.

– Nic już nigdy nie będzie w porządku – zawyrokował z dramatyзмом Smoczyński, wytaczając się z zarośli. Objął kurczowo pień drzewa, otarł czoło i usta wydobytą z kieszeni chusteczką, odetchnął głębiej. – Aż tak cię bolało? – spytał głosem zduszonym niekłamaną grozą.

– Co?

– Okropnie się darłaś.

Zamrugnęła zaskoczona.

– Słyszałeś to wycie?

– Żartujesz sobie? – prychnął z irytacją. – Całe osiedle słyszało. Darłaś się jak...

– To nie ja.

Teraz to on wyglądał na całkiem zbitego z tropu.

– A więc kto? – bąknął po chwili milczenia pełnej konsternacji, rozglądając się odruchowo po pustej okolicy.

– Ten, kto tu zginął.

Choć wydawało się to niemożliwe, Smoczyński poblądł jeszcze bardziej.

– Opowiadałam ci o Pieśniach Umarłych. To była właśnie jedna z nich.

– Widmowy łabędzi śpiew?

– Można tak powiedzieć. Nekroma... – zreflektowała się i urwała w pół słowa, przypomniawszy sobie, że miała przecież nie wtajemniczać Smoczyńskiego w zbyt wiele szczegółów ze swojego pokręconego życia. Zdecydowanie nie był gotowy na kolejny szok. – Istnieją osoby... – zaczęła raz jeszcze, ostrożnie dobierając słowa – które słyszą pieśni dopiero po fakcie, czyli już po zgonie delikwenta. Szamanki od umarlaków z reguły słyszą je wcześniej, a najczęściej widzą ich wizualizacje w postaci wieszczych snów. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że ta pieśń dotarła do twoich uszu. – Przez dłuższy czas przyglądała się policjantowi w zamyśleniu. – Jesteś pewien, że nie odziedzyczyłeś jakichś porąbanych genów? W rodzinie wszyscy normalni?

– Wszyscy nienormalni, ale w normalny sposób – zapewnił pośpiesznie i natychmiast stało się jasne, że wcale nie jest tego taki pewien, jak we własnym mniemaniu powinien być. – Może działasz jak wzmacniacz? – podsunął, zmieniając temat. – Przekaznik jakiś czy coś w ten deseń...?

– Może... – przytaknęła z wahaniem. – Ale to by był mój pierwszy raz.

Umilkli, jednocześnie obracając głowy i wbijając wzrok w garaż, teraz już ledwie widoczny w gęstniejącym mroku.

– A więc jednak – mruknął grobowym tonem Smoczyński. – Dobrze mi się wydawało, że to nie zwykły pożar, tylko miejsce zbrodni...

– Mieliście wątpliwości?

– Każdy by miał na naszym miejscu. No, może poza tobą i twoimi ziomkami. Zresztą zaraz sama zajrzysz do środka i przestaniesz się dziwić... Chyba że masz dość i wolisz tu wrócić innym razem?

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko, po czym na dowód, że już doszła do siebie, odstaąpiła od biało-czerwonego palika, na którym wspierała się do tej pory dla utrzymania równowagi. – Dam radę. Chodźmy.

– Najpierw zrób mi tę przyjemność i włóż rękawiczki. Bardzo cię proszę.

Tym razem usłuchała od razu, wątpiła jednak, czy cieniutka warstewka lateksu może ją przed czymkolwiek uchronić. Echo śmierci

było tu naprawdę potężne.

Podeszli z powrotem do drzwi. Smoczyński otworzył je stopą, wraziwszy czubek buta między zwęglone deski a zakopconą ościeżnicę. Wyjął z kieszeni latarkę, bez słowa wręczył ją szamance i gestem puścił dziewczynę przodem.

Ida stanęła w progu, omiotła wnętrze snopem niebieskawego światła i uniosła brwi.

– A nie mówiłem? – mruknął po raz trzeci policjant.

Pośrodku lekko pochyłej podłogi czernił się wielki, okrągły kleks spalenizny, ale o dziwo niski sufit znaczyła zaledwie odrobina sadzy. Ogień był na tyle silny, że wytopił w betonie płytką nieckę, a jednak nie rozprzestrzenił się dalej, choć to dopiero tam, w przeciwieństwie do nagiej posadzki, miał co trawić. Na ustawionych pod ścianami skrzynkach pełnych narzędzi stały butelki z wybielaczem, kanistry z benzyną, oleje i impregnaty, kartonowe pudła i całe reklamówki makulatury. Opalizująca kałuża pod jednym z plastikowych zbiorników zdradzała dobitnie, że ten przeciekał, i chociaż paliwo spływało wąską strużką aż do samego źródła pożaru, jakimś cudem nie doszło do wybuchu. Zupełnie jak gdyby płomienie zamknięto pod ogromnym żaroodpornym kloszem...

W miarę jak Ida rozglądała się z ciekawością po pomieszczeniu, plama błękitnego blasku wędrowała pomału po całej podłodze, rozjaśniając wszystkie ciemne zakamarki i zalegające w nich zwykle garażowe szpargały: od opon samochodowych, przez kolekcję zakurzonych słoików, aż po wciśnięty w kąt zardzewiały składak z rozprutym siodełkiem. Wreszcie szamanka skierowała latarkę wyżej i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Ściany ociekały ciemną, gęstą cieczą. Jej kolor był mylący, ale wydzielany przez nią żelazisty zapach Ida знаła aż za dobrze. Podeszła bliżej, nadstawiła dłoń pod smolistą strużkę, która meandrowała leniwie po nierównościach łuszczącej się farby. Roztarła wilgoć między palcami, przyświeciła latarką. Krew. Wciąż świeża, bez śladu skrzepów, kapiała na podłogę z oślizgłymi plaśnięciami ciężkich czarnych kropel. Idę przeszedł dreszcz, zimny pot wystąpił na czoło. Spękany tynk wydał jej się naraz poszarpaną skórą, a wyzierające

spod niego cegły broczącymi obficie ranami.

– I co ty na to? – spytał Smoczyński, przystając obok szamanki i podążając za jej spojrzeniem.

– Ja na to, że miałaś rację – westchnęła. – Bez wątpienia doszło tu do zbrodni. Nie mam tylko bladego pojęcia, *jak* do niej doszło. Gość połknął granat czy jaka cholera?

Policjant zmarszczył brwi, jeszcze raz otaksował ścianę od sufitu do podłogi, po czym w nagłym olśnieniu pokiwał głową. No tak, przecież ta dziewczyna widziała niewidzialne. Czy raczej: inni w przeciwieństwie do niej nie dostrzegali tego, co czaiło się tuż pod powierzchnią swojskiej rzeczywistości.

– Co znalazłaś?

– Krew. Płynną i... dziwną jakąś. Ma gęstość i barwę smoły, ale zapach nie pozostawia wątpliwości. – Zerknęła na towarzysza. – Ty niczego nie widzisz?

– Nie. Luminol i ultrafiolet też nie ujawniły nigdzie śladów DNA.

Ida na chwilę opuściła powieki, zajrzała w głąb siebie. Zamknęła i zamaskowała wewnętrzne Oko, a potem znów popatrzyła na swoją dłoń. Rękawiczka była czysta i sucha, ze ściany nic już nie spływało, odpadały z niej tylko płyty starej farby napuchniętej od wody z przeciekającego dachu.

– Dziwne – mruknęła do siebie.

Do tej pory, aby zobaczyć śmierć na miejscu zbrodni, musiała wzmacniać Oko dotykiem. Nie rozumiała, dlaczego tym razem doznała wizji bez fizycznego kontaktu, a ta niepewność napawała ją lękiem. Gwałtownie obróciła się na pięcie. Ogromna plama sadzy nadal znaczyła nadtopiony beton podłogi, zatem w przeciwieństwie do krwi należała do materialnego świata.

– Znaleźliście szczątki? – spytała po chwili.

Policjant przekrzywił głowę raz na jedno, raz na drugie ramię, jakby nie był pewien, czy chce nią pokręcić, czy pokiwać.

– Zebraliśmy, co się dało, czyli w sumie sam popiół. Czekamy na wyniki, ale medyk sądowy i specjalista od podpaleń zgodnie twierdzą, że cokolwiek tu spłonęło, ogień nie mógł być na tyle silny, żeby do szcztetu strawić ludzkie ciało. Do całkowitego zniszczenia włók

potrzeba mnóstwa łatwopalnych materiałów, więc popiołu powinno być tu znacznie więcej. A jeśli faktycznie ktoś próbował w ten sposób pozbyć się trupa, to zrezygnował w trakcie i gdzieś go przeniósł. Z drugiej strony zwykły pożar betonu też nie powinien był stopić, więc do dupy z taką ekspertyzą...

– A co wam w ogóle kazało szukać zwłok, skoro nie znaleźliście żadnej krwi?

– Ha, czyli jednak nie widzisz wszystkiego! – skonstatował z triumfem i złośliwym uśmieszkiem. Gdy odebrał jej latarkę, szamanka pokazała mu język. – Przyjrzyj się uważnie. – Wycelował snop światła w plamę spalenizny.

Pośrodku osmalonej i odkształconej przez gorąco podłogi, na samym dnie niecki, widniały ślady bosych stóp. I nie były to wcale ślady powierzchniowe, odcisnięte w popiele – nie, beton został w tym miejscu tylko trochę przykopcony, tworząc dwa jaśniejsze kształty. Wyglądało na to, że ktoś stał tu nieruchomo objęty ogniem, że płonął niczym żywa pochodnia, drąc się wniebogłosy... A potem co? Wyparował?

– Dziwaczny pożar noszący oznaki samospalenia, krew, która jest, chociaż jej nie ma, a do tego ten upiorny skowyt... – podsumowała szamanka po długim, ciężkim milczeniu. – Nie mam wyjścia, drogi Smoku. W imieniu WON-u niniejszym odbieram wam to śledztwo.

Wbrew oczekiwaniom Idy Smoczyński ani myślał protestować, a zamiast tego przyjął jej słowa z wyrazem niewypowiedzianej wdzięczności na twarzy i głośnym westchnieniem ulgi.



## Rozdział siódmy

– No wie co! – sarknęła z oburzeniem Tekla, odgarniając z twarzy zmierzwione loki koloru wronich skrzydeł poprządkane pasemkami siwizny. – Wiatr Zaświatów to doprawdy nie musi być tornado! Mogłaby mnie przywoływać nieco delikatniej!

– Przepraszam. – Ida osłoniła dłońmi płomyk świecy, który położył się płasko na czubku knota, szarpany nadnaturalnym podmuchem. – Jestem przytępiona lekami, brakuje mi wyczucia... Miałam naprawdę ciężki tydzień.

– To widzę. – Ciotka zmierzyła dziewczynę krytycznym spojrzeniem. – Ufam, że ten, kto ją tak załatwił, wygląda jeszcze gorzej.

Szamanka czym prędzej odwróciła się plecami do zjawy, aby ukryć przed nią swoją minę. Podeszła do kuchenki, podpaliła gaz pod czajnikiem i wyjęła z szafki puszkę z herbatą.

– Ten, kto mnie tak załatwił – odparła, starając się nadać głosowi niezobowiązujący ton – nie ma ciała i zdołał zwiać. I chyba... – zająknęła się, wciąż nieprzekonana, czy powinna obarczać mentorkę swoimi zmartwieniami, bo zmartwiona Tekla, choć szalenie skuteczna, zdecydowana w działaniach i nieprzebiegająca w środkach, bywała także nieobliczalna... A przy tym strasznie upierdliwa. Ale z drugiej strony: jak nie ją, to kogo? – Chyba... – powtórzyła Ida z wahaniem i znów zamilkła.

Co prawda odkąd Tekla opuściła krainę żywych, czasu miała pod dostatkiem, a to teoretycznie powinno było uczynić z niej istną oazę spokoju i opanowania, jednak nigdy jakoś nie wyzbyła się dawnych nawyków i nie należała bynajmniej do najcierpliwszych z duchów. Po trzecim „chyba” nie zdzierżyła. Podpłynęła do siostrzenicy z impetem sztormowej fali, szeleszcząc głośno staroświecką spódnicą z czarnego atlasu. Wzięła się pod boki, groźnie zmrużyła ciemnobrązowe oczy.

– Chyba co? – zapytała ostro.

– Chyba wszamał Pecha.

Ciotka uniosła brwi. Przez parę chwil przyglądała się Idzie spod półprzymkniętych powiek, wreszcie wzruszyła kościstymi ramionami.

– No i dobrze – orzekła krótko. – Może się udławił.

– Nie liczyłabym na to. – Szamanka smętnie pokręciła głową. A potem poderwała ją raptownie i spojrzała Tekli w oczy. – Słyszałaś o istotach, które zjadają ludzkie dusze?

Tekla wydawała się niewzruszona, lecz dziewczyna zauważyła skurcz, który przemknął szybko przez jej widmową twarz.

– Słyszeć słyszałam – przyznała kobieta z ociąganiem. – Ale nigdy, na szczęście, nie miałam z żadną do czynienia. Ida, jak rozumiem, miała. Oczywiście.

– Oczywiście – burknęła szamanka, po czym pokrótce zrelacjonowała przebieg wydarzeń w ogrodzie Demona Luster.

– Jasny gwint. – Ciotka utkwiała wzrok w suficie, ni to z rezygnacją, ni to domagając się interwencji ze strony siły wyższej. – Ten, kto nazwał to wiecznym odpoczynkiem, najwyraźniej nie miał nikogo pokroju Idy w rodzinie. Chodzący magnes dla kłopotów, słowo daję... – Westchnęła ciężko, zacisnęła usta w wąską linijkę. – Pochłanianie czarnej magii to jedno – podjęła surowo po chwili ciszy. – WON ma od takich spraw swoich specjalistów, pożarty demon to nie jest zmartwienie szamanki od umarłaków. Ale skoro to coś żywi się także duchami ludzi... – Tekla urwała, w zamyśleniu stukając paznokciem w kameę, która wieńczyła wysoki kołnierz jej czarnej wiktoriańskiej koszuli z gustownym żabotem i lekko bufiastymi rękawami. – Byłoby naprawdę paskudnie, gdyby Idzie przyśniła się taka śmierć. Przecież nie mogłaby przeprowadzić zjedzonego zmarłego w zaświaty, straciłaby część swojej własnej duszy, a wtedy...

– Ha, tego akurat nie musimy się obawiać – przerwała jej oschle szamanka. – Od akcji w ogrodzie nie mam żadnych snów.

Tekla gwałtownym ruchem odgarnęła włosy z policzka.

– Co też opowiada?

– Już czwartą noc z rzędu nic mi się nie przyśniło. Absolutnie nic. Spójrz no tylko na Gryzaka.

Jak gdyby czekając na te słowa, łapacz, zwinięty na parapecie w fioletową kupkę futra oraz nieopisanego nieszczęścia, uniósł łeb i wbił w ducha błagalne spojrzenie pociemniałych z głodu ślepi.

– No faktycznie, trochę schudł – stwierdziła ciotka po dłuższym milczeniu. – Ale to jeszcze o niczym nie świadczy...

– Zrobił się bardzo słaby. – Ida spojrzała na koszmara z współczuciem. – Drzemie na okrągło, w ogóle nie chce wstać... Może powinnam... Bo ja wiem? Nauczyć się świadomego śnienia? Wiesz, wykreować jakiś sen, żeby go nim nakarmić i...

– NIE. – Ostry głos Tekli przeciął powietrze niczym sztych noża.

Kobieta zreflektowała się natychmiast, groźny wyraz zniknął z jej twarzy szybciej, niż się pojawił, lecz szamanę, oswojoną już przecież z temperamentem mentorki, i tak zastanowił ten niespodziewany wybuch. Łypnęła na ciotkę badawczo.

– Dlaczego? – spytała, pełna jak najgorszych przeczuć.

– Szkoda czasu i energii – odparła Tekla od razu, bez zawahania, a mimo to dziewczyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że odpowiedź była wymijająca i nie do końca szczerą. – Ida wiele ostatnio przeszła, nie powinna się nadwyreżać. Umysł męczy się nie mniej niż ciało i to dlatego sny chwilowo dają jej spokój. Niedługo z pewnością wszystko wróci do normy. A jeśli obawia się, że to ten pożarty czart był źródłem jej talentów, to...

– Obawia się? – prychnęła dziewczyna, nie bez złośliwości naśladowując specyficzną manierę ciotki. – Ida ma wielką nadzieję, że tak właśnie jest! Wiele by dała, żeby pozbyć się tego przeklętego daru raz na zawsze...

– W tej chwili wypluje te słowa!

– Ani mi się śni!

– Już, zdaje się, ustaliłyśmy, że jej się nie śni – wycedziła zimno Tekla. – Ale to jeszcze nie powód, żeby przestała logicznie myśleć. Jej dar ma się świetnie, czego najlepszym dowodem jest to, że teraz rozmawiamy. A poza tym niech lepiej uważa, jakie życzenia wypowiada na głos – dodała z naciskiem i śmiertelnie poważną miną – bo jeszcze się spełnią, a wtedy będzie tego gorzko żałować.

– Szczerze wątpię.

– No jasne, że wątpi, inaczej nie byłaby sobą – fuknęła ciotka ze złością. – Może zamiast strzelać fochy i rozwiewać moje złudne nadzieje, że wyrosła wreszcie z tej dziecinady, wyjaśni mi łaskawie, skąd w niej tyle frustracji?

Ida długo nic nie mówiła, udając, że całkowicie pochłania ją parzenie herbaty.

– Chyba chcą mnie zawiesić – powiedziała wreszcie. Z trzaskiem postawiła na stole parujący kubek, usiadła na krześle i skrzyżowała ramiona. – Na razie zasugerowali tylko, żebym wzięła sobie dłuższy urlop zdrowotny, ale tak to się przecież zwykle zaczyna. Robią to niby dla mojego dobra, ale doskonale wiem, że są mną rozczarowani. Nie tego się spodziewali, kiedy w glorii chwały wstępowałam do WON-u.

Tekła milczała, czekając na dalszy ciąg. Nieładny grymas na jej twarzy dawał jasno do zrozumienia, że ciotka wspina się oto na wyżyny cierpliwości, której zapasy dopalają się właśnie z sykiem niczym lont dynamitu.

– W domu byłam czarną owcą – podjęła z goryczą Ida wpatrzona w płomień świecy. – I teraz historia zatoczyła koło. A wszystko przez ten przeklęty dar, którego nikt poza tobą i mną nie rozumie i przez który wiecznie wychodzę na dziwoląga. Dzięki temu, że umiem opuszczać ciało, mogłam wejść w lustro Kusiciela i sprowadzić go z powrotem do naszego świata, ale o tym już mało kto pamięta. Dzisiaj wszystkich najbardziej interesuje, czy połączenie między moją duszą a cielesną powłoką nie jest przypadkiem „zbyt elastyczne, aby mogło spełniać standardy ochrony przeciw magii intruzyjnej”. – Urwała, splatając dłonie na kubku i zatapiając spojrzenie w parującej herbacie. – Skutek jest taki – mruknęła po chwili – że przełożeni wolą trzymać mnie w domu, zamiast wykorzystać moje umiejętności, którym nie ufają. Czyli równie dobrze mogłabym ich w ogóle nie mieć. A przecież, do cholery, potrafiłabym pomóc! Znam Szkudlarka, znam Kusiciela, gdyby tylko pozwolono mi normalnie pracować, na pewno zdołałabym... – Ida urwała, dostrzegłszy cień uśmiechu na wąskich wargach ciotki. Był to widok na tyle rzadki, że dziewczyna momentalnie straciła wątek, a złość uleciała z niej jak z przekłutego

balonika. – No co? – burknęła podejrzliwie. – Co cię tak bawi?

– A to – odparła Tekla, nie kryjąc zadowolenia – że Ida wcale nie wścieka się, bo nie może wyrzec się swoich talentów, tylko dlatego, że chciałyby coś tymi talentami udowodnić. Sobie i innym. Można to chyba uznać za pewien progres. Wolałabym co prawda, żeby przy okazji robienia postępów nie popadała z jednej skrajności w drugą, ale cóż... Najwyraźniej jej umysł działa wybitnie zero-jedynkowo i nie uznaje półśrodków.

Szamanka nie znalazła na to żadnej odpowiedzi, siorbnęła więc z kubka i zasyczała przeciągle, parząc sobie usta gorącą herbatą. Tekla przypatrywała się siostrzenicy z politowaniem, po czym usiadła w powietrzu tuż nad krzesłem po przeciwnej stronie stołu. Z rozmachem założyła nogę na nogę, czarna jak noc spódnica zaszepotała aksamitnie.

– Tam, gdzie giną ludzkie dusze, nie może zabraknąć szamanki od umarlaków – przypomniała wolno, wodząc palcami po srebrnej oprawie kamei. A potem oparła podbródek na splecionych dłoniach i zajrzała wychowance w oczy. – Ida ma obowiązki, których nie wolno jej zaniedbać. Musi schwytać tę istotę, czymkolwiek ona jest, bez względu na to, czy o niej śniła, czy nie. I bez względu na to, co o tym sądzą jej przełożeni.

– Łatwo ci mówić – wyburczała szamanka, z trudem wytrzymując świdrujące spojrzenie ciotki.

– Jako duchowi niewiele poza gadaniem mi pozostaje – zauważyła kwaśno Tekla. – Ja nie mogę już wpływać na bieg wydarzeń. Ida może. No więc do roboty.

Dziewczyna przytaknęła machinalnie, ale nie wypadło to zbyt przekonująco.

– Wiem, dlaczego odkąd wstąpiła do WON-u, tak strasznie się miota – ciągnęła ciotka po krótkiej ciszy, tym razem zaskakująco łagodnym tonem. – Dlaczego z jednej strony czuje, że powinna działać po swojemu, a z drugiej – woli się podporządkować, dopasować, nie wychylać. Rozumiem ją, bo dawno, bardzo dawno temu przechodziłam przez to samo. Czasy się zmieniają, ale rodzinne dysfunkcje i patologie pozostają te same.

Ida poderwała głowę. Milczała, zaskoczona nie tyle słowami mentorki, ile miękkim i bardzo smutnym brzmieniem jej głosu.

– Ja też jako wybryk natury od najmłodszych lat byłam intruzem we własnym domu – kontynuowała z powagą Tekla. – I potem rozpaczliwie pragnęłam gdzieś należeć, komuś się przypodobać na tyle, by uznał mnie za swoją. Trochę to trwało, ale z czasem zrozumiałam, że wciskając się na siłę w cudze ramy, sama siebie traktuję jak wyrzutka, który nigdzie nie pasuje. I teraz, nauczona doświadczeniem przeszło trzystu lat, powiem Idzie jedno. To, że jej własni rodzice próbowali z uporem godnym lepszej sprawy zrobić z niej kogoś innego, nie oznacza wcale, że popełniła błąd, podążając pisaną jej drogą i stając się tym, kim jest teraz. Czyli po prostu sobą. To, że oni jej takiej nie akceptują, nie oznacza, że musi za wszelką cenę znaleźć akceptację gdzie indziej. WON nie zastąpi jej rodziny. Nigdy. Tej luki nikt za nią nie zapełni.

Szamanka drgnęła, mocniej zacisnęła palce na kubku. Ciotka jak zwykle przejrzała ją na wylot i trafiła w najczulszy punkt. Trochę zabolalo. A trochę ulżyło.

– Musi ją sobie zapełnić sama – mówiła Tekla, nie spuszczać z dziewczyny swych wszyszkowidzących oczu. – Jak? Bardzo proste: robiąc swoje. To, co Ida, a nie kto inny, uważa za właściwe. Pozwolę sobie zauważyć, że ma w tym już pewną wprawę. Kiedy przed zaledwie kilkoma miesiącami razem z Chrupkim weszła przy sprawie Kusiciela, aby ocalić duszę Mikołaja, żadne konsekwencje ze strony WON-u jakoś jej nie powstrzymywały...

– Wtedy ratowałam też własny tyłek – przypomniała cicho szamanka. – Byłam zdesperowana i gotowa na wszystko.

– Chce mi powiedzieć, że jest w stanie przejąć inicjatywę wyłącznie w sytuacjach, które zagrażają jej życiu? – Tekla skrzywiła się sceptycznie. – No nie wydaje mi się. Zbyt dobrze ją znam. Okoliczności, w jakich się poznałyśmy, świadczą o tym zresztą najlepiej. Wtedy tak bardzo chciała postawić na swoim, że uciekła z domu. I na jednej próbie ucieczki się przecież nie skończyło.

– A ostatecznie i tak wyszło na twoje – zauważyła Ida z przekąsem. – Wyszkoiliłaś mnie, choć wcale tego nie chciałam.

– Nie wyszło na moje, tylko na jej własne – poprawiła ciotka spokojnie, acz stanowczo. – Dar to jedyna rzecz, której musi być bezwzględnie posłuszna, bo stanowi część jej samej i nic tego nie zmieni. Ja tylko pomogłam Idzie go rozwinąć i opanować. Co się zaś tyczy całej reszty... Cóż. – Wzruszyła ramionami. – Posłuszeństwo nie jest tu bynajmniej jakoś specjalnie wymagane. Zwłaszcza jeśli stoi w całkowitej sprzeczności nie tylko z Prawami Śmierci, ale na dodatek z Idą i jej nieobliczalną naturą.

Długo nic nie mówiły, przyglądając się sobie ponad płomieniem skwierczącej cicho świecy.

– Czy ty mnie właśnie podżegasz do buntu? – spytała wreszcie Ida.

– A muszę? – Tekla uniosła brew. – Niech mi nie wmawia, że nie zaczęła już planować śledztwa na własną rękę. Przecież wstąpiła do WON-u właśnie po to, żeby rozwikłać zagadkę Kusiciela do samego końca. Czy nie tak?

Dziewczyna uśmiechnęła się mimowolnie, a ciotka pokiwała głową, bezbłędnie odczytując ten uśmiech.

– No więc na co jeszcze czeka? – spytała retorycznie. – Na moje błogosławieństwo? Na jakiś znak od siły wyższej, że to, co zamierza zrobić, jest słuszne? Nic z tego. Szamanka od umarlaków, zwłaszcza taka, która już raz przeszła przez piekło, o włos uniknęła niebytu i otarła się o śmierć, nie potrzebuje od nikogo pozwolenia. Na cokolwiek. Ani na to, żeby po swojemu przeżyć życie, o które tak zaciekle walczyła, ani by wykonywać swoje obowiązki wedle własnego uznania. Tylko ona jedna wie, jak je należy wykonać. Nikt jej w tym nie wyręczy. I nikt nie powinien. Bo mimo tej wyrwy w sercu, którą zostawiła po sobie dwójka skończonych głupców, zbyt zapatrzonych w siebie, by dostrzec własne dziecko, Idzie niczego nie brakuje. Taka, jaka jest, wystarczy w zupełności. A komu nie wystarczy, niech idzie do diabła. Zrozumiano?

Ida, choć początkowo zdumiona i nieco speszona kierunkiem, w którym nieoczekiwanie potoczyła się ta rozmowa, poczuła teraz, że słowa ciotki były dokładnie tym, co od dawna chciała usłyszeć.

– Zrozumiano.

– Moja krew – skomentowała Tekla z aprobatą i chyba chciała

dodać coś jeszcze, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili. Milczała jakiś czas, zaciskając wargi. – Niech Ida na siebie uważa, dobrze? – rzuciła lekko zmienionym głosem, a w jej ciemnobrązowych oczach pojawił się naraz cień niepokoju.

I zanim szamanka zdążyła cokolwiek dodać czy o cokolwiek zapytać, ciotka nachyliła się nad stołem, po czym głośno dmuchnęła w świecę, gasząc płomyk i rozwiewając się w powietrzu razem z dymem oraz ciepłym zapachem stopionego wosku.

Po zniknięciu Tekli Ida długo obmyślała plan działania, wertując stare księgi i ze ściśniętym sercem popatrując na sapiącego przez sen Gryzaka. Wraz z wybiciem czwartej po południu przyjęła ostatnią dawkę pigułek, zaaplikowała sobie ostatnią porcję magicznego mazidła, po czym serią ostrożnych ćwiczeń przetestowała sprawność barku oraz kostki. Zadowolona z rezultatu postanowiła, że zignoruje subtelne i zawoalowane naciski szefostwa i wróci do pracy już następnego dnia, w poniedziałek, wraz z końcem zwolnienia lekarskiego, którego ani myślała przedłużać, tym bardziej że czuła się już naprawdę dobrze. Co prawda jej ciało nadal nosiło trudne do przeoczenia pamiątki z ogrodu Kusiciela, ale i tak zamierzała spędzić większość dnia w terenie, więc nie będzie rzucała się przełożonym w oczy.

Podjąwszy decyzję, napisała Kruchemu krótkiego esemesa: „Widzimy się jutro”, na co otrzymała niemal natychmiastową i równie krótką odpowiedź: „Widzimy się zaraz”. I rzeczywiście, nie upłynął nawet kwadrans, gdy uniosła głowę znad zapisków Tekli na znajomy dźwięk zatraskiwanych drzwiczek terenówki. Zaraz potem przez uchylone okno dobiegł ją metaliczny jęk przerdzewiałej furtki, następnie głucho dudnienie glanów na kamiennych schodach do willi. Chwilę później łowca wpakował się do kuchni z ogromną i na oko piekielnie ciężką donicą w objęciach, z której wyrastało siedem dorodnych hiacyntów o wściekle różowych płatkach.

– Pozdrowienia od Kornelii – wysapał i z hukiem postawił kwiaty na parapecie obok niewzruszonego łapacza. – Ależ on ma twardy sen – mruknął pod nosem, drapiąc koszmarka za uchem.

Gryzak nie zareagował na pieszczotę nawet leciutkim uniesieniem



powiek, choć zwykle witał łowcę nad wyraz entuzjastycznie i przez całą wizytę nie odstępował go na krok.

– O, Kwiatek jest we Wrocławiu? – ucieszyła się szamanka.

– Przyjeżdża za tydzień. – Łowca zsunął z ramion plecak razem z kurtką i powiesił je na oparciu krzesła. – Ma przeprowadzić jakąś kontrolę czy tam szkolenie w dziale administracji.

– Hmm...

Kornelia Kwiatuszek, przez przyjaciół i bliskich współpracowników zwana pieszczotliwie Skittlesem z racji niesłabnącego upodobania do krzykliwych kolorów, była z pozoru nieszkodliwą i mało bystrą sekretarką z Archiwum Firmy. Od lat skrupulatnie dbała o ten wizerunek, demonstrując otoczeniu koszarne roztrzepanie oraz świadczące o słabej woli zamiłowanie do słodczy przy jednoczesnych deklaracjach rychłego przejścia na dietę, a głupkowatym gadulstwem skutecznie obniżając sobie postrzegany iloraz inteligencji. Wskutek takich kamuflujących zabiegów mało kto miał jakiegokolwiek powody, aby podejrzewać, że w tej grubej, podstarzałej kokietce o pamięci wiewiórki i graniczącej z upośledzeniem niezdolności do łączenia oczywistych faktów drzemie ogromny, potencjalnie niebezpieczny dar.

W rzeczywistości Skittles cieszyła się bowiem pamięcią totalną, miała prawdziwy talent do gromadzenia informacji, szukania haków, snucia intryg i knucia podstępów, a także działania w głębokiej konspiracji przed zwierzchnikami. Bez jej nieocenionej pomocy Idzie i Kruchemu być może nigdy nie udałoby się rozwikłać sprawy Kusiciela, bo Wydział Wewnętrzny niezwykle uważnie gapił im się wtedy na ręce i tylko czekał, aż łowca zacznie bez autoryzacji grzebać przy tym starym śledztwie, które od lat uważano za rozwiązane i na którego fundamentach wyrosła niejedna błyskotliwa kariera.

– Może nam się przydać – mruknął Kruchy takim tonem, jakby czytał dziewczynie w myślach.

– Mhm...

Podczas gdy Ida zastanawiała się intensywnie, w jaki sposób mogliby wykorzystać talenty oraz szerokie znajomości Kornelki do urobienia Szkudlarka albo odblokowania Kusiciela, łowca bez

ceregieli i bez cienia żenady zajrzał do stojących na kuchence garnków, a gdy te okazały się oburzająco wręcz puste, krytycznie zlustrował nie mniej rozczarowującą zawartość lodówki.

– Ty to mnie chyba próbujesz zagłodzić. – Demonstracyjnie powolnym ruchem wyjął opakowanie z resztką jogurtu naturalnego, uniósł je na wysokość oczu i skrzywił się z niesmakiem. – Albo dajesz mi niezbyt subtelne znaki, że nie jestem już tu mile widziany.

– W piekarniku czeka zapiekanka – uspokoiła go Ida, w zamyśleniu zapatrzona w kwiaty od Kornelii. – Odgrzej sobie, jeśli chcesz.

Kruchy momentalnie poweselał. Zatrzasnął lodówkę, czym prędzej włączył piekarnik, a potem nastawił wodę w czajniku i wyjął z szafki talerze i kubki.

– Zdradzisz mi, co kombinujesz? – spytał, zerkając na dziewczynę kątem oka znad puszki z herbatą.

– Sama jeszcze nie wiem... – Pograżona w myślach zaczęła bezwiednie bębnić palcami w blat. – Na początek wrócę do ogrodu Kusiciela i znowu spróbuję przywołać duszę Anonima. Może jej dla odmiany nic nie wszamało i udzieli mi odpowiedzi na parę pytań...

– Byłoby bosko.

– To bardzo daleki strzał – zastrzegła, żeby oszczędzić mu rozczarowań. – Przyzywałam ją już wcześniej i guzik z tego wyszło. Wtedy co prawda nie miałam do dyspozycji grobu, a zaklęcia ochronne dodatkowo utrudniały nawiązanie kontaktu, więc kto wie, może teraz się uda... Ale na twoim miejscu nie robiłabym sobie specjalnych nadziei.

– Będę trzymał kciuki. – Kruchy złapał za nóż i ukroił dwa równiutkie plasterki cytryny, po czym sięgnął po słoik z miodem. – Pomału kończą nam się opcje. Margo i Grześ już chyba z dziesięć razy pokazali Szkudlarkowi wszystkie klucze i nadal nie puścił farby, gałgan jeden. Okazał się też niezwykle odporny na hipnozę. Przez pół dnia udawał, że jest w transie, a tylko narobił czytaczom nadziei i namieszał w odczytach. Nasz znajomy siewca wspomnień uważa, że należy go czymś sprowokować.

Ida przestała bębnić w stół i spojrzała na łowcę

z zainteresowaniem.

– Kuźmik?

– We własnej osobie. Prowadzi teraz jakieś badania w Wielkiej Brytanii, ale w zeszłym tygodniu zorganizowaliśmy z nim telekonferencję. I na dzień dobry walnął nam przydługi wykład o właściwościach pamięci fleszowej. – Łowca nieśpiesznie zamieszał łyżeczką najpierw w jednym, potem w drugim kubku. – Jego zdaniem, gdy Szkuclarek ujrzy coś, co wywoła w nim żywe i najchętniej negatywne emocje, spowoduje to serię błyskowych skojarzeń, nad którymi nie będzie umiał zapanować. Czytaczecy powinni bez problemu wychwycić takie obrazy. Tylko żeby w ten sposób naprowadził nas na klucz, musielibyśmy pokazać mu coś, co jest związane jednocześnie z Karewiczem i Anonimem. A skoro już o Anonimie mowa, to żeby cię ostatecznie dobić, śpieszę poinformować, że medyk zbadał jego prochy, ale niestety nie zdołał ustalić tożsamości...

– To można w ogóle dokonać identyfikacji na podstawie tak zniszczonych zwłok? – zdziwiła się szamanka.

– Pewnie. – Kruchy uprzątnął część zaścielających stół papierów, po czym podsunął Idzie herbatę, a sam opadł na krzesło obok. – Pod warunkiem że szczątki należały do kogoś obdarzonego darem i że mamy sygnaturę tego daru w naszej bazie danych. Nadprzyrodzona aura jest znacznie bardziej odporna na destrukcję niż biometryka czy DNA. Nam się jednak niestety nie poszczęściło. Aurę sproszkowanego Anonima, owszem, udało się odczytać, ale nie mamy nikogo takiego w systemie.

Na kilka długich chwil zapadła cisza, przerywana jedynie ledwie słyszalnym pochrapywaniem Gryzaka, monotonnym tykaniem zegara i siorbaniem herbaty. Między jednym łykiem a drugim, kiedy krążące jej po głowie słowa Kruchego wskoczyły na właściwe miejsca i uruchomiły odpowiednie trybiki, Ida wpadła nieoczekiwanie na pewien pomysł, zastygając z kubkiem przytkniętym do warg. Nie znała co prawda żadnego spirytystycznego sposobu na pełną identyfikację trupa, którego dusza nie odpowiadała na wezwania, ale gdyby poznała chociaż jego imię...

– Oczywiście Szkudlarek obejrzał już sobie zdjęcia Anonima? – upewniła się. – Przed rozsypką i po?

– Oczywiście, że tak. Żeby to raz.

– I oczywiście nie zareagował...

– Oczywiście, że nie. To by było za proste. – Kruchy westchnął, przymykając powieki i masując palcami nasadę nosa.

Wydawał się teraz nie tyle zmęczony, ile całkowicie wydrenowany z motywacji i energii, jakby pogodzony z nadchodzącą klęską. Przez moment krótszy od mgnienia w ogóle nie przypominał samego siebie, a na ten widok szamanka poczuła, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz, jak nienazwany jeszcze lęk wypełnia żołądek kostkami lodu.

– Jeśli szybko nie doznamy olśnienia, to czarno to wszystko widzę. – Zerknął na nią bystro. – Chociaż tobie już chyba przyszło do głowy jakieś kolejne szamańskie wudu. Mam rację?

– Masz – przyznała z pewnym wahaniem, odganiając przykrą wizję, w której łowca metamorfuje na jej oczach w zupełnie obcego człowieka, a usta rozciąga mu szaleńczy uśmiech. Nie miała pojęcia, co wywołało te obrazy. Wzdrygnęła się, zamrugnęła gwałtownie i zaraz zniknęły bez śladu. Kruchy znów był Kruchym. – Ale najpierw muszę przewertować jeszcze parę ksiąg, bo nigdy czegoś takiego nie robiłam... Nie wiem, czy potrafię.

– Zalecam pośpiech. Nie żebym wywierał jakąś presję czy coś. – Uniósł ręce w obronnym geście, źle interpretując jej nietęgą minę. – Ale Kuźmik ostrzegł czytaczy, że im dłużej Szkudlarek wodzi ich za nosy, tym bardziej rośnie jego pewność siebie i niedługo spowijająca mu umysł mgła zapomnienia uniemożliwi jakiegokolwiek odczyty. Wtedy nawet doskonale przygotowana prowokacja może nie zrobić na nim wrażenia. A raczej: my możemy się po prostu nie zorientować, czy wywarła, czy nie.

– A Kusiciel umysłem ciągle w Krainie Czarów – domyśliła się ponuro.

– Taa... Siedzi nieruchomo dzień i noc i tylko gapi się w ścianę. Muszą go karmić przez kroplówkę, robić mu masaże, żeby się nie nabawił odleżyn, i zakraplać oczy, żeby nie wyschły na wiór...

– I co na to Chmielarz? – zainteresowała się sceptycznie Ida. –

Nadal uważa, że ta masakra w ogrodzie to sprawka Kusiciela?

– A jakże. Technicy wysondowali grób i znaleźli w nim ślady zaklęć pasujące do jego aury. Medyk sądowy zbadał ciała Roberta i Marysi, a z jego raportu wynika, że „ze względu na niespotykaną sygnaturę nadprzyrodzonej energii” nie może jednoznacznie stwierdzić, czy zginęli od czarnej magii, ani przypisać tej sygnatury do żadnego konkretnego autora. Ale Chmielarz wziął to za dobrą monetę i wciąż jest zdania, że zabiła ich jakaś klątwa zaprojektowana przez Karewicza, a wymierzona w ciebie. Poinformowaliśmy go z Rudą, że badamy „hipotezę” – łowca wykonał w powietrzu znak cudzysłowu – o ataku niezależnego rozumnego bytu, i zgodnie z naszymi przypuszczeniami nie wykazał nią zbytniego zainteresowania. Uznał pewnie, że Ruda stara się za wszelką cenę ratować sytuację. I dlatego nie chce przyznać, że w swej lekkomyślności nie przewidziała zemsty ze strony Demona Luster, przez co wystawiła na niebezpieczeństwo ciebie, a wraz z tobą cały nasz zespół.

– A stan Kusiciela nie stoi przypadkiem w doskonałej sprzeczności z tą teorią spiskową? – Ida uśmiechnęła się kątem ust, obserwując łowcę przez smużki pary ulatujące z kubka. – Jak niby katatonik miałby sterować wypuszczoną z grobu mocą? I to na odległość? Mimo kajdan antymagicznych i innych blokad?

– Ta teoria ma w sobie mniej dziur, niż ci się zdaje. – Kruchy odchylił się od stołu i balansując niebezpiecznie na tylnych nogach krzesła, zajrzał do piekarnika. Po kuchni rozniósł się smakowity zapach roztopionych serów i przyrumienionych warzyw. – Kajdany i blokady – podjął łowca, gdy już zamknął drzwiczki i zaprzestał karkołomnych akrobacji – więżą magię w określonej przestrzeni, ale nie są w stanie zablokować umysłu maga. Do tego potrzebna jest specjalna aureola, której nie zastosowano, co, i tu cytuję Chmielarza, „wynikało z naszego błędnego założenia, że jaźń Kusiciela wymaga stymulacji, a nie wytlumienia”. Jego zdaniem Kusiciel już lata temu wykazał się godną podziwu przezornością i wlał część swojej mocy w ciało Anonima. A po jej uwolnieniu mógł nią sterować nawet na spore odległości i wykorzystać do dowolnego, acz mało

skomplikowanego celu. Takim celem miałyby być właśnie uśmiercenie ciebie. Na przykład za pomocą klątwy o „niespotykanej sygnaturze nadprzyrodzonej energii”. Podobne sterowanie wymaga całkowitego zaangażowania psychicznego, pełnego skupienia, medytacji. Czasem nawet głębokiego transu.

– Czyli dla Chmielarza to nie katatonia, lecz autohipnoza – skonstatowała Ida. – Tylko dlaczego ona nadal trwa, skoro moc, którą mógłby powodować Kusiciel, już się ulotniła? Czeka. – Uniosła dłoń i łowca posłusznie wstrzymał się z odpowiedzią. – Nie mów, sama zgadnę: Demon Luster wciąż tkwi w transie, bo próbuje na nowo skoncentrować rozproszoną magię i zaatakować mnie raz jeszcze?

– Albo po prostu przeholował z głębokością tego transu i nie potrafi się wybudzić. – Kruchy pokiwał głową. – To się czasem zdarza. I muszę przyznać, że ta wersja wypadków brzmi całkiem sensownie.

– Może i brzmi – przyznała szamanka, nie kryjąc niechęci. – Ale gdyby nie polityczna wojna podjazdowa, którą prowadzi przeciwko Rudej, Chmielarz nie zdyskredytowałby tak pochopnie innych, nie mniej sensownych scenariuszy. Przecież obalanie hipotez bez odpowiednich dowodów to podstawowy błąd każdego dochodzeniowca...

– Oho. – Łowca uśmiechnął się lekko i mrugnął do Idy. – Ktoś tu uważał na zajęciach z metodyki prowadzenia śledztwa. No co ja mogę ci powiedzieć, aniele? Witamy w korpo. Tutaj, jak wszędzie, gdzie trwa rywalizacja o wpływy i stołki, w pierwszej kolejności nie liczy się to, czy pomysł jest dobry. Liczy się przede wszystkim, kto na ten pomysł wpadł i komu jego realizacja może przynieść korzyści. Zresztą im bardziej Chmielarz czepia się swojej wersji, tym lepiej dla nas. Kiedy już udowodnimy, z czym tak naprawdę mamy do czynienia, krótkowzroczność i upór naszego stołecznego arcymistrza nekromancji obrócą się przeciwko niemu.

– Ale najpierw mocno uprzykrzą nam życie... – wtrąciła Ida.

– Och, bez dwóch zdań.

– ...o ile w ogóle uda nam się cokolwiek udowodnić – uzupełniła z westchnieniem, rozburzając dłonią loki. – Wolałabym oczywiście,

żeby rozumny byt pofrunął sobie precz w siną dal, i to taką najdalszą z dalekich, ale jeśli szybko nie objawi jakoś swojej obecności, to nasz szczywany plan pójdzie się bujać. Tyle że to objawienie...

– Najprawdopodobniej będzie oznaczać trupy – dokończył za nią Kruchy. – Teraz wiesz, co czują policjanci ścigający seryjniaków, kiedy śledztwo utyka w martwym punkcie i jedyną nadzieją na podjęcie tropu są ślady na nowym miejscu zbrodni. Musisz złapać gościa, żeby nie zabijał, ale żeby go złapać, on musi zabić. Ot, paradoks.

Zamilkli, popijając herbatę i gapiąc się w bezużyteczne stosy papierzysk po drugiej stronie stołu. Szamanka знаła Kruchego wystarczająco dobrze, aby podejrzewać, że jeszcze nie wyjawiał jej wszystkiego, ale ponieważ czasomierz piekarnika odezwał się naraz przenikliwym pikaniem, postanowiła chwilowo wstrzymać się z pytaniami. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że głodnego łowcę znacznie trudniej jest skłonić do mówienia. Przyglądała się więc bez słowa, jak nakłada zapiekanekę na talerze i grzebie w szufladzie w poszukiwaniu sztuczków.

Kruchy wcinał z takim zapałem, jakby od tygodnia nie miał niczego w ustach, Ida jadła z rozsądku, ale bez apetytu. Kiedy od niechcenia gmerała widelcem w warzywach zatopionych w serze pleśniowym, mozzarelli i fecie, jej uwagę przykuł rozświetlony wyświetlacz komórki, która wibrowała bezgłośnie na otwartej księdze Tekli. Zanim ekran zgasł, szamanka zdążyła odczytać nazwisko Smoczyńskiego oraz powiadomienie o pięciu nieodebranych połączeniach. Łowca również musiał je dostrzec, bo zastygł na moment z widelcem w połowie drogi do ust.

Ida poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Nie przypuszczała, żeby rozpaczliwie uczepiony normalności policjant wydzwaniał do niej teraz, w niedzielne popołudnie, żeby wypytać o sprawę samospalenia, którą dopiero co z taką gorliwością przekazał w ręce WON-u. Ale kto wie, może ciekawość wygrała u niego jednak ze zdrowym rozsądkiem, a ona niepotrzebnie spodziewała się najgorszego?

Oddała łowcy resztę swojej porcji i pośpiesznie sięgnęła po telefon. Odblokowała go akurat w chwili, gdy ciągnąca na oparach

bateria, obdarzona najwyraźniej wyjątkowym wyczuciem dramatyizmu albo zwykłą złośliwością rzeczy martwych, postanowiła ostentacyjnie paść trupem. Ida zakłęła z cicha, wcisnęła wyłączoną komórkę do kieszeni bluzy i rozpoczęła mozolne poszukiwania ładowarki pod stertami dokumentów. Kruchy tymczasem spokojnie dojadł zapiekanke, popił herbatą, po czym zabrał się do zmywania.

– À propos Smoka – przemówił podniesionym głosem, by przekrzyczeć szum wody. – Ten garażowy pożar okazał się jeszcze bardziej niezwykły, niż sądziłaś.

Ida spojrzała na łowcę znad rozpirzonych papierów.

– Jest już ekspertyza?

– Na razie bardzo wstępne i bardzo nieoficjalne wnioski, ale parę faktów zdołaliśmy już ustalić. Po pierwsze, rytualna czarna magia. – Kruchy zakręcił kran, wytarł dłonie w ściereczkę do naczyń. – Co do tego, że ogień był nadprzyrodzony i że ktoś w nim zginął, nasz medyk sądowy nie ma żadnych wątpliwości. Specjalistom od spektroskopii zakłęć udało się częściowo rozpracować algorytm rzuconych w garażu czarów i wszystko wskazuje na samobójczy rytuał ofiarny nieznanego autorstwa. Technicy znaleźli w garażu i zabezpieczyli niezwykle silną aurę. A fakt, że tak wielki wybuch energii nie został wykryty przez żaden z naszych czujników alarmowych w okolicy, świadczy o cholernie wysublimowanym kamuflażu. Czyli ktoś, kto dokonał tam samospalenia, musiał być naprawdę potężnym, świetnie wyszkolonym i bardzo doświadczonego magiem.

Ida zastanawiała się nad tym przez chwilę, szeleszcząc kartkami, które przekładała machinalnie z jednej kupki na drugą, jakby zapomniała, po co właściwie to robi. A potem wyprostowała się raptownie, zdmuchnęła włosy z czoła i pokręciła głową.

– Ten, kto tam zginął, nie chciał umierać – oznajmiła z całą stanowczością. – Echo śmierci jest w tym garażu tak wyraźne, że na moment nie tyle nawiązałam kontakt, ile *stałam się* tym nieszczęśnikiem. Nie spotkałam wcześniej równie silnego echa, nawet nie musiałam niczego dotykać. I powtarzam: to nie była dobrowolna śmierć.

– Ty tu jesteś ekspertką, twoje słowo jest dla mnie faktem.



– Udało się odkryć tożsamość tej kupki popiołu?

– Medyk jest w trakcie identyfikowania szczątków. – Kruchy rozsiadł się wygodnie na krześle i duszkiem dopił resztę herbaty. – Jeśli gość figuruje w naszej bazie danych, z pewnością go namierzemy. Ale za to w międzyczasie ustaliliśmy, że właścicielem garażu był Piotr Jaworski, dwudziestosiedmioletni domorosły czarownik, który ma u nas całkiem pokaźną kartotekę. I teraz uważaj, bo tu robi się jeszcze ciekawiej. Otóż chłopak nie był szczególnie zdolny, za to dość znany w magicznym półświatku, głównie dzięki częstym zakupom na czarnym rynku zakazanych i nieatestowanych artefaktów. Ze względu na ograniczone talenty musiał korzystać z rozmaitych wzmacniaczy, w które z braku odpowiedniej licencji zaopatrywał się nielegalnymi kanałami. Ale nawet wzmacniacze nie zapewniłyby mu tak potężnej energii magicznej, jaka wywołała ten bez wątpienia nadprzyrodzony pożar.

– Ha. – Ida zmarszczyła brwi. – A Jaworski...

– Zniknął jak sen złoty.

– Przypadek?

– Nie sądzę.

– Po twojej minie – odezwała się po długim milczeniu, metodycznie odstawiając coraz większą część blatu i układając dokumenty w coraz wyższe stosy, które coraz bardziej groziły malowniczym zawaleniem – poznaję, że to nie koniec niespodzianek.

Łowca dla większego efektu przedłużał milczenie, a Ida przekornie starała się nie dać mu tej satysfakcji i nie okazywać rosnącej ciekawości.

– Medyk wysłał mi dziś rano esemesa – powiedział wreszcie, uważnie obserwując twarz dziewczyny. – Nie jest w stanie jednoznacznie orzec, czy czarnomagiczny ogień był bezpośrednią przyczyną śmierci „ze względu na niespotykaną sygnaturę nadprzyrodzonej energii”, odcisniętą w każdej drobinie naszej kupki popiołu.

Szamanka zamarła nad stołem z księgą Tekli w jednej ręce i plikiem akt w drugiej.

– To samo powiedział o Robercie i Marysi – wyszeptała z szeroko

otwartymi oczami, czując nagle podniecenie. – Czyżby to nasza rozumna istota...? – Zerknęła na łowcę i jej zapał momentalnie ostygł. – Porównaliście już obie „niespotykane sygnatury” – stwierdziła, nie zapytała.

– Sprawdziliśmy.

– I nie pasują do siebie – odgadnęła.

– Nie pasują. Badania wykazały zaledwie dziewięć procent zbieżności. Tyle co nic.

– Czekaj, czekaj... – Szamanka z trzaskiem odrzuciła tomiszczę na stół, a potraktowany podobnie plik dokumentów szurnął po blacie. Kilka luźnych kartek wyslizgnęło się z tekturowych teczek i z szelestem sfrunęło na podłogę. – Anonim leżał na stosie ofiarnym – zaczęła wyliczać, odginając palce i ledwo nadążając z ubieraniem rozpędzonych myśli w słowa. – Pech złożył się w ofierze. To samospalenie było częścią ofiarnego rytuału. Zarówno w ogrodzie Kusiciela, jak i w garażu Jaworskiego znaleziono nietypowe aury. Mój pomniejszy demon i ten kiepskawy czarodziej dostali obaj ogromny zastrzyk mocy... To przecież nie może być zwykły zbieg okoliczności, Kruchy. Nie mam pojęcia jak, ale te dwie sprawy muszą być ze sobą powiązane.

Łowca uśmiechnął się z aprobatą, jakby Ida zaliczyła właśnie jakiś test, po czym wyjął z kieszeni papierosy. Zapalił, zaciągnął się głęboko.

– Tam, gdzie dochodzi do tajemniczych zgonów, nie ma miejsca na zbiegi okoliczności – zgodził się, wypuszczając z ust szaroniebieską chmurę. – Ani chybi kroi się nam jakaś grubsza afera. I to chyba dobry moment, żeby wreszcie sprawdzić, czego chciał Smoczyński.

Przez te wszystkie rewelacje Ida całkiem zapomniała o policjancie i uśmierconym telefonie. Podjęła poszukiwania z taką werwą, że kilka dopiero co starannie ułożonych stosików rozsypało się po stole, tworząc bezładne papierowe wydmy. W końcu wygrzebała ładowarkę spomiędzy okładek grubego woluminu Tekli traktującego o metodach odnajdywania zbłąkanych dusz (ostatniego, do którego zajrzała, ma się rozumieć), po czym prędko podłączyła komórkę do prądu. Czekała niecierpliwie, aż bateria pożre dostateczną ilość energii i raczy

łaskawie zmartwychwstać. Gdy tylko na wyświetlaczu pojawiło się logo operatora, a zaraz po nim prośba o PIN, Ida wstukała kombinację, sprawdziła rejestr połączeń i esemesów. Pięć nieodebranych, trzy powiadomienia z poczty głosowej, żadnych wiadomości. Odsłuchanie nagrań z poczty nie przyniosło żadnych odpowiedzi, policjant za każdym razem rozłączał się bez słowa. Szamanka wybrała jego numer i przez nieznośnie długie sekundy wsłuchiwała się w sygnał nawiązywanego połączenia. Wreszcie Smoczyński odebrał.

– Chyba mam dla was kolejną sprawę – powiedział bez zbędnych wstępów, a ton jego głosu zdradzał pewne zdenerwowanie.

– Gdzie?

– W twojej okolicy, na Biskupinie, zaraz wyślę ci adres. Przyjedziesz od razu? Jestem już na miejscu.

– Będę za kilka minut.

Zakończyli rozmowę tak, jak ją zaczęli, nie zwracając sobie głowy grzecznościowymi formułkami.

– Nowy trup, gdzieś niedaleko... – poinformowała Kruchego i zerknęła na telefon, który zawibrował rytmicznie w jej dłoni. – Stefczyka pięćdziesiąt sześć – odczytała wiadomość.

Łowca zgasił papierosa pod kranem, cisnął niedopałkiem do kosza pod zlewem, sięgnął po plecak i kurtkę. Ida wrzuciła do torby telefon razem z ładowarką, po czym z nieprzyjemnym ukłuciem w sercu podeszła do okna. Pogłaskała posapującego ciężko Gryzaka, lecz koszmarek w żaden sposób nie dał znać, że cokolwiek poczuł. Nie poruszył się, nie zamruczał, w dotyku wydawał się dużo bardziej kościsty i chłodniejszy niż zwykle. Koci granatowy języczek zwisał mu głupawo z półotwartego pyszczka, co w innych okolicznościach stanowiłoby całkiem zabawny widok.

Zmartwiona dziewczyna przeniosła wzrok na hiacynty od Kornelii, które przeżyły się dumnie w stojącej obok masywnej donicy i roztaczały wokół intensywną, upajającą woń. Wesóły róż płatków wydawał się tu całkiem nie na miejscu, tak silnie kontrastował z jesienną aurą za oknem, z widmem dziwnej choroby wiszącym nad biednym łapaczem i z kolejną tajemniczą śmiercią, z jaką już za

chwile przyjdzie im się zmierzyć. Pod wpływem nagłego impulsu szamanka pochyliła się, wsadziła nos w grono drobnych kwiatków i głęboko nabrała powietrza, jak gdyby próbowała nasycić swoje ciało ich kojącym zapachem, zaczerpnąć z nich choć odrobinę życia, uszczknąć trochę tej radosnej beztroski. Ot, dla odmiany. Dla równowagi.

Kruchy przyglądał się temu bez słowa, oparty plecami o framugę drzwi. A potem wyszli razem w deszczową szaroburość październikowego wieczoru.

I ani łowca, ani szamanka nie zobaczyli, jak osowiały dotąd łapacz raptem unosi łeb, otwiera szeroko wielkie ślepia i wbija wygłodniały wzrok w stojące obok kwiaty. Płatki jednego z siedmiu hiacyntów ściemniały nagle pod wpływem tego spojrzenia, jak gdyby zalała je czerń Gryzakowych źrenic, po czym zmarszczyły się i pozwijały z przeciągłym chrzęstem niby płonący papier. Już chwilę później uschnięta roślina zawisała bezwładnie na brzegu doniczki.

## Rozdział ósmy

Kruchy zatrzymał terenówkę na końcu cichej, sennej uliczki, w szpalerze szeregówek w pastelowych kolorach, bezlistnych drzewek owocowych, brzoź i żywopłotów oraz wiecznie zielonych iglaków. Blask latarni rozlewał się pomarańczową migotanią po mokrym asfalcie i kostkach chodnika, tańczył na powierzchniach kałuż, które drżały delikatnie pod kroplami niemrawego deszczu. Ciemne chmury kotłowały się zaciekle tuż ponad niskimi dachami, a zimny, porywisty wiatr wyszarpywał ostatnie liście z niemal już całkiem ogołoconych gałęzi, kołyszących się do jego taktu w iście upiornym walcu.

Numer pięćdziesiąt sześć nie wyróżniał się niczym szczególnym od pozostałych domów przy tej ulicy: kremowa elewacja, bladoczerwona dachówka, brązowe drzwi i ramy okien, ceglane schodki prowadzące do zadaszonego ganku otulonego całorocznym bluszczem, cztery niziutkie tuje zasadzone wzdłuż stopni, podjazd wyłożony drobnym brukiem. I żadnych widocznych gołym okiem oznak, że w środku doszło do jakiegokolwiek tragedii. Szamanka i łowca przez jakiś czas obserwowali dom, wsłuchani w pojękiwanie wichru, skrzywienie rozbujanych konarów, miarowe rzępolenie samochodowych wycieraczek. Przez wąską szybkę z przydymionego szkła w drzwiach frontowych dostrzegli palące się w przedpokoju światło i zarys przestępującej z nogi na nogę męskiej sylwetki.

Gdy wysiedli z samochodu, przemykający chodnikiem kot zatrzymał się raptownie kilka kroków przed nimi. Wygiął grzbiet w ostry łuk, nastroszył przemoczoną sierść. Zasyczał, obnażając kielki i pobłyskując w półmroku żółtymi ślepiami, po czym prysnął w krzaki.

Ida i Kruchy zerknęli na siebie. Zgodnie wzruszyli ramionami.

Smoczyński musiał zauważyć ich przez szybę w drzwiach, bo wyszedł przed dom, pomachał im krótko na powitanie. On i łowca znali się jak dotąd jedynie ze słyszenia, lecz szamanka nie musiała

dokonywać prezentacji – szybko wymienili nazwiska oraz mocny uścisk dłoni, a kilka hermetycznych żartów rzuconych przez Kruchego pod adresem nadkomisarza Poniedziałka natychmiast przełamało pierwsze lody.

Podczas gdy ci dwaj wymieniali anegdotki, Ida wygrzebała z torby amulet i położyła go na wycieracze. Po blisko minucie kryształ nadal nie zmienił barwy, jedynie zatlił się bladymi, mlecznymi iskrami. Przyciągnięty jej pytającym spojrzeniem łowca skinął głową na znak, że on również nie wyczuł tu żadnej aktywnej magii, tylko resztki stygnących zaklęć. Smoczyński, który wodził niespokojnym wzrokiem między znanym mu już amuletem a twarzami towarzyszy, dostrzegł to skinięcie i wycofał się prędko z powrotem za próg. Gestem dał im znać, by podążali za nim.

– Kolejny dziwaczny pożar – oznajmił, prowadząc ich w głąb domu.

Kinkiety, które wyrastały tu i ówdzie z boazerii niczym mosiężne gałązki o pąkach z przydymionych żarówek, były zapalone, lecz dawały bardzo niewiele światła. Ida ledwo rozpoznała własne odbicie w lustrze wiszącym między wieszakiem na kurtki a półką na buty. Dopiero gdy coś zaszeleściło pod ich stopami, zauważyła, że przedpokój, korytarz i prowadzące na piętro schody wyłożono przezroczystą folią malarską.

– Zawiadomiła nas wnuczka właścicielki mieszkania – referował dalej policjant, gdy mijali zagracony bibelotami salonik oraz długą, wąską kuchnię oddzieloną od korytarza zasłoną z drewnianych koralików. – Dyżurny, który przyjął zgłoszenie, zgodnie z rozkazami nadkomisarza skontaktował ją ze mną, gdy tylko wspomniała o częściowo spalonym pokoju. Nie robiliśmy oficjalnych oględzin. Poniedziałek kazał mi osobiście ocenić sytuację, a w razie, gdybym faktycznie zauważył coś... niezwykłego, od razu dzwonić po was. Nie chciałem wam tu niczego zdeptać, więc przytachałem tę folię. Niedawno robiłem remont w chałupie, zostało mi kilka rolek...

– Jak nazywa się właścicielka? – spytał Kruchy.

– Barbara Sziler.

– Sziler? – W głosie łowcy coś nieprzyjemnie zgrzytnęło, szelest

jego kroków umilkł raptownie.

– Zgadza się. A co?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Smoczyński zerknął przez ramię na Iłę, a ona obejrzała się na Kruchego. Został kilka kroków w tyle, lecz nawet tego nie zauważył. Stał pośrodku korytarza z zaciśniętymi pięściami, nieruchomy jak woskowa figura. W wątłym, ciemnopomarańczowym świetle jego szeroko otwarte oczy zdawały się ogromne i niemal zupełnie czarne, dwie puste dziury ziejące w nagiej czaszce...

Szamanka wstrzymała powietrze. Jedno szybkie spojrzenie na Smoczyńskiego i już wiedziała, że nie dostrzegął tego co ona. Nie było to zwykłe przywidzenie, nie żadna przypadkowa gra światła i cienia, lecz znak. Zły omen. Ostrzeżenie.

Skóra jej ścierpła na samą myśl o tym, co mogło oznaczać.

Wizja trwała zaledwie kilka uderzeń serca, lecz zdawało się, że upłynęły całe minuty, zanim Kruchy ocknął się nagle niby ze snu. Przesunął dłonią po twarzy i znowu był sobą, jak gdyby tym szybkim ruchem zdjął własną pośmiertną maskę.

Napotkał pytający wzrok dziewczyny i wolno pokręcił głową.

– Zdaje się, że znam to nazwisko – mruknął raczej do siebie niż do niej. – Ale nie mogę sobie przypomnieć skąd...

Nie uwierzyła mu, ale nie powiedziała nic, tylko odwróciła się i ruszyła dalej za policjantem. Po chwili usłyszała, jak łowca ich dogania, i nie spodobał jej się jego płytki, nierówny oddech.

Coś było nie tak. A nawet gorzej.

W milczeniu okrążyli strome schody o stopniach z wyślizganych desek i poręczach, w których brakowało kilku szczebli, po czym zatrzymali się na końcu korytarza przed uchylonymi drzwiami.

– Nie wchodziłem tam jeszcze – powiedział Smoczyński, odruchowo zniżając głos. – Zajrzałem tylko, z całą resztą wolałem poczekać na was.

Pchnął drzwi czubkiem buta, przetoczył rolkę z folią przez wysoki drewniany próg, a następnie wyprostował się i kopnięciem rozwinął ją przed nimi niczym czerwony dywan.

Włożywszy rękawiczki, wkroczyli gęsiego po foliowej ścieżce do

niewielkiego pomieszczenia, które sądząc po ustawionym pod oknem staroświeckim sekretarzyku oraz mnogości piętrzących się wszędzie książek, służyło za gabinet albo biblioteczkę. Charakterystyczną woń starego papieru i kurzu, jakiej można by spodziewać się w takim miejscu, całkowicie zdominował ostry zapach spalenizny. Światło padające z kinkietów, podobnie jak to w korytarzu, było bardzo słabe, miało raczej robić odpowiedni nastrój, niż służyć do czytania, dlatego minęło parę długich sekund, zanim rozglądająca się niepewnie szamanka dostrzegła szeroką plamę czerni pośrodku ciemnobrązowego parkietu.

Już chciała wskazać ją Kruchemu, ale sam zauważył. Wydobył z plecaka dwie latarki, Smoczyński wyjął swoją z wewnętrznej kieszeni kurtki i po chwili trzy kręgi niebieskawego światła spoczęły na dnie wypalonej w podłodze dziury. Ogień nie strawił tu do szczeru jedynie dwóch lekko nadpalonych klepek, które obrysowane sadzą, popiołem oraz zwęglonym drewnem miały wyraźny kształt bosych stóp. Jak w garażu, tak i tutaj płomienie napotkały bez wątpienia magiczną przeszkodę i nie rozprzestrzeniły się na resztę domu ani nawet pokoju. A przecież miały na czym ucztować: parkiet, meble, wszechobecna boazeria, regały i półki, książki i czasopisma, drzwi i framugi, firany, zasłony, ususzone polne kwiaty w wiklinowych koszach ustawionych po obu stronach kominka, pełnego równo przyciętych szczap... Powtarzający się wzór zbrodni był tak oczywisty, że ani szamanka, ani łowca, ani policjant nie widzieli potrzeby, by mówić o tym na głos, popatrzyli więc tylko po sobie w milczącej zgodzie.

Przez smród spalenizny wyraźnie przebijał się słonawy, metaliczny zapach i Ida była przekonana, że gdyby otworzyła swoje Oko, znów ujrzałaby ściany ociekające czarną jak smoła, widmową krwią. Tym razem oszczędziła sobie jednak tego widoku. Wystarczyło, że na moment przymknęła powieki, i do jej uszu natychmiast dobiegł odległy krzyk płonącej żywcem kobiety.

– Sąsiedzi nie słyszeli niczego niepokojącego? – spytała policjanta.

– Nie. Zastanawiające, prawda?

I to bardzo. Ida była więcej niż pewna, że taki wrzask dałby się



słyszeć na drugim końcu ulicy.

Obróciła się powoli wokół własnej osi, lustrując cały pokój. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że jedynym śladem po pożarze, nie licząc wypalonej podłogi, był nieznacznie osmolony sufit. I ledwo Ida dopisała to w myślach do listy podobieństw, plama światła, za którą podążał jej wzrok, zahaczyła o ciemniejszy kleks rozlany po ścianie i parkiecie w przeciwległym rogu gabinetu. Szamanka wycelowwała latarkę w tamto miejsce, po czym klepnęła Kruchego w ramię. Podeszli bliżej, a zwabiony tym manewrem Smoczyński zaraz do nich dołączył.

Z uwagą obejrzelili resztki desek i papieru, kawałki skórzanych okładek oraz połyskliwe kałuże roztopionego szkła. Zarówno po szczątkach, jak i jaśniejszym zarysie na ścianie powyżej dało się poznać, że patrzą na pozostałości niewysokiej gablotki, w której trzymano za szybą kilka godnych wyeksponowania ksiąg. Tuż obok zgliszczy stał wazon pełen suchych jak pieprz ozdobnych traw, lecz nie spłonęło ani jedno źdźbło.

– To nie żaden magiczny rykoszet – stwierdził oczywiście policjant, a Idę zaskoczyło nieco, że nie udławił się ani nawet nie zająknął, wymawiając przedostatnie słowo. – Ktoś to spalił celowo i precyzyjnie – ciągnął, przepatrując z uwagą maleńkie pogorzeliśko. – Ciekawe, co takiego nasz seryjny samobójca posłał do grobu wraz z Barbarą Sziler... Czy raczej – chrząknął – do urny. Bo chyba wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że nie obyło się bez udziału osób trzecich?

– Istot – poprawiła machinalnie Ida.

– Co?

– Istot trzecich – wyjaśnił Kruchy. – Ewentualnym mordercą wcale nie musi być człowiek.

Przetrawiwszy sobie te słowa w ciszy i skupieniu, Smoczyński nie uznał za celowe ani ich komentować, ani tym bardziej zadawać dalszych pytań.

– Może sama nam powie, co tu się wydarzyło. – Szamanka usiadła po turecku tam, gdzie stała, po czym sięgnęła do torby. – Spróbuję ją przywołać – oznajmiła, wyjmując grubą świecę koloru czerwonego

wina i paczkę zapalek. – Bądźcie przez chwilę cicho.

Smoczyński przyglądał się sceptycznie, jak Ida stawia świecę na podłodze przed sobą, zapala knot, chowa zużytą zapalną z powrotem do pudełka. W jej gestach ani wyrazie twarzy nie znalazł tego, czego się spodziewał i na co po cichu liczył: ani śladu wystudiowanego namaszczenia, ani odrobiny teatralnej ostentacji, jakie widywał u bez mała wszystkich pseudojasnowidzów angażowanych do pomocy w śledztwach przez jego zdesperowanych kolegów z policji. Szkoda... Bo gdyby szamanka dała mu choć najmniejszy powód do drwin, nie musiałby teraz oswajać się z faktem, że bynajmniej niczego nie udawała i naprawdę zamierzała rozmawiać z duchami.

Przez jakiś czas siedziała z dłońmi na kolanach, zapatrzona w płomyk, a kiedy ten splunął chmurą iskier i dymu, zamknęła powieki. Upłynęła kolejna minuta i nadal nic się nie działo, tylko świeca poszeptywała i parskała cichutko, hipnotycznie. A potem oddech szamanki ni stąd, ni zowąd zamienił się w parę, włosy i policzki zaiskrzyły od szronu, skóra przybrała sinawy, trupi kolor. Policjant wytrzeszczył oczy, zrobił ruch, jakby chciał się cofnąć. Kruchy był szybszy, położył mu rękę na ramieniu, przytrzymał w miejscu.

– Spokój – nakazał szeptem. – Żadnych gwałtownych ruchów, bo ją zdekoncentrujesz.

– A co ona...

– Wypłynęła z ciała, żeby zwiększyć szansę na kontakt.

Smoczyński przełknął ślinę, gapiąc się na szamanę tak, jakby sam właśnie zobaczył ducha.

– Wypłynęła – powtórzył głucho. – Z ciała.

– Dobrze słyszałeś.

– Ale...

– Zamilcz, proszę.

Ciszę, jaka zapadła, przerywało jedynie dzwonienie deszczu o szyby, skwierczenie knotu i ledwo uchwytnie poszeptywanie ognika, który trzepotał nerwowo na niewyczuwalnym wietrze. Smoczyński był gotów przysiąc, że przyczajone w zakamarkach cienie poruszyły się i urosły raptownie, a gdy tylko uniósł głowę, czmychnęły

w popłochu i skryły się pod meblami. Niemal słyszał, jak szemrzą między sobą, wiedział, że tylko czekają, aż odwróci wzrok. Odwrócił go czym prędzej, a one, zamiast uciekać od blasku płomienia, naparły nań ze wszystkich stron, otaczając całą trójkę pierścieniem nieprzejrzanego mroku.

Świeca płakała gorącym woskiem, dym ulatywał pod sufit wąską, leniwą strużką. I naraz opadł z powrotem, zgęstniał, zawirował, zakipiał niczym wrząca ciesz, by na koniec przybrać kształt szeroko rozwartych ust. Zanim Smoczyński pojawił, na co właściwie patrzy, po pokoju rozeszło się echo huczących płomieni oraz dzikiego wrzasku, w którym prócz niewyobrażalnego przerażenia i bólu nie było nic ludzkiego.

– Rany boskie... – Policjant aż się zachłysnął.

– Ćśśś.

Krzyk urwał się gwałtownie, a trzask ognia rozpląnął wśród szumu ulewy za oknem. Utkane z dymu wargi rozciągnęły się w szerokim, drapieżnym uśmiechu, po czym rozwiały w bezkształtny obłok i znikły jak zły sen.

Głowa opadła szamance na ramię, dłonie bezwładnie ześlizgnęły się z kolan. Roztopiony szron kapał z czarnych włosów na folię, spływał po białych policzkach, maleńkie krople drżały na końcach rzęs niczym łzy. Minęło kilkanaście sekund, a Ida wciąż się nie poruszyła, nadal nie otwierała oczu. Kruchy przyklęknął obok, żeby zgasić świecę i tym samym przerwać trans, ale nie zdążył. Jakby wyczuwszy jego obecność, dziewczyna drgnęła, uniosła powieki. Zamrugła powoli, z trudem ogniskując wzrok.

– W porządku? – spytał łowca, gdy popatrzyła na niego nieco przytomniej.

– Chyba tak... – wymamrotała. Otarła twarz rękawem, potrząsnęła włosami i wzdrygnęła się, gdy trochę zimnej wody wpłynęło jej za kołnierz. – Ale ten wrzask... – Skuliła ramiona na samo wspomnienie. – Słyszeliście? – Właściwie nie musiała pytać. Biała jak papier twarz Smoczyńskiego powiedziała jej wszystko.

– Bardzo wyraźnie. – Kruchy podał dziewczynie rękę i pomógł jej wstać. – Co to znaczy?

– Dobre pytanie. – Zawinęła stygnącą świecę w lnianą szmatkę i schowała do torby razem z zapalkami. – Już drugi raz robię za międzywymiarowy przekaźnik i nie mam pojęcia dlaczego. Nie powinniście słyszeć tego co ja. Cholernie podejrzana sprawa.

– A... Sziler? – W głosie Kruchego po raz drugi zadźwięczała stal, gdy wymówił to nazwisko, a niejasny lęk znów ścisnął Idę w dołku.

– Nie odpowiada. – Szamanka zapięła kurtkę pod samą brodę, owinęła szyję szalem, zatarła skostniałe dłonie. – Echo jest tu równie silne jak w garażu Jaworskiego, ale w ogóle nie wyczułam obecności duszy. Tylko samą śmierć. Nic poza tym.

– W garażu też próbowałeś rozmawiać z ofiarą? – zapytał słabo policjant, zanim zdołał się powstrzymać. Bo przecież obiecał sobie, że nie będzie brał czynnego udziału w tym szaleństwie, a o wszystkim, co tu zobaczył i usłyszał, zapomni jak najprędzej, dla własnego dobra. – Nie przypominam sobie, żebyś...

– Nie, wtedy byłam na to zbyt otumaniona lekami. Muszę tam wrócić i dopełnić formalności, ale głowę dam, że rezultat będzie taki sam jak tutaj. Ich... – zawahała się. Popatrzyła Kruchemu w oczy. – Ich po prostu już nie ma. Ani po naszej, ani po tamtej stronie. Tak jak Roberta.

Łowca pojął w lot, co miała na myśli. Smoczyński nie rozumiał prawie nic, ale nie odważył się dalej drążyć tematu.

– Wzywam techników. – Kruchy wyjął komórkę z kieszeni, pośpiesznie wybrał numer. – A my wychodzimy – zarządził, czekając na połączenie. – Szerszeń nie znosi, gdy mu się łązi po miejscu zbrodni. Ale nie bój nic, Smoku, z góry zapunktowałeś u niego tą folią... – urwał, gdy ze słuchawki dobiegło ostre i raczej mało zachęcające: „No?”. – Też się cieszę, że cię słyszę, staruszkule – rzucił swobodnie do telefonu, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Ida i wciąż lekko skołowany policjant podążyli jego śladem. – Mam nadzieję, że się nudzisz śmiertelnie w ten deszczowy niedzielny wieczór, bo po drugiej stronie miasta czeka na ciebie moc niezapomnianych atrakcji...

Wyszli przed dom. Padało coraz mocniej, stanęli więc pod daszkiem na ganku, aby odetchnąć świeżym powietrzem i pozbyć się

smrodu spalenizny, którym przesiąkli na wskroś, aż swędziała ich skóra. Łowca wciąż rozmawiał przez telefon z szefem sekcji techników. Smoczyński gapił się na rzygającą wodą rynną z taką miną, jakby sam z najwyższym trudem powstrzymywał mdłości. Szamanka obserwowała Kruchego kątem oka i zachodziła w głowę, z jakiego powodu nie przyznał wprost, że wie doskonale, kim jest Barbara Sziler, dlaczego skłamał. Czy zrobił to po raz pierwszy, czy zrobi to znowu, czy aby na pewno mogła mu ufać, czy...

Nagle łowca odwrócił głowę, jakby przyciągnięty jej badawczym spojrzeniem, a ona speszyła się nieco, że ją przyłapał. Odsunął od ucha burzącą gniewnie komórkę, demonstracyjnie przewrócił oczami, westchnął z udawaną udręką. A Ida po prostu nie mogła się nie uśmiechnąć.

I znów, na krótką chwilę, wszystko było dobrze.

Pół godziny później przekazali miejsce zbrodni w ręce Szerszenia i naburmuszonego prokuratora, po czym ruszyli do swoich samochodów. Smoczyński jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, ale na pożegnanie z własnej inicjatywy zapewnił, że będzie dawał im cynk o kolejnych zdarzeniach noszących znamiona szeroko pojętej nadprzyrodzoności. Szamanka zrewanżowała się propozycją informowania go na bieżąco o postępach w śledztwie, lecz perspektywa zagłębiania się w ten jeszcze nieoswojony świat uruchomiła wszystkie jego mechanizmy obronne, dlatego pośpiesznie i nieco opryskliwie odmówił. Jednak wskoczywszy za kierownicę, jeszcze raz zerknął na dom Barbary Sziler, a w jego czujnych oczach Ida dostrzegła iskry palącej ciekawości. Wcześniej niż on sam zrozumiała, że połknął bakcyła i już nic w jego życiu nie będzie normalne. A ponieważ niegdyś przechodziła przez to samo, doskonale potrafiła wyobrazić sobie, co policjant poczuje w chwili, gdy ta nieodwracalna zmiana wreszcie do niego dotrze. Już teraz zaczęła szczerze mu współczuć, aczkolwiek nie bez odrobiny zjadliwej satysfakcji.

Ida i Kruchy wsiedli do terenówki. Przez jakiś czas odprowadzali wzrokiem samochód Smoczyńskiego, dopóki czerwone punkciki jego tylnych świateł nie zniknęły za ciemną kurtyną ulewnego deszczu.

Łowca odpalił silnik i już miał ruszyć z miejsca, kiedy nagle oślepiły ich reflektory nadjeżdżającego pojazdu. Oboje z szamanką obserwowali w milczeniu, jak czarny van na warszawskich rejestracjach sunie majestatycznie ulicą Stefczyka, po czym zatrzymuje się przed drzwiami z numerem pięćdziesiąt sześć. Na widok nekromanty Łukasza Chmielarza, który chwilę potem wysiadł na chodnik i w otoczeniu swojej wiernej świty skierował się do domu Barbary Sziler, Kruchy uniósł brwi, a Ida zakłęła pod nosem.

– A ten tu czego? – burknęła podejrzliwie.

– Cóż, być może jednak źle go oceniliśmy. – Łowca w zamyśleniu postukał palcami w kierownicę. – Najwyraźniej Łuk także doszedł do wniosku, że timing tych samospaleń jest więcej niż zastanawiający, i postanowił osobiście zbadać miejsca zbrodni. Założę się, że garaż Jaworskiego też już odwiedził. Zapewne szuka śladów mocy sterowanej przez Kusiciela...

– Hmm. – Szamanka zmarszczyła czoło, skubiąc wargami kosmyk włosów. – Karewicz karmił swoje demoniczne drzewo duszami czarownic – powiedziała wolno – a dusze czarodziejów uprowadzał do lustrzanych piekieł. Destrukcja ciał w nadprzyrodzonych płomieniach to zupełnie inny modus operandi, ale pożeranie duchów wykazuje już spore podobieństwo do zbrodni Demona Luster. Cokolwiek Łuk tu znajdzie, może jeszcze bardziej utwierdzić się w przekonaniu, że pogrążony w transie Kusiciel wcale nie przestał mordować...

– A to już jego problem.

– I mój też – zauważyła ponuro. – Jeśli spróbuje odsunąć mnie także od sprawy samospaleń, to słowo daję, rzucam tę robotę i otwieram własny biznes.

– Prywatny detektyw do spraw pośmiertnych? – strzelił łowca. – Brzmi nieźle.

Łypnęła na niego spode łba.

– Nabijasz się?

– Tylko troszeczkę. A poważnie, mam kumpla, który przygotowuje do egzaminów na licencję detektywa. Powiedz tylko słowo.

– Jeszcze chwila i pomyślę, że ty też chcesz się mnie pozbyć.

– Nie dramatyzuj. Uważam po prostu, że prywatne biuro śledcze to całkiem ciekawa alternatywa. Więcej papierkowej roboty, za to koniec z wewnątrz korporacyjną grą o tron.

– Coś w tym jest... – stwierdziła po chwili. – Masz ochotę zostać moim wspólnikiem?

Kruchy uśmiechnął się pod nosem.

– Pomyślimy.

Wycofał kawałek, zakreślił kierownicą, zjechał łagodnie z chodnika na jezdnię. Minęli vana o przyciemnianych szybach i ujrzeli Chmielarza, który rozmawiał na ganku z gestykującym energicznie Szerszeniem. Gdy przejeżdżali obok nich, nekromanta uciszył technika raptownym ruchem dłoni i ze ściągniętymi brwiami spojrzął najpierw na oddalającą się terenówkę, potem na dom Sziler. Ida obserwowała we wstecznym lusterku, jak na twarzy Chmielarza pojawia się wyraz głębokiego zdumienia.

Oddałaby wszystko, żeby móc usłyszeć teraz jego myśli.

– Kiedy będziesz gotowa do odprawienia tego swojego szamańskiego wudu? – spytał Kruchy.

Ida oderwała wzrok od lusterka. Zastanawiała się przez chwilę.

– Jeśli nie będę miała problemów ze zgromadzeniem wszystkich składników, to jutro – oszacowała ostrożnie. – Najdalej pojutrze. O ile ten obrzęd nie wymaga pełni księżyca, odpowiedniego układu planet, konkretnej pory roku czy innych bzdur... Ale podobne bajery niezwykle rzadko mają jakikolwiek wpływ na rezultat, więc spróbować już teraz i tak nie zaszkodzi.

– No i git. – Łowca dojechał do skrzyżowania, skręcił w główną ulicę i dodał gazu. – W takim razie plan na resztę wieczoru wygląda tak: ty siadasz do ksiąg i wkuwasz rytuał na blachę, ja przywiozę nam coś do jedzenia, a potem w razie konieczności skoczemy na zakupy... Albo polowanie. Tudzież szaber na cmentarzu. Zależy, jak bardzo obrzydliwych ingrediencji będziesz potrzebować. Co ty na to?

– Brzmi jak plan.

## Rozdział dziewiąty

Lało nieprzerwanie przez całą noc. Dopiero o świcie wiatr przepędził chmury, odkrywając popielaty błękit jesiennego nieba. Gęsta mgła z niemal słyszalnym szelestem pełzła ociężale wśród wilgotnych drzew, kapiące z gałęzi krople błyszcząły jak brylanty w pierwszych promieniach zimnego słońca. Dzień zapowiadał się piękny. I bardzo pracowity.

Ida odetchnęła głęboko rześkim powietrzem i spojrzała w górę, ponad czubki wynaturzonych drzew. Górujący nad ogrodem dom Demona Luster jak zwykle powitał ją z daleka niechętnym milczeniem.

I ja ciebie też, pomyślała mściwie.

Nigdy nie lubiła przychodzić do tej zbiorowej mogiły dla zmarniałych roślin, która od pierwszego wejrzenia wydawała jej się dużo bardziej ponura niż jakikolwiek inny cmentarz, a po ostatnich wydarzeniach znienawidziła to miejsce do tego stopnia, że miała przemożną chęć puścić je z dymem. Pocieszała się w duchu, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jej dzisiejsza wizyta w przeklętej posiadłości Kusiciela będzie zarazem ostatnią.

Obróciła się na pięcie, po czym szybkim krokiem ruszyła między drzewa. Gdy przedarła się przez największą gęstwinę, z ulgą skonstatowała, że biały namiot wciąż stał nad otwartym grobem i przy odrobinie szczęścia uchronił go przed deszczem. Wołała uniknąć kąpieli w lodowatym błocie, poza tym istniało niebezpieczeństwo, że rytualny wzór rozmaże się i nie zadziała, jak trzeba, jeśli usypie go na mokrej ziemi i komponenty nasiąkną wodą.

Zatrzymała się na samej krawędzi dołu, zajrzała do środka. Sucho. Wokół też. Zadowolona sięgnęła do wypchanej po brzegi torby i ułożyła składniki na uschniętej trawie – wszystkie poza ostatnim, kluczowym. Na wszelki wypadek zajrzała do Teklowej księgi, jeszcze raz przeczytała w skupieniu całą instrukcję. Upewniwszy się, że



o niczym nie zapomniała, postanowiła zacząć od Roberta, a przygotowania do obrzędu zostawić na później.

Szybko znalazła niewielką polankę, na której zginął funkcjonariusz WON-u, a jego duch został pożarty, lecz ku swojemu zaskoczeniu i rozczarowaniu nie wykryła niczego, co upodobniłoby to miejsce do domu Barbary Sziler czy garażu Piotra Jaworskiego. Aura śmierci, chociaż wyraźna i bardzo mroczna, była tutaj znacznie słabsza. Po wczorajszej wizycie na Stefczyka Ida wysnuła przypuszczenie, że niespotykane potężne echo jest powodowane destrukcją duszy, tymczasem należało je raczej przypisać owym rytualnym samospaleniom. Albo temu, co skłaniało ofiary do odebrania sobie życia w tak makabryczny sposób. Nadal zakładała, że to duchożerna istota dopadła Sziler i Jaworskiego, lecz za nic nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego w przypadku Roberta obyło się bez samobójstwa w płomieniach...

Coś jej umykało. Coś bardzo ważnego.

Łamała sobie nad tym głowę przez bitą godzinę, kręcąc się po polanie w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, niczego jednak nie znalazła i nie doszła do żadnych sensownych wniosków. Nieco zniechęcona wróciła pod namiot. Spróbowała wezwać duszę Anonima, lecz tak jak się spodziewała, jej nawoływania nie doczekały się żadnego odzewu. Było zdecydowanie za wcześnie, aby z całą stanowczością stwierdzić, że i on został pożarty. Nie znając tożsamości zmarłego i nie wiedząc nic ani o jego życiu, ani o śmierci, mogła jedynie mieć nadzieję, że sama eteryczna energia płynąca z grobu przyciągnie właściwego ducha – natomiast to, że jednak nie przyciągnęła, o niczym jeszcze nie przesądzało. Lecz i tak kolejne niepowodzenie, choć nie było bynajmniej żadną niespodzianką ani nie przekreślało jej dalszych planów, trochę popsuło szamance humor.

Zdmuchnęła świecę, wyszła na słońce. Przysiadła na zwalonym pniu nieopodal namiotu, żeby chwilę odpocząć i zebrać myśli. Napiła się kawy z termosu, zapaliła papierosa. Zegar na wyświetlaczu telefonu wskazywał ósmą czterdzieści siedem. Nie pozostało jej już nic innego, jak tylko czekać na przybycie Kruchego wraz z finalnym składnikiem, więc dla zabicia czasu zabrała się do przygotowywania

właściwej części programu. Usypała wokół grobu szeroki krąg z soli, następnie rozstawiła na nim mosiężne kadzielnice, gliniane czarki i nieodzowne świece w drewnianych lichtarzach. Wewnątrz kręgu czekała butelka z wodą z rzeki, skórzane mieszki z grudkami żywicy i ziołowym suszem, flakonik z ciemnozielonego szkła zabezpieczony lakową pieczęcią, pudełko kadzidlanych węgielków, srebrne szczypce, zapalarka do kominka oraz klepsydra z grafitowym, delikatnie opalizującym piaskiem, który przywodził na myśl drobniutkie kropelki rtęci. Na koniec szamanka oceniła na oko głębokość dołu, po czym uzbrojona w księgę i znaleziony w trawie patyk wskoczyła do środka.

Metodycznie udeptywała dno (specjalnie włożyła buty o płaskiej i gładkiej podeszwie), dopóki nie uzyskała w miarę równego klepiska. Wzór na szczęście nie był ani przesadnie skomplikowany, ani zbyt szczegółowy. Przerysowała go bez większych trudności, orząc patykiem w ubitym gruncie. Krytycznie oceniła rezultat, porównując swój szkic z ryciną w księdze, poprawiła kilka detali, wreszcie uznała, że lepiej nie będzie. Schowała wolumin, zarzuciła torbę na plecy i nie bez wysiłku zaczęła się wspinać, wbijając czubki butów w ścianę czarnej ziemi, a palce w kępy chwastów i trawy rosnące na samej krawędzi grobu.

– Tak się właśnie zastanawiałem, gdzie cię wcięło – zawołał znajomy głos, gdy wylazła na powierzchnię i padła na wznak, dysząc jak mały parowóz.

Uniosła głowę i dostrzegła Kruchego, który właśnie wychodził spomiędzy drzew. Zbliżył się i ostrożnie przekroczył solny krąg.

– Co ty tam właściwie robiłaś? – Z zaciekawieniem zajrzał do dołu i przez chwilę wpatrywał się w rysunek. – Człowiek witrwiański? – strzelił niepewnie.

– Coś w tym stylu. – Dźwignęła się na nogi. Otrzepała kurtkę i spodnie, wytarła spocone czoło wierzchem dłoni, brudząc je ziemią. – Jedna sylwetka to ciało, druga dusza, trzecia umysł. Opisuja je kwadrat, okrąg i gwiazda symbolizują odpowiednio wymiar cielesny, mentalny oraz duchowy. Imię spaja wszystkie w jeden byt. Jeśli niczego nie schrzańlam, zaraz je poznamy.

– Imię to już coś – uznał Kruchy.

– Imię jest wszystkim – sprostowała, opłukując ręce wodą mineralną. – Kodem dostępu do ciała, umysłu i duszy. Przywołasz i zniewolisz demona tylko wtedy, jeśli odkryjesz jego imię. I na odwrót, to imię człowieka pozwala demonowi go opętać i podporządkować swojej woli. Nie znając imienia, medium nie może wezwać właściwego ducha... I tak dalej, i tak dalej. – Wyjęła z kieszeni kolejną część rytualnego ekwipunku: rękawiczki Tekli z miękkiej, jasnobrązowej skórki, w której wypalono przypominające runy znaki ochronne. Wsunęła je na dłonie. – To właśnie z tego powodu niegdyś, przed wiekami, nadawano dzieciom imiona zastępcze – podjęła, kilkakrotnie zginając i prostując palce. Rękawiczki leżały jak ulał, nie krępowały ruchów. – Tymczasowe przydomki, takie jak Kamyk, Rzemyk, Niemoj albo Nielub, strzegły je od złego od dnia narodzin aż do obrzędu wiankownin czy postrzyżyn, na pozór umniejszając ich wartość w oczach upiorów, biesów i innej zarazy. Bez imienia jesteś nikim. Nie istniejesz. To, co nienazwane, wypierasz. To, co poznajesz, nazywasz. Imię to klucz – skwitowała dobitnie. Zdjęła torbę, odrzuciła ją na trawę.

– A jeśli poznasz miano naszego Anonima i mimo to jego dusza nie przybędzie na twoje zaproszenie? Co wtedy?

– Wcale na to nie liczę. – Lekceważąco machnęła ręką. – Jestem prawie pewna, że go zeżarło.

Łowca uniósł brew.

– Po co więc...

– Zakładając, że wszystko pójdzie tak, jak to opisano w tej księdze – wpadła mu w słowo i ruchem głowy wskazała wystający z torby opasy wolumin – odkryję nie tylko jego imię, ale też okoliczności śmierci. Może nawet coś więcej. A potem utnę sobie małą pogawędkę z siewcą zapomnienia.

Kruchy uśmiechnął się kątem ust, jakby domyślał się dalszego ciągu. Poczestował szamankę papierosem i podsunął jej ogień. Sam też zapalił.

– Miałam do czynienia ze Szkudlarkiem tylko przez parę chwil – ciągnęła Ida, wydmuchując dym – ale i tak zdążyłam sporo się o nim

dowiedzieć. Jest po uszy zakochany w sobie i nienawidzi przegrywać. Kuźmik kazał nam go sprowokować, no to go sprowokujemy. Kiedy Szkudlarek usłyszy, że jego wysiłki na nic się zdały i tajemnica, której tak pilnie strzegli wespół z Kusicielem, wyszła na jaw, wpadnie w szal. Zwłaszcza gdy to ja mu o tym powiem. Już raz go wykiwałam, szlag go trafi na sam mój widok. Jak już straci panowanie nad sobą i kontrolę nad myślami, to jesteśmy w domu.

– Jeśli to rzeczywiście wypali, stawiam ci piwo – zapowiedział łowca uroczystym tonem.

– Mam lepszy pomysł. – Ida skrzyżowała ramiona na piersi. – Zamiast piwa wolę, żebyś przestał wciskać mi kit i powiedział, skąd znasz Barbarę Sziler.

Kruchy nie poruszył się, nawet nie drgnął. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, lecz w stalowych oczach pojawiło się nagle coś takiego, że szamanę przeszył dreszcz. Długo mierzyli się wzrokiem. Dym, gęsty jak płyn w stężałym nagle powietrzu, bezgłośnie ściekał z papierosów i snuł się przy samej ziemi, jakby przygniety ciężarem obopólnego milczenia.

– Jeśli to zrobię – powiedział w końcu Kruchy cicho i powoli, starannie wymawiając każde słowo – znienawidzisz mnie.

Niezłomna pewność w jego głosie w przewrotny sposób podsyciła nie tylko jej wcześniejsze obawy, ale też upór.

– Znienawidzę cię tylko wtedy, gdy znów mnie okłamiesz – wypaliła bez namysłu. – Jesteśmy partnerami czy nie?

Stal w oczach łowcy zmiękła na moment.

– Jesteśmy.

– I przyjaciółmi.

– I przyjaciółmi.

– W takim razie nie masz się czego obawiać.

Uśmiechnął się blado. I bardzo smutno. Ida nie była pewna, czy lekko pokręcił głową, czy to tylko wiatr rozwiał mu włosy. Cisnęła niedopalonym papierosem w kałużę, hardo zadarła podbródek.

– A więc umowa stoi? – Zrobiła krok w stronę łowcy i zdecydowanym ruchem wyciągnęła rękę. – Jeżeli znajdę klucz do wspomnień Kusiciela, zdradzisz mi ten jeden ze swych mrocznych

sekreatów.

– Nie.

Zanim zdążyła zaprotestować, Kruchy podszedł bliżej i mocno uściskał jej dłoń.

– Wtedy zdradzę ci wszystkie – powiedział z całkowitą powagą. – Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, nie ma ich znowu aż tak wiele.

Łypnęła na niego z takim niedowierzaniem, że nie zdołał się opanować i parsknął śmiechem.

– No to do dzieła.

Ida wróciła do zgromadzonych na trawie utensyliów. Sprawnie operując szczypcami, wyjęła z pudełka węgielek wielkości pionka do warcabów i podpaliła go zapalarką. Zasyczał, zaskwierczał, trysnął iskrami.

– W kostnicy nie robili ci problemów? – spytała.

– Nie. – Kruchy zsunął plecak z ramion, rozwiązał troczki. – Byli trochę podejrzliwi, ale jako etatowa specjalistka do spraw pośmiertnych masz zapewniony dostęp do próbek, więc nie mogli odmówić. Ale więcej nie chcieli mi dać. – Zamachał plastikową torebką na dowody po brzegi wypełnioną popiołem.

– Wzór nie jest duży, powinno wystarczyć – oceniła szamanka.

Odczekała, aż węgielek przestanie iskrzyć, po czym umieściła go w kadzielnicy, posypała sproszkowanymi ziołami i kilkoma bryłkami czerwonej żywicy. Nakryła wszystko ażurowym wieczkiem.

– Co to za mieszanka? – zainteresował się łowca, wdychając dym.  
– Pachnie jakoś znajomo...

– Biała szałwia i smocza krew – odparła, wyjmując z opakowania drugi węgielek i podchodząc do następnej kadzielnicy. – Indiańskie święte ziele oraz naturalna żywica pozyskiwana z drzewa zwanego smokowcem albo dracena smoczą. Ich dym oczyszcza aurę, odpędza złe duchy i stabilizuje energię życiową śniącego.

– Czyli kogo?

– Czyli mnie. To znaczy jeszcze nie teraz, dopiero za chwilę. Tym razem samo opuszczenie ciała nie wystarczy, muszę zejść głębiej i potrzebuję ochrony. Oprócz kadzideł zapewni mi ją także sól oraz

woda z płynącego źródła. A skoro już o tym mowa, weź, proszę, tamtą butelkę i nalej trochę do czarek.

– Na rozkaz, szefowo.

Powtórzywszy całą operację nad każdą z siedmiu kadzielnic, Ida zapaliła świece, po czym złapała worek z prochami i zeskoczyła z powrotem do grobu. Kruchy przyglądał się z góry, jak szamanka powoli i starannie uzupełnia wzór, wypełniając wyryte w ziemi linie szczątkami Anonima.

– No, gotowe. – Zamknęła torebkę na suwak i wręczyła ją łowcy. – Widzisz ten flakon z zielonego szkła?

– Widzę. – Kruchy na moment zniknął jej z oczu, by podnieść buteleczkę. Wyprostował się, zerknął na pieczęć i zmarszczył brwi na widok nieznanego mu symboli. – A co to takiego?

– Olej z ziaren maku i sok z wilczej jagody. Cholernie silna mieszanka. Mak pozwoli mi przekroczyć granicę oddzielającą świat żywych od zaświatów, a belladonna pomoże...

– Się przekreślić – dokończył sucho łowca i zgromił Idę wzrokiem. – Szaleju też się opiłaś, zanim tu przyszedłem, czy może spadłaś do tego grobu na głowę? Przecież to śmiertelna trucizna...

– Dla kogo śmiertelna, dla tego śmiertelna – przerwała mu spokojnym tonem. – Zwyczajnego człowieka taka dawka zabiłaby z pewnością, ale nie mnie. Jak się okazuje, rozluźniona więź między duszą a ciałem ma jednak pewne plusy – dodała kąśliwie i nie bez satysfakcji, a Kruchy dopiero teraz pojął, jak bardzo ubodły ją insynuacje Chmielarza. – Żeby rytuał zadziałał, muszę usnąć – wyjaśniła, bo łowca wciąż miał opory, których nawet nie starał się ukrywać. – Bardzo, bardzo głęboko. Jedyne w letargu usłyszę Pieśń Umarłych naszego Anonima. Sen to brat śmierci – dokończyła sentencjonalnie.

Kruchy mocniej ścisnął buteleczkę w dłoni, a potem z ociąganiem podał ją szamance.

– Nie podoba mi się to – burknął. – Ani trochę. Niech to zostanie odnotowane.

– Odnotowano.

Ida usiadła na ziemi, skruszyła lakową pieczęć. Gdy odkorkowała

flakonik, w powietrzu uniosła się ciężka, odurzająca woń.

– Kiedy to wypiję, przekreśl klepsydrę – poinstruowała Kruchego, zerkając w górę. – Jeśli piasek się przesypie, a ja nie wrócę do tego czasu, pogaś wszystkie świece i kadzidła i chluśnij we mnie wodą. A jak nie pomoże, zetrzyj wzór i daj mi po gębie.

– Jak sobie życzysz.

Łowca usiadł na krawędzi dołu i zaczął bawić się zapalniczką, obracając ją szybko w zwinnych, niespokojnych palcach. Szamanka uniosła buteleczkę na wysokość oczu. Dopiero teraz poczuła lekkie ukłucie lęku, ale prędko je zdusiła. Nie mogła pozwolić sobie na żadne wahanie. Przytknęła chłodne szkło do warg, wypięła do dna.

Zupełnie pozbawione smaku przejmujące zimno rozeszło się po całym ciele gwałtowną, bolesną falą. Puste naczynie wyślizgnęło się z dziwnie odrętwiałych palców, potoczyło po ziemi. Płynny sen podobny do śmierci ściał krew w żyłach, zamknął serce w bryle lodu, wypełnił płuca igłami szronu, a oczy roziskrzoną mgłą, rozwiązał myśli sypkie niczym śnieg, z suchym trzaskiem zamroził duszę...

Ida zachłysnęła się powietrzem i to była jedyna rzecz, jaką zdołała zrobić.

Zatonęła w zabójczej bieli na długo przed tym, nim opadła bez życia na dno grobu.

Budzi ją jej własny krzyk.

Nie...

Rozdzierający, przerażony skowyt bez wątpienia płynie z jej ust, lecz to nie ona tak wrzeszczy. Coś wrzeszczy w niej. Ida próbuje zagryźć zęby, zacisnąć wargi, zatrzymać głos w gardle. Bez skutku. Zamiast tego zgina się wpół w spazmatycznym odruchu i wymiotuje długo, do cna, do utraty tchu. Po policzkach płyną gorące łzy. Pod palcami czuje zimny, gładki kamień.

Z trudem unosi głowę. Otwiera oczy.

Wszechobecna biel powoli ciemnieje i nabiera kształtów jak zdjęcie wywoływane w chemicznej kąpieli. Półmrok rumieni się lekko w ciepłym świetle mrugającej żarówki. Refleksy światła drżą płochliwie na szkle butelek, fiolek oraz słoików, na stalowych blatach stołów, na metalowych częściach alchemicznej aparatury...

I na zakrwawionym ostrzu noża, który leży pod ścianą wśród szkarłatnych rozbryzgów.

Z ust Idy wyrywa się jęk, a w tym żalonym dźwięku nie ma nic znajomego... Dziewczyna siada bezwolnie na zimnej posadzce, spogląda w dół. Na widok mokrych i lepkich od gęstej czerwieni dłoni czuje, jak narasta w niej kolejny krzyk.

Znowu, myśli ze zgrozą. To jedno słowo działa na jej umysł jak iskra na proch, głowa eksploduje serią fajerwerkowych obrazów.

Śrubokręt wbity w oczodół aż po drewnianą rączkę.

Na policzki i szyję spada ciepły deszcz, powietrze zalewa słodkawa, metaliczna woń.

Błysk i ryk gromu.

Nie, proszę, nie, nie...

Krew z wyłupionego oka spływa na usta, wielkimi kroplami ścieka po brodzie.

Nie!

W martwej źrenicy niczym w studni odbija się jej własna twarz.

– NIEEEEE!!! – wrzeszczy głos, tak ostry i chrapliwy, że aż kaleczy jej gardło.

Jego obce brzmienie gasi wspomnienia z sykiem zalanego wodą ogniska.

Ida powraca raptownie do tu i teraz, lecz nadal nie wie, co to za miejsce ani jaki czas. Dłonie, które nie wiedzieć kiedy zbliżyła do oczu, są duże, szorstkie i bardzo twarde...

Cudze.

Rozgląda się wkoło wzrokiem mętym od łez. Dostrzega coś, jakiś nieruchomy kształt jaśniejący w cieniu. Zanim dociera do niej, co to takiego, już pełźnie w tamtą stronę na cudzych kolanach, wyciąga przed siebie cudze ramiona, bez udziału woli dotyka białych włosów rozsypanych po podłodze i unurzanych we krwi.

– Boże, nie, proszę, tylko nie to... – szepcze cudze słowa, dławiąc się szlochem. – Żyj, błagam! Musisz żyć!

Białowłosa kobieta leży z poderżniętym gardłem i mnóstwem ran kłutych w klatce piersiowej. Skórę ma tak bladą, że niemal przezroczystą. Szeroko otwarte fiołkowe oczy wpatrują się w sufit



z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia, na rozchyłonych wargach zastygł niemy krzyk.

Lajla, myśli gorączkowo szamanka, niczego już nie pojmując.

Żona Kusiciela.

Ale ona przecież nie umarła w ten sposób. I nie tutaj. Ida widziała wspomnienia Demona Luster uwolnione ze szklanej kuli. Patrzyła jego oczami, jak Lajla popełnia samobójstwo w ich własnym domu, jak siedząc na podłodze pośrodku korytarza, podcina sobie gardło odłamkiem szkła z rozbitego lustra. Skąd zatem wzięły się te pozostałe rany? Kobieta z pewnością nie zadała ich sobie własną ręką. Podziemna pracownia Kusiciela również zupełnie nie przypominała tego miejsca...

Nic się nie zgadza.

Kolejna fala mdłości szarpie cudzym ciałem i Ida ma wrażenie, że wypadnie z niego zaraz razem z żółcią, śluzem i ciągliwą śliną. Długo klęczy nad zwłokami, niezdolna nagle do żadnego ruchu, do żadnej trzeźwej myśli.

Nie słyszy kroków. Kątem oka dostrzega nagły ruch i krótki rozbłysk światła, gdy ktoś przystaje obok i schyla się, aby podnieść nóż, a blask żarówki szybko przebiega po ostrzu.

Szamanka unosi głowę.

Kusiciel stoi nad nią ze szkaradnie wykrzywioną twarzą, a w oczach szaleje mu piekło.

Cienie gęstnieją, napierają na nich ze wszystkich stron, światło gwałtownie przygasa. Wśród podnieconych szmerów i poszeptywań rozbrzmiewa gniewna Pieśń Umarłych, a głos, który ją śpiewa, jest zimny i twardy jak lód, tak dziwnie znajomy...

*Coś ty zrobił... Jak mogłeś, przyjacielu?*

Wargi Demona Luster nie poruszają się, lecz widmowe słowa tętnią wokół niego szybkim, wściekłym echem, biją od całej jego postaci mroźną aurą nadchodzącej śmierci.

– Karev... – mówi szamanka łamiącym się głosem mężczyzny. – Ja nie chciałem, nie wiem, dlaczego to zrobiłem, nie byłem sobą... Coś mnie opętało, rozumiesz? Ja bym przecież nigdy... nigdy bym... Straciłem przytomność, obudziłem się tutaj i nic nie pamiętałem,

dopiero jak zobaczyłem krew... O Boże, dobry Boże... To nie ja! Musisz mi uwierzyć! – Rzuca się w tył, widząc, jak Kusiciel obraca nóż w dygoczącej dłoni, a drugą zwiija w pięść. Na lśniącym ostrzu widnieją runy, rękojeść z jeleniego rogu lśni od potu i krwi. – Proszę cię, stary! Karev, spójrz na mnie! – krzyczy piskliwie, gdy Karewicz robi krok w jej stronę. – Spójrz na mnie, do diabła!

*Dlaczego mi ją odebrałeś, Adamie?*

Drugi krok. Jeszcze jeden i Ida znajdzie się w zasięgu jego rąk. Chce patrzeć na to, co się wydarzy, lecz ciało zupełnie jej nie słucha, to ona musi być posłuszna jemu. Z płaczem odpełza pod ścianę, oplata głowę ramionami.

*Nienawidzę cię. Chcę patrzeć, jak umierasz.*

– Wybacz mi, proszę... – zawodzi błagalnie Adam, lecz uwięziona w nim szamanka już wie, że Kusiciel się nie zawaha, że trawiącej go furii nic nie jest w stanie powstrzymać, że nie ma odwrotu. – Karev, błagam, nie...

– Zapłacisz mi za to, skurwysynu!

Trzeci krok. Karewicz bierze szeroki zamach zza głowy, nóż błyska w słabym świetle żarówki. Adam i Ida wyją jednym głosem przerażonego zwierzęcia. Ostrze wchodzi w ich wspólne ciało miękko, gładko, bez oporu, ból rozrywa żebra, wybucha pod powiekami karminowym ogniem. Krew tryska na podłogę, a wyrysowany na niej krąg rozżarza się oślepiająco błękitnym blaskiem.

Przez szparę w opadających powiekach Adama szamanka dostrzega jeszcze pobladałą twarz Demona Luster, jego rozszerzone strachem oczy, ręce wyciągnięte ku nim w geście bezsilnej rozpacz, w desperackiej próbie powstrzymania czegoś, co już się zdarzyło i czego nie można cofnąć...

A potem lodowata biel otula ją troskliwie niczym śnieżny całun i wciąga z powrotem pod powierzchnię czasu.

Ida poderwała się jak rażona piorunem. Przez moment nie była pewna, gdzie jest. I czy w ogóle. Nie czuła swojego ciała, w uszach huczała głucha, martwa cisza, wokół panował mrok. Bała się, że utknęła na dobre między życiem a śmiercią albo, co gorsza, pochłonął ją niebyt, a powrót z luster Kusiciela i wszystko, co nastąpiło potem,

to tylko wytwory jej gasnącego umysłu...

Wtedy poczuła zapach deszczu, kadzideł i wilgotnej ziemi, a znajomy głos, który rozległ się niespodziewanie gdzieś nad jej głową, natychmiast stłumił narastającą panikę.

– No nareszcie! – zawołał łowca. – Strasznie długo cię nie było. Klepsydra już prawie się przesywała.

– Długo? – wybąkała zdziwiona, wodząc dookoła rozkojarzonym wzrokiem. Z trudem pokonała opór skostniałej szyi, obróciła głowę i zerknęła za siebie. Wzór zamazał się lekko, prochy dymiły jak popiół w dogasającym ognisku. – To przecież trwało zaledwie parę chwil...

– Parę chwil, dobre sobie. – Kruchy przyklęknął na jedno kolano i gestem nakazał jej wstać. – Ponad trzy godziny. Myślałem, że mnie tu szlag trafi z nerwów.

Z nie lada wysiłkiem dźwignęła się na nogi, wyciągnęła rękę. Łowca jednym silnym szarpnięciem wyciągnął ją z grobu, tak szybko, że nawet nie zdążyła podskoczyć, ledwo zahaczyła butem o ścianę ziemi. Przytrzymał ją w pasie, gdy zachybotała się niebezpiecznie na krawędzi dołu, która zapadła się nagle, osunęła spod jej stóp, zasypując wzór czarnymi grudami i kępami trawy.

Ida stała niepewnie na miękkich kolanach, z czołem opartym o pierś Kruchego, z palcami zaciśniętymi mocno na jego dłoni. Była przekonana, że gdy tylko go puści, odpłynie znowu w pustkę bezczasu, tym razem na dobre. W głowie miała mętlik, w uszach watę, przed oczami rój czarno-białych os. W ustach wciąż czuła ostry, gorzki smak obcego głosu... Wzdrygnęła się, odetchnęła głębiej.

– W porządku?

– Nie bardzo – przyznała, cicho szczękając zębami, bo znów ogarnęło ją przenikliwie zimno. – Ale zaraz będzie. Postójmy tak jeszcze trochę, dobrze?

– Dobrze.

Próbowała skupić rozproszoną uwagę, lecz miała wrażenie, że czaszkę wypełnia jej chmara ruchliwych owadów – wędrowały każdy w inną stronę, bzyząc głośno jeden przez drugiego i łaskocząc jaźń milionem niecierpliwych odnóży. Dowiedziała się właśnie czegoś ważnego, tego była pewna, jednak blade wspomnienia rozplywały się

niczym mgielne majaki, ledwo trąciła je jakakolwiek przytomniejsza myśl.

Ida przemknęła wzrokiem po niebie, znowu ciemnym i spuchniętym od rozpędzonych chmur. Zaczęło padać. Wielkie, ciężkie krople zabębniły głucho w dach namiotu.

– Udało się? – spytał w końcu łowca, odsuwając ją od siebie na długość ramion. – Udało się – odpowiedział sam sobie, gdy uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Znasz jego imię.

– Imię...? – szepnęła zdziwiona, jakby pierwszy raz w życiu usłyszała to słowo. Zamrugnęła raptownie, dopiero teraz naprawdę obudzona ze snu. Kruchy mógł niemal słyszeć zgrzyt, z jakim jej umysł wreszcie zaskoczył i momentalnie zwiększył obroty. – Do diabła z imieniem! – zawołała już całkiem trzeźwo.

Łowca zdziwił się, i to bardzo. Po chwili zdziwił się znowu i jeszcze bardziej, gdy Ida bez słowa wyjaśnienia dopadła do swojej torby i runęła na kolana. Wydobyła opasłą teczkę z aktami Feliksa Szkudlarka i trzęsącymi się rękoma zaczęła kartkować zdjęcia.

– To nie ten... – mamrotała pod nosem, ciskając przejrzone fotografie na trawę. – Ani ten... Nie... Nie... Ten też nie... O, ten całkiem podobny... a nie, to zwykłe drewno...

Kruchy obserwował ją w milczeniu, a kiedy zerwał się wiatr, zaczął zbierać porozrzucane zdjęcia, żeby nie latać za nimi potem po całym ogrodzie. Ostatnie, poderwane z ziemi gwałtownym podmuchem, złapał tuż przed własną twarzą.

– Mam! – wykrzyknęła triumfalnie szamanka, skacząc na równe nogi. – Nasz Anonim ma na imię Adam – oznajmiła z mocą, a oczy iskrzyły jej jak w gorączce. – A to jest narzędzie zbrodni. – Wręczyła łowcy odbitkę, na której widniał nóż o rękojeści z rogu jelenia oraz ostrzu poznaczonym świetlistymi runami. – I drugi klucz do wspomnień Kusiciela.

## Rozdział dziesiąty

– Kiedy nie zjawiłaś się na porannej odprawie, miałam nadzieję, że posłuchałaś jednak głosu rozsądku i grzecznie zostałaś w domu – mruknęła Ruda, spoglądając na Feliksa Szkudlarka, który ze sceptycznym wyrazem twarzy siedział w pokoju przesłuchań po drugiej stronie weneckiego lustra.

Ciasno przywiązany pasami do ogromnego fotela, w ogóle nie mógł się ruszać, lecz nie wydawał się tym jakoś specjalnie strapiony. Na głowie miał najeżony drucikami kask, nieco podobny do czepków elektrodowych służących do badań bioelektrycznej czynności mózgu, tyle że znacznie od nich większy i zamiast z silikonu wykonany ze stopu psychoaktywnych metali. Margo i Grzegorz podłączali hełm świetlistymi przewodami do skomplikowanej aparatury pełnej kolorowych lampek, rozmaitych pokręteł, wskaźników i przycisków oraz kryształowych ekranów, jaśniejących nikłym, roztętnionym blaskiem.

– Ale jeśli twoje lekceważenie wyraźnych życzeń zwierzchników ma przynosić takie owoce – ciągnęła czarownica, wciąż wpatrzona w siewcę zapomnienia, na pół znudzonego, na pół rozbawionego trwającym wokół niego zamieszaniem – to musiałabym oszaleć, żeby nie pójść za ciosem i nie pozwolić ci kontynuować tej niesubordynacji.

Kruchy uśmiechnął się lekko i mrugnął do Idy. Stojący obok niego nekromanta Łukasz Chmielarz chrząknął pod nosem w cichym proteście, ale nie odezwał się słowem. Nie patrzył na Szkudlarka. Patrzył na szamanę, a gdy odwzajemniła jego spojrzenie, gotowa do ostrej wymiany zdań, w jego oczach, ciemnych tak, że niemal zupełnie czarnych, zamiast spodziewanej wrogości dostrzegła cień obawy. Może nawet troski. Nie mając pojęcia, co o tym myśleć, szybko odwróciła głowę i utkwiała wzrok z powrotem w lustrze.

– To znaczy, że to ja mam go przesłuchać – ni to stwierdziła, ni

zapytała, z lekkim niedowierzaniem czekając na potwierdzenie.

Była zaskoczona, a nawet trochę podejrzliwa, że tak łatwo poszło. Spodziewała się bury od Rudej i zdecydowanego sprzeciwu ze strony Chmielarza, w końcu dano jej jasno do zrozumienia, że dla własnego dobra powinna trzymać się jak najdalej od tego śledztwa. Kiedy jednak łowca opowiedział im o zakończonym sukcesem rytuale w ogrodzie Kusiciela oraz niezaprzeczalnych korzyściach płynących z braku twardego połączenia między duszą a ciałem szamanki, który to brak uważano dotąd za jej najsłabszy punkt, nekromanta tylko zaciął usta i oddał się ponurej refleksji, czarownica zaś z trudem ukrywała mściwą satysfakcję z takiego obrotu spraw. Dopiero co stawiała czoło poważnym zarzutom, jakoby przez swoje niedopatrzenie dopuściła do służby tykającą bombę i puszkę Pandory w jednym, tymczasem okazało się, że nie mogła podjąć lepszej decyzji. Bo oto właśnie za sprawą Idy śledztwo po ponad trzech miesiącach całkowitego zastoju wreszcie drgnęło z miejsca.

W obliczu nowego stanu rzeczy Chmielarz po chwili namysłu nieoczekiwanie postawił na pełną współpracę i zdał im wyczerpującą relację ze swoich dotychczasowych ustaleń. Oznajmił, że podobnie jak eksperymenty szamanki jego własne nekromanckie metody również ujawniły ciekawy związek między śmiercią funkcjonariusza Roberta Ochmana a dwoma przypadkami samospaleń, przy czym największa zbieżność łączyła miejsca tych ostatnich zbrodni, czyli garaż Jaworskiego oraz dom Sziler. Chmielarz także doszedł do wniosku, że skoro te trzy śmierci zakończyły się pełną destrukcją dusz, to mają do czynienia z serią wyrafinowanych, czarnomagicznych zabójstw.

Następnie nekromanta z ujmującą pokorą przyznał się do swojej pomyłki: wbrew jego założeniom Kusiciel nie mógł być zdolny do kontrolowania mocy uwolnionej z ciała Adama-już-nie-Anonima, która przez wzgląd na zadziwiającą zbieżność czasową wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dokonała wszystkich tych morderstw, łącznie z uśmierceniem Marii Hyc. Bo choć jej przypadek znacząco różnił się od rzekomych samobójstw w płomieniach, a dusza funkcjonariuszki bezpiecznie trafiła w zaświaty, to jednak kobieta zginęła dokładnie w tych samych okolicznościach co Robert Ochman

i na ciałach tej dwójki znaleziono tę samą nietypową sygnaturę psychoenergetyczną – należało zatem przyjąć, że Hyc wykończył ten sam sprawca co trzy pozostałe ofiary. Demon Luster został skreślony z listy podejrzanych, gdyż do ostatniej zbrodni doszło w nocy z soboty na niedzielę, a od piątkowego wieczoru, czyli już przeszło dwie i pół doby, umysł Karewicza był blokowany przez aureolę supresyjną, co zapewniło mu niepodważalne alibi.

Chmielarz poparł tym samym hipotezę śledczą przyjętą przez Rudą i jej zespół, a Ida poczuła do niego odrobinę sympatii. Mimo pierwszego wrażenia naprawdę w niczym nie przypominał Filipa Wrońskiego, pozbawionego skrupułów matacza i karierowicza, który dla własnych korzyści nigdy nie zawahałby się przed ukrywaniem faktów, ignorowaniem poszlak czy fałszowaniem dowodów i który nigdy, przenigdy nie przyznałby się do błędu. Szamanka doszła do wniosku, że nekromancie nie chodziło wcale o stołek czarownicy, że musiał mieć jakieś uczciwe powody, aby tak uparcie sprzeciwiać się ich wersji wydarzeń i próbować odsunąć Idę od sprawy – sama jednak wciąż nie potrafiła żadnego wymyślić. Najważniejsze, że w świetle nowych informacji i własnych ustaleń był gotów grać z nimi do jednej bramki, zamiast szukać dziury w całym, byle tylko postawić na swoim.

Po ukradkowej wymianie porozumiewawczych spojrzeń Ruda, Kruchy i Ida zgodnie postanowili choć w małej części zrewanżować się Chmielarzowi za jego otwartość. Czarownica opowiedziała mu więc o niedawnym opętaniu szamanki przez pomniejszego czarta, które zgodnie z ich przypuszczeniami pozwoliło siedzącej w grobie istocie przejąć nad nią kontrolę. Nie wspomniała przy tym o prawdziwej naturze ani pochodzeniu Pecha, a zamiast tego obłudnie zasugerowała, że do owego opętania musiało dojść przypadkiem i całkiem niedawno, najpewniej podczas jednego ze spirytystycznych rytuałów, jakie Ida odprawiała regularnie w ramach pozasłużbowych obowiązków. Ruda z premedytacją zataiła fakt, że jako lustrzany demon Pech spoił siebie i Idę w jeden byt – wyglądało na to, iż wcześniej wcale nie żartowała, lecz naprawdę chciała oszczędzić dziewczynie wielomiesięcznej kwarantanny

i eksperymentów w laboratorium demonologów, do których doszłoby niechybnie, gdyby ktoś poza ich trójką dowiedział się, że rozumny duchożerca pochłonął istotę zespoloną z duszą szamanki.

Nekromanta przełknął te rewelacje bez większego trudu, ba, nawet im od czasu do czasu przytakiwał, jakby już wcześniej brał pod uwagę podobny przebieg wypadków. Nie drążył tematu. Niczym nie dawał do zrozumienia, że ukrywanie informacji o pomniejszym demonie w ciele szamanki uważa za utrudnianie wewnętrznego śledztwa w sprawie śmierci dwójki funkcjonariuszy i w związku z tym pociągnie Idę do odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań. O nie, nic z tych rzeczy. Chmielarz był istną oazą spokoju i wyrozumiałości.

Mimo to – czy może raczej właśnie dlatego – szamanka postanowiła rozwiązać jego ewentualne i skądinąd bardzo słuszne podejrzenia, że celowo wprowadzili go w błąd, po czym pośpieszyła z dalszymi wyjaśnieniami. Otóż po katastrofie, która nastąpiła podczas ekshumacji Anonima, Ida była po prostu zbyt wyczerpana i oszołomiona, żeby połączyć fakty jeszcze w trakcie ich nieformalnego przesłuchania w ogrodzie. Ot, zwykłe niedopatrzenie spowodowane wstrząsem. Do wniosku, że bezpośrednią przyczyną spętania jej woli przez duszożerny byt musiał być właśnie siedzący w niej czart – mały i słaby, dlatego niewykryty przez łowcę, a potem wzmocniony nagle czarną magią płynącą z grobu – doszła dopiero parę dni później, gdy już wyzwoliła się spod otepiającego działania silnych medykamentów.

Chmielarz nie skomentował, jedynie zdawkowo skinął głową na znak, że przyjmuje to wytłumaczenie do wiadomości i uważa kwestię za zamkniętą. Jednak napotkawszy jego pełen obaw i dziwnego napięcia wzrok, dziewczyna pomyślała, że nekromanta wcale jej nie uwierzył. A jeśli nawet, to z pewnością nie do końca. Nie zamierzała się jednak dłużej usprawiedliwiać, bo to tylko podsyciłoby jego podejrzenia. Ograniczyła się więc do krótkiej konkluzji, że aby dowiedzieć się, czym jest ten tajemniczy zjadacz dusz i jak go unieszkodliwić, muszą jak najszybciej przywrócić Kusicielowi pamięć.

I kiedy to wszystko mówiła, przez cały czas zachodziła w głowę,



dlaczego Chmielarz wygląda, jakby się o nią martwił. W wyrazie głębokiego strapienia na niezdrowo bladej twarzy kryły się niepokój i dziwna melancholia, a chociaż szamanka nie znalazła w nim ani śladu protekcyjnej troski rezerwowanej dla żółtodziobów postawionych przed zbyt trudnym zadaniem, to i tak poczuła lekkie rozdrażnienie. Wybitnie nie podobało jej się to wręcz ostentacyjne zainteresowanie ze strony prawie zupełnie obcego faceta, tym bardziej że nie pojmowała jego przyczyn. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, gdy nekromanta zerknął wymownie w kierunku milczącej dotąd Margo. Przez nieznośnie długą sekundę szamanka była pewna, że Chmielarz zamierza oddać ją w ręce czytaczki, aby ta prześwieciła jej umysł, ale słowa kobiety szybko rozwiały te obawy.

Margo rzeczowym tonem oznajmiła, że obecnie mózg Karewicza nie reaguje na żadne bodźce i nawet jeśli już teraz zdejmą mu aureolę supresyjną, upłyną przynajmniej trzy, a może i cztery doby, zanim ustaną wszystkie negatywne skutki jej działania. A skoro przywrócenie wspomnień Kusicielowi za pomocą znalezionej przez szamankę klucza musiało na razie poczekać, jednogłośnie zdecydowano, że nie zaszkodzi w międzyczasie trochę podręczyć Szkudlarka.

I tak oto niecałą godzinę później czytaczki umysłów uwijali się z rozkładaniem sprzętu w pokoju przesłuchań, a Ida, Kruchy, Ruda, Chmielarz oraz Szkudlarek z różnym stopniem zainteresowania obserwowali ich wysiłki – siewca zza półprzymkniętych powiek, śledczy przez półprzepuszczalne lustro.

Cisza, jaka zapadła po ni to stwierdzeniu, ni to pytaniu Idy, trwała tak długo, że dziewczynie skończyła się cierpliwość.

– Mogę z nim porozmawiać czy nie?

– Nie możesz. – Ruda powoli odwróciła się od szyby.

Ujrzawszy pogodny, niemalże miły uśmiech na zwykle skrzywionych z drwiną wargach, szamanka już całkiem straciła rezon. Zerknęła w bok. Łowca także sprawiał wrażenie lekko wstrząśniętego.

– Nie możesz, tylko musisz – sprostowała czarownica, uśmiechając się jeszcze szerzej, w oczywisty sposób zadowolona z efektu. – To jest rozkaz. Dobrze mówię, Łuk? – spytała głosem aż ociekającym

słodyczą.

Nekromanta wzruszył szerokimi ramionami i to musiało im wystarczyć za całą odpowiedź.

– Na co jeszcze czekasz, smarkulo? – Ruda krótkim ruchem głowy wskazała tekturowe opakowanie na stole obok drzwi. – Idź i skop mu dupę.

– Tak jest! – Ida zasalutowała z przesadną starannością.

Kobieta prychnęła i odprawiła ją niedbałym ruchem dłoni, jakby odganiała muchę.

Szamanka ukradkiem puściła oko do Kruchego, uprzejmie, acz z rezerwą skinęła głową Chmielarzowi, po czym wymaszerowała z pokoju obserwacyjnego, zgarniając po drodze pudło na dowody.

Początek był dokładnie taki, jak oczekiwała.

Na jej widok siewca spał się i szarpnął w fotelu, aż zaskrzypiały krepujące go pasy, a grymas wyższości i politowania natychmiast spełził mu z warg. Na szczupłe policzki wystąpiły rumieńce gniewu, oczy koloru piasku zapłonęły niebezpiecznie.

Szamanka kątem oka obserwowała kryształowe ekrany ukazujące wnętrze jego umysłu, lecz tętniąca w nich migotliwa mgła ani myślała się rozpraszać. No tak, to by było za piękne. I za proste. Niczego innego się zresztą nie spodziewała – gdyby wierzyła, że sama jej obecność złamie bariery Szkudlarka, przyszłaby do niego już dawno temu. Jednakże jako żywe przypomnienie jego największej porażki Ida bez wątpienia działała mu na nerwy, a to upraszczało całą sprawę.

Postawiła pudło na stoliku i przesunęła krzesło tak, by nic nie zasłaniało jej sylwetki siewcy. Rozsiadła się wygodnie, zakładając nogę na nogę i opierając łokieć o krawędź blatu.

– Kopę lat, Feliksie – powiedziała z kpiną. – Pamiętasz mnie?

Jasne, że pamiętał, ale oczywiście nie zamierzał przytakiwać. Wejście w dialog, choćby za pomocą samych gestów, mogło znacząco osłabić jego kamuflaż – tak przynajmniej twierdził Kuźmik, który był przekonany, że to właśnie z tego powodu Szkudlarek podczas przesłuchań zachowywał kamienną twarz i niczym, ani słowem, ani ruchem, nie zdradzał, czy w ogóle usłyszał zadawane mu pytania.

Dlatego też Ida nie przejęła się wcale brakiem odpowiedzi. Wściekły płomień w piaskowych oczach w pełni ją usatysfakcjonował.

– Wybacz, że odwiedzam cię dopiero teraz – drażniła go dalej. – Bo pewnie tęskniłeś?

Tym razem nie doczekała się żadnej reakcji. Pierwsze zaskoczenie minęło i siewca, choć wciąż napięty jak struna, zdołał ochłonąć i odzyskać nad sobą panowanie.

Ida powolnym ruchem zdjęła pokrywę z pudła, wydobyła pękatą plastikową torebkę i położyła ją na stoliku, aby Szkuclarek mógł dobrze przyjrzeć się zawartości. Zmrużył powieki, a potem nagle szeroko otworzył oczy, gdy rozpoznał przedmiot.

Była to szklana kula wypełniona płatkami brokatowego śniegu, które wirowały leniwie wokół drzewa z białego papieru.

– Zapomniałam ci za nią podziękować – stwierdziła zjadliwie szamanka. – Niezwykle ułatwiła mi pracę.

Siewca wyglądał, jakby miał ochotę splunąć, a z szarozółtych tęczówek sygnęły lodowate iskry. Naraz zmarszczył ognistorude brwi. Zaczął niuchać jak pies, mocno poruszając nozdrzami i ani na moment nie odrywając wzroku od swego utraconego klucza.

– Trochę się zmieniła, jak zapewne zauważyłeś – podchwyciła Ida, bez pośpiechu wsuwając na dłonie lateksowe rękawiczki. – Chciałbyś może zobaczyć ją z bliska? Ten ostatni raz?

Całkowicie zignorował jej słowa, ale do tej pory przygaszone kryształki ekranów rozbłysły nieco silniejszym blaskiem, a wypełniająca je mgła ożywiła się i zakotłowała gwałtownie.

Ida ostrożnie wyjęła dowód z torebki i spacerowym krokiem przeszła na środek pokoju.

– Na pozór wygląda tak samo jak niegdyś, prawda? – podjęła, wyciągając przed siebie dłoń. – A jednak jest inna. Czujesz to przecież. Wiesz, że zniszczyłam dzieło twojego życia, ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo. – Lekko potrząsnęła kulą i przez jakiś czas obserwowali oboje, jak brokatowy śnieg osiada na delikatnych, papierowych gałęziach. – Ukradłam ci ją banalnym podstępem, a potem uciekłam sprzed samego nosa, prosto w lustra, których tak pilnie strzegłeś. Gdybyś chociaż przegrał z kimś

potężniejszym od siebie... – westchnęła z obłudnym ubolewaniem. – Ale ty dałeś się okpić niedoświadczonej, przestraszonej smarkuli. Największej kompromitacji w historii WON-u... – Rzuciła okiem w stronę weneckiego zwierciadła i wydało jej się, że słyszy dobiegające zza niego parsknięcie Rudej. Przeniosła spojrzenie na siewcę, zacmokała głośno, kręcąc głową. – Nie muszę chyba dodawać, jak marnie to o tobie świadczy.

Siewca zacisnął wargi w cienką, bladą linię, mięśnie szczęk zagrały mu szybko pod napiętą skórą. Próbował zabić szamanę wzrokiem, udała więc zmieszanie i szybko odwróciła oczy. Odchrząknęła, aby utwierdzić go w przekonaniu, że zdołał wybić ją z rytmu.

– Domyślasz się, na czym polega jej przemiana? – Ponownie wprawiała opalizujące tęczowo płatki w senny taniec wokół drzewa. – O nie, nie chodzi tylko o to, że nie ma w niej już ani strzępka wspomnień. Spójrz tylko.

Uniosła rękę tak, by kula znalazła się na wysokości lustrzanej szyby. Siewca nie zdołał ukryć zaskoczenia, gdy spostrzegł, że odbijająca się w niej dłoń szamanki jest... pusta.

– Karewicz doznał takiego wstrząsu, kiedy dotknął klucza, że go upuścił i rozbił w drobny mak – wyjaśniła dziewczyna. – Bezpowrotnie zniszczył zwierciadlane odbicie kuli. Nieżyły bajer, co?

Szkudlarek sapnął cicho i zawiercił się w fotelu niepewny, do czego to wszystko zmierza.

Rozdrażnić, dezorientować, rozbudzić nadzieję, a potem brutalnie ją odebrać – brzmiała krótka instrukcja Kuźmika, którą Ida wzięła sobie do serca i realizowała teraz metodycznie punkt po punkcie.

– Nigdy już nie będzie mogła skrywać niczyich sekretów – podsumowała z jawnie nieszczerym żalem. – Cała jej magia wyciekła w lustrzany eter, została pusta skorupa bez żadnej wartości. Przykro mi to mówić, bo wiem, jak bardzo byłeś z niej dumny.

Szkudlarek ani drgnął, ale oddech wyraźnie mu się spłycił, stracił spokojny dotąd rytm. Jak każdy narcyz nienawidził, gdy z niego drwiono, a słowa szamanki trafiały prosto w miękkie, wbijały się jak

szpile w jedyną wrażliwą cząstkę jego psychopatycznej duszy.

Pochyleni nad konsolą czytaczki umysłów zaszepotali między sobą. Po chwili Margo wystawiła ramię zza fotela siewcy i pokazała szamance uniesiony kciuk.

Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem.

– Niestety Karewicz nie odzyskał wtedy wszystkich swoich wspomnień – westchnęła Ida, starając się wyglądać przy tym na zniechęconą i rozczarowaną. – Część przezornie zakląłeś w inny artefakt – dodała z nutą wystudiowanego podziwu w głosie. – Powiedz mi: przewidziałeś, że bez drugiego klucza umysł przestanie mu działać, gdy tylko zapytamy go o ciało w ogrodzie? I że on sam zmieni się w warzywo?

Przez usta Szkudlarka przemknął cień przebiegłego uśmiechu.

– Z pewnością tak. – Posępnie pokiwała głową. – Cholernie przenikliwy z ciebie skurczybyk. Powód, dla którego tu przyszłam, pewnie też jest już dla ciebie jasny. Wiesz doskonale, o co cię zaraz zapytam.

Siewca wyraźnie się rozluźnił. Uniósł głowę i wbił w Idę triumfalne spojrzenie kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że z takim asem, jakiego chowa w rękawie, wciąż jest absolutnym panem sytuacji.

No dalej, pytaj, mówiły jego oczy. Pytaj do woli. Już od bez mała czterech miesięcy błądźcie jak dzieci we mgle, kręcicie się w kółko i nie zbliżyliście się do prawdy nawet o krok. Może i raz mnie pokonałaś, ale teraz to ja jestem górą. Gównu na mnie masz i gówno ci powiem, chyba że zawrzemy układ. Pytaj więc. Ale najpierw złóż mi propozycję, inaczej możecie mnie pocałować. Ja mam czas. Wy nie. Bo to, co wypuściliście z grobu, nie będzie na was czekać...

– Pozwól zatem, że przejdę do rzeczy – kontynuowała Ida takim tonem, jakby była gotowa zapłacić mu każdą cenę w zamian za odpowiedź, choćby jedno słowo, jakkolwiek wskazówkę. – Dlaczego Karewicz nie chciał pamiętać o tym, że zabił przyjaciela? – spytała, figlarnie przechylając głowę na ramię. – Aż tak gryzło go sumienie?

Siewca zmartwiaił. Krew odpłynęła mu z twarzy, kąśliwy uśmiech zmienił się w wyraz niedowierzania. Margo wystawiła obie dłonie ponad jego fotelem i zaklaskała bezgłośnie, a Ida szybko odwróciła się

w stronę stolika, żeby Szkudlarek nie dostrzegł jej miny. Bez pośpiechu włożyła kulę z powrotem do torebki i schowała ją do pudła, po czym wyjęła z niego kolejną rzecz. Stała przodem do wciąż oszołomionego siewcy, który wkładał ogromnie wiele trudu w utrzymanie umysłu i emocji na wodzy. Spojrzała mu w oczy. Uniosła przedmiot wysoko, ujmując w dwa palce róg plastikowego opakowania.

– Poznajesz?

Ulga Szkudlarka była wręcz namacalna. Nie wytrzymał i odetchnął pełną pierśią, ledwo tłumiąc szyderczy śmiech.

Ida z niejaką konsternacją przyjrzała się srebrnemu rewolwerowi o ręczce z pięknie rzeźbionej kości słoniowej, który trzymała w dłoni, po czym udając zakłopotanie, odłożyła go z powrotem.

– Och, wybacz, to przecież nie ten... – zamruczała niby z roztargnieniem. Przez dłuższą chwilę grzebała w wyładowanym po brzegi pudle. – Gdzież ja go... O, jest.

Z dłońmi skrytymi za plecami znów podeszła do siewcy. Wpatrywał się w nią czujnie spod ściągniętych brwi z osobliwą mieszaniną ironii i niepokoju. Ledwo rozładowane napięcie znów zaczęło w nim wzbierać jak fala przyboju, szamanka niemal mogła słyszeć szum przelatujących mu przez głowę domysłów i obaw. Nieustannie biegał wzrokiem między jej łokciami niepewny, w której ręce trzymała kolejny z jego kluczy, którą lada chwila wyjmie zza pleców.

Skryty za fotelem Grzegorz powiedział coś do Margo podekscytowanym szeptem, czytaczka uciszyła go sykiem, szybko zastukała palcami w klawisze konsoli.

Ida jeszcze przez parę chwil dręczyła siewcę swoim milczeniem i całkowitym bezruchem. Wreszcie wyciągnęła przed siebie rękę, pokazując mu piękną broń o rękojeści z jeleniego rogu i gładkim jak lustro ostrzu, na którym roilo się od rozjarzonych run.

– To tym nożem Kusiciel zasztyletował Adama – oświadczyła spokojnie. – Jednym ciosem prosto w serce.

Siewca szarpnął się w fotelu, głośno wciągając powietrze. Prędko zacisnął powieki, zwinął dłonie w pięści. Ida wiedziała, że próbował

zrozumieć, skąd ona może o tym wszystkim wiedzieć, a jednocześnie starał się okiełznać i ostudzić gorączkowe myśli.

– Karev... – szepnęła szamanka teatralnie łamiącym się głosem. – Ja nie chciałem, nie wiem, dlaczego to zrobiłem, nie byłem sobą...

Policzki Szkudlarka poczerwieniały z wysiłku, tętnica na czole o mało nie eksplodowała od rozpędzonej krwi. Świetliste impulsy popłynęły przewodami od najeżonej czujnikami czaszki do popiskującej aparatury, kryształowe ekrany nad głową siewcy rozbliły oślepiającą bielą.

– Coś mnie opętało, rozumiesz? – ciągnęła Ida z emfazą. – Ja bym przecież nigdy... nigdy bym... Straciłem przytomność, obudziłem się tutaj i nic nie pamiętałem, dopiero jak zobaczyłem krew...

Migocząca niczym diamentowy pył mgła zapomnienia zagotowała się i rozsunęła wyraźnie, wśród coraz bledszych, szybko rzadniejących kłębow zamajaczyły sylwetki Adama i Kusiciela, nieruchome ciało białowłosej kobiety, wielka kałuża krwi i odbite w niej światło mrugającej żarówki.

Szkudlarek zawył głucho, targnął się w więzach. Zaczął zapamiętale walić potylicą w oparcie fotela, rozpaczliwie próbując pozbawić się przytomności.

– O Boże, dobry Boże... To nie ja! – krzyknęła szamanka, bezlitośnie podsycając szalejący w jego umyśle ogień skojarzeń, którego nic już nie mogło ugasić. – Musisz mi uwierzyć! Proszę cię, stary! Karev, spójrz na mnie! Spójrz na mnie, do diabła!

Siewca spojrział, chociaż dobrze znał te słowa i wiedział, że tak naprawdę nie wypowiedała ich Ida ani wcale nie były skierowane do niego. Oczy wypełniły mu łzy bezsilnej furii, gorycz porażki skruszyła woskową maskę, za którą dotąd ukrywał twarz. Zawisł ciężko na krepujących go pasach, a krew z pokaleczonych paznokciami dłoni kapiała cicho na betonową podłogę.

Szamanka podeszła do niego, mocno zaciskając palce na rękojeści noża.

– Myślałeś może, że będę cię błagać? – spytała już swoim głosem, drżącym od długo skrywanych emocji. – Straszyć groźbami bez pokrycia? Składać propozycje i spełniać żądania, żebyś wreszcie

raczył współpracować? Myślałeś, że bez twojej pomocy nie damy sobie rady i w końcu zaczniemy tańczyć tak, jak nam zagrasz? Że w zamian za informacje dostaniesz immunitet i wszystkie twoje zbrodnie ujdą ci na sucho? – Gwałtownie pochyliła się nad siewcą, który choć próbował, nie miał dokąd uciec. – Zapomniałeś najwidoczniej, z kim masz do czynienia – wyszczała mu prosto w twarz. – Przyszłam tutaj, żeby ci powiedzieć, że do niczego nam już nie jesteś potrzebny, nie masz dla WON-u żadnej wartości, a twoje milczenie w niczym mi nie przeszkodziło. – Podetknęła mu nóż pod sam nos, aż szarpnął głową. – Sama znalazłam drugi klucz do wspomnień Kusiciela, przywróciłam mu całą pamięć i właśnie przesłuchuję go w sąsiednim pokoju, a ty znowu przegrałeś, przekłety draniu, i resztę nędznego życia spędzisz za kratkami.

Odstąpiła o krok od fotela, dysząc ciężko, chrapliwie, jakby właśnie przebiegła maraton. Bez cienia współczucia słuchała płacznego jęku złamanego człowieka i obserwowała w napięciu, jak spruta, postrzępiona, dziurawa niby sito mgła zapomnienia ciemnieje gwałtownie, po czym rozplywa się bez śladu, a ekrany zaczynają tętnić migotaniem stroboskopowych obrazów.

Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Euforyczne krzyki czytaczy dobiegły ją już zza zamkniętych drzwi.

I dopiero wtedy, stojąc samotnie pośrodku korytarza, pozwoliła sobie na szeroki i bardzo wilczy uśmiech.

Powiedzieć, że po przesłuchaniu Feliksa Szkudlarka nastąpił długo wyczekiwany przełom, to jak nie powiedzieć nic.

Siewca zapomnienia miał, o ironio, niezwykle żywą, magicznie podrasowaną i pedantycznie uporządkowaną pamięć. Po dogłębnym wysondowaniu jego nareszcie odblokowanej jaźni czytacz z łatwością zidentyfikowali właścicieli każdego z sześciu tysięcy siedmiuset czterdziestu czterech kluczy, a następnie rozpoczęła się wymagająca wielu sił oraz środków procedura sprawdzania ich zawartości. Jak szybko ustalono, niemal połowa artefaktów należała do osób zmarłych, natomiast w ramach błyskawicznie przeprowadzonych czynności operacyjno-rozpoznawczych, podczas których funkcjonariusze WON-u z całego kraju składali



niezapowiedziane wizyty żyjącym pacjentom Szkudlarka, stwierdzono, że znakomita większość z nich zafundowała sobie dobrowolną amnezję z powodów czysto terapeutycznych i nie próbowała w ten sposób pozbyć się żadnych obciążających wspomnień. Wszystkim narażonym na ponowne przeżywanie dawnych traum zapewniono natychmiastową pomoc psychologiczną oraz usługi firmowych czyścicieli umysłów. Jedynie w paru przypadkach celowe zaniki pamięci tuszowały mniejsze lub większe grzeszki, żaden nie był jednak na tyle poważny, aby zainteresować organy ścigania, ograniczono się więc tylko do udzielenia kilku pouczeń i wystawienia nielicznych mandatów.

Słowem, pierwsze owoce przełamania Szkudlarkowych blokad i odkrycia jego sekretów okazały się raczej mizerne, a śledczy nawet nie próbowali ukrywać swojego rozczarowania.

Ale już niebawem w WON-ie eksplodowała sensacyjna bomba z prawdziwego zdarzenia.

Podczas porannej odprawy szef analityków przedstawił wyniki pracy swojego zespołu, który skrupulatnie sprawdził każde z tysięcy nazwisk w firmowej bazie danych. Otóż imponująco szeroka klientela Szkudlarka składała się przede wszystkim z interesantów korzystających z jego usług nieoficjalnie i dlatego niefigurujących w rejestrze pacjentów – wśród nich zaś nie brakowało osób notowanych, a nawet traktowanych niegdyś jako potencjalni sprawcy rozmaitych przestępstw (od uprawiania czarnej magii, przez handel nielegalnymi artefaktami, aż po uprowadzenia dla okupu, zabójstwa i morderstwa na zlecenie). Wszyscy oni zostali ostatecznie oczyszczeni z zarzutów oraz podejrzeń i w każdym przypadku nastąpiło to bezpośrednio po badaniu wykrywaczem kłamstw i mentalnymi sondami. Ani wariograf, ani wnikliwe prześwietlenie ich umysłów – precyzyjnie wyretuszowanych, jak się właśnie okazało – nie ujawniły wtedy żadnych obciążających retrospekcji, za to zapewniły zatrzymanym mocne alibi, skutecznie wiążąc ręce śledczym i zmuszając ich do umorzenia postępowań.

Wskutek takiego zwrotu akcji we wrocławskiej siedzibie WON-u zawrzało jak w ulu, a panujące w niej poruszenie przywodziło na

myśl ogarnięte pożarem mrowisko. Podekscytowani agenci mijali się na zatłoczonych korytarzach, biegnąc nieustannie między pracownią czytaczy umysłów, magazynem, gdzie trzymano Szkuclarkowe artefakty, a gabinetem prokuratora, który wydawał nakazy zatrzymań i przeszukań w ekspresowym tempie i iście hurtowych ilościach. Areszty śledcze i pokoje przesłuchań Firmy pękały w szwach, a funkcjonariusze przeprowadzający ściśle skoordynowane naloty w całym województwie wciąż dostarczali nowych zatrzymanych, szczerze zdumionych – żeby nie powiedzieć zszokowanych – stawianymi im zarzutami. Takie reakcje były zresztą najzupełniej zrozumiałe, skoro żaden z nich nie przypominał sobie swej przestępczej działalności, a przyczyną owej zbiorowej niepamięci bynajmniej nie był niszczycielski wpływ czasu. Ale w miarę jak klucze jeden po drugim powracały do prawowitych właścicieli i spoczywające dotąd w ukryciu wspomnienia fundowały delikwentom gwałtowną podróż w czasie, gremialne oszołomienie szybko ustępowało miejsca zupełnie odmiennym, często o wiele bardziej wybuchowym emocjom.

I tym to sposobem w ciągu zaledwie trzech dni wznowiono kilkadziesiąt zimnych śledztw, z czego co najmniej jedna trzecia została niemal natychmiast rozwiązana na podstawie niezbitych dowodów i zakończona aktami oskarżenia. Reszta zyskała potencjalnych sprawców i naocznych świadków, miejsca i narzędzia zbrodni albo chociaż wachlarz wielce obiecujących poszlak. Prokurator Szczepan Maćkowiak, który już od jakiegoś czasu ostrzył sobie zęby na ciepłą posadkę sędziego, niemal piał ze szczęścia i uwijał się z papierkową robotą z dotąd niespotykanym u siebie zapałem. Ruda była wprost zachwycona rezultatem Idowego przesłuchania, Chmielarz co prawda wciąż małomówny i uparcie czymś przygnębiony, jednak pełen podziwu, szamanka coraz bardziej zakłopotana sypiącymi się zewsząd gratulacjami, a Kruchy niezmiernie dumny ze swojej partnerki, ale też wyraźnie rozbawiony jej rosnącą niechęcią do zupełnie nieoczekiwanej popularności. Co rusz poklepywana po plecach przez współpracowników, którzy nie dalej jak w zeszłym tygodniu wygłaszali pod jej adresem niewybredne

komentarze, Ida bohatercko powstrzymywała ciskaące się na usta kęśliwe riposty i tylko zbywała nieszczerę wyrazy uznania równie nieszczerým uśmichem.

Musiála jednak uczciwie przyznać, że abstrahując od chwiloęego statusu firmowej gwiazdy – z którym, co tu kryć, czuła się niewiele bardziej komfortowo niż z prześladowającą ją od dziecka opinią czarnej owcy – nie miała absolutnie żadnych powodów do narzekań. Bo chociaż na najbardziej interesujący ją temat duchożernej istoty Szkudlarek wiedział zaskakująco mało, niewiele więcej niż ona sama, to stan Kusiciela z dnia na dzień ulegał poprawie i lekarze lada chwila mieli pozwolić na przywrócenie mu pamięci.

Początkowo zatem wszystko szło pięknie.

A później, jak to zwykle bywa, było już tylko gorzej.

## Rozdział jedenasty

Szamanka obudziła się nagle w środku nocy, dźgnięta złym przecuciem niczym rozgrzaną do czerwoności szpilą. Próbowwała wstać, ale mięśnie ani drgnęły, zdołała jedynie unieść powieki. Długo i daremnie walczyła z kamiennym bezruchem, nie mogła nawet porządnie zaczerpnąć tchu, jak gdyby coś wielkiego siedziało jej na piersi i wyciskało powietrze ze ściśniętych płuc. Ogarnięte całkowitą niemocą ciało leżało jak przewrócony posąg w rozburzonej pościeli i oprócz miażdżącego ciężaru nie czuło nic, nawet zimna, na które wskazywała niezbitcie ulatująca z ust para.

Paraliż senny, zrozumiała w końcu Ida i natychmiast się rozluźniła. Nie był to wcale jej pierwszy raz, przechodziła przez to już którąś noc z rzędu i dobrze wiedziała, co należało robić.

Nic.

Po prostu cierpliwie czekać, aż odrętwienie ustąpi. Czekala więc, wpatrzona w mrok rozświetlany jedynie nikłym blaskiem księżyca, wsłuchana w szum krwi w uszach i ledwo uchwytny szelest cieni wirujących wokół łóżka w powolnym korowodzie fantastycznych widziadeł.

Tej nocy jednak coś było inaczej.

Tej nocy ciemność nad jej głową szerniała jeszcze bardziej, zakipiiała z niemal słyszalnym, bulgoczącym sykiem i naraz nabrała kształtów. Szamanka o mało nie zadławiła się własnym sercem, które raptownie podeszło jej do gardła.

Pochylona nad nią zmora wyszczerzyła się w szerokim uśmiechu, prezentując imponujący garnitur igłowatych zębów. Zmrużyła roziskrzone, jadowicie zielone ślepia, rozpostarła nietoperze skrzydła...

Ida zacisnęła powieki. Zaczęła oddychać szybko, płytko, gwałtownie, aby jak najprędzej przekonać swój mózg, że już nie śpi, ale ciężar, który ją dusił i przygniatał do materaca, ani myślał zelżeć,

cienie ani myślały zamilknąć i nadal nie mogła nawet poruszyć palcami.

Z trudem przełknęła ślinę. Po długim wahaniu otworzyła oczy, bo to, co sobie wyobrażała, było dużo gorsze od tego, co mogła zobaczyć.

Albo i nie...

Zmora pożerała ją wygłodniałym wzrokiem, nadal opętańczo uśmiechnięta. Pachniała wilgotnym kamieniem, zbutwiałym drewnem, dymem z palonych liści i jesienną ulewą. Poruszyła szczęką na boki, metaliczny zgrzyt potężnych kłów przywodził na myśl otwierającą się powoli bramę cmentarza. Bestia schyliła łeb, jej niepokojąco ludzki pysk rozplynał się nagle, po czym zaczął morfować w rozmyte, ruchliwe, osobliwie znajome twarze...

Wiem, kto to jest, myślała półprzytomnie Ida, całkowicie zahipnotyzowana wirującym przed oczami kalejdoskopem karykaturalnie wykrzywionych masek. Gdzieś już widziałam tych wszystkich ludzi...

Ale nie zdążyła przypomnieć sobie gdzie.

Szarpnęła głową, gdy zimny jak lód, oślizgły jezor przesunął się lubieżnie po jej policzku, zadygotała ze strachu i obrzydzenia, kiedy z paskudnym mlaśnięciem powędrował od linii żuchwy aż do obojczyka. Drętwota ustąpiła natychmiast, ciało napięło się jak ściśnięta sprężyna, płuca ze świstem nabrały powietrza. Ida wierzgnęła dziko, chwyciła nocną lampkę i walnęła stwora prosto w oblesnie wyszczerzony pysk... ale równie dobrze mogłaby uderzyć chmurę dymu. Stwór rozwiął się jak zły sen i zmaterializował znowu po drugiej stronie łóżka. Jego pół ludzka, pół zwierzęca postać emanowała złowrogą, roztętnioną mocą, a w kocich ślepiach iskrzyła groźba. Oraz wyzwanie.

Szamanka przyjęła je od razu. Bez zastanowienia.

Cisnęła w widziadło porwaną z szafki książką, ale w porę zrobiło unik, tym razem nawet nie zadając sobie trudu, by zniknąć jej z oczu. Zanim Ida zdążyła rozejrzeć się za kolejnym pociskiem, zębiska błysnęły w księżycowym półmroku, skórzaste skrzydła z łopotem smagnęły powietrze. Zmora runęła na dziewczynę z upiornym, hienim

chichotem, po czym rozsypała się nagle na tysiąc nocnych motyli i deszcz czarnego popiołu.

Szamanka skoczyła na równe nogi, zdyszana, wściekła, dopiero teraz naprawdę rozbudzona. Przebiegła palcami po kablu lampki, ale ręce dygotały jej tak bardzo, że minęły całe wieki, nim wreszcie znalazła włącznik. Szybko omiotła sypialnię wzrokiem, mrużąc oczy przed światłem.

Nikogo. Niczego. Tylko jej własny roztańczony cień na ścianie i blade odbicie w lustrze.

Willa była doskonale zabezpieczona przed wrogimi czarami oraz nieproszonymi gośćmi z sąsiednich wymiarów, ale szamanka nie miała wątpliwości, że to, co właśnie zobaczyła, to nie był zwykły koszmar, nie halucynacja wywołana sennym porażeniem, nie żadne przywidzenie.

Czyżby po siedmiu nocach bez żadnych snów doznała w końcu wieszce wizji?

Ale skoro tak, Gryzak powinien był ją wyłapać...

Złe przeczucia powróciły i uderzyły w dziewczynę z taką siłą, że aż ją zemdliło.

Gryzak!

Upuszczona lampka z hukiem wyrznęła o podłogę, drobiny szkła rozbryzgnęły się na wszystkie strony jak spieniona woda. Ida wypadła z sypialni, zbiegła po schodach, popędziła do kuchni. I zamarła w progu.

Srebrzysta struga księżycowego blasku przebijała wychudłe, bezwładne ciało na wskroś, nie rzucając na parapet choćby najśłabszego cienia. Głęboko zapadnięte ślepie łapacza przypominały puste oczodoły. Wystające żebra unosił płytki, nierówny oddech, łapy kurczyły się miarowo w słabych konwulsjach.

Od siedmiu nocy niczego nie jadł, pomyślała szamanka ze zgrozą, czując, jak wyrzuty sumienia skręcają jej żołądek w ciasny supeł. Głodował na moich oczach, a ja nie zrobiłam nic, żeby mu pomóc.

Podeszła do Gryzaka na miękkich nogach. Wyciągnęła dłoń, lecz jej palce przeszły przez niego jak przez kłębek dymu. Łapacz wyczuł jednak jakoś ten niematerialny dotyk, lisi ogon drgnął mu parę razy,

po czym znieruchomiał, a on sam opadł bez sił na parapet.

Niewiele myśląc, Ida usiadła przy stole, zamknęła oczy. Wyszła z ciała z takim impetem, że zsunęło się z krzesła i grzmotnęło o parkiet, lecz w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Podpłynęła do okna, ostrożnie wzięła łapacza na ręce.

– Przed chwilą miałam sen – szepnęła, drapiąc go za uchem i z trudem przepychając słowa przez ściśniętą krtań. – Zjedz go, maluszku. Musisz jeść...

Powtarzała to uparcie, ale Gryzak nie chciał słuchać, nie była nawet pewna, czy w ogóle ją słyszy. I dopiero gdy jego wielkie ślepie, niegdyś złocistożółte, teraz głębokie i czarne niczym bezdenne studnie, spojrzały na nią smutno spod opadających powiek, zrozumiała, że zmora wcale nie była snem, że nadal nie ma czym biedaka nakarmić, że nie może mu pomóc, że...

Zacisnęła drżące wargi, zamrugowała szybko. Mocniej przytuliła łapacza i pocałowała go w suchy, zimny nos.

– Nie zostawiaj mnie samej – poprosiła, wiedząc, jak samolubna była to prośba.

Już nie otwierał oczu. Zastrzygł tylko uszami, wysunął i schował ostre pazurki, lekko ugryzł jej dłoń. Z każdą chwilą stawał się coraz lżejszy, coraz bledszy, coraz mniej wyraźny.

– Wybacz mi, Gryzku – wyszemrała Ida łamiącym się głosem.

Zamruczał cicho na pożegnanie, a ona poczuła, jak bolesna gula w jej gardle pęka nagle, uwalniając niepowstrzymany, gwałtowny szloch.

Zniknął o świcie.

Odszedł wraz z poranną mgłą i popielatymi resztkami nocy, które uciekły w popłochu przed zabójczym światłem dnia. Pozostał po nim jedynie amulet. Niewielka obręcz z wierzbowej gałązki wypełniona gęstą pajęczyną konopnych nici, udekorowana wisiorkami z kamyków, rysich pazurów oraz sowych piór. Pograżona w apatii szamanka długo obracała go w dłoni, wodząc palcami po misternej sieci, dopóki pierwsze promienie słońca nie załały kuchni nieznośnie radosnym, różowo-złotym blaskiem.

Powlokła się z powrotem do sypialni. Weszła na łóżko, zawiesiła

amulet na gwoździu wystającym z belki stropowej, tym samym, na którym kołysała się ochronna wiązanka z piołunu, jałowca, wrotyczu i czarnego bzu.

Przez jakiś czas Ida stała jak słup soli pośrodku materaca, ze ślepyim wzrokiem wbitym w szarą ścianę. A później zwinęła się w kłębek pod kołdrą, wcisnęła twarz w poduszkę. Nawet nie zauważyła, kiedy wyczerpana bezsilnym płaczem oraz dławiącym poczuciem winy zapadła w niespokojny sen bez snów.

Ze śliskiej i chłodnej jak satyna czerni, w którą pogrążała się coraz głębiej i głębiej niby wrzucony w wodę kamień, brutalnie wyrwał ją świdrujący dźwięk. Tępy ból zatętnił w skroniach i potylicy, gdy tylko rozchyliła zapuchnięte powieki, a oczy poraził słoneczny blask. Z jękiem przetoczyła się na bok, po omacku szukając jazgoczącej komórki w rozburzonej pościeli. Nie sprawdziła, kto dzwoni, od razu wcisnęła zieloną słuchawkę.

– No? – wychrypiała niewyraźnie, po czym jęknęła znowu, tym razem w duchu, kiedy po drugiej stronie linii odezwał się Smoczyński. Minęło blisko pół minuty, zanim sens słów, które policjant wyrzucał z siebie szybko i z przejęciem, utorował sobie wreszcie drogę do jej oziębiałego umysłu i raptownie poderwał ją z posłania. – C-co? – wybełkotała, wiercąc knykciami w kąciку powieki. – Jakie żywe trupy, co ty pleciesz? – Skrzywiła się i z sykiem odsunęła telefon od ucha. – Nie krzycz na mnie, dopiero się obudziłam, słabo kontaktuję... Nie, nie wiem, która godzina... Aha. No cóż, najwyraźniej zasnęłam. Do rzeczy, Smoku. Zaczynaj od początku, tylko pomału...

Powtórzył wszystko raz jeszcze, bardzo powoli, bardzo wyraźnie i śmiertelnie poważnym tonem. Ida przełknęła ślinę.

– Na których cmentarzach? Poczekaj chwilę... Czekać, mówię! Muszę to zapisać. – Usiadła na skraju łóżka, wyjęła notes i ołówek z szuflady nocnej szafki. – Dobra, dyktuj. Cmentarz Osobowicki, pole sto pierwsze... – mruzczała do siebie, robiąc notatki – ...rząd jedenasty... mhm... numer nagrobka... nazwisko... mhm... Okej, mam, następny. Cmentarz Grabiszyński, pole czterdzieste pierwsze, rząd drugi... pole trzynaste, rząd siódmy... Cmentarz Święty... Jak



powiedziałaś? Świętej Rodziny? To pół godziny pieszo od mojego domu, zaraz się tam przejdę. A gdzie dokładnie? Pole szóste... przy głównej alei... za kaplicą... nazwisko... Hmm... Tak, tak, zanotowałam. Sprawdziliście dane osób, które pochowano w tych grobach? No i...? – Szerzej otworzyła oczy. – Jasny gwint – mruknęła słabo, przeczesując palcami rozczochrane loki.

Policjant gadał jak nakręcony, prawie nie robił przerw na oddech.

– Zaraz, zaraz, zwolnij trochę, to też sobie zapiszę...

Przez jakiś czas słuchała w zdumieniu i bez słowa kręciła głową. Rysik szemrał cichutko, sunąc po papierze i zapelniając go informacjami, których szamanka, mimo najszczerzej chęci, za nic nie potrafiła ogarnąć umysłem. Gdy policjant wreszcie umilkł, odrzuciła ołówek na łóżko i przetarła twarz dłonią. Odchrząknęła niepewnie raz i drugi.

– Dam znać Kruchemu i reszcie ekipy – powiedziała wolno. – Tak, sprawdzimy to jeszcze dzisiaj. Dzięki za cynk. No, ty też się trzymaj. Na razie.

Numer łowcy wybrała już w drodze do łazienki, stąpając ostrożnie wśród odłamków szkła z rozbitej lampki.

– Tak, tak, wiem, która godzina – mruknęła, przerywając Kruchemu w pół słowa. – Zasnęłam, bo... – zająknęła się, zatrzymała w progu sypialni. Zerknęła przez ramię na wiszący nad łóżkiem amulet i szybko odwróciła wzrok. Ruszyła korytarzem. – Miałam ciężką noc, później ci opowiem. – Weszła do łazienki, odkręciła kurek nad wanną, żeby stary, kapryśny bojler zdążył się rozhulać i nagrzać wodę przed prysznicem. – Nie słyszałam, jak dzwonisz – powiedziała głośniej, przekrzykując deszcz lodowatych kropel. – Obudził mnie dopiero telefon od Smoka... Tak, i to nie jeden, ale trzy pożary, a każdy łądząco podobny do dwóch poprzednich. – Przyciskając komórkę ramieniem do ucha, zaczęła rozczesywać splątane loki. – Zaraz wyślę ci wszystkie namiary esemesem. Ale to jeszcze nic... – Spojrzała w lustro. Twarz miała białą jak papier, w piwnych oczach krył się lęk. Mocniej zacisnęła dłoń na szczotce do włosów. – Siedzisz? – spytała i sama też przysiadła na krawędzi wanny. – No to lepiej usiądź. I przestań na chwilę jeść, bo mi się jeszcze udławisz

z wrażenia...

Czterdzieści pięć minut później Ida maszerowała ulicą Smętną, która wiodła między ogródkami działkowymi a cmentarzem parafii Świętej Rodziny. Jak gdyby na przekór swojej nazwie okolica nie sprawiała bynajmniej smętnego wrażenia. Dochodziło południe, słońce świeciło już wysoko na perłowoszarym niebie. Żółtoczerwone liście wirowały tuż nad ziemią niczym ogniste tornada, rozbujałe drzewa rzucały na trawę roztańczone cienie, przepędzając chmury półmagimi gałęziami, a pomarszczone kałuże pobłyskiwały chłodnymi refleksami białego złota. Nawet nagrobki, mokre i lśniące po niedawnym deszczu, usiane roziskrzonymi diamentami kropel, miały w sobie pewien niezaprzeczalny urok.

Ale szamanka nie dała się oczarować. Słoneczne promienie, choć oślepiająco jasne, przegrywały z jesiennym wiatrem i dawały tak mało ciepła, że równie dobrze można by próbować ogrzać się w księżycowym blasku. Mimo szybkiego marszu przemarzła na kość. Szła sztywno jak automat, z kapturem naciągniętym niemal po koniuszek nosa i wzrokiem utkwionym w czubki własnych butów. Dopiero gdy o mały włos nie weszła na zaparkowany na poboczu samochód i wyrwana z zadumy rozejrzała się wokół, zdała sobie sprawę, że przegapiła boczne wejście na cmentarz. Zawróciła do furtki, kuląc się przed kłującym wiatrem, po czym niemal z ulgą wkroczyła między groby i wysokie drzewa.

Wyłożona kostką aleja prowadziła prosto do kaplicy. Ida minęła drobną, siwiuteńką staruszkę, która cierpliwie zeskrobywała mech oraz plamy wosku z wiekowego, na poły zapadniętego nagrobka. Kilka rzędów dalej dwoje energicznych emerytów krzątało się wokół rodzinnego grobowca: mężczyzna z werwą grabił liście i wyrwał chwasty, a kobieta w skupieniu polerowała marmurowe płyty.

No tak, pomyślała szamanka. Mamy już przecież połowę października. Dziady za pasem, ruszyły przedświąteczne porządki...

Wizja nadchodzących Zaduszek spłynęła jej dreszczem po kręgosłupie i przez długą chwilę rezonowała w trzewiach nieprzyjemnymi skurczami. W tę wyjątkową noc Pieśni Umarłych rozbrzmiewały ponoć tak głośno, że nawet zwykli ludzie mogli je

usłyszeć – ostrzegała przed tym każda z Teklowych ksiąg. Ida nie potrafiła sobie wyobrazić, jak przetrwa ten czas bez Gryzaka... O ile sny w ogóle do niej powrócą. Sama nie wiedziała, co przeraża ją bardziej: niepowstrzymana lawina wieszczych majaków, przed którymi nikt jej już nie obroni, czy wlewająca się do czaszki ciemność, zimna i bezkresna niczym kosmiczna próżnia.

Szamanka wzdrygnęła się, przyspieszyła kroku. Okrążyła ponurą kaplicę z czerwonej cegły, a potem zeszła z głównej alei i skręciła w wydeptaną w trawie dróżkę, ledwo widoczną pod rudobrazowymi liśćmi. Przystanęła przed rzędem mogił, przebiegła po nich wzrokiem, szukając śladów zniszczeń i wymienionego przez Smoka nazwiska, ale nie znalazła ani jednego, ani drugiego na żadnym z pobliskich nagrobków. Uniosła głowę, spojrzała dalej, na drugi koniec ścieżki. Jej uwagę przykuł łopoczący na wietrze skrawek białej folii owiniętej wokół pnia sosny. Drugi koniec taśmy przywiązano do wbitego w ziemię palika, a otoczony nią grób przysłaniały rozłożyste krzaki jałowca. Ida ruszyła w tamtym kierunku z osobliwym uczuciem, że kiedyś już tutaj była. Cmentarz jak to cmentarz, jeśli widziało się jeden, to w zasadzie widziało się wszystkie, ale tu nie chodziło o zwykłe podobieństwo czy wrażenie *déjà vu*. Szamanke ogarnęło naraz niedorzeczne przekonanie, że to miejsce także ją zna.

Gdy zajrzała za jałowcowy żywopłot, serce mocniej zatrzepotało jej w piersi, a krew zatętniła w skroniach. Wielki fragment rozłupanej płyty leżał obok nagrobka. Trawę wokół zaścielały odłamki skruszonego kamienia, kawałki drewna i wielkie zwały czarnej ziemi. Wyglądało to tak, jakby grunt pod mogiłą zagotował się i wykypiał, rozsadzając granit od spodu.

Szamanka zanurkowała pod taśmą, powoli podeszła do zdewastowanego nagrobka. Wyjęła z torby latarkę, pochyliła się nad wyłomem i zajrzała w dół. Większość ziemi wymiotło na zewnątrz, na dnie była tylko biała, ubłocona trumna z metalowymi okuciami. Z wieka zostały drzazgi, skrzynia zaś była pusta, jeśli nie liczyć kilku zwiędłych liści oraz mętnej kałuży po ostatnich ulewach. Ida przykucnęła przy dziurze, pociągnęła nosem. Smoczyński nie ściemniał. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, stęchlizny

i zbutwiałego drewna, ale w ogóle nie było czuć trupem.

Ponownie zerknęła na inskrypcję na płycie. Świętej pamięci Anna Rucińska spoczęła w tym grobie blisko trzy lata temu, a z relacji policjanta wynikało, że jej ciało zniknęło przed pięcioma dniami. Smród wieloletniego rozkładu tak szybko nie wietrzeje. Nie wspominając nawet o tym, że szczątki z podobnym stażem już nie bardzo trzymają się kupy, dziwne więc, że nie został po nich żaden fizyczny ślad...

Ida przez dłuższą chwilę walczyła z myślami. W końcu zebrała się w sobie, dotknęła strzaskanego granitu koniuszkami palców. Natychmiast cofnęła rękę i wstała tak gwałtownie, że zakreśliło jej się w głowie, straciła równowagę. Dłonią, którą odruchowo wyciągnęła przed siebie, szukając oparcia, natrafiła na żeliwny krzyż...

I znów rozlega się huk eksplodującego kamienia, wibrujący, tubalny ryk rozrywanego gruntu. Fontanny czarnych grud z suchym hurkotem tryskają przez szpary w wybrzuszonej się płycie, spod ziemi wyrasta rozczapierzona dłoń, zgrzytając paznokciami o spękany granit. W ogromnej wyrwie pojawia się trupio blada twarz. Oczy płoną zielonym ogniem jak latarenki kocich ślepi, burza falistych włosów lśni w blasku księżyca niczym roztopiony ołów. Oddech świszczce i charkocze w gardle poznaczonym sińcami po wisielczej pętli, a bicie martwego serca niesie się wśród mogił dudniącym, złowieszczym echem...

Szamanka oderwała dłoń od krzyża, odskoczyła, wpadając plecami na drzewo. Wolno osunęła się po pniu i siedziała tak, wpatrzona bezmyślnie w pogruchotany kamień, dopóki nie dobiegł jej odgłos kroków. Odwróciła głowę.

Kruchy wyszedł zza jałowca i stanął jak wryty. Minęła długa chwila, zanim otrząsnął się na tyle, by zakląć pod nosem. Nerwowymi ruchami poklepał się po kieszeniach i wyjął paczkę lucky strike'ów.

– Ja też poproszę.

Drgnął zaskoczony i dopiero teraz ją zauważył. Bez słowa usiadł obok na trawie. Podał szamance tłącęgo się papierosa, drugiego wsunął do ust. Przez jakiś czas palili w ciszy.

– Widziałas, co tu się stało – stwierdził wreszcie, bezbłędnie

odczytując jej pełne napięcia milczenie. – Opowiedz mi, proszę.

Ida opowiedziała. Łowca słuchał uważnie z kamienną miną i głową opartą o pień sosny, ani na moment nie odrywając oczu od zniszczonego grobu.

– Wiesz może, z jakiego powodu córka Barbary Sziler postanowiła opuścić miejsce wiecznego spoczynku? – spytała na koniec pozornie obojętnym tonem.

Kruchy wykonał papierosem nieokreślony gest, który mógł oznaczać zarówno tak, jak i nie.

– Mieliśmy umowę. – Szturchnęła go łokciem. – Jesteś mi winien swoje tajemnice, pamiętasz?

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Zaciągnął się głęboko, a gdy wypuścił powietrze, jego twarz zniknęła na moment w chmurze pary i dymu.

– Poznałem Sziler jakieś dwa i pół roku temu – zaczął bez zbędnych wstępów. – Oficjalnie zajmowała się alchemią, ziołolecznictwem i wyrobem amuletów uzdrawiających. W rzeczywistości żyła z handlu nielegalnymi artefaktami oraz księgami zaklęć z drugiego obiegu. Wcześniej uprawiała czarną magię, ale bez większych sukcesów, bo podobnie jak Piotr Jaworski nie grzeszyła talentem. Kiedy ją spotkałem, była już dobrze znaną na czarnym rynku antykwariuszką, poszukiwaczką i kolekcjonerką zakazanych białych kruków...

Ida zanurzyła resztkę papierosa w wilgotnej trawie, żar zgasł z przeciągłym sykiem. Nie odzywała się, czekając cierpliwie, aż Kruchy podejmie opowieść.

– To Kornelia ją dla mnie znalazła – powiedział w końcu, zapatrzony gdzieś w dal. – Dobrze wiedziała, co zamierzam i że nic nie odwiedzie mnie od kolejnego szalonego pomysłu. Zamiast więc prawić mi kazania, których i tak bym nie posłuchał, postanowiła pomóc. Uruchomiła swoją sieć kontaktów, dyskretnie rozpuściła wici. Kogoś przekupiła, kogoś zaszantażowała, ktoś inny był jej winien przysługę i spłacił dług, udzielając informacji. Nie minął tydzień, a już miałem zamiary na osobę posiadającą pewien bezcenny wolumin. Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, bo *Necrosis* było tak rzadkie, że

większość alchemików, goetów i nekromantów, z którymi rozmawiałem, wątpiła, czy w ogóle kiedykolwiek istniało... Ale Kwiatek, jeśli chce, potrafi znaleźć wszystko. Nawet mit.

Łowca znów umilkł, po czym wygrzebał z paczki kolejnego papierosa. Kamień zapalniczki trzasnął zgrzytliwie, trącony wiatrem płomyk splunął iskrami. Tytoń zaskwierczał przeciągle i zarumienił się żarem.

– Sziler zgodziła się oddać mi *Necrosis* w zamian za obietnicę, że będę ją krył przed WON-em – podjął Kruchy, strzepując popiół na trawę. – Gdyby wpadła, wysypałaby mnie, więc przysięga krwi, którą sobie wtedy złożyliśmy, chroniła także mój tyłek. Sziler wręczyła mi księgę bez większego żalu, twierdząc, że to falsyfikat. Wypróbowała ponoć wszystkie opisane w niej rytuały i żaden nie zadziałał tak, jak powinien. Ostrzegła mnie, że skoro ona nie odzyskała córki, to i ja nie odzyskam... – urwał. Ponownie przebiegł wzrokiem po inskrypcji na zdruzgotanym nagrobku. – Ale i tak musiałem spróbować. Od śmierci Leny minął prawie rok, a ja nadal byłem wściekły. Opętała mnie jakaś chora, napędzana furią obsesja i nie potrafiłem przestać. Brzmi znajomo, prawda? O, tak... – odpowiedział sam sobie, zanim Ida zdążyła otworzyć usta. – Ja i Kusiciel byliśmy kiedyś do siebie bardzo podobni.

Szamanka milczała, obracając w palcach ostry odłamek nagrobnej płyty.

– Wiesz, że Lena zginęła z mojej ręki – ciągnął łowca tak beznamiętnym głosem, jakby opowiadał historię innego człowieka. Kogoś, kogo wcale nie znał. – I wiesz, w jaki sposób. Jako łowca demonów umiem spętać astralną energię i zamknąć ją w materialnej powłoce, ale ciała po dekapitacji nie da się wskrzesić. Nie było więc sensu wykładać go z firmowej kostnicy. Zamiast tego musiałem stworzyć je na nowo. Od podstaw.

Ida mimowolnie powróciła myślami do dnia, w którym wspólnie z łowcą przeczesywali dom Kusiciela i w podziemnej pracowni natknęli się na pół żywe, pół martwe stworzenie. Pólludzki, pokryty plamistą, łuszczącą się skórą kadłub bez nóg, kikuty ramion, zdeformowana głowa. Jedno oko mniejsze od kostki do gry, drugie

ogromne, z tęczęwką wielkości ziarenka grochu. Rozszczepiona warga, dwie szczeliny w miejscu nosa, brodawki zamiast uszu, a do tego niewykształcona żuchwa schowana pod bezzębną szczęką, na czaszce zaś kępki płowych włosów i szarozółte kurzajki...

Na samo wspomnienie zrobiło jej się niedobrze.

– Nekromancka magia kreacyjna... – wyszeptała.

– Blisko, ale pudło. Lena zginęła w wyniku opętania, nie chciałem ryzykować, że to się powtórzy. Woląłem ograniczyć czarną magię do niezbędnego minimum.

Ida zastanawiała się przez chwilę.

– Alchemiczna transmutacja człowieka? – strzeliła po raz drugi.

Kruchy kiwnął głową, a potem zamknął oczy.

– Tlen, węgiel, wodór, azot, wapń, fosfor, potas, siarka, sód, chlor, magnez – zaczął wymieniać płynnie, bez zająknięcia, jak gdyby nazwy tych wszystkich pierwiastków miał wypalone po wewnętrznej stronie powiek. – Bor, chrom, kobalt, miedź, fluor, jod, żelazo, mangan, molibden, selen, krzem, cyna, wanad, cynk... Prócz samych składników i magicznej formuły kluczowe są oczywiście proporcje. Sześćdziesiąt pięć procent tlenu, osiemnaście i pół procent węgla, dziewięć i pół procent wodoru, trzy i dwie dziesiąte procent azotu... Potrafiłbym wyrecytować całą recepturę z *Necrosis* nawet obudzony w środku nocy. Pamiętam nie tylko słowa, ale też ryciny, tabele, diagramy... Wszystko.

– I udało ci się? – Szamanka mocno ścisnęła odłamek kamienia w dłoni. – Odtworzyłeś ciało Leny?

Kruchy wykrzywił usta. Zagryzł zęby.

– Odtworzyłem – wycedził.

– A co z duszą?

Tym razem cisza trwała tak długo, że Ida zaczęła się zastanawiać, czy łowca w ogóle się jeszcze kiedyś do niej odezwie.

– Znasz alchemiczną zasadę równej wymiany? – odpowiedział w końcu pytaniem na pytanie.

Nie znała. Ale jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, żeby domyśliła się, na czym ona polega. Zaschło jej w ustach.

– Chcesz powiedzieć... – wykrztusiła.

– Tak. Nie da się stworzyć czegoś z niczego. Aby coś odzyskać, trzeba stracić coś o równej wartości. Życie za życie. Śmierć za śmierć. Dusza za duszę.

– Ale ty chyba nie...

– Nie. – Znów nie dał jej dokończyć. – Kiedy przyszło co do czego, nie znalazłem w sobie dość odwagi, żeby złożyć w ofierze własną duszę. Ale i ten problem szybko się rozwiązał. W *Necrosis* opisano mnóstwo rytuałów. Dzięki jednemu z nich zamiast siebie mogłem poświęcić kogoś innego. Kogoś równie cennego jak kobieta, w której się zakochałem. – Kruchy przez całą rozmowę starannie unikał wzroku Idy, a teraz nagle odwrócił głowę i z bliska spojrzął jej w oczy. – Zapłaciłem za Lenę naszym nienarodzonym dzieckiem. Bez wahania wyrwałem je z zaświatów i posłałem gdzieś w demoniczną otchłań, nie zastanawiając się nawet przez moment, co się z nim stanie. Zakazałem sobie o tym myśleć, wmówiłem własnemu odbiciu w lustrze, że to maleńkie istnienie w ogóle się nie liczy. Nic się wtedy nie liczyło. Tylko Lena.

Długo patrzyli na siebie bez słowa.

– Czekasz, aż cię zwyzywam od drani i pójdę w cholere? – spytała ze spokojem Ida. – Nic z tego, przyjacielu. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Milczał. Twarz nadal miał nieruchomą i tylko jeden kącik ust drgnął mu nieznacznie w górę.

– Postąpiłeś paskudnie – orzekła z bezlitosną szczerością. – Ale skąd ja mogę wiedzieć, co zrobiłabym na twoim miejscu? Może dokładnie to samo? Może czując to co ty w tamtej chwili, ja także próbowałabym odwrócić nieodwracalne bez względu na cenę?

Kruchemu nie spodobał się płomyk absurdalnej nadziei, który rozświetlił na moment jej piwne tęczówki. Pośpiesznie pokręcił głową.

– Ty nie byłabyś zdolna kogokolwiek złożyć w ofierze.

Płomyk zgasł i oczy Idy wydały mu się teraz zupełnie puste.

– O, czyżby? – Podciągnęła kolana pod brodę i ciasno oplotła je ramionami, jakby w obawie przed tym, co zamierzała powiedzieć. Wzroku jednak nie spuściła. – Gdybyś pół roku temu pokazał mi



sposób na unieważnienie nieśmiertelnej przysięgi, skorzystałabym z niego od razu. I nigdy nie weszłabym w lustra po Mikołaja. Co jest bardziej podłe, a co bardziej szlachetne? Poświęcenie jednej z ukochanych dusz dla drugiej czy skazanie cudzej duszy na niebyt, aby ocalić własną?

– Ja przekroczyłem granicę – zauważył łagodnie łowca. – Ty nie. Ostatecznie zrobiłaś to, co należało.

– Owszem – zgodziła się natychmiast, lecz z taką miną, jakby rozgryzła coś cierpkiego i gorzkiego zarazem. – Ale nie z własnej woli. Miałam to szczęście, że nie miałam wyboru. Ruszyłam Mikołajowi na ratunek, bo w przeciwnym wypadku trafiłby mnie szlag. Nie zrobiłam tego dla niego. Zrobiłam to dla siebie. I gdyby istniała wtedy jakaś alternatywa, wiem doskonale, co bym wybrała. Bo ja po prostu bałam się zniknąć. Nadal się boję. Strzegę Praw Śmierci i wypełniam obowiązki szamanki od umarłaków nie z powołania, tylko ze strachu. Jestem zakładnikiem własnego daru, którego wyparłabym się bez mrugnięcia okiem przy pierwszej lepszej okazji. Żadna ze mnie bohaterka, Kruchy, tylko zwykły tchórz.

Chciał coś wtrącić, ale mu na to nie pozwoliła.

– W przeciwieństwie do ciebie jeszcze nigdy niczym nie ryzykowałam dla drugiego człowieka – oznajmiła twardo. – Nigdy. Ty tak. Choćby dla mnie. Siedzę teraz tutaj wyłącznie dzięki temu, że nie wahasz się nadstawić karku za innych, nawet za cenę własnego bezpieczeństwa, nawet kosztem własnego sumienia. I jestem ostatnią osobą na ziemi, która ma prawo cię pouczać czy prawić kazania o świętości zasad, skoro sama przestrzegam ich wyłącznie z tchórzostwa. Gdybyś nie łamał reguł, byłoby po mnie.

– Gdybym ich nie łamał, nie zabiłbym czworga ludzi – przypomniał surowo. – I nie skazałbym duszy niewinnego dziecka na los gorszy od śmierci. Nie, Ido. W ostatecznym rozrachunku ja wcale nie wychodzę na dobrego człowieka.

– No to jest nas dwoje – skwitowała z błyskiem przekory w oku. – Bo czy kogoś, kto czyni dobrze tylko dlatego, że ma nóż na gardle, można nazwać dobrym człowiekiem?

– Obawiam się, że zaczęliśmy filozofować.

– I to, o zgrozo, bez alkoholu.

Łowca parsknął z cicha, a Ida poczuła, że na jej usta także wypływa mimowolny uśmiech. I nagle obojgu zabrakło słów, ale żadne słowa nie były już potrzebne. Szamanka z westchnieniem przysunęła się do Kruchego, oparła mu głowę na ramieniu. Po chwili wahania objął ją i mocno przycisnął do siebie.

– Rytuał wskrzeszenia Leny zadziałał? – odważyła się zapytać dużo, dużo później i wstrzymała oddech w przeczuciu tego, co zaraz miała usłyszeć.

Łowca po raz kolejny utkwiał wzrok w strzaskanej płycie nagrobka. Milczał przez dobrą minutę.

– Godzinę temu powiedziałbym, że nie – odparł wreszcie lekko zdławionym głosem. – Ale teraz... Sam już nie wiem.

## Rozdział dwunasty

Pół godziny później Ida i Kruchy byli już w drodze do pierwszego z trzech mieszkań, w których znaleziono kolejne strawione ogniem ludzkie szczątki – nie wyglądało jednak na to, by szybko mieli tam dotrzeć. Na rondzie Reagana wpakowali się w sam środek gigantycznego korka, a kiedy skręcili wreszcie w stronę mostu Grunwaldzkiego, ponad dachami stłoczonych jak sardynki samochodów dostrzegli pulsujące czerwienią i ciemnym błękitem światła radiowozów oraz karetek pogotowia. Silnik terenówki warczał niecierpliwie na jałowym biegu, łowca co rusz sprawdzał godzinę na ekranie komórki, ale nawet nie chciało mu się kłaść, a skulona w fotelu obok szamanka wpatrywała się w swoje zapiski tak intensywnie, jakby oczekiwała, że lada moment do niej przemówią.

– Dobra, to podsumujmy. – Gwałtownym ruchem przecesała palcami włosy i znów zajrzała do notatnika, przygryzając koniuszek ołówka. – Ciało Anny Rucińskiej zniknęło z cmentarza Świętej Rodziny dzień przed śmiercią jej matki, Barbary Sziler. Nie znamy dokładnej daty zaginięcia zwłok Jana Jaworskiego z cmentarza Osobowickiego, ale doszło do niego nie później niż tydzień przed śmiercią jego syna, Piotra Jaworskiego. Do tego mamy trzy nowe samospalenia i jeszcze trzy opustoszałe groby, jeden na Osobowicach, pozostałe dwa na cmentarzu Grabiszyńskim. Smok powiedział mi rano przez telefon, że zmarła przed pięcioma laty, a zaginiona od zeszłego tygodnia Marta Kuśmierczyk była narzeczoną Pawła Tomkiewicza, który dwa dni temu dokonał żywota w nadprzyrodzonych płomieniach. Rysuje się nam tutaj bardzo wyraźny wzór. – Zakreśliła trzy niedbałe kółka, dobierając w pary nazwiska, które wypisała wcześniej w dwóch sąsiadujących ze sobą kolumnach: „spaleni” po lewej, „wskrzeszeńcy” po prawej. – Ze wszystkich dziesięciu osób cztery pozostają solo, bo jeszcze za mało o nich wiemy – mruknęła, stawiając znaki zapytania obok

niepołączonych nazwisk. – Ale chyba już teraz możemy śmiało założyć, że każdy samospaleniak jest spokrewniony lub w inny sposób związany z jednym z ożywionych nieboszczyków...

Łowca przytaknął krótkim skinieniem.

– Pytanie pierwsze: jak duchożerca wybiera kolejne cele? – Ida postukała w zeszyt rysikiem i zmarszczyła brwi. – Pytanie drugie: na diabła mu te zwłoki?

– Co do zwłok, to na razie brakuje mi pomysłów – przyznał Kruchy. – Ale skoro Sziler oraz młody Jaworski mieli zdolności magiczne, to pozostałe ofiary zapewne również. Założę się, że duchożerca nie tylko zjada dusze, ale też kradnie moc.

– Pytanie trzecie – podchwyciła natychmiast szamanka – dlaczego zabija i okrada z mocy magów o tak mizernych talentach? Nie ma w okolicy potężniejszych czarodziejów?

– Może potężniejsi czarodzieje są dla niego po prostu zbyt potężni? Przynajmniej na razie.

– Na razie – powtórzyła markotnie, uzupełniając notatki. – Czyli skurczybyk rośnie w siłę... No tak, w przeciwnym wypadku po cholere by żarł?

– Właśnie. Każdy posiłek go wzmacnia, ale tylko do pewnego momentu.

– To znaczy?

Kruczy uchylił okno i zapalił papierosa.

– Nie wiem, jak sprawy się mają w świecie demonów – zaczął, a przy każdym słowie z ust uciekał mu krągły obłoczek dymu – ale u nas żaden pochłaniający magię byt nie ma szans przetrwać zbyt długo bez materialnej powłoki. Ciało zakotwicza i kondensuje energię, nie pozwalając jej się rozproszyć. Im większy ładunek magiczny, tym trudniej utrzymać go w ryzach, a po osiągnięciu punktu krytycznego następuje eksplozja. Większość zaklęć bojowych działa na podobnej zasadzie: czarodziej uwalnia z siebie porcję mocy, a ta, opuściwszy jego ciało, traci uziemienie i wybucha.

Ida uniosła głowę znad notesu.

– A więc to dlatego duchożerca kradnie trupy z cmentarzy? Żeby się w nich zakotwiczyć? Tylko na co mu ich aż tyle, nie wystarczyłyby

jeden?

Łowca zabębnił palcami o kierownicę.

– Być może służą mu jako tymczasowe naczynia na moc... – orzekł po dłuższym zastanowieniu. – To by miało sens, zważywszy na to, że ciała magów, na których poluje, doszczętnie trawi ogień... Ale ja nadal nie pojmuję, w jaki sposób zabija. Jak zmusza ludzi do składania mu się w ofierze całopalnej ani jak zamordował Roberta i Marię. – Kruchy potarł czoło wierzchem dłoni, mrużąc powieki przed słońcem, które na moment wyjrzało zza popielatych chmur. – Zdaniem medyka sądowego ci dwoje zginęli od potężnej klątwy – podjął, zapatrzony w migające w oddali koguty. – A takiej klątwy żadna niematerialna istota w zasadzie nie powinna móc rzucić. Nie w naszym świecie. Żeby to zrobić, musiałyby być do tego stopnia nafaszerowana mocą, że rozerwałyby ją na miejscu w drobny mak, zanim na dobre opuściłyby grób Adama Anonima... A wtedy to nie Rob z Marysią, ale Chmielarz ze swoją ekipą znaleźliby się w polu rażenia. Z kolei Jaworski i Sziler nie należeli do utalentowanych magów, to fakt, jednak znali się na zabezpieczeniach. Oboje mieli w domach tyle ochronnych artefaktów, że samobójstwa na skutek zwykłego opętania też musimy wykluczyć.

Ida przez jakiś czas rozważała te słowa, nakręcając na palec kosmyk włosów.

– A czy duchożerca nie zdążył czasem miotnąć klątwą w Roba i Marysię, zanim ciało Adama rozsypało się w proch? – spytała wreszcie. – No a teraz przywdziewa te skradzione zwłoki, więc...

– Martwe ciało, nawet wskrzeszone, nie może korzystać z mocy – przerwał jej łowca. – Może ją w sobie przechować, ale nie użyć.

Szamanka zakłęta z cicha.

– Czyli nawet jeśli duchożerca rzeczywiście animuje ciała zmarłych i składa ich najbliższym niezapowiedziane wizyty zza grobu...

– To nadal nie umiemy wyjaśnić, jak nakłania tych ludzi do samobójstw, skoro nie może wpływać na nich magia – dokończył za nią Kruchy.

– Słowem, im więcej wiemy, tym mniej wiemy – skwitowała

filozoficznie. – Nic już z tego nie rozumiem – poskarżyła się, z hukiem zatrzaskując notatnik i ciskając nim na deskę rozdzielczą.

– Witaj w klubie. – Łowca strzepnął popiół za okno. Podjechał kawałek, gdy rzeka samochodów przed nimi nareszcie drgnęła z miejsca, ale zaraz znowu musiał dać po hamulcach i westchnął z rezygnacją. – Miejmy nadzieję, że jutro dowiemy się od Kusiciela czegoś, co nam pomoże ogarnąć cały ten burdel... – dodał niby od niechcenia.

– Jutro? – Ida wyprostowała się jak struna, a oczy jej rozbłysły. – Lekarze zgodzili się wreszcie na przywrócenie mu wspomnień?

– Dość niechętnie. – Kruchy uśmiechnął się półgębkiem. – Próbowali przeciągnąć sprawę do poniedziałku, bo nadal nie są zachwyceni wynikami jego badań. Ale Ruda z właściwym sobie wdziękiem w kilku precyzyjnie dobranych słowach zaproponowała im, gdzie sobie mogą wsadzić taki pomysł.

– Oho. Znaczy, szlag ją trafił?

– Mało powiedziane, szkoda, że tego nie widziałaś – odparł radośnie. – Był taki moment, kiedy myślałem, że sama zaraz stanie w ogniu, i zacząłem się nawet rozglądać za gaśnicą. Zadzwoiła do szpitala chwilę po twoim telefonie. Wiedziała już o nowych samospaleniach i zaginionych trupach, więc kiedy lekarze zaczęli swoją zwykłą śpiewkę o dobru pacjenta, Ruda przywaliła im paragrafem o utrudnianiu śledztwa... i jeszcze paroma obietnicami, które można by z powodzeniem podciągnąć pod groźby karalne. – Zerknął na dziewczynę z ukosa. – Pojedziemy do szpitala z samego rana i będziesz mogła osobiście oddać Kusicielowi klucz. O ile znowu nie zaśpisz – dodał z lekkim przytykiem.

W pierwszym odruchu Ida skwapliwie pokiwała głową. W drugim odwróciła ją szybko w stronę okna, ukrywając twarz za zasłoną włosów. Na wzmiankę o zasypianiu jej myśli natychmiast pobiegły do biednego Gryzaka, a nie była jeszcze gotowa, by opowiedzieć Kruchemu o smutnym losie łapacza. Przez resztę drogi nie odzywała się niepytana i odpowiadała półsłówkami, aż wreszcie łowca także umilkł, zatapiając się we własnych myślach.

Dotarli na miejsce tuż przed trzecią. Na osiedlowym parkingu,

niemal zupełnie pustym o tej porze dnia, stał już samochód Szerszenia oraz jeden z czarnych vanów na warszawskich blachach. Ida i Kruchy wysiedli z terenówki, po czym ruszyli w stronę odrapanego bloku, klucząc wśród szerokich kałuż, pełnych petów, śmieci i gnijących liści. Bramę zastali otwartą na oścież, a na klatce schodowej rozlegały się głosy techników, czuć było znajomą woń zaklęć skanujących, a także ledwo uchwytny smrodek spalenizny.

Szamanka wspięła się na piętro w ślad za łowcą i podskoczyła zaskoczona, gdy zza drzwi najbliższego mieszkania dobiegło ich naraz wściekłe ujadanie psa. Mimowolnie przyśpieszyła kroku.

– Zwierzaki nie przepadają za czarami – skomentował Kruchy, kiedy dogoniła go na schodach. – Pamiętasz pewnie, jak reagowały na nie twoje koty. Dostają szału od samego zapachu...

– Ten Burek do tej pory siedział cicho – huknął na nich z góry Szerszeń, przewieszając się przez poręcz. – Sugerujesz, że nie wiem, jak ekranować miejsce zdarzenia, synku?

– Gdzieżbym śmiał.

– No, ja myślę. – Technik błysnął zębami spod sumiastych wąsów. – Chodźcie, chodźcie – ponaglił i zniknął im z pola widzenia. – My tu już właśnie kończymy, możecie się rozejrzeć.

Podążyli za Szerszeniem do mieszkania numer pięć. Łowca od razu wszedł do środka, ale Ida zatrzymała się na korytarzu i obejrzała na schody. Przez parę chwil słuchała skowytu przerażonego zwierzęcia, po czym zrobiła ostrożny krok z powrotem ku stopniom. Wycie momentalnie przeszło w gardłowy, zajadły warkot, a szamanka poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba. Wycofała się czym prędzej i ruszyła za Kruchym.

W progu o mało nie wpadła na Chmielarza. Nekromanta odskoczył od niej jak oparzony. Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego chwycił się za głowę, zatoczył lekko i zasyczał z bólu. Spojrzał na szamankę pomiędzy poparzonych zaklęciami palców ni to ze strachem, ni to z wyrzutem.

– W... w porządku? – wybąkała niepewnie.

– Migrena – zgrzytnął przez zaciśnięte zęby.

Wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować. Oparł dłoń o framugę,

z trudem łapiąc powietrze. Ścisnął palcami nasadę nosa, pomasażował czoło między brwiami, zamrugał raz i drugi. I nagle wyprostował się z osobliwym błyskiem w oku. Zerknął przez ramię gdzieś w półmrok mieszkania, potem na Idę. Znów za siebie.

– Zobaczymy się później – rzucił takim tonem, jak gdyby się odgrażał, po czym bezceremonialnie odepchnął szamankę na bok i umknął pośpiesznie w kierunku schodów.

Patrzyła za nim w osłupieniu, dopóki nie zniknął za rogiem korytarza.

– A jemu co się stało? – spytała Kruchego, który właśnie wrócił do przedpokoju i podał jej opakowanie lateksowych rękawiczek.

– Łuk w ogóle jest ostatnio jakiś dziwny. – Łowca wzruszył ramionami. – Gdy tylko mnie zobaczył, pozieleniał na gębę i wyszedł bez słowa. Chyba powinienem poczuć się dotknięty.

– Nie wydaje ci się to...

– Podejrzane? – podchwycił natychmiast, acz bez przekonania. – Tak bardzo, że aż wcale. Co nie zmienia faktu, że na wszelki wypadek lepiej mieć go na o...

– A wy co, czekacie na specjalne zaproszenie? – zadudnił Szerszeń z głębi mieszkania, aż echo poszło po klatce. – Ruszcie tyłki, smarkacze, nie mam całego dnia!

Oględziny na cmentarzach oraz w miejscach zbrodni zakończyli równo z wybiciem dziesiątej wieczorem.

Już wstępne ustalenia techników nie pozostawiały zbyt wiele miejsca na wątpliwości, że każdy z nowych samospaleńców nie tylko umiał posługiwać się magią, ale też odebrał sobie życie tym samym rytuałem co Piotr Jaworski oraz Barbara Sziler. Ponieważ jednak obecni przy wszystkich czynnościach kryminalistycznych eksperci od algorytmów zaklęć wciąż nie mogli dopasować sygnatur magicznych ujawnionych w mieszkaniach ofiar do żadnej ze znanych im matryc, zarówno pochodzenie, jak i dokładne działanie owego rytuału w dalszym ciągu stanowiły zagadkę. Co więcej, w dwóch przypadkach, podobnie jak u Sziler, prócz ciał samobójców spłonęły także starannie wyselekcjonowane części ich domowych biblioteczek.

Co się zaś tyczy opuszczonych grobów, znalezione przy nich



resztki nadprzyrodzonej energii były w niemal stu procentach spójne z tymi, które medyk sądowy odkrył na ciałach Marii Hyc i Roberta Ochmana.

Pod koniec dnia, gdy wszelkie materialne oraz niematerialne dowody zostały zabezpieczone, udokumentowane, opatrzone najwyższym priorytetem, po czym wysłane do pilnej analizy, stało się całkowicie jasne, że – tak jak przypuszczali Ida i Kruchy – wszystkich wskrzeszeńców łączyły bliskie, choć niekoniecznie rodzinne więzi z poszczególnymi ofiarami pożarów. Zmarła przed rokiem Natalia Stachyra okazała się najlepszą przyjaciółką spalonej żywcem Elwiry Wójcickiej, natomiast nieżyjący od siedmiu lat Wojciech Nieznanowicz był niegdysiejszym wspólnikiem Mariusza Czyżyka, ostatniej ofiary rytualnego ognia.

Ponadto mikroślady oraz ślady traseologiczne potwierdziły drugą teorię szamanki, według której duchożerca odwiedzał magów, animując zwłoki ich drogich zmarłych: drobinki błota i odblaski butów utrwalone na dwóch miejscach zbrodni zgadzały się z próbkami ziemi pobranymi z dwóch opuszczonych grobów – jednego na cmentarzu Grabiszyńskim, drugiego na Osobowicach.

Chmielarz, odkąd opuścił w pośpiechu mieszkanie Elwiry Wójcickiej, nie brał już udziału w dalszych oględzinach, nie odbierał telefonu i tylko na chwilę pojawił się w biurze, po czym przepadł jak kamfora na resztę dnia.

Tym większe było zdziwienie Idy i Kruchego, kiedy zajechawszy na Wittiga równo z wybiciem północy, ujrzeli czarnego vana zaparkowanego pod willą szamanki. Nekromanta wysiadł z samochodu, ledwie terenówka łowcy zatrzymała się po przeciwnej stronie ulicy. Wyglądało na to, że przybył sam. Wystartował w ich kierunku energicznym, nerwowym krokiem, z głową wciśniętą w barczyste ramionami i skrytą aż po czubek nosa w postawionym kołnierzu wełnianego płaszcza.

Kruchy gestem nakazał szamance pozostać na miejscu. Jedną ręką opuścił szybę do połowy, drugą, jak gdyby nigdy nic, sięgnął po papierosa.

– Chciałbym porozmawiać z panną Brzezińską na osobności –

wypalił Chmielarz, odpuszczając sobie grzeczności i nie czekając na żadne pytania. Błady jak śmierć, w czarnym okryciu i czarnej koszuli, z czarnymi oczami przepelnionymi smutkiem oraz dziwnie spokojną determinacją, przypominał kogoś, kto wyrównał już wszystkie rachunki ze światem i właśnie wybierał się na własny pogrzeb. – Pozwoli pani do mojego samocho...

– No chyba cię Bóg opuścił, Łukaszu – przerwał mu łowca, szcękając miarowo wieczkiem zapalniczki. Klik, klik. Klik. Wciągnął w płuca wielką porcję dymu, puścił ustami parę zgrabnych kółek. – Może najpierw zdradzisz nam łaskawie, gdzieś ty był, jak cię nie było?

– Myślę, że panna Brzezińska wie doskonale, gdzie byłem i po co – odparował nekromanta sucho i z takim przekonaniem, że Idę aż zmroziło. – Nie mylę się, prawda? – Przeniósł wzrok na dziewczynę.

Zmartwiała pod tym spojrzeniem, dostrzegłszy w nim ruchliwy odblask ognia, rozfalowane, strzeliste pióropusze koloru ciemnej krwi. Poczła duszący swąd spalenizny. Usłyszała zwierzęcy skowyt płonących żywcem ludzi.

To on, zrozumiała w nagłym przebłysku.

Potem już poszło prędko.

Myśli zapalały się jedna od drugiej jak diody na konsoli czytaczy. Obrazy popłynęły wartkim strumieniem, pogłos niedawno wypowiedzianych słów zlał się w ogłuszający, niezrozumiały chór – lecz instynkt i tak zdołał pojąć ich sens, dostrzegł nareszcie ukryty podtekst ostatnich wypadków.

„Tam, gdzie dochodzi do tajemniczych zgonów, nie ma miejsca na zbiegi okoliczności”.

Cała ta paskudna historia zaczęła się przecież tuż po tym, jak Łuk i jego ludzie przybyli do Wrocławia.

To dzięki nekromancie duchożerca mógł zabijać, zakotwiczony w jego ciele, ledwie puściły zaklęcia ochronne wokół grobu Anonima.

Jako arcy mistrz demonologii Chmielarz bez większego wysiłku potrafił zamaskować swą zmienioną aurę, która nie pasowała już do jego matrycy przechowywanej w firmowej bazie danych.

Czy to on kontrolował to nienazarte stworzenie, czy był tylko bezwolnym narzędziem? Bez znaczenia. Grunt, że jakoś współpracowali.

To dlatego nekromanta dołożył wszelkich starań, aby zwalić winę na Kusiciela.

Dlatego próbował odsunąć Idę od śledztwa. Musiał podejrzewać, że dziewczyna tak silnie związana ze śmiercią i z takim uporem tropiąca tajemnice Demona Luster prędzej czy później odnajdzie drugi klucz do jego wspomnień i pozna sposób na unieszkodliwienie istoty z ogrodu. I nie zamierzał do tego dopuścić.

Najpierw spróbował ją zabić jeszcze w ogrodzie, ale omyłkowo trafił zaklęciem w Roberta i Marię. Potem zapobiegliwie zablokował umysł Karewicza aureolą supresyjną.

A co z tymi wskrzeszającymi...? Cóż, dla nekromanty ożywianie trupów to w końcu chleb powszedni, choć nadal trudno było pojąć, do czego potrzebował akurat tych zwłok...

W każdym razie wiedział doskonale, że swoją obecnością w mieszkaniu ofiary wzmacnia echo śmierci zadanej przez niego i zagnieżdżoną w nim istotę. Przeraził się, że szamanka odkryje prawdę tam, na miejscu, przy wszystkich, i to dlatego jej widok tak go dzisiaj spłoszył.

A teraz postanowił uprzedzić wypadki, przejąć inicjatywę. Załatwić sprawę po cichu. Bez świadków...

Ale skoro tak, to czemu nie zaczekał, aż łowca pojedzie do domu i Ida zostanie sama?

Jest opętany, przemknęło jej przez myśl. Nie działa racjonalnie. Czort jeden wie, co mu chodzi po głowie.

– Tak też sądziłem. – Mężczyzna smętnie pokiwał głową, nie odrywając od szamanki oczu, chłodnych i błyszczących jak czarne diamenty. – Za to z twojej miny – zwrócił się do łowcy – wnioskuje, że dopiero teraz do ciebie dociera, jaki byłeś ślepy. Przez cały ten czas miałeś prawdę przed samym nosem i zastanawiam się, czy faktycznie jej nie dostrzegałeś, czy po prostu nie chciałeś dostrzec.

Kruchy poruszył językiem po wnętrzu policzka i mlasnął zde gustowany, jak gdyby papierosowy dym nieoczekiwanie przestał

mu smakować. Cisnął niedopałkiem w kałużę, prosto pod stopy Chmielarza. Żar zasyczał, wyzionął bladą, przedśmiertną smuzkę dymu i zgasł.

– Może wejdziemy do środka? – Nekromanta ruchem podbródka wskazał willę. – Mamy sobie parę rzeczy do wyjaśnienia, a to chwilę zajmie. – Bez nadmiernej ostentacji odchylił poję płaszcz i pokazał im pistolet, który nosił w kaburze pod pachą. – Chciałem załatwić to w cztery oczy z panną Brzezińską, ale może lepiej, żebyś nam towarzyszył. Co ty na to, Kostek?

– To ty trzymasz broń. – Łowca położył obie dłonie na kierownicy.

Ida poszła w jego ślady i uniosła ręce, wprost nie posiadając się ze zdziwienia, że jakimś cudem wcale jej nie drżą.

– Nie mam zamiaru do ciebie strzelać. – Nekromanta przemawiał do Kruchego, lecz wzrokiem nadal świdrował dziewczynę. – Ale zrobię to, jeśli dasz mi powód. Wystarczy, że opowiesz się po niewłaściwej stronie.

Łowca uniósł jedną brew i nic na to nie odrzekł. Szamanka również milczała przekonana, że musiała się przesłyszeć. Chmielarz naprawdę sądził, że uda mu się skaptować Kruchego? Opętanie opętaniem, ale to już zakrawało na czyste szaleństwo...

A może nie?

– To jak będzie? – Chmielarz stracił cierpliwość. – Idziemy?

– Idziemy – przytaknął Kruchy, choć pytanie było w zasadzie retoryczne, i ani z jego bezbarwnego tonu, ani ze zlodowaciałej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Panie przodem – zarządził nekromanta. – Wszystkie rzeczy proszę zostawić na siedzeniu.

Szamanka usłuchała od razu. Odpięła pas i zdjęła torbę z ramienia, bezskutecznie starając się pochwycić spojrzenie łowcy. Nawet jeśli wykrył gdzieś w pobliżu obecność duchożercy, nawet jeśli wyczuł, że Chmielarz nie jest jedynym pasażerem swojego ciała, to nie dawał tego po sobie poznać.

– Zapraszam bliżej – ponaglił twardo Chmielarz, gdy Ida zastygła niezdecydowana obok samochodu.

Okrzyknęła maskę na zdradziecko uginających się nogach.

Przystanęła dwa kroki od mężczyzny, czując, jak po plecach spływa jej zimna strużka potu.

– Teraz ty, Kostek. – Nekromanta szarpnął za kłamkę od strony kierowcy. – Tylko bez sztuczek. Obaj wiemy, że nie masz przy sobie broni, więc bardzo cię proszę, nie rób nic, czego moglibyśmy potem żałować. Moja kula będzie szybsza od twoich więzów. Czy wyraziłem się jasno?

– Jak słońeczko w maju.

Kruchy wysiadł bardzo powoli i bardzo ostrożnie, przez cały czas trzymając dłonie na widoku. Zatrzasnął drzwi kopniakiem, aż terenówka podskoczyła parę razy z metalicznym jękiem. Ruszyli bez słowa w stronę domu, szamanka przodem, łowca za nią, a nekromanta na końcu i nieco z boku, z dłonią wsuniętą za poję płaszcza, tak by mieć ich oboje na oku i w razie czego zareagować.

Gęsiego weszli do milczącej grobowo willi, po czym udali się do salonu, zapalając po drodze wszystkie światła. Nekromanta usiadł sztywno na kanapie, a Ida i Kruchy zajęli fotele po przeciwnych stronach stolika do kawy.

– Nie jest to, przyznaję, fortunny moment. – Jakby na potwierdzenie tych słów Chmielarz wyjął pistolet i oparł rękojeść na kolanie. Koniec lufy wycelował dokładnie między ich dwoje, wzrok natomiast, teraz zmartwiony i niespokojny jak dawniej, ponownie utkwiał w szamance. – Myślę jednak, że będzie nam łatwiej, jeśli przejdziemy na „ty”. Łukasz. – Skinął jej lekko głową, ale ręki nie wyciągnął.

– Ida – palnęła odruchowo. – Cała przyjemność po moim trupie.

Nekromanta wydał z siebie coś między zirytowanym prychnięciem, szczerym chichotem a westchnieniem ubolewania. Kruchy nie zareagował.

– Wiedziałem, gdy tylko cię zobaczyłem, Ido. – Chmielarz wygodniej rozsiadł się na kanapie. – Już wtedy, w ogrodzie. Od początku czułem emanujące od ciebie widmo rychłej śmierci, lecz wtedy jeszcze byłem absolutnie pewien, że to Kusiciel próbuje cię dopaść. Nie miałem żadnych wątpliwości, że wisi nad tobą wyrok. Nie, nie, ja nie jestem Filipem Wrońskim – zapewnił ze smutkiem, gdy

szamanka i łowca wymienili zdziwione spojrzenia. – Nie chodziło mi wcale o posadę Zosi. Jak ostatni dureń miałem na uwadze wyłącznie twoje bezpieczeństwo, dziewczyno. Z twoich akt dowiedziałem się, że ten dom – nieznacznym ruchem dłoni powiódł po pokoju – jest doskonale zabezpieczony przed magią. Uznałem, że tutaj nic ci nie grozi, pogadałem więc z Zosią i zasugerowałem jej, że dla własnego dobra powinnaś udać się na dłuższy urlop. Ależ byłem naiwny... Zresztą nie ja jeden. Wszyscy okazaliśmy się łatwowiernymi głupcami.

Ida zamrugła kompletnie zdezorientowana. Łowca patrzył na nią z kamienną twarzą, ale palce mocniej wpiły mu się w podłokietniki fotela.

Chmielarz milczał długą chwilę, głaszcząc kciukiem blokadę pistoletu.

– Dopiero dzisiaj zrozumiałem – podjął wreszcie – że śmierć, która podąża za tobą krok w krok, nie wyrządzi ci żadnej krzywdy. Bo to nie nad tobą wisi wyrok.

Nie wiedziała, co na to rzec. Wszystkie myśli skryły się w popłochu w zakamarkach jej czaszki, nie została żadna, z której dałoby się ulepić choć jedno sensowne słowo.

– Po raz pierwszy coś mnie tknęło cztery dni temu, gdy odjeżdżaliście spod domu Barbary Sziler – kontynuował Chmielarz. – Rozmawiałem na ganku z szefem techników, a w chwili, w której nas mijaliście, usłyszałem, jak płynąca z mieszkania Pieśń Umarłych nagle zmienia się w krzyk. W straszny, przeszywający wrzask bólu i skrajnego przerażenia. Rozpaczliwy łabędzi śpiew tych, którym nie było pisane umrzeć. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, co o tym myśleć – przyznał z niezadowoleniem i cicho zgrzytnął zębami. – Ale po naszym dzisiejszym spotkaniu na kolejnym miejscu zbrodni wreszcie to do mnie dotarło.

Ida nerwowo oblizwała spierzchnięte wargi. Spróbowała przełknąć ślinę, lecz gardło miała wyschnięte na wiór i pełne ostrych trocin. Nekromanta obserwował ją z zaciekawieniem. Drgnęła mimowolnie, gdy raptownym ruchem sięgnął za pazuchę. Wyjął trzy białobłękitne, opalizujące metalicznie płytki. Położył je na stoliku, pchnął lekko

w stronę dziewczyny. Szurnęły po gładkim szkle z krystalicznym brzękiem. Przypominały trochę krążki CD, tyle że kanciaste, w kształcie regularnych heksagonów – ogromne śnieżynki skrzące się delikatnie w świetle żyrandola.

– Wiesz, co znajduje się na tych matrycach? – spytał Chmielarz.

Szamanka pokręciła głową. Ale Kruchy chyba wiedział, bo rysy nagle mu stężały, a oczy rozjarzył dziwny blask, niby szybki, krótki refleks na stalowych klingach tęczówek.

– W tę tutaj – Nekromanta postukał paznokciem w jedną z płytek – zaklęto próbkę sygnatury psychoenergetycznej pobraną z garażu Piotra Jaworskiego. Na tej – wskazał drugą – utrwalono sygnaturę nadprzyrodzonej energii z domu Barbary Sziler. Ta natomiast... – Ujął ostatnią w dwa palce i podniósł tak, by Ida mogła dobrze się jej przyjrzeć. Wyglądała odrobinę inaczej od pozostałych, trochę jak kwiat lilii z zamrożonego blasku księżyca. – Ta zawiera sygnaturę twoich snów. Zabrałem ją dzisiaj z pracowni czytaczy.

Zanim szamanka zdołała cokolwiek wykrztusić, Chmielarz wyszeptał zaklęcie, aktywował matryce. Powietrze nad nimi zmarszczyło się niczym zmacona tafla wody, trysnęło strumieniami oślepiającej jasności, jak gdyby niewidzialna granica światów nagle pękła w szwach. Półprzejrzyste, kalejdoskopowe mozaiki wielobarwnego światła zawirowały nad stolikiem, puszczając kolorowe zajączki po szklanym blacie i zakwitając wachlarzami tęczowego szronu. Przez dobrą minutę przybierały coraz to nowe kształty, wreszcie zawisły nieruchomo na wysokości ich oczu.

Trzy identyczne fraktale poprzeplatane migotliwymi żyłkami płynnego srebra.

– Wyrok śmierci – przerwał ciszę nekromanta – którego widmo ujrzałem w twojej aurze jeszcze w ogrodzie Kusiciela, wcale nie wisi i nigdy nie wisi nad tobą. Bo to ty jesteś tą, która wydaje wyroki, szamanko od umarłaków. Przez cały czas próbowałem cię chronić, tymczasem to ciebie należy się bać.

Ida poczuła, że fotel zapada się pod nią w bezdenną otchłań. Kruchy nadal milczał jak zaklęty w nagrobną figurę, lecz od tego, co dostrzegła w jego oczach, momentalnie zaparło jej dech, a serce

stańło w pół uderzenia.

– Gdyby tylko czytacz od razu wprowadzili algorytm twojego daru do bazy danych... – westchnął nekromanta z żalem – ...nie byłoby nas tutaj. Sziler i pozostała trójka wciąż by żyli, a ty już od tygodnia siedziałabyś w areszcie.

To niemożliwe, chciała im powiedzieć, lecz nie mogła precyzyjnie głosu przez zdławioną krtani.

Ja od ośmiu nocy nie miałam żadnych snów!

Przecież moje sny nigdy nikogo nie...

Nie?

Nigdy? Nikogo?

Na pewno?

„Ostatnio coraz częściej nachodzi mnie taka okropna myśl, że to nie śmierć zsyła mi sny, tylko moje sny zsyłają śmierć, a ja próbuję ścigać się z własnym umysłem...”.

Ida nie zarejestrowała momentu, w którym zapadła się głęboko w oparcie fotela. W głowie huczała jej absolutna pustka. Serce co prawda znów zaczęło bić, ale dziwnym, urywanym rytmem i jakoś tak bez przekonania.

– Złamałaś Prawa Śmierci – kontynuował tymczasem Chmielarz. – Przejęłaś kontrolę nad swoimi zabójczymi snami i popchnęłaś pięcioro ludzi do samobójstwa. Nadal nie wiem, jak mogłaś użyć rytuałów wskrzeszających, skoro nie ma w tobie ani grama magii, ani w jaki sposób wykończyłaś Roberta i Marię, ale o tym porozmawiamy sobie już w komendzie. – Powiódł dłonią nad stolikiem, świetliste fraktale rozsypały się niczym szkiełka stłuczonego witraża. – Mam nadzieję, że pójdziesz dobrowolnie i oszczędzimy sobie przykrości. – Zaakcentował groźbę nieznacznym ruchem lufy. Schował matryce do kieszeni płaszcza i spojrzał na szamanę w pełnym napięciu oczekiwaniu.

Niezdolna wykrztusić z siebie żadnego dźwięku dziewczyna machinalnie przytaknęła skinieniem. Przebiegła po ich twarzach wzrokiem wystraszonego dziecka. Chmielarz, widząc, że ani ona, ani łowca nie zamierzają stawiać oporu, wsunął broń do kabury i sięgnął po kajdanki. Kruchy, który nie wiedzieć kiedy stanął przy fotelu Idy,



przeszywał ją z góry nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Wdech – powiedział cicho.

– C-co?

– A potem wydech. Tak się oddycha, pamiętasz?

– Ty chyba nie sądzisz... – wydusiła, bezskutecznie starając się poskładać do kupy rozpierzchnięte myśli – ...że ja... że mogłabym...

– Oddychaj – przerwał łowca łagodnie. – Wszystko się wyjaśni. Będzie dobrze, zobaczysz.

– Sam w to nie wierzysz – wytknęła mu z irracjonalnym wyrzutem. Nigdy dotąd nie widziała, żeby był tak śmiertelnie spokojny, a jednocześnie tak zagubiony jak właśnie w tej chwili. – Nie rozumiem... Nie wiem, jak to... – zacięła się znowu, zagryzła wargi. – Nie zostawiaj mnie samej – wyszemrała niemal bezgłośnie, świadoma, że wypowiada tę prośbę już drugi raz tego dnia.

– Nie zostawię. Wiesz przecież. – Kruchy odwrócił się do nekromanty. – Jadę z wami. – Wcale nie pytał o pozwolenie, po prostu to oznajmił. Twardo. Kategorycznie.

Chmielarz nie zaprotestował, choć pewnie miał ochotę. Ida dźwignęła się ciężko z fotela, stanęła chwiejnie na miękkich nogach. Nie do końca dowierzając, że naprawdę to robi, podała nekromancie rękę do skucia.

– Ido Brzezińska – przemówił oficjalnym tonem – jesteś aresztowana. Masz prawo zachować milczenie. – Kajdanki podzwaniały cichutko z każdym jego krokiem, gdy okrążał stolik. – Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie. Masz prawo do adwokata podczas przesłuchania. – Palce miał zimniejsze od metalowej bransoletki, którą zapiął szamance na nadgarstku nieco ciaśniej, niż przewidywały procedury. – Jeżeli cię na niego nie stać, zapewnimy ci adwokata z urzędu... – urwał niespodziewanie. Kaszlnął, charknął, wessał powietrze z przenikliwym wizgiem.

Wpatrzona tępo w podłogę Ida raptownie poderwała głowę. Ujrzała, jak dwie iskry w oczach nekromanty gasną z niemal słyszalnym cyknięciem. Nie zdołała wykonać żadnego ruchu, nie zdążyła nawet mrugnąć.

Chmielarz wypuścił jej rękę ze zwiotczałych palców. Zatoczył się

jak pijany, runął z impetem na kawowy stolik. Błat pękł z brzękliwym łoskotem, szkło sypnęło na wszystkie strony deszczem błyszczących odprysków.

Zapadła cisza. Potworna. Wibrująca w uszach niczym żałobny dzwon.

Chociaż wszystko w niej krzyczało, z ust szamanki popłynął jedynie bezdźwięczny jęk. Głos Kruchego, który dopadł do nekromanty i próbował go cucić, dobiegał do jej uszu gdzieś z drugiego końca świata. Niewyraźny, zniekształcony, ledwie słyszalny pośród ogłuszającego szumu, jak gdyby dzieliła ich toń sztormowego jeziora.

Ida z całych sił zacisnęła powieki, ale jej Oko i tak uchwyciło ten moment, kiedy duch Chmielarza opuścił ciało i zniknął za niewidoczną granicą wymiarów. Gdy otworzyła oczy, łowca pochylał się już nad trupem.

Oderwała od nich wzrok z niemal fizycznym wysiłkiem. Wyjrzała przez okno, chcąc się upewnić, czy rzeczywistość na zewnątrz jeszcze istnieje, czy nie rozpadła się aby na kawałki tak jak przed chwilą jej własna. Ale nie. Wszystko było chyba na swoim miejscu. Granatowe, postrzępione wiatrem chmury. Malejący księżyc. Krople deszczu na szybie. Zegar w kuchni nadal tykał, czas nie przestał zatem płynąć, choć przecież powinien.

Nie – powinien się cofnąć.

A potem ruszyć znowu, ale inaczej.

Szamanka już odwracała głowę, gdy wtem kątem oka złowiła pewien dziwny szczegół. Ciemny kleks pośród plamy zieleni i krzykliwego różu. Po raz pierwszy od paru dni spojrzała na sześć przepięknych hiacyntów od Kornelii. Oraz na siódmy, zwisający smętnie z masywnej donicy. Uschnięty, poczerniały, skręcony niby zwitek spalonego papieru.

Jak to możliwe, że nie zauważyła go wcześniej, gdy przenosiła tu kwiaty z kuchennego parapetu...?

Niczym pogrążona w delirycznym półśnie ruszyła do okna sztywnym, mechanicznym krokiem, co rusz potykając się o meble i o własne nogi. Łowca powiedział coś szybko, nie zrozumiała co. Gdy

nie zareagowała, chwycił ją za ramię. Wyszarpnęła mu się w panice, odskoczyła, przylgnęła do ściany.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła z nutą hysterii w głosie, bo przed oczami stanęły jej naraz wszystkie sytuacje z ostatnich dziewięciu dni, gdy o mały włos nie pozbawiła go życia.

– Ida...

– Nie zbliżaj się do mnie, Kruchy!

Natychmiast zrobił krok do tyłu, uniósł ręce w obronnym geście.

Patrzył oniemiały, jak dziewczyna wyciąga przed siebie dygoczącą rękę. Jak muska grono gwiazdzistych kwiatków koniuszkami palców. Jak pod tym przelotnym dotykiem płatki już po chwili zaczynają więdnąć i zwijać się z suchym, sykliwym chrzęstem niby trawione niewidzialnym ogniem, aż wreszcie zwęglona roślina opada bez życia obok martwej siostry.

– To w taki sposób zabiłam Roberta i Marysię – wychrypiąła szamanka resztką sił, po czym osunęła się wolno plecami po ścianie, ukryła twarz w dłoniach. Nagle zapragnęła usnąć.

Na całą wieczność i jeden dzień dłużej.

## Rozdział trzynasty

– Uprzedzałam was, że Łuk uwielbia zgrywać bohatera – odezwała się cierpko Ruda, jako pierwsza przerywając niezręczne milczenie. – On jest... był... – poprawiła się i po raz kolejny z niedowierzaniem pokręciła głową – ...strasliwie honorowy. Chciał oszczędzić ci upokorzenia, dlatego przyjechał aresztować cię osobiście i dyskretnie, zamiast organizować obławę. I proszę, jak na tym wyszedł. – Kobieta stanęła plecami do martwego nekromanty, wbiła w szamanę rozogniony wzrok. – Ja chciałam oszczędzić ci wielomiesięcznej kwarantanny i proszę, jak na tym wyszłam. Zostanę teraz uznana za współniczkę seryjnej morderczyni. Oto co się dzieje, gdy ludzie stają po twojej stronie...

– Zosiu...

– ...oto dlaczego nigdy, przenigdy nie powinnam była cię kryć...

– Zośka.

– ...oto jak kończą naiwni głupcy, którzy pozwolili zamydlić sobie oczy jakiejś pieprzonej personifikacji śmierci!...

– ZOFIO MAJCHER!

– Czego?! – Ruda odwróciła się gwałtownie w stronę Kruchego i choć cała aż skwierczała z wściekłości, po twarzy przemknął jej grymas zaskoczenia. Oraz cień strachu.

– Zamknij się – zaproponował uprzejmie łowca. – Przestań, z łaski swojej, kopać leżącego.

Lęk wyparował z czarownicy szybciej, niż się w niej pojawił, momentalnie strawiony kolejną eksplozją gniewu. Z miodowych tęczówek buchnęły płomienie i rozżarzone węgielki, blade usta pobladyły jeszcze bardziej.

– Jak ty w ogóle... – wycodziła z wysiłkiem, dusząc się własną furią – ...po tym wszystkim... co się stało... śmiesz jej jeszcze bro...

– Robię to w twoim zasranym interesie! – warknął Kruchy, tym razem znacznie ostrzej. – Mam ci przypomnieć, z jakiegoż to

szlachetnego powodu nie chcieliśmy dopuścić, żeby Łuk dowiedział się o Pechu i wziął Idę pod lupę? Naprawdę zamierzasz teraz udawać, że wcale nie trzymaliśmy go w niewiedzy po to tylko, żeby przypadkiem nie rozwiązał sprawy prędzej niż my i nie próbował cię wygryźć? Że kiedy kłamałaś mu w żywe oczy zaledwie trzy dni temu, kierowała tobą wyłącznie troska o dobro podwładnej?

– Kostek...

– Zachowuj się jak dowódca, do ciężkiej cholery, i weź odpowiedzialność za własne decyzje. – Spojrzenie Kruchego było twarde i zimne jak stal. – Wszyscy przez ostatni tydzień popełniliśmy masę durnych błędów...

– Wypraszam sobie – bąknął nadąsany Szerszeń.

– ...które teraz radośnie nam procentują – syczał dalej łowca – ale to jeszcze nie powód, żebyś była większą jędzą niż zazwyczaj i szukała sobie kozła ofiarnego. Gdybyśmy od początku grali z Łukiem w otwarte karty, zamiast traktować go jak intruza, nie musiałby prowadzić prywatnego śledztwa przekonany, że nie może nam ufać. Gdyby znał wszystkie fakty, już dawno by się zorientował, że Ida jest o wiele bardziej niebezpieczna, niż podejrzewał, i teraz nie leżałby martwy w jej salonie. Jeśli ona ponosi winę za jego śmierć i wszystkie poprzednie, to my również.

Ruda aż się zapowietrzyła z oburzenia i już mu miała odpyskować, jednak powstrzymała się w ostatniej chwili. Kruchy zrobił gest, jakby chciał położyć czarownicy dłoń na ramieniu, lecz również się rozmyślił, zatrzymał rękę w pół ruchu. Oboje odetchnęli głębiej, żeby choć trochę ostudzić targające nimi emocje, po czym jak na komendę obejrzeni się na Idę.

Siedziała skulona pośrodku kanapy. Włosy wciąż miała wilgotne po zimnym prysznicu, który zafundowała sobie dla otrzeźwienia w myśl zasady, że szok psychiczny najłatwiej złagodzić szokiem termicznym – oczywiście dopiero po tym, jak technicy sczytali otaczającą ją aurę, a następnie zażądali, by oddała im ubranie do dalszej analizy. Gdy ekipa przybyła na Wittiga na wezwanie łowcy, szamanka wyglądała jak, wypisz wymaluj, śmierć na chorągwi, zagapiona w przestrzeń oczami sarny zastygłej w blasku

samochodowych świateł. Teraz nie było zresztą lepiej: w sięgającej kolan czarnej tunice z długimi rękawami, z wielkim kapturem naciągniętym głęboko na oczy, w czarnych legginsach, rękawiczkach z czarnej skóry i czarnych trzewikach o wysokich, sznurowanych cholewkach do złudzenia przypominała ponurą zniwiarkę obleczoną szczelnie pogrzebowym kirem.

Pochyleni nad nią Margo i Grzegorz porozumiewali się między sobą wyłącznie monosylabami oraz dyskretnymi gestami, jak gdyby święcie przekonani, że jeden głośniejszy dźwięk może wyrwać Ide z nienaturalnej apatii i wpędzić ją prosto w morderczy szal. Czytaczka z ostrożnością rozbijającego bombę sapera zsunęła dziewczynie kaptur z głowy. Ujęła kosmyk kruczych włosów w urękawiczone palce i przeciągnęła nim jak pędzelkiem po jednym z pięciu ocalałych hiacyntów.

Czekali blisko minutę, ale kwiat nie zmienił barwy, nie zaczął usychać.

– Wygląda na to, że zabójcza jest tylko jej skóra... – stwierdził Grzegorz, bazgrząc pośpiesznie w grubym zeszycie.

– Ładne mi tylko – parsknął Szerszeń, który jedną ręką wodził nad trupem Chmielarza najeżonym czujnikami ustrojstwem, a kciukiem drugiej dłoni dźgał zapamiętałe w przycisk ponownego wybierania na ekranie komórki. Medyk sądowy musiał mieć nadzwyczajnie twardy sen, co doprowadzało technika do szewskiej pasji. – No, nie dość, że konował, to jeszcze leniwa była... – zagrzmiał spod sumiastych wąsów i ze złością wcisnął telefon do kieszeni spodni. Gdy rozległ się przenikliwy pisk, a wprawione w urządzenie kamyki błysnęły krwistą czerwienią, Szerszeń wydał wargi i pokiwał głową. – Ta sama sygnatura psychoenergetyczna co na ciałach Roberta i Marii i przy opuszczonych grobach. Ale, przypominam, zupełnie inna od tych na miejscach zbrodni...

– Bo tamtych magów wykończyły sny. – Czytacz ledwie nadażał z notowaniem. – A naszych ludzi przeklęty dotyk...

– Odmienne aury sugerują, że oba śmiercionośne dary pochodzą z dwóch różnych źródeł – zauważył szef techników, szarpiąc się nerwowo za srebrzystą brodę.

– Jak z dwóch, jak z jednego, o. – Grzegorz oskarżycielskim gestem wycelował długopis w szamankę, po czym wznowił pisanie. – Ale jak wskrzesiła trupy? – Ręka na moment zawisła mu nieruchomo nad pokrytą kulfonyastym maczkiem kartką. – Też dotykiem? Czyżby on działał w dwie strony? Zabija żywe i ożywia martwe? – Podrapał się w rzadką, przylizaną pożyczkę. – A może...

– Nikogo nie wskrzesiłam – szepnęła Ida, nie podnosząc głowy.

Czarownica zerknęła na łowcę, a ten znacząco uniósł brew. Szerszeń prychnął z irytacją. Grzegorz już szykował się do zjadliwej riposty, ale zdążył jedynie rozdziawić usta.

– Nikogo nie wskrzesiła – powtórzyła jak echo Margo, która jako jedyna nie brała dotąd udziału w dyskusji, a zamiast tego nasunęła dziewczynie na głowę drucianą siateczkę z psychoaktywnych metali i z uwagą śledziła obrazy w miniaturowej kryształowej kuli. – Mówi prawdę.

– Od ośmiu nocy nie wyśniłam ani jednego snu – ciągnęła głucho szamanka. – To znaczy od dziewięciu, jeśli liczyć tę teraz...

– Serio wierzysz, że to łykniemy? – sarknął Grzegorz, zawzięcie gryzmołąc w zeszycie. – Czy ty masz nas wszystkich za kompletnych idio...

– Mówi prawdę – wpadła mu w słowo czytaczką i ponownie musnęła palcami powierzchnię kuli. Pod jej dotykiem obraz wewnątrz kryształu odrobinę zmieniał kąt, to się przybliżał, to znów oddalał, tracił i odzyskiwał ostrość, kadry płynęły raz do przodu, a raz wstecz. – Niczego nie wyśniła.

– Mój łapacz snów umarł przez to z głodu – dodała dziewczyna tak cicho, że sama prawie nie słyszała własnego głosu.

– Gryzak nie żyje? – Kruchy rozejrzał się wokół odruchowo i bez sensu. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Nie zdążyłam. Odszedł niecałą dobę temu. To dlatego dzisiaj... wczoraj – sprostowała, uświadomiwszy sobie, że zegar w kuchni dopiero co wybił drugą nad ranem – zasnęłam do pracy.

– Nie śnisz od dziewięciu nocy... – odezwała się Ruda i przysiadła ciężko na podłokietniku fotela. – Czyli... – zawiesiła głos, jakby bała się dokończyć myśl.

– Od ekshumacji Anonima – wyręczył ją łowca. – Tak jak mówiłem: koncertowo spieprzyliśmy nabożeństwo, panowie i panie.

– Mów za siebie – zaburczeli unisono Szerszeń z Grzegorzem.

– Och, doprawdy, Grzesiu? – Margo rzuciła koledze surowe spojrzenie znad motyli okularów. – A kto nie wrzucił algorytmu Idowych snów do bazy danych, tak jak prosiłam, bo twierdził, że się nie pali, a my mamy dużo ważniejsze rzeczy na głowie?

– No bo przecież mieliśmy! – zaperzył się czytacz, czerwieniejąc na twarzy aż po zaczeskę. – Najpierw analizowaliśmy umysły Szkudlarka i Kusiciela, a jak potem siewca zaczął sypać, to dopiero nam się zrobił pożar w burdelu!

– Zostawmy to teraz – wtrącił pośpiesznie Kruchy, ubiegając Margo, która już miała na końcu języka jakąś kąśliwą odpowiedź. – Wróćmy do Anonima...

– Uzdrawiacze zapewnili mnie, że brak śnienia to skutek uboczny ataku duchożercy i w ciągu tygodnia powinien ustąpić – oznajmiła szamanka bezbarwnym tonem, przemawiając do swoich splecionych na podołku dłoni. – Tymczasem duchożerca pochłonął Pecha i w ten sposób uzyskał dostęp do mojego umysłu. Sukinsyn zakotwiczył się w moim ciele, dlatego może zabijać moimi rękami... I dlatego wciąż krąży wokół Wrocławia, nie zapuszczając się nigdzie dalej. To ja go tu trzymam.

– Zjadł twojego demona, nie naruszając łączącej was więzi. – Łowca z namysłem potarł czoło. – Nie zeżarł części twojej duszy, więc nie przejął nad tobą kontroli, dlatego twoja aura w ogóle się nie zmieniła...

– Zdołał jednak ukraść mi sny – uzupełniła dziewczyna. – I w zamian przelać na mnie własną klątwę zabójczego dotyku. Dar za dar.

Przez jakiś czas panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie złowrogim tykaniem zegara, które napływało do nich z kuchni niczym odwieczne, niepowstrzymane kroki nadchodzącej apokalipsy.

Ruda odkaslnęła raz i drugi.

– Wiedziałaś, że twoje sny tak naprawdę nie przewidują śmierci, tylko... – zaczęła, siląc się na delikatność, do jakiej w oczywisty



sposób nie była przyzwyczajona, co dało się poznać po fałszywej nucie w jej zazwyczaj jadowitym głosie. Urwała raptownie, gdy Ida uniosła głowę i zobaczyli jej oczy, świecące niezdrowym blaskiem w półmroku kaptura. Ziała w nich przeraźliwa, gorzka, bezsilna pustka.

I to była jedyna odpowiedź, na jaką szamanka potrafiła się zdobyć.

– Nie wiedziała – mruknęła pod nosem Margo, wciąż pochylona nad migoczącą kulą. Zorientowawszy się poniewczasie, że powiedziała to zupełnie niepotrzebnie, chrząknęła, odgarnęła z policzka niesforny siwy dred i na powrót zatopiła spojrzenie w zawartości Idowego umysłu.

– Po przesłuchaniu Szkudlarka nikt nie podał mi ręki... – westchnęła ni stąd, ni zowąd dziewczyna, zwijając dłonie w pięści.

– Jaja sobie robisz? – Powietrze wokół czarownicy znów niebezpiecznie zaiskrzyło. – Czy to twoim zdaniem odpowiedni moment na domaganie się pochwał i robienie nam wyrzu...

– Nie o to chodzi! – przerwała jej niecierpliwie Ida. – Pomyśl, ile osób mogło przeze mnie zginąć w ciągu ostatniego tygodnia, gdyby tylko któraś z nich... Gdybym nie miała na sobie rękawiczek za każdym razem, gdy... Gdybym przez przypadek dotknęła Smoka, kiedy podawałam mu czarę z naparem... – Głos załamywał jej się coraz mocniej od narastającej hysterii, źrenice puchły gwałtownie, zapowiadając kolejny atak paniki. – Albo Kruchego, wtedy gdy siedzieliśmy razem przy grobie Rucińskiej... I wcześniej, gdy zbierał mnie z ziemi po ataku duchożercy w ogrodzie... Albo kiedy... Albo... – Złapała się za głowę. – Rany boskie, albo...

– Nie ma sensu teraz tego roztrząsać – uciął łowca. – Przypomnij sobie lepiej, jak się oddycha, bo znowu hiperwentylujesz...

– Kruchy... – wydyszała z wysiłkiem – czy ty w ogóle... zdajesz sobie sprawę... ile razy mogłam cię zabić?!

– Pewnie mniej, niżby sobie życzył – mruknęła cynicznie czarownica, ale nikt tego nie dosłyszał.

– Trzymaj. – Kruchy podetknął szamance do ust papierową torebkę na dowody, którą bez ceregieli wyrwał Szerszeniowi.

– Nie dotykaj mnie! – Ida w panicznym odruchu szarpnęła się do

tyłu, podciągnęła kolana pod brodę. Na czoło wystąpił jej zimny pot, skóra poszarzała jak popiół.

– Spokojnie, włożyłem rękawiczki, widzisz? – Łowca uniósł ręce. – Wszyscy nosimy rękawiczki. Nikt cię nie dotknie. Nikomu więcej nie stanie się krzywda...

– A co, jeśli ten zwyrodnialec dopadnie was moimi snami?! – Oczy dziewczyny przypominały dwie czarne dziury, z nosa pociekła jej strużka ciemnej krwi. – Co, jeśli spłoniecie żywcem tak jak tamta piątka?! Ja nie mam nad tym żadnej kontroli, rozumiesz to? Nie umiałabym temu zapobiec, nie wiem, jak to...

– Dosyć, wystarczy. – Kruchy potrząsnął ją silnie za ramiona, po czym zdecydowanym ruchem wcisnął jej torebkę w dłoń. – Wdech. Wydech. Ale już.

Przez parę następnych minut Ida była w stanie jedynie wciągać i wypuszczać powietrze, całkowicie pochłonięta tą jakże banalną niegdyś czynnością. Papier nadymał się i kurczył w rytm jej rwanego, spazmatycznego oddechu. Szeleścił coraz wolniej, coraz ciszej, coraz bardziej miarowo.

– Macie w Firmie jakieś silnie ekranowane pomieszczenie? – spytała, odzyskawszy panowanie nad ciałem i myślami. – Zwykła cela nie wystarczy, skoro drań żeruje na moim umyśle, nawet gdy jestem tutaj. – Omiotła pokój krótkim ruchem dłoni.

Pozostali spojrzeli po sobie z konsternacją. Jedyne łowca zwrócił uwagę na użytą przez Idę formę.

„Macie”. Nie: „mamy”.

Dziewczyna nie uważała się już za część ich zespołu. I w zasadzie trudno było jej się dziwić.

– W naszym szpitalu jest kilka izolatek z mocnymi osłonami – odparła po chwili czarownica. – Chronią personel przed wyjątkowo niebezpiecznymi pacjentami, a także pacjentów szczególnie narażonych na ataki demo...

– Zamknijcie mnie w jednej z nich – zażądała Ida kategorycznym tonem, wycierając zakrwawione usta i podbródek podaną jej przez Margo chusteczką. – Może dzięki temu ten pieprzony złodziej snów straci dostęp do mojej głowy i nie będzie mógł już więcej mordować.

Zanim ktokolwiek zdobył się na komentarz, szamanka zamknęła oczy, przywołała Wiatr Zaświatów i pozwoliła, aby silniejszy podmuch porwał jej duszę na drugi brzeg Rzeki.

Bordowofioletowe niebo wisiało nisko nad wzburzonym nurtem, jak gdyby w każdej chwili gotowe było plusnąć do wody i popłynąć z prądem gdzieś w niezmierną otchłań bezczasu. Zwykle spokojna, leniwa Rzeka teraz rwała brzegi, rycząc niczym raniona bestia, pieniąc się i gotując z wściekłości. W powietrzu, prócz mdlawej woni szuwarów, wodorostów i rzeczno-muł, unosił się przykry odór zgnilizny, a rozpedzone chmury, o ton ciemniejsze od firmamentu, przywodziły na myśl strzępy zepsutego mięsa, rozdierane pazurami wygłodniałej wichury.

Ida odgarnęła z twarzy szarpane wiatrem włosy. Wcisnęła je z powrotem pod kaptur i zaciągnęła rzemyki, bo nadęty jak żagiel wciąż spadał jej z głowy. I dopiero wtedy dotarło do niej, że tym razem nie ma na sobie zwiewnej śnieżnobiałej sukienki, którą tutaj, w przedsionku zaświatów zwykle przywdziewała jej dusza. Ta na pozór błaha zmiana w widmowej garderobie nie mogła oznaczać niczego dobrego – Ida wiedziała o tym, choć nie miała pojęcia skąd.

Rozejrzała się wokół z dreszczem niepokoju. Bujne, wysokie trawy falowały zaciekle razem z Rzeką i szamanka nie mogła oprzeć się złudzeniu, że oba brzegi również płyną, że starają się doścignąć nieokiełznany nurt, że rozpaczliwie próbują go spowolnić, ciskając w topiel wielkimi kawałami gruntu i szkieletami podmytych drzew. Pochylona nad osuwającą się skarpą wierzba płacząca... naprawdę płakała. Tłuste, ciemne krople broczyły ze spróchniałych dziupli, ściekały po pędach i odkrytych korzeniach, dymiły i syczały w zetknięciu z wodą, barwiąc rzeczno toń wstęgami toksycznej czerni.

Ida ostrożnie podeszła do drzewa, przystanąła obok, na samym skraju brzegu. Ziemia dygotała pod jej stopami, warczała ostrzegawczo gdzieś z głębi trzewi. Łodzi nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Pozostała po niej jedynie lina przywiązana do wierzbowego pnia, której luźny koniec zniknął w skażonych odmętach, szarpany dzikim, niecierpliwym prądem. Przeprowa na drugi brzeg nie wchodziła w grę. Szamanka za nic nie zdołałaby przebyć Rzeki

wpław, a już zwłaszcza w tak ekstremalnych warunkach.

Ale nie zamierzała łatwo odpuścić. Wbiła wzrok w zębatą linię lasu na horyzoncie. Przyłożyła zwinięte dłonie do ust i wywrzeszczała kilka gniewnych słów, lecz wichura wpychała jej wszystkie z powrotem do gardła, żadnemu nie pozwoliła przebić się przez wszechogarniający szum...

A jednak ktoś ją usłyszał.

Cień rzucany przez wierzbę płaczącą stęzał gwałtownie, pomroczył i urósł, po czym oderwał się od korzeni z głośnym furkotem aksamitnej tkaniny. Tekla wygładziła fałdy powłóczystej spódnicy, które natychmiast rozburzyły się z powrotem, załopotały na wietrze niby żałobna flaga. Zjawa objęła drzewo ramieniem, jak gdyby w obawie, że wichur poderwie ją z ziemi, uniesie z kurzawą gdzieś ponad Rzekę. Palcami drugiej dłoni skubała nerwowo oprawioną w srebro kameę i można by pomyśleć, że zapięty wysoko kołnierz wiktoriańskiej bluzki nagle zaczął ją dusić.

Dopiero po długiej chwili obopólnego milczenia odważyła się unieść głowę i spojrzeć na siostrzenicę.

– Wiedziałaś – wycedziła zimno Ida, po raz pierwszy w życiu czytając w twarzy ciotki jak w otwartej księdze.

Kobieta pośpiesznie uciekła wzrokiem w bok. Poprzetykane pasmami siwizny loki przysłoniły jej oczy, zakryły wąskie, pobladłe usta, jakby próbowały powstrzymać ją od mówienia.

– Od samego początku wiedziałaś, czym tak naprawdę są moje sny. – Szamanka postąpiła krok w stronę zjawy. – I czym tak naprawdę jestem ja.

Tekla przygryzła wargi, mocniej szarpnęła za broszkę na szyi.

– Odpowiadaj mi! – zasyczała dziewczyna, chociaż na dobrą sprawę nie zadała jeszcze żadnego pytania.

Ciotka westchnęła, co w narastającym wizgu dało się poznać jedynie po gwałtowniejszym ruchu jej kościstej piersi.

– Nie byłam pewna – odparła wreszcie, wpatrując się uparcie w targaną wiatrem trawę. – Ale podejrzewałam to od jakiegoś czasu...

– Co podejrzewałaś? – Ida zbliżyła się do niej o kolejny krok. – Chcę to od ciebie usłyszeć. Głośno i wyraźnie.

– Że śnione przez nią sny to coś więcej niż tylko wieszczby – odrzekła zjawa, a jej głos niemal całkiem zanikał w gniewnym ryku Rzeki.

– Coś więcej, czyli co? – warknęła szamanka. – Nazywaj rzeczy po imieniu, nie rób uników. Jesteś mi to, psiakrew, winna.

Tekla ciaśniej objęła pień wierzby i wpiła palce w pobrużdżoną korę, aż paznokcie zostawiły w drewnie wgłębienia w kształcie półksiężyców.

– Przypuszczałam – wyszemrała – że sny Idy w rzeczywistości są wyrokami śmierci.

Dziewczyna przez długi czas patrzyła na nią w ciszy. Bała się, że jeśli choć odrobinę rozchyli usta, jeśli teraz uwolni głos ze ściśniętego gardła, wypłynie z niej lawina ostrych jak żyłki słów, których potem będzie gorzko żałować. Szalejący wokół żywioł idealnie obrazował to, co w tej chwili działo się w jej duszy. Zaczekała, aż zimny wiatr ostudzi gorącą głowę, przepędzi impulsywne i bardzo niebezpieczne myśli.

– A kiedy po tym – odezwała się w końcu z upiornym spokojem – jak własnoręcznie ukatrupiłam Mikołaja, zapytałam cię, czy jestem pieprzoną, ponurą zniwiarką, co mi powiedziałaś?

Tekla opuściła głowę, przymknęła powieki.

– Co powiedziałaś?! – Dziewczyna podeszła do niej tak blisko, że prawie stykały się nosami. – Spójrz na mnie i powtórz mi to jeszcze raz.

Ciotka spojrzała. Wargi miała zaciśnięte w bladą linijkę, lecz zdradził ją lekko drżący podbródek.

– Powiedziałam – z trudem przełknęła ślinę – żeby Ida nie opowiadała bzdur...

– To było bardzo okrutne łgarstwo, Teklo.

– Ja wcale nie...

– Nie próbuj zaprzeczać. – Niemożliwie szerokie źrenice szamanki przypominały lufy pistoletów, niemal dało się słyszeć trzask przeładowanego zamka. – Nie waż się wykręcać ani usprawiedliwiać. Sprawa jest prosta: okłamałaś mnie.

– Nie... Tak. – Zjawa gwałtownie potrząsnęła głową. – Nie do

końca. Jej dar jest niezwykle rzadki. W ciągu przeszło trzech stuleci spotkałam przed Idą tylko jedną szamankę od umarlaków, lecz wtedy nawet bym nie pomyślała, że... Nic nie wskazywało, aby... – zacięła się, zachłusnęła wiatrem. – Dopiero śmierć Mikołaja dała mi do myślenia – podjęła po chwili, ochłonawszy nieco. – Jednak nigdzie, w żadnej z moich ksiąg ani u żadnej ze znanych mi zjaw nie udało mi się znaleźć potwierdzonych informacji, które mogłyby rozwiać albo potwierdzić moje wątpliwości, dlatego...

– Dlatego postanowiłaś nic mi nie mówić – dokończyła za nią Ida, artykułując słowa z taką starannością i tak bezbarwnym tonem, że brzmiały jak wypowiedziane przez syntezator mowy. – Nie dalej jak pięć dni temu miałaś idealną okazję, żeby podzielić się ze mną swoimi obawami. Ale zamiast tego zbagatelizowałaś mój brak śnienia i kazałaś mi po prostu robić swoje. To, co ja, i nikt inny, uważam za słuszne. Twierdziłaś, że nie potrzebuję od nikogo pozwolenia – mówiła coraz głośniejszym, coraz szybciej – że mam wykonywać swoje obowiązki wedle własnego uznania, że tylko ja jedna wiem, jak je należy wykonać. Strzełaś mi taką mowę motywacyjną, że prosię siadać, a ja łyknęłam grzecznie każde twoje słowo. – Szamanka zacisnęła pięści, by opanować dygot dłoni. – I niech mnie wszyscy diabli, na moment rzeczywiście uwierzyłam w siebie i swój przeklęty dar. Na krótką chwilę zdołałaś mnie przekonać, że to, czym się zajmuję, jest ważne i szlachetne. A teraz okazuje się, że przez cały ten czas ukrywałaś przede mną prawdę o tym, kim właściwie jestem. Pytam więc: jakim prawem?

– Nie chciałam jej...

– Martwić? – Dziewczyna wybuchnęła krótkim, histerycznym śmiechem. – No to faktycznie dopięłaś swego!

– Niech mnie wysłu...

– Czy ty masz pojęcie, do czego doprowadziłaś? – Ida nie dała ciotce dojść do słowa. – Nieświadoma, jak niebezpieczne są moje sny, i uspokojona twoimi zapewnieniami nie zrobiłam nic, żeby je odzyskać! Byłam przekonana, że Gryzak jest jedyną istotą zagrożoną moim brakiem śnienia, i pozwoliłam jakiemuś sadystycznemu zwyrolowi mordować niewinnych ludzi! Wydzierać z nich życie

moimi rękami i moim umysłem! Tak, Teklo! Duchożerna istota nie wygryzła ze mnie daru razem z Pechem, ale dzięki łączącej nas więzi wdziera się do mojej jaźni i od przeszło tygodnia okrada mnie ze snów! Od przeszło tygodnia noszę klątwę zabójczego dotyku! Dar za dar, broń za broń! Oto, czym teraz jestem!

Zjawa oparła się ciężko plecami o drzewo, a jej półprzejrzysta twarz nagle nabrała kolorów. Ida cofnęła się odruchowo, gdy oczy Tekli rozjaśniła niedorzeczna ulga.

– Sądziłaś, że to ja – odgadła sucho szamanka, przenosząc wzrok na spływające z wierzbowych pędów krople czarnej, widmowej krwi.  
– Bałaś się, że sama przejęłam kontrolę nad swoim darem, postradałam zmysły i poszłam w mordercze tango. Czy nie tak?

Ciotka potwierdziła nieznacznym, ostrożnym skinieniem.

– To dlatego zabroniłaś mi uczyć się świadomego śnienia. Nawet po to, by uratować Gryzaka...

– Władza nad śmiercionośnymi snami to obosieczny miecz – odrzekła zjawa zmęczonym głosem. – Nikt nigdy nie powinien posiadać takiej mocy. Gdyby Ida nauczyła się kreować sensne majaki, mogłaby, choćby przypadkowo, uratować lub zabić kogoś, komu przeznaczony był zupełnie inny los. Pieśni Umarłych pod żadnym pozorem nie wolno zmieniać. Żaden Pieśniarz nie ma prawa wpływać na ich treść, bo wtedy staje się...

– Chodzącą maszyną do zabijania.

– Fałszywym Pieśniarzem. – Tekla ponownie kiwnęła głową i zatoczyła wokół szerokim gestem. – Oto co się dzieje, gdy śniący wydaje własne wyroki i sprzeniewierza się Prawom Śmierci. Gdy władza nad życiem i umieraniem przechodzi w niepowołane ręce. Rzeka została splugawiona kłamliwymi pieśniami. Giną ludzie, którym pisane było żyć. Ci, którzy mieli odejść, żyją nadal. Czas zmienił bieg, zboczył z wyznaczonej ścieżki i niczego już nie możemy być pewni... Niczego prócz zagłady.

– O czym ty, do cholery...

– Świat Idy – ciągnęła ciotka z naciskiem, tym razem nie pozwalając sobie przerwać – powoli przestaje istnieć. Zmienia się coraz bardziej z każdą pożartą duszą. Jeśli szybko nie zrobią czegoś,

żeby to powstrzymać, ich rzeczywistość będzie zgubiona. Fałszywy Pieśniarz musi zostać zniszczony. Tylko wtedy istnieje cień szansy, że uda się to wszystko jeszcze jakoś odwrócić...

– Chcesz powiedzieć – Ida szerzej otworzyła powieki, a w mrocznych tunelach jej źrenic zamajaczyło nikłe światełko nadziei – że pokonując Fałszerza... – nerwowo oblizała wargi – ...c-co... c-cofniemy czas?

Tekla zwlekała z odpowiedzią, kilkakrotnie otwierała i zamykała usta.

– Jest taka możliwość – oznajmiła wolno, z widocznym wahaniem.  
– Ale to nic pewnego. Cień szansy to najbardziej precyzyjna prognoza, jaką mogę zaoferować. Te sfingowane pieśni nie należą do ich świata, nie mają tam racji bytu. Zmieniają go tak długo, jak długo istnieje Fałszerz. Kiedy on zniknie, nawet te już wykonane wyroki teoretycznie powinny stracić swoją moc...

– Teoretycznie – powtórzyła oschle dziewczyna, na co Tekla bezradnie rozłożyła ręce.

– Unicestwienie skażonego źródła to jedyny sposób, żeby zapanować nad tym szaleństwem. Jednak pełnych konsekwencji nie da się do końca przewidzieć.

Szamanka dumiała nad tym przez kilka ładnych chwil.

– Czy jeśli odbiorę Fałszerzowi kontrolę nad snami – zaczęła, pocierając dłońmi skronie, w których naraz zapulsował tępy ból – jeśli dowiem się, kim bądź czym on w rzeczywistości jest, a potem stworzę świadomy majak, w którym ginie...

– Wtedy Ida zajmie jego miejsce – przerwała jej ciotka. – Prędzej czy później sama stanie się Fałszywą Pieśniarką. Każda władza deprawuje – stwierdziła sentencjonalnie. – Władza absolutna deprawuje absolutnie, a władza nad życiem i śmiercią – na zawsze. I koniec końców nic się nie zmienia, katastrofa nastąpi po prostu nieco później.

Dziewczyna przesunęła dłonią po twarzy, na moment przysłoniła oczy.

– Nie to chciałam usłyszeć – mruknęła ponuro.

– Wiem.



Ciotka i siostrzenica zamilkły na długo, obserwując spieniony nurt Rzeki.

– A czy to przypadkiem nie ja jestem tym skażonym źródłem? – spytała nagle szamanka tknięta niepokojącą myślą.

Tekla postukała paznokciem w kameę i przez jakiś czas słuchała potępieńczego wycia wiatru.

– To nie jej wola zmienia Pieśni Umarłych – oznajmiła stanowczo. – Źródłem jest Fałszerz. Czy raczej: to on jest tym, co je zatręło, i to jego trzeba wyeliminować...

– A co się stanie, jeśli to ja zginę? – drażyła dalej dziewczyna. – Dar zabójczego śnienia umrze razem ze mną czy zostanie przejęty przez Fałszerza?

Ciotka popatrzyła na nią z mieszaniną zgrozy i niedowierzania.

– Obie możliwości są tak samo prawdopodobne – wykrztusiła wreszcie. – Ale zawsze należy zakładać najgorsze, czyli w tym wypadku to drugie...

– Mówisz tak tylko po to, żeby odwieść mnie od radykalnych kroków? – Ida podejrzliwie zmrużyła oczy. – Bo jeżeli znowu próbujesz wcisnąć mi kit, to słowo daję...

– Niech mi wybaczy – szepnęła Tekla. – Nawet sobie nie wyobraża, jak bardzo żałuję, że nie byłam z nią szczerą od początku. Ale teraz musi mi zaufać.

Szamanka prychnęła pogardliwie.

– Nie wiem, co się wydarzy, kiedy Ida umrze, zanim odzyska sny – ciągnęła zjawą z przejęciem. – Równie dobrze możemy próbować odgadnąć wynik rzutu monetą.

– Cóż. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, lecz nie udało jej się tym gestem wyrazić lekceważenia, jedynie rezygnację i bezradność. – Pięćdziesiąt procent szans to jednocześnie bardzo mało i bardzo dużo. Wszystko zależy od tego, czy zdołamy powstrzymać Fałszerza w jakiś inny sposób. Bo jeśli nie, to mogą zwyczajnie nie dać mi wyboru...

Ciotka pytająco uniosła brwi, ale szamanka nie miała ochoty teraz tego roztrząsać i zbyła ją szybkim machnięciem ręki. Między korzeniami wierzby znalazła omszały kamień i z całej siły cisnęła nim do wody.

– Pragnęłam pozbyć się daru i ktoś mi go odebrał. – Cedzone z wysiłkiem słowa brzmiały tak zimno i zgrzytliwie, jak gdyby szamanka kruszyła je w zębach niczym kostki lodu. – Pragnęłam chronić życie, zamiast przeprowadzać zmarłych na drugą stronę, i teraz muszę ratować ludzi przed fałszywymi wyrokami śmierci. Chciałam przekonać się, czy gdyby zaszła taka konieczność, byłabym gotowa zaryzykować własne istnienie dla kogoś innego, i proszę, właśnie rozważam na głos plusy i minusy mojego samobójstwa. – Wbiła pięści w kieszenie tuniki. Uniosła głowę i popatrzyła w zgniófioletowe niebo. – Nie tak to sobie wszystko wyobrażałam. Zupełnie nie tak.

Tekla przymknęła powieki.

– Ostrzegałam ją, że życzenia są niebezpieczne – przypomniała ze smutkiem. – Szczególnie wtedy, gdy się spełniają.

## Rozdział czternasty

Umysł Idy zgasł niespodziewanie niczym zdmuchnięty wiatrem płomyk.

W pierwszym odruchu odniosła wrażenie, że ktoś zarzucił jej worek na głowę, silnym uderzeniem w skroń pozbawił słuchu i wstrząsnął błędnikiem. W jednej chwili stała obok Tekli nad brzegiem rozjuszanej Rzeki, w drugiej – dryfowała pośród czarnego bezkresu, nie mając pojęcia, gdzie góra, a gdzie dół – i czy w ogóle gdzieś. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo to trwało. Całą wieczność? Ułamek sekundy? Obie wersje były tak samo prawdopodobne i niewiarygodne zarazem.

Świat zamajaczył jej przed oczami równie raptownie, jak zniknął.

I nagle leżała na plecach, porażona ostrym, chłodnym blaskiem świetlówek. Zamrugała prędko, łyzy rozmazały obraz w szaroniebieską breję. Z cichym stęknięciem uniosła się na łokciach. Powiodła rozbieganym wzrokiem po niewielkim pomieszczeniu o ścianach i podłodze wyłożonych białym materacem oraz stalowych drzwiach bez klamek.

– Mam nadzieję, że było warto – odezwał się gderliwy kobiecy głos.

Szamanka zerknęła przez ramię. Ruda stała w kącie, wtulona plecami w miękkie, pikowane obicie. Na widok jej miny dziewczynie natychmiast zaschło w gardle.

– Ile... khy, khhyhyyy... czasu tu... – zdołała wychrypieć, zanim napad kaszlu odebrał jej mowę.

– Prawie pół doby. – Czarownica podniosła z podłogi plastikowy kubek i podeszła bliżej, stąpając bezgłośnie po wyściełanym podłożu.

– Powróciłaś do ciała zaraz po tym, jak cię tu zamknęliśmy, Kruchy wyczuł to swoimi więzami. Ale aż do tej pory nie dawałaś żadnych znaków życia.

– To pewnie przez nagłe zerwanie kontaktu z zaświatami. – Ida

rozmasowała zeszywniały kark, otarła rękawem piekące oczy i mokrą od łez twarz.

– Obawiam się, że nie tylko. Masz, wypij to.

– A co to jest?

– Zwykła woda. – Ruda rozchyliła palce drugiej dłoni, w której trzymała kilka zielonych półprzezroczystych pigułek. – A to proszki od Margo. Specjalna alchemiczna receptura blokująca sny.

Szamanka machinalnie sięgnęła po tabletki, lecz zatrzymała rękę w pół ruchu, gdy tylko dotarło do niej, co oznaczały dwa ostatnie słowa czarownicy.

– Więc ta izolotka...

Kobieta potrząsnęła głową, miodowe oczy przygasły jej nieco.

– Wyposażono ten pokój w każde możliwe ekranowanie, w tym ektoplazmatyczne, ale nawet ono nie dało rady zatrzymać duchożercy. – Usiadła po turecku naprzeciwko dziewczyny. – Spędziłaś w zamknięciu całą noc i sporą część dnia, a przed godziną dostaliśmy zgłoszenie o kolejnych samospaleniach i rozwalonych grobach.

Ida określonymi ruchami pomasaowała skronie, w których ponownie odezwał się bolesny łomot krwi. Zwlekąca długą chwilę, nim zapytała:

– Ilu?

– Dwoje czarodziejów. I dwa ożywione truposze, po jednym do pary. To samo modus operandi, tyle tylko że nowe ofiary są już magami znacznie większego kalibru niż poprzednia piątka. Oboje figurują w naszym systemie. – Zdecydowanym ruchem wcisnęła Idzie pigułki w dłoń, po czym podała jej kubek. – Mam nadzieję, że było warto – powtórzyła ponuro, obserwując, jak szamanka łyka proszki i popija je wielkimi haustami wody. – Opuściłaś nas tak niespodziewanie, że biedny Grzegorz o mało nie dostał zawału. Trudno go było przekonać, że nie zasnął po to, żeby go zamordować, tylko wypłynęłaś duszą z ciała.

– Czytał przecież moje akta...

– Czytał, ale nigdy nie widział czegoś takiego na własne oczy. Całkiem stracił głowę, kiedy cię oszroniło, i nie wiem, do czego by doszło, gdyby Margo w porę nie odebrała mu kryształowej kuli...

– Chciał mnie nią zatłuc czy co? – parsknęła szamanka, nie rozumiejąc, co ją w tym właściwie bawi.

– Wysmażyć mózg impulsem psychomagicznym – uściśliła Ruda rzeczowym tonem. – A dzisiaj rano na spotkaniu sztabu kryzysowego musiałam się mocno nagimnastykować, żeby odwieść co poniektórych nadgorliwców od pomysłu postawienia cię przed sądem nadzwyczajnym. Wszyscy strasznie panikują, wyrok byłby łatwy do przewidzenia... – Czarownica znacząco zawiesiła głos. – Nie musisz dziękować.

– Mimo to dziękuję.

– Zrobiłam to wyłącznie z jednego powodu. Wiesz jakiego.

– Domyślam się – mruknęła szamanka z wisielczym spokojem. – Moja śmierć nie daje gwarancji, że duchożerca przestanie mordować...

– A z tobą łatwiej go będzie unieszkodliwić niż bez ciebie – dopowiedziała Ruda. – Dopóki pozostawałaś nieprzytomna, czytacz nie mogli namierzyć jego obecności w twojej głowie. Zakładaliśmy, że udało nam się go odciąć, ale niestety... Może teraz, kiedy odzyskałaś świadomość, wpadną wreszcie na jakiś trop.

– Oby. – Ida jeszcze raz rozejrzała się po izolatce. Na dłuższą chwilę zawiesiła wzrok na krawędzi drzwi, gdzie powinna znajdować się klamka. – A gdzie Kruchy?

– Od rana siedzi z czytaczami u Karewicza.

– Kusiciel odzyskał zmysły? – Szamanka ożywiła się od razu, zerwała na równe nogi. – Znaleźliście w jego wspomnieniach informację o...

Czarownica nawet nie drgnęła z miejsca. Wystarczyło jej nieznaczne zmrużenie powiek, aby błyskawicznie ostudzić zapal dziewczyny.

– Dopóki nie ustalimy, na czym dokładnie polega więź między tobą a duchożercą, lepiej, żebyś nie znała zbyt wielu szczegółów.

Szamanka skurczyła się w sobie, jakby naraz uszło z niej całe powietrze. Potaknęła z niechętnym zrozumieniem i usiadła z powrotem.

– Gdyby mógł szperać w mojej pamięci, już dawno by was

wszystkich wrąbał – zauważyła przytomnie. – On nie poluje na przypadkowe osoby, ewidentnie działa według klucza. Niemal każdy w Firmie zna się na czarnej magii i jak ułał pasuje do wzoru...

– I tu pojawia się pytanie, które zadano mi na posiedzeniu sztabu i które nieomal przypłacałaś życiem. – Ruda nachyliła się w stronę Idy i zajrzała jej w oczy. – Dlaczego do tej pory nie wrąbał ciebie? Czemu, zamiast na tobie żerować, po prostu nie kazał ci złożyć się w ofierze i sprezentować mu snów?

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała szamanka, opierając brodę na kolanach i ciasno obejmując je ramionami. – Wspólnie z Teklą doszliśmy do wniosku, że muszę być odporna na własny dar... To jedyne sensowne wyjaśnienie.

Czarownica nie skomentowała, ale wargi rozciągnął jej wyjątkowo paskudny grymas.

– Dowiedziałaś się od niej czegoś, co może nam pomóc? – spytała po blisko minucie krępującego milczenia.

Ida upiła parę łyków wody, a potem streściła jej pokrótce swoją rozmowę z ciotką.

– Fałszywy Pieśniarz – powtórzyła wolno kobieta. – Samozwańczy władca życia i śmierci, który zdołał zepchnąć czas na inny tor i szykuje apokalipsę z prawdziwego zdarzenia... Ma rozmach, sukinsyn, trzeba mu to przyznać.

Znów zapadła cisza.

– Podsumowując – odezwała się wreszcie Ruda – nosisz w głowie broń masowej zagłady, która tobie nie może wyrządzić żadnej krzywdy i której nie wolno ci świadomie użyć przeciwko komukolwiek, nawet duchożercy, bo wtedy sama zmienisz się w Fałszywą Pieśniarkę, przejdziesz na ciemną stronę mocy i wszystko zacznie się apiać od nowa. – W jej głosie zadźwięczała nuta pretensji, niechęci i podszytego lękiem szacunku. – Zdajesz sobie, mam nadzieję, sprawę, że jeśli będziemy mieć nóż na gardle, nie zostawimy ci zbyt wielkiego wyboru? – Jej kategoryczny, surowy ton uderzył w tak znajome nuty, że szamanka poczuła się nagle, jakby znów miała szesnaście lat. Aż się zjeżyła na samo wspomnienie.

– Masz mnie za głupią? – warknęła przez zaciśnięte zęby.

– Przychodzi mi do głowy wiele określeń, ale to akurat jakoś nie...  
– Czarownica wydawała się lekko zdumiona tym wyznaniem. – Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak się zanoszą, to znaczy źle, w grę wejdą wyłącznie dwa rozwiązania. Pierwsze znacznie pomyślniejsze dla nas niż drugie, ale dla ciebie w zasadzie bez różnicy. Opcja numer jeden: odzyskujesz kontrolę nad snami, wydajesz wyrok na Fałszerza i sama zostajesz przez nas unicestwiona, nazwijmy to, prewencyjnie. Opcja numer dwa: rzucamy monetą i wstrzymujemy oddech, czyli likwidujemy cię, nie czekając, aż odbierzesz pieśni Fałszerzowi. A przez „unicestwienie” oraz „likwidację” mam oczywiście na myśli całkowitą destrukcję duszy i ciała. Ot, na wszelki wypadek.

Ida spiorunowała ją wzrokiem.

– Fantastyczna perspektywa.

– Jak sama powiedziałaś, istnieje pięćdziesiąt procent szans, że zginiesz razem ze swoim darem. – Czarownica wytrzymała to spojrzenie, zupełnie niewzruszona złowrogim błyskiem, który pojawił się na moment w piwnych tęczęwkach. – To powinno kupić nam trochę cennego czasu, żeby dopaść duchożercę, zanim zrobi z tym światem coś nieodwracalnego. Tylko od ciebie zależy, czy umrzesz jako bohaterka, czy współniczka mordercy. Bo za taką wszyscy cię uznają, jeśli w krytycznym momencie zdecydujesz się na opcję drugą i nie zechcesz wyśnić śmierci Fałszerza.

Szamanka odwróciła i lekko pochyliła głowę, kryjąc twarz za kaskadą włosów.

„WON nie zastąpi jej rodziny. Nigdy. Tej luki nikt za nią nie zapełni”.

Tekla może i nie była nieomylna, lecz co do tego miała akurat całkowitą rację.

Ida, chcąc nie chcąc, pobiegła myślami do dnia, kiedy ogarnięta furia matka po raz pierwszy zagroziła jej wydziedziczeniem. Tamta pamiętna awantura rozpętała się wkrótce po tym, jak kolejna seria bolesnych eksperymentów nie wykryła w dziewczynie ani grama magii, a na domiar złego szesnastoletnia wtedy spadkobierczyni rodu Brzezińskich odrzuciła już którąś z rzędu, niezmiernie intratną dla całego klanu, propozycję zamążpójścia.

„Wyłącznie od ciebie zależy, czy opuścisz ten dom z naszym błogosławieństwem, czy jako niewart splunięcia wyrzutek. Jeśli nie potrafisz zdobyć się na choćby odrobinę poświęcenia, żeby uratować honor tej rodziny, ty samolubny, nieudolny pasożycie, to nie pokazuj mi się więcej na oczy! Co tam mamrocześ? Że chcesz wieść życie po swojemu? A proszę bardzo! Rób sobie, co chcesz, ale dla mnie równie dobrze mogłoby cię nie być! Rozumiesz, co do ciebie mówię?! Tyle starań, tyle wyrzeczeń, żeby jakoś wyprowadzić cię na ludzi, i wszystko na nic, wszystko zrujnowałaś! Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę! Żałuję, że w ogóle jesteś, bez ciebie nie musielibyśmy z ojcem tak bardzo się teraz wstydzić! C-co...? Coś ty powie... Nie dasz się zaszantażować, taaak? I tylko tyle masz mi do zakomunikowania, ty bezczelna niewdzięcznico?! W takim razie wynoś się! Wolałabym, żebyś umarła! Już dla mnie umarłaś, słyszysz?! UMARŁAŚ!!!”.

Twoja klątwa właśnie się spełniła, Irmino.

Jadowite, okrutnie szczere słowa matki nawiedzały Idę niezmiernie rzadko, nauczyła się więc udawać przed światem, że nigdy nie zostały wypowiedziane. Ukryła je głęboko w sobie pod fałszywym dnem umysłu i żelazną siłą woli nie pozwalała im wypływać na powierzchnię. Czemu więc powróciły do niej akurat teraz?

Cóż, jakkolwiek by na to spojrzeć, cztery lata temu również musiała wybierać między śmiercią a śmiercią, tyle że nie tak dosłowną jak w tej chwili. I za tamtym razem też niezależnie od decyzji czekał ją koniec tego, czym dotąd była, a ocalić mogła co najwyżej swoją reputację, wizerunkową wydmuszkę, puste, lustrzane odbicie w oczach ludzi, dla których od początku do końca pozostawała kimś obcym, niezrozumiałym, dziwnym...

*Strasznym.*

Olśnienie spłynęło na nią tak nagle, że aż zakreśliło jej się w głowie.

Och, to przecież takie proste, takie oczywiste... Prócz strachu o przyszłość córki i całego rodu rodzice czuli także strach *przed nią samą*. Patrzyli na Idę dokładnie tak jak teraz Ruda. Ich lęk, obecny



w każdym geście, każdym zdaniu, każdym tonie głosu, towarzyszył dziewczynie, odkąd pamiętała, lecz uświadomiła to sobie dopiero przed momentem. I nareszcie, po tylu latach dręczącej niepewności, zaczęła pojmować, dlaczego nie umieli jej kochać. Tak po prostu. Bez oczekiwań, bez żadnych warunków. Może niekoniecznie za to, kim była, lecz *pomimo tego*.

Czyżby wcześniej od Tekli domyślali się, jakiego potwora sprowadzili na świat?

– Słowem, trzymacie mnie w szachu. – Szamanka bardzo starała się przybrać swobodny ton, ale z raczej mizernym skutkiem. – I jesteście strasznie pewni swego. A nie przyszło wam czasem na myśl, że zamiast Fałszerza załatwię was wszystkich po kolei i cały misterny plan w pizdu?

– Wszystkich? – Ruda uniosła brew. – Nawet Kruchego?

Dziewczyna ledwo zdusiła plugawe przekleństwo.

– Oboje jesteście siebie warci – zawyrokowała Zofia i, o dziwo, nie zabrzmiało to wcale jak zarzut czy kpina. – To Kostek zaproponował rozwiązanie numer jeden, chociaż nie udało mu się jeszcze nikogo przekonać, żeby zamiast cię kasować natychmiast po tym, jak wykończysz Fałszerza, najpierw spróbować permanentnie pozbawić cię snów. Zna ryzyko, a jednak w ogóle nie bierze pod uwagę możliwości, że mogłabyś nas zdradzić.

– A ty?

– Ja z kolei nie biorę pod uwagę możliwości, że mogłabyś zdradzić jego. – Spojrzenie czarownicy stopniało i zmiękło na krótką chwilę. – Nigdy nie wybaczyłby ci śmierci kogokolwiek z WON-u. A to znaczy, że jesteśmy bezpieczni.

– Pięknie to sobie wykoncypowałaś.

– Prawda? – Ruda drapieźnie zwięzła oczy, znów przenikliwe, kalkulujące i złe. – A wracając do sedna...

– Wracając do sedna – przerwała jej chłodno szamanka – nie wiemy nawet, czy moje sny zadziałają na Fałszerza. Przecież on nie ma śmiertelnego ciała i nie sprawia wrażenia czegoś, co można zwyczajnie zabić...

– Nie przekonamy się, dopóki nie spróbujesz. – Czarownica

wzruszyła ramionami. – Bo spróbujesz, prawda?

– Ty to masz tupet, niech cię diabli. – Ida położyła się na wznak i wbiła wzrok w sufit. Miała nadzieję, że wyszło to nonszalancko, lecz nie mogła zapanować nad rozbieganymi dłońmi i zaczęła nerwowo skubać skórki przy paznokciach, co z pewnością popsuło cały efekt. – Okej, to wyjście awaryjne już znam – mruknęła po chwili. – A jaki jest plan A? Przewidujecie choć jeden scenariusz, w którym nie muszę umierać za miliony? – zadrwiła w kolejnym odruchowym przyływie czarnego humoru.

– Przewidujemy – odparła Ruda wspaniałomyślnie, acz nie bez cienia cynizmu. – Zgodnie z planem A znajdujemy metodę na zablokowanie twoich snów, a następnie na przywrócenie ci władzy nad darem. Potem, jeśli tak zadecydujesz, zaczniesz uczyć się świadomego śnienia. Szukamy już eksperta w tej dziedzinie, który pomoże ci opanować podstawy. W międzyczasie czytaczki spróbują namierzyć aktywność duchożercy w twojej jaźni. Przy odrobinie szczęścia zdołamy go wytropić i zniszczyć, zanim sytuacja zmusi nas do sięgnięcia po radykalne środki. Pozostaniesz w zamknięciu przynajmniej do czasu odebrania pieśni Fałszerzowi, a potem... się zobaczy.

Ida popatrzyła na nią z cierpkim uśmiechem.

– Boisz się, że wam zwieję w zaświaty, co?

– Albo w lustra – potwierdziła czarownica. – Kocham Kruchego jak brata, ale trzeźwy osąd sytuacji nigdy nie był jego mocną stroną. Nie zdziwiłabym się zbytnio, gdyby sam zaczął nakłaniać cię do ucieczki z ciała. W przeciwieństwie do Kostka mam o wiele bardziej pragmatyczne podejście do życia i zawsze zakładam najgorsze. Na przykład to, że twój dar będzie istniał tak długo, jak długo istnieje twoja nieśmiertelna dusza. Wolę trzymać wróbla w garści, niż potem latać za nim po innych wymiarach. Sama rozumiesz, to nic osobistego.

Szamanka uśmiechnęła się jeszcze szerzej i jeszcze kwaśniej, lecz nie powiedziała ani słowa.

– A poza tym... – Ruda zacięła się na chwilę, westchnęła ciężko. – Poza tym dopóki trzymamy cię pod kluczem, nie muszę się martwić,

że wywiniesz nam kolejny numer – wypaliła wreszcie. – Jestem potwornie zmęczona tobą i wszystkim, co masz w pakiecie. Dałaś nam Szkudlarka i chwala ci za to, ale cała reszta... – Omiotła dziewczynę od stóp do głów wymownym ruchem dłoni. – Cała reszta po prostu mnie przeraża.

– Nie tylko ciebie – szepnęła szamanka, pierwsza spuszczać oczy.

Czytacze eksperymentowali na Idzie przez pięć kolejnych dni i nocy. Wypróbowali wszystko. Alchemiczne psychotropy według autorskiej receptury Margo. Magicznie i farmakologicznie wywoływaną bezsenność. Bioelektryczne blokowanie aktywności REM w mózgu. Deprawację sensoryczną. Medytację. Hipnozę.

Nic nie działało.

Zabójca nadal rabował i zakłamywał pieśni szamanki, a oni wciąż nie wiedzieli, kiedy to robił – mimo że mieli umysł dziewczyny na stałym podglądzie, ani razu nie wykryli w nim cudzej obecności. Co gorsza, nienasycony duchożerca mordował coraz szybciej i każda doba przynosiła kilka nowych ofiar. Obstawienie wszystkich cmentarzy w mieście nie przyniosło spodziewanych rezultatów: żadna ze stróżujących przy mogiłach ekip nie napotkała ani jednego żywego trupa. Przez krótki czas wyglądało na to, że zmarli przestali wstawać z grobów, a Falszerz z jakiegoś powodu zmienił schemat działania. Ale potem Smoczyński zadzwonił do Kruchego z wieścią o osobliwym incydencie, o którym z kolei opowiedział mu kumpel z ratownictwa medycznego i który rzucał na sprawę nieco inne światło...

Otóż czwartego dnia uwięzienia szamanki, we wtorek dwudziestego października, we wczesnych godzinach porannych trzydziestoosmioletni grzybiarz został zabrany przez karetkę z podwrocławskiego lasu w dość niecodziennych okolicznościach przyrody. Podczas akcji ratunkowej poszkodowany był niezwykle pobudzony, zdenerwowany i gadatliwy: z obsesyjnym uporem oraz zastanawiającą konsekwencją powtarzał ratownikom, że widział, jak spod ziemi, z ponaddwumetrowego dołu, z którego dopiero co wydobyła go jednostka straży pożarnej, wypełzło kilkuletnie dziecko o kredowobiałej twarzy oraz rozplamionych, nienaturalnie zielonych oczach. Mężczyzna, jak sam wielokrotnie podkreślał, ani

nie zdążył mu się lepiej przyjrzeć, ani o nic zapytać, bo gdy tylko podszedł bliżej do gramolącego się na powierzchnię malca, ten ucapił go za nogawki spodni, jednym szarpnięciem zwałił z nóg, po czym z niemożliwą, nadludzką wręcz siłą cisnął pięciokrotnie cięższym od siebie facetem prosto na dno głębokiej dziury. Wzięty z zaskoczenia grzybiarz upadł bardzo pechowo, złamał sobie nogę w kostce, uderzył skronią o wystający korzeń i na kilka minut stracił przytomność. Upadek nie zafundował mu jednak amnezji pourazowej, nie zaburzył orientacji w terenie ani nie uszkodził telefonu komórkowego, zatem po odzyskaniu świadomości pokrzywdzony zdołał wezwać pogotowie i pokierować ratowników na miejsce wypadku. Badanie alkometrem wykluczyło spożycie alkoholu, pacjent nie zdradzał objawów delirium tremens czy zażycia substancji psychoaktywnych, nie miał też gorączki ani nie był w wieku, w jakim można by podejrzewać początki demencji – w trakcie wywiadu przyznał natomiast, że cierpi na częste migreny, a poza tym istniało duże niebezpieczeństwo, że nabawił się wewnętrznego urazu głowy. Paramedycy stwierdzili zatem zgodnie, że mężczyzna doznał halucynacji albo na skutek samego uderzenia, albo silnego bólu poprzedzającego upadek. I wszyscy byli całkiem usatysfakcjonowani takim wyjaśnieniem... dopóki jeden z ratowników nie zauważył śladów dziecięcych bucików odcisniętych w świeżo rozkopanej ziemi.

I tym samym stało się jasne, że Fałszywy Pieśniarz wciąż działa wedle sprawdzonego wzoru, tyle tylko że wskrzeszani przez niego teraz zmarli spoczywali w nielegalnych, a przez to trudnych do wytypowania miejscach pochówku. Podobnie jak wcześniej na cmentarzach tak i tym razem w środku lasu wyspecjalizowane w szukaniu zwłok psy w ogóle nie chciały podejść do rozkopanego grobu, nie wspominając już nawet o podjęciu tropu. Na domiar złego duchożerca, choć wykazywał ostatnio nader wzmożoną aktywność, nie rozzuchwalał się przy tym, niestety, na tyle, aby zrezygnować z maskowania: czworonogi wyszkolone w wykrywaniu energii magicznej, i owszem, ożywiały się wyraźnie w pobliżu opuszczonych mogił, ale po zaledwie paru metrach całkiem gubiły ślad, co oznaczało, że Fałszerz umiejętnie tłumził swoją aurę, zamykając ją

głęboko w animowanych przez siebie cielesnych powłokach.

Odcięta od świata i poddawana kolejnym eksperymentom Ida nie brała już czynnego udziału w śledztwie, lecz to i owo do niej przeciekało. Czytacz nie musieli zbyt wiele mówić, ich ponure twarze i coraz bardziej rozpaczliwe wysiłki potrafiły przekazać znacznie więcej niż najbardziej szczegółowe raporty. Kiedy w środę wieczorem, po pięciu dobach nieustannych testów, Margo wkroczyła do izolatki z przepaszającą miną oraz aureolą supresyjną w rękę, szamanka była już tak wycieńczona, że nawet nie miała siły się wystraszyć. A może po prostu przestało ją obchodzić, co z nią uczynią. Byleby choć na moment przestać myśleć, byleby wyłączyć wreszcie ten swój zabójczy umysł i pogrążyć się w beztroskiej nieświadomości.

Nigdy by nie przypuszczała, że kiedykolwiek zatęskni za kosmiczną próżnią. A jednak.

Zanurzony w aksamitnej nieważkości, nawet nie zauważyła chwili, w której przestała istnieć. Czas stanął w miejscu, pogrążając wszystko w martwym, zaciemnionym bezruchu, a ona – maleńki okruch samej siebie, cichnący pogłos własnych myśli, ulotny powidok stygnącej świadomości – pragnęła, aby tak pozostało. Dawno już nie czuła się równie dobrze jak w tym nieskończonym ułamku nicości, gdy nie czuła w ogóle niczego...

Lecz nagle, ku swemu przerażeniu, znowu zaczęła być.

Patrzyła, jak światło powoli, kropla po kropli, wsącza się w mrok. Jak wymieszana z białym blaskiem czerń mętnieje i blednie, tworząc półprzezroczystą, mgielną zawiesinę. Nicość, na której leżała, z każdą sekundą nabierała twardości, a napływające zewsząd głosy przypominały brzęczenie owadów zza grubej warstwy filcu. Szamance trudno było ocenić, ile chwil minęło, zanim udało jej się zogniskować załzawiony wzrok, a ciemniejsza, rozlana plama pośród wilgotnej szarości nabrała konkretniejszych kształtów i detali.

Kornelia.

Siedziała po turecku na podłodze izolatki, obracając dezaktywowaną aureolę w pulchnych, urękawiczonych dłoniach. Pstrokate ponczo, turkusowe rybaczki, soczyście zielone rajstopy,

jaskrawopomarańczowe baleriny i ciemnofioletowa szminka w zderzeniu ze śmiertelnie poważnym spojrzeniem modrych oczu oraz niespotykane chmurnym obliczem zazwyczaj głupekowato rozpromienionej kobiety tworzyły wspólnie tak silny dysonans wizualny, że szamance natychmiast zrobiło się nieswojo.

Rozejrzała się z nadzieją, lecz prócz Kwiatka nie było tutaj nikogo więcej. Kruchy nie przyszedł.

Ida udała przed samą sobą, że wcale jej to nie przygnębia.

– Jak się czujesz, dziecko? – spytała Skittles bez śladu zwykłej, szczebiotliwej wesołości w głosie.

Dziewczyna uznała pytanie za retoryczne i nie powiedziała nic. Dźwignęła się na łokciach, ostrożnie przechyliła głowę raz na jedno, raz na drugie ramię, żeby rozruszać zastały kark, po czym z wdzięcznością przyjęła od Kornelii jednorazowy kubek z bezbarwnym płynem. Wypiła wszystko jednym haustem, nie dopytując nawet, czy to zwykła woda, czy może wręcz przeciwnie. Było jej to doskonale obojętne, w końcu i tak nie mogłaby odmówić. Mlasnęła dyskretnie językiem o podniebienie, lecz nie wyczuła żadnego smaku. Pociągnęła nosem – ani zapachu. A zatem raczej tylko woda.

No trudno.

Gdyby miała wybierać, wybrałaby wódkę. I lustro do towarzystwa.

– Pytałam, jak się czujesz – nie ustępowała Kornelia. – W skali od jeden do dziesięć.

– Minus milion. – Jakby dla lepszego zobrazowania tych słów szamanka gwałtownym ruchem zgmiotła kubek w ciasną, trzeszczącą kulkę i cisnęła nią w kąt izolatki.

Kwiatek zacmokała głośno, nie wiadomo, czy bardziej z dezaprobatą, czy z troską, ale jej powiększone przez grube szkła okularów oczy pozostały chłodne, ostre i przenikliwe niczym diamentowe świdry.

– Jaki dziś dzień? – zapytała Ida, czując dławiący ucisk w mostku.

– Sobota, dwudziesty czwarty października, godzina dziewiętnasta zero pięć. Twój umysł pozostawał wyłączony przez trzy doby, dziesięć minut i siedemnaście sekund. Niestety... – Kornelia zawiesiła głos,

a ponieważ wcale nie musiała kończyć, toteż i nie dokończyła.

Ida zaś wcale nie musiała tego komentować – bo i jak niby? – toteż i nie skomentowała. Zrezygnowana opadła na plecy. Coś ją zdradliwie zapiekło pod powiekami, zakryła więc oczy przedramieniem.

– Ale nie martw się, złociutka. – W tonie Skittles pojawiła się odrobina dawnego ciepła. – Znalazłam kogoś, kto pomoże ci rozbroić tę bombę, którą nosisz pod czaszką.

– Czyli kogo? – spytała szamanka bez większego entuzjazmu.

– Piaskuna. To jest piaskunkę, mówiąc ściślej.

Dziewczyna przesunęła rękę na czoło, zerknęła na kobietę z niejaką konsternacją.

– Aisling Lukøie – uzupełniła Kornelia tonem wyjaśnienia.

Szamanka podrapała się energicznie w zmarszczkę między brwiami.

– Eeeee... – odparła elokwentnie. – Aszil... że jak? Co, proszę?

– Asz-lin Luk-oj – powtórzyła cierpliwie Skittles, z przesadną dokładnością wymawiając każdą sylabę. – Pias-kun-ka.

– Obawiam się, że nadal nie rozumiem, o czym ty do mnie rozmawiasz.

– Nie znasz baśni o piaskowym dziadku zsyłającym sny? – zdziwiła się Kwiatek. – Albo o Ole Zmruż Oczko?

Ida wyteżyła pamięć, co po ponad ośmiu dobach nieustających eksperymentów z odmiennymi stanami świadomości przyprawiło ją o niemal fizyczny ból mózgu. Po chwili zastanowienia usiadła gwałtownie, jak gdyby ktoś chlusnął w nią wiadrem lodowatej wody.

– No pewnie, że znasz – skwitowała z zadowoleniem Kornelia, po czym spojrzała za siebie. – Wybacz mi tego dziadka, Aisling – rzuciła w stronę pustego kąta obok drzwi.

– Och, doprawdy, nie ma o czym mówić – odparł pusty kąt obok drzwi melodyjnym głosem z silnym, obcym akcentem.

I naraz znikąd, z wszechobecnej bieli, zza cieniutkiej podszewki rzeczywistości wyłoniła się popielatowłosa dziewczyna o surrealistycznie smukłej figurze oraz ogromnych, jasnoszarych oczach zaspanego dziecka. W jej zjawiskowym wyglądzie nie sposób

było dostrzec żadnych innych szczegółów: cała postać nieznajomej rozmywała się, rozwiewała, zanikała jak sen, wiotka i delikatna niczym unoszone wiatrem nici babiego lata.

– Lukøie to jej pseudonim zawodowy – podjęła Skittles – na cześć Ole-Lukøie, czyli właśnie Ole Zmruż Oczko Andersena. Ale imię jest autentyczne, irlandzkie, oznacza „sen” albo „wizję”. Dobrze mówię, Ash?

– Aye... – potwierdziła piaskunka. I chociaż nawet nie drgnęła, w następnej sekundzie była tuż przy nich. Kucała obok Idy, opierając łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach i z bliska zaglądając jej w oczy. – Twoja dusza płacze – orzekła miękko, po czym zbliżyła dłoń do policzka szamanki.

Ida w ostatniej chwili zauważyła, że Aisling nie ma na sobie rękawiczek, i pośpiesznie odsunęła się w kąt.

– Życie ci niemiłe? – spytała ostro.

Piaskunka w ogóle nie wyglądała na poruszoną. Zastygła w bezruchu z uniesioną dłonią i trwała tak przez kilka ładnych chwil, jak gdyby czekała, aż szamanka wróci na swoje miejsce i pozwoli jej dokończyć gest.

– Jesteśmy jak siostry – odparła wreszcie, odgarniając z czoła kosmyk pajęczynowych włosów. – Ty to śmierć. Ja to sen. Jedna nie może skrzywdzić drugiej.

Ida nie bardzo wiedziała, jak na to zareagować. Przyglądała się dziewczynie z ukosa, a nie doczekawszy się od niej dalszych wyjaśnień, przeniosła pytające spojrzenie na Kornelię.

– Aisling przyszła na świat w dość nietypowy sposób. – Kwiatek zanurzyła dłonie w przepastne kieszenie pstrokatego ponczo i zaczęła w nich zapamiętałe szperać. – Została wyśniona – oznajmiła swobodnie, niby mimochodem, po czym ni stąd, ni zowąd rzuciła w szamankę opakowaniem żelkowych dżdżownic.

Ida złapała je tuż przy własnym uchu, zdumiona do granic. A nawet bardziej.

– O, widzę, że z reflekssem nie jest u ciebie tak źle, jak się obawiałam – stwierdziła Kornelia z niekłamaną satysfakcją. – Aureola supresyjna potrafi zrobić niezłą sieczkę z mózgu, więc w sumie



powinnaś się cieszyć, że nie powstrzymała Fałszerza...

– Ale... jak to?

– Tak to, tak to, kochanieńka, gdyby aureola odcięła go od snów, nikt by się nie kwapił, żeby ci ją zdjąć, a wtedy twoje zdolności intelektualne mogłyby bezpowrotnie...

– Nie o to pytam. – Szamanka niecierpliwie zamachała paczką cukierków. – Jak to: wyśniona?

Przez modre tęczówki Skittles przemknął zagadkowy ognik, a na niemal półprzejrzystej twarzy piaskunki pojawił się nikły, rozmarzony grymas.

– Zrodziłam się ze snu mojej matki – odparła flegmatycznie, kręcąc drobnymi pięściami w kącikach przymrużonych oczu. – I ją także stworzyła kiedyś pewna śniąca mara. Jak wszystkie kobiety z mojej rodziny zostałam specjalistką od oneironautyki kreatywnej, nieco bardziej zaawansowanej odmiany świadomego śnienia. Ty natomiast, Ido, posiadasz dar nieświadomionej oneironautyki destrukcyjnej.

Szamanka skrzywiła się mimo woli, tak fatalistycznie to zabrzmiało.

– A więc jesteś czymś sennym marzeniem – stwierdziła z nutą irracjonalnej pretensji oraz lekkim ukłuciem zazdrości.

– Wyśnionym i spełnionym – przytaknęła Aisling. – Tak.

– Szczęściara z ciebie. – Mówiąc to, Ida odruchowo pomyślała o swoim pożartym Pechu i od razu popadła w jeszcze większe przygnębienie. – Bo widzisz, ja... No cóż. Ja dla moich rodziców jestem czymś wręcz przeciwnym.

Piaskunka przez moment sprawiała wrażenie, jak gdyby znowu miała ochotę pogłodzić dziewczynę po twarzy, ale zamiast tego ziewnęła szeroko, przeciągnęła się jak kot. A potem zniecka zaczęła recytować – z emfazą, natchnioną miną oraz silnym irlandzkim akcentem:

*They've promised that dreams can come true —  
but forgot to mention that nightmares are dreams, too...*

– Czy ty mnie właśnie nazwałaś koszmarem? – Ida zerknęła na Aisling spod oka.

– Nie ona, tylko Oscar Wilde – sprostowała rzeczowo Skittles, a oneironautka skinęła na potwierdzenie bez cienia zażenowania.

Szamanka miała już ciętą ripostę na końcu języka, lecz przypomniawszy sobie nagle o innym urzeczywistnionym koszmarze, straciła ochotę na słowne przepychanki. Odwróciła głowę i zacisnęła wargi.

– Mój łapacz też został stworzony ze snów – powiedziała cicho.

Blade usta Aisling rozciągnął tajemniczy uśmiech.

– A jak sądzisz – spytała zniżonym do szeptu głosem, nachylając się w stronę dziewczyny i zmuszając ją do podniesienia wzroku – przez kogo?

Oczy Idy zrobiły się wielkie jak ślepie Gryzaka.

– Ciebie?

– Niewykluczone. – Piaskunka uśmiechnęła się odrobinę szerzej. – Żeby stwierdzić autorstwo, musiałabym go najpierw zobaczyć i dotknąć, ale już teraz możesz być pewna, że twój łapacz zrodził się w umyśle jakiegoś oneironauty. To właśnie tym, między innymi, zajmują się piaskuni.

Szamanka przez jakiś czas trawiła w skupieniu wszystkie te rewelacje.

– Powiedziałas, że nie mogę wyrządzić ci krzywdy – odezwała się wreszcie, z całych sił próbując nie robić sobie zbyt wielkich nadziei.

– Nie możesz. Nikt nie może.

– Czy to znaczy, że istoty ze snów są...

– Nieśmiertelne? Ależ nie. My po prostu nie jesteśmy do końca żywi i to dlatego nie możemy umrzeć. Nie tak naprawdę.

– A... zniknąć?

Na alabastrowym czole Aisling pojawiła się niewielka zmarszczka.

– Co masz na myśli?

Ida niechętnie opowiedziała o tym, co spotkało Gryzaka.

– Taaak... – zamruczała oneironautka, ściągając srebrzyste brwi. – Długotrwała głódówka rzeczywiście mogła osłabić go na tyle, że musiał przybrać formę nieożywioną... Ale dopóki istnieje amulet, istnieje też Gryzak.

– A czy jeśli... – zaczęła powoli szamanka – ...jeśli odzyskam sny,

to czy on...

– Nie wiem. – Piaskunka wykonała dłonią nieokreślony gest. – Może tak, może nie. Trudno mi orzec, nigdy dotąd nie miałam do czynienia z podobnym przypadkiem.

– No jasne, że nie miałaś. – Dziewczyna omiotła wzrokiem sufit. – Powinłam się już pewnie przyzwyczaić, że robię za wyjątek od reguły bez względu na okoliczności, ale jakoś, cholera, nie potrafię.

– Nie chcę cię martwić, Iduś, ale nawet w swoim dążeniu do przeciętności jesteś raczej unikatowym egzemplarzem – zauważyła Kwiatek. – Zwyczajni ludzie na ogół pragną być wyjątkowi. Już pod tym względem ogromnie się wyróżniasz.

Szamanka zaburczała coś niewyraźnie w odpowiedzi. Tym razem nie próbowała protestować, gdy oneironautka uniosła dłoń i odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Strzeż się, Pieśniarko – szepnęła Aisling, płynnym, sennym ruchem muskając palcami podbródek dziewczyny. – Czasem nierealne marzenie może stać się bardzo realnym koszmarem.

Aż do tej chwili Ida nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zdążyła zatęsknić za cudzym dotykiem. Przełknęła ślinę.

– Znowu Wilde? – mruknęła po to tylko, żeby coś powiedzieć, lecz piaskunka zignorowała pytanie.

– Kreacja i anihilacja, porządek i chaos, marzenie i koszmar – zaintonowała ospale, szerzej otwierając powieki, zapewne po to, żeby nie zadrzemać. – Ty i ja jesteśmy jak awers i rewers jednej i tej samej monety. Pozytyw oraz negatyw. Światło oraz cień... Nie uciekniesz przed tym. Nie uciekniesz przed sobą.

Przypatrując się swemu spowitemu czernią odbiciu w oczach tej onirycznej biało-szarej istoty, szamanka pomyślała, że Aisling całkiem trafnie dobiera porównania.

– W zwykłych okolicznościach byłoby absolutnie niewskazane – podjęła piaskunka, coraz dziwniej przeciągając zgłoski – abyś kiedykolwiek przejęła władzę nad swoją niszczycielską mocą. Chaosu nie sposób w pełni ujarzmić i koniec końców to on przejmuje kontrolę nad umysłem, który próbuje go spętać. Ale ponieważ okoliczności są bardzo dalekie od zwyczajnych, nie mamy innego wyjścia. Najpierw

odbierzemy złodziejowi twoje śmiercionośne pieśni, a potem, jeśli takie będzie twoje życzenie, nauczę cię sztuki snu-tworzenia.

Szamanka wzięła głęboki wdech, na parę chwil zatrzymała powietrze w płucach, po czym pomału wypuściła je z ust razem z całym nagromadzonym w niej od wielu dni napięciem.

– Kiedy zaczynamy? – spytała wojowniczo.

– Teraz, zaraz. – Aisling wycelowała palec w podłogę obok Idy. – Ale najpierw zjedz robale.

– Słucham? – Lekko zbaraniała szamanka opuściła wzrok. Prosto na paczkę żelkowych dżdżownic. – Och...

– Cukier, kochanieńka, cukier! – zaświergotała Skittles, podnosząc łąkocie, po czym jednym wprawnym ruchem rozdarła opakowanie i podstawiła je dziewczynie pod nos. – Nektar dla umysłu, balsam dla duszy – orzekła ze znanstwem. – Od przeszło tygodnia żywiono cię wyłącznie magią i alchemicznymi otępiaczami, twój mózg rozpaczliwie potrzebuje glukozy. No, już, wcinaj, wcinaj. – Kobieta zanurzyła dłoń w kolorowym mrowiu glist, wpakowała sobie do ust kilka tłustych sztuk. Zachęcająco kiwnęła na szamanke podwójnym podbródkiem, uwydatnionym dodatkowo przez ciasno zamotaną na szyi apaszkę z kanarkowożółtego jedwabiu.

Ida, chociaż nie była głodna ani nie miała wcale ochoty na słodocze, sięgnęła bez szemrania po garść robali. Przełknąwszy kilka porcji słodko-kwaśnej i poskrzypującej w zębach galaretki, z wdzięcznością przyjęła od Kornelii małą butelkę wody mineralnej. Opróżniła ją duszkiem, do ostatniej kropli.

– Gotowa? – spytała Aisling, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

– Gotowa.

Piaskunka kiwnęła głową i... znikła. Rozsypała się na kawałeczki niby odbicie w zmaczonej powierzchni stawu po to tylko, aby zaraz zmaterializować się na powrót, tuż obok szamanki. Jasnoszare spojrzenie Aisling było teraz całkowicie trzeźwe, skupione, pełne czystej, przeraźliwie zimnej inteligencji. W tej jednej nieskończonej długiej sekundzie oneironautka przypominała żywą kwintesencję ostrości umysłu i Ida musiała zebrać całą siłę woli, żeby nie odwrócić wzroku, bo widok był iście piorunujący...

– Co mam robić? – bąknęła z niejaką obawą.

– Nic. – Piaskunka wykonała ręką szybki ruch, jak gdyby próbowała złapać przelatującego obok niewidzialnego owada, po czym zbliżyła zaciśniętą pięść do ust. – Po prostu zmruż oczy.

Zanim szamanka zdążyła znowu się zdziwić, Aisling rozchyliła palce, gwałtownie dmuchnęła w dłoń, syjąc w twarz dziewczyny obłoczkiem perłowego piasku. Drobne ziarenka zaszcypały Idę pod powiekami, które nagle stały się ciężkie jak wieko trumny, a w uszach rozbrzmiały odległe, niezbyt wyraźne dźwięki dawno niesłyszanej kołysanki...

I już po kilku pierwszych nutach wszystko połknął mrok.

## Rozdział piętnasty

Na początku nie było niczego.

Tylko pusta, bezdźwięczna ciemność, tak znajoma i tak obca zarazem, że szamanka sama nie wiedziała, czy na jej widok czuje większy niepokój, czy może jednak ulgę.

– Aisling?

Nikt jej nie odpowiedział. Jedynym odgłosem, jaki zdołała wychwycić po długiej chwili skupienia, były dzwoniące echa kapiących i ciurkających kropel. Momentalnie pomyślała o jaskini oraz przepływającym przez nią podziemnym strumieniu i już, już miała je zobaczyć oczami wyobraźni, gdy naraz złowiła coś jeszcze: subtelny szelest materiału, cichutkie plaśnięcia bosych stóp...

– Umysł jest jak jezioro – stwierdził filozoficznie mrok, przemawiając melodyjnym głosem piaskunki. – Słuchaj i usłysz.

Słowa oneironautki okazały się zdumiewająco sugestywne, bo gdy tylko Ida ponownie nadstawiła ucha, dobiegł ją miarowy szum oraz plusk. Niemal od razu poczuła na skórze silny, chłodny powiew, który przeniknął jej eteryczne ciało aż do kości i podniósł włoski na niematerialnych przedramionach. Powietrze nasyciło się zapachem mchu oraz wilgotnego kamienia, policzki szamanki zrosiła delikatna bryza, a pod jej stopami zamigotała pomarszczona tafla wody.

Ida odruchowo wstrzymała oddech przekonana, że lada moment chlupnie jak kamień w ciemnozielone fale... Ale nie. Stała twardo na powietrznej poduszce tuż nad powierzchnią jeziora. Stalowe niebo wisiało strzępami popielatej mgły nisko nad topieliskiem, co rusz łamane na kawałki przez bezgłośnie eksplozje błyskawic. Nie było deszczu ani gromu, tylko sztormowy wiatr, świetliste obłoki i nieme pioruny.

Szamanka przysiadła na piętach, musnęła opuszkami wzburzoną toń, a ta uspokoiła się i wygładziła niespodziewanie pod jej dotykiem. Zaraz jednak zawirowała z nowym wigorem, bryzgnęła w dziewczynę

strugą siekających, ostrych jak igły kropel. Ida syknęła z bólu i bez zastanowienia wystrzeliła wysoko ponad kipieli. Dopiero po kilku sekundach, gdy już starła z twarzy szczypiące atramentowe strugi i spojrzała z góry na skotłowaną wodę, dotarło do niej z całą mocą, że tutaj, w jej własnej głowie, wewnątrz świadomego snu... potrafi latać. A skoro coś takiego było tu możliwe, to w zasadzie możliwe powinno być wszystko.

– Wyczuł cię – orzekła Aisling z obojętnym spokojem, wyłaniając się spośród szarego oparu. – Musimy się śpieszyć.

– To znaczy co konkretnie mam...

– Patrz – przerwała jej miękko piaskunka. – I zobacz.

Ida zerknęła sceptycznie na boki, po czym powiodła wokół znaczącym gestem.

– Niby jak? Nic nie widać przez tę mgłę...

– Więc się jej pozbądź. – Oneironautka wzruszyła drobnymi ramionami. – To twoja jaźń, ty tutaj rządzisz. Ty i ten, który się do niej włamał. Ja mogę ujrzeć wyłącznie to, co sama mi pokażesz.

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę, w zamyśleniu przygryzając wnętrze policzka.

Na próbę zawachlowała rękami.

Dmuchnęła i chuchnęła.

W kilku dosadnych słowach rozkazała siwym kłębowi zmienić stan skupienia.

Ale ponieważ zrobiła to wszystko bez przekonania i bez odrobiny wiary w powodzenie przedsięwzięcia, a na dodatek czuła się przy tym nad wyraz idiotycznie, to i nie dziwota, że nic się nie wydarzyło. Przez blisko minutę zastanawiała się, jak rozproszyć gęste tumany, zanim wreszcie doznała objawienia. Pacnęła się z rozmachem dłonią w czoło, takie to było proste, takie oczywiste.

Zamknęła oczy, przywołała Wiatr Zaświatów. Rozpostarła ramiona, pozwalając, aby gwałtowny, orzeźwiający szkwał przeszył ją na wskroś, przepędził z umysłu duszny opar razem z chmurami najczarniejszych myśli. Kiedy uniosła powieki, zaledwie kilka mgielnych wstążek snuło się smętnie przy brzegach jeziora, a od pełnego księżyca oraz miriadów gwiazd niebo było jasne jak w dzień.

Szamanka zerknęła w dół, prosto w malachitową otchłań. Jej uwagę natychmiast przykuły ciemniejsze, ruchliwe kształty podobne do skrawków zatopionej tkaniny – jeden po drugim odrywały się od dna i wypływały na powierzchnię, gdzie pękały niczym ogromne bańki powietrza, barwiąc wodę wielkimi kleksami oleistej smoły.

– Oto i twoje skradzione pieśni. – Aisling z odrazą zmarszczyła nos, a Ida ledwo opanowała mdłości, gdy w nozdrza uderzył ją duszący odór zgnilizny.

Szamanka i piaskunka obserwowały w milczeniu, jak plamy tłustego mroku kołyszą się na falach, opalizując wszystkimi odcieniami czerni, po czym porywane raptownie przez silny prąd, rozmazują się w niewyraźne smugi i znikają pośród spienionych odmętów.

– Śpiesz się – ponagliła Aisling. – Patrz i zobacz.

Ida posłusznie uniosła oczy, zlustrowała z uwagą owalną linię brzegu, wzdłuż której ciągnął się pas wysokich trzcin, a nieco dalej – ciemny pierścień lasu. Zmrużyła powieki, dostrzegłszy szeroki przesmyk między drzewami oraz krętą wstęgę nurtu, która wypływała z jeziora i sięgała hen, aż po horyzont niczym ogromny, jadeitowy wąż.

Szamanka wszędzie rozpoznałaby ten nieposkromiony żywioł.

– To przecież Rzeka – wykrztusiła tak słabym głosem, że sama nie była pewna, czy cokolwiek powiedziała. – No jasne...

– Rzeka Śmierci – potwierdziła piaskunka. – Twoje sny są jednym z wielu zasilających ją źródeł. Teraz pozostaje nam tylko wyłączyć je z obiegu.

Dziewczyna już otwierała usta, aby zadać oczywiste pytanie, lecz Aisling nie dała jej dojść do słowa.

– Umysł jest jak jezioro – powtórzyła z uporem. – Jeśli chcesz dojrzeć dno, musisz wyciszyć sztorm i pozbyć się fal.

– Niech zgadnę: mam być oazą spokoju? – nie wytrzymała szamanka, powodowana palącą potrzebą zrównoważenia tych wszystkich górnolotnych metafor zdrową dawką sarkazmu. Oraz wulgaryzmów, ale na te w obecności piaskunki jakoś nie potrafiła się zdobyć. – Świątynią medytujących tybetańskich mnichów?



Wyciszonym kwiatem lotosu na spokojnej tafli je...

– To nie wystarczy. – Aisling potrząsnęła popielatymi włosami z troską i powagą świadczącymi o całkowitej odporności na ironię. – Choćbyś zmieniała się w uosobienie stoicyzmu, o ile to w ogóle możliwe przy tak buntowniczym temperamencie, to w twoim przypadku osiągnięcie wewnętrznej harmonii nie zadziała. Pomyśl tylko: jak można unieruchomić zmaconą wodę, skoro ktoś inny wciąż rysuje na niej swoje kręgi?

Ida, ku swemu zdumieniu, znalazła odpowiedź, jeszcze zanim piaskunka dokończyła pytanie.

Opadłszy czym prędzej nad rozkołysane fale, szamanka przyklękła w powietrzu na jedno kolano. Wyciągnęła rękę, zanurzyła koniuszek palca w zimnej, głębokiej zieleni. Tym razem wcale nie musiała przywoływać Wiatru – przybył sam, jak gdyby tylko czekał na ten znak. Arktyczny podmuch wystrzelił z płuc dziewczyny razem z oddechem, gęsią skórka przemknął jej po ramieniu i spłynął po dłoni, a potem rozbiegł się gwiaździcie po całym jeziorze z przeciągłym chrzęstem skuwanej mrozem wody. Tafla wygładziła się jak lustro, zaiskrzyła od szronu. Zamarła.

Szamanka zabrała rękę i w tym samym momencie po lodowej skorupie przeszedł kolejny potężny powiew, który zdmuchnął na boki diamentową szadź, ukazując wyslizganą powierzchnię, lśniąca i półprzezroczystą niby ciemne szkło butelki.

– Dobrze. – Na białych wargach Aisling zamajaczył przelotny uśmiech. – Patrz dalej. Głębiej.

Ida patrzyła.

Jezioro przypominało teraz owalne zwierciadło w posrebrzanej ramie, które zamiast odbijać, pochłaniało światło. I naraz gdzieś daleko w dole, na samym dnie zastygłej nieruchomo toni, zatańczyła delikatna, jadowicie zielona łuna podobna do podwodnej zorzy polarnej. Szamanka pochyliła głowę, żeby lepiej się przyjrzeć, a wtedy ogromny, skrzydlaty cień grzmotnął z głuchym tąpnięciem w spód zakrzepłej tafli. Ida odskoczyła przestraszona, wzleciała w powietrze. Przy drugim uderzeniu lód zatrzeszczał złowrogo i strzelił białymi krechami rys. Przy trzecim trysnął na wszystkie

strony długimi zygzakami pęknięć. Z powstałej szczeliny wyłoniły się czarne, zakrzywione pazury, a pod szklistą pokrywą zamajaczyły nietoperze skrzydła wściekle młójące wodę.

Szamanka wzniosła się jeszcze wyżej, jak najdalej od ostrych niczym brzytwy szponów, które rozkruszały krę z taką łatwością, jak gdyby to był śnieżny puch.

– Obrzydliwe te jego sfingowane koszmary... – oceniła Aisling, nie ruszając się z miejsca.

– A nie są niebezpieczne?

– Nie dla mnie. – Na potwierdzenie tych słów piaskunka niefrasobliwie przysiadła na lodzie. – Falszerz jest doskonałym oneironautą – ciągnęła sennym, żeby nie powiedzieć znudzonym tonem – ale nie wyczuł mojej obecności, jego plugawe widziadła zupełnie mnie ignorują. Dla ciebie także nie stanowią zagrożenia...

– O?

– ...ale wyłącznie na jawie.

– Och.

– Falszerz wie, że tu jesteś. Domyśla się, że przybyłaś, aby odciąć mu dostęp do Rzeki, i stara się właśnie temu zapobiec. Jeśli jego mary dopadną cię po tej stronie snu, możesz już nigdy się nie obudzić.

Ida zamrugnęła raz i drugi. Przez moment sądziła, że się przesłyszała.

– Paradoksalnie czułabym się pewniej, gdybyś zakomunikowała to nieco mniej spokojnym tonem – mruknęła z przekąsem.

– Nie powinnaś czuć się pewnie – zaprotestowała piaskunka, zadzierając głowę i posyłając dziewczynie spojrzenie pełne beznamiętnego zdumienia. – Jeśli szybko czegoś nie zrobisz, one cię zabiją.

– Aisling!

– Ja tu nie mam mocy sprawczej. – Piaskunka rozłożyła ręce, lecz w tym geście nie było bezradności, jedynie apatyczna nonszalancja. – Tylko ty i ten, kto cię okrada, możecie wpływać na... – Koniec zdania zagłuszył huk kolejnego uderzenia, od którego cały umysł Idy aż zadygotał w posadach.

Dziewczyna zaklęła pod nosem i chcąc nie chcąc, runęła w dół

niczym pikujący jastrząb.

Zdażyła w ostatniej chwili.

Ledwie przyłożyła obie dłonie do pękającej kry, Wiatr Zaświatów przepłynął przez jej ciało ostrym prądem, sypnął z palców suchym śniegiem i igłami szronu. Bryzgająca szczelinami woda stężała w okamgnieniu, tworząc strzeliste, kryształowe stalagmity obwieszane festonami skamieniałych kropel. Uwięzione pod powierzchnią widziadła Falszerza łomotały dziko w szklistą tafłę, lecz tym razem była tak mocna i gruba, że nie zostawiły na niej nawet jednej rysy. Wszystko wibrowało. Powietrze dzwoniło jak naprężony drut. Siarczasty mróz wgryzał się w kipieli głębiej i głębiej, do samego dna. Aż wreszcie całe jezioro zastygło z ogłuszającym, tubalnym łoskotem, zamykając koszmary w ogromnej bryle lodu niczym czarne ćmy w ciemnozielonym bursztynie.

Kiedy Ida oderwała ręce od zasklepionej kry, prawie w ogóle nie miała w nich czucia. Chuchnęła w skostniałe dłonie, kilkakrotnie zgięła i wyprostowała palce, żeby pobudzić zastale krążenie. Przebiegła niespokojnym wzrokiem po linii horyzontu. Z zadowoleniem stwierdziła, że wypływająca z jeziora odnoga Rzeki również stanęła w miejscu, najeżona haczykowatymi soplami fal.

– Znakomicie – stwierdziła Aisling, opadając na zeszkłone jezioro miękko niczym strzępek mgły. – Jeśli to nie rozbroiło Falszerza, to nic tego nie robi.

– Ale drań wciąż tutaj jest, prawda? – Szamanka dźgnęła lód obcasem trzewika.

Piaskunka nie uznała za zasadne potwierdzić oczywistego faktu. Przykucnęła, powiodła opuszką palca wokół majaczącego w dole skrzydlatego koszmaru.

– Wiesz, co należy zrobić, żeby się go pozbyć na dobre – stwierdziła wypranym z emocji głosem. – Masz naturalny talent do projektowania świadomych snów, Ido, i to prawdziwy paradoks, że Pieśniarzom nie wolno parać się oneironautyką. Skoro z taką łatwością wyśniłaś zabójcze zimno, możesz też z powodzeniem wyśnić konkretną śmierć. Pytanie, czy jesteś na to gotowa.

– Nie – odparła szamanka bez zastanowienia. – Nie jestem.

Aisling przypatrywała jej się oczami jasnymi jak dwie gwiazdki szronu. Przypominała Królową Śniegu śmiertelnie znużoną panującą wokół zimą.

– A na dalszą naukę? – spytała po długim milczeniu.

– Tak.

– Doskonale. – Piaskunka skoczyła na równe nogi z nietypową dla siebie werwą. Otrzeпаła dłonie i kolana z lodowych okruszków. – W takim razie życzę sobie zobaczyć ten kwiat lotosu na tafli spokojnego jeziora.

Cztery kolejne dni oraz noce szamanka spędziła zawieszona umysłem między jawą a snem.

Kiedy już opanowała sztukę świadomego śnienia do tego stopnia, że jedną przelotną myślą potrafiła precyzyjnie wpłynąć nie tylko na materię, ale też fizykę swego onirycznego świata, Aisling oznajmiła, że nadszedł czas na kolejny punkt programu: dostrojenie się do jaźni Fałszywego Pieśniarza – czyli niejako współśniącego Idy, nadal przyczajonego gdzieś w głębinach jej podświadomości – oraz przechwycenie treści wszystkich wydanych przez niego wyroków śmierci.

W porównaniu z tym nowym zadaniem projektowanie fantasmagorii to doprawdy była bułka z masłem.

Za każdym razem, gdy sięgnął umysłem do umysłu Fałszerza, szamanka dotykała zeszkłonej wody, aby wyświetlić na niej skradzione sobie sny niczym jasnowidzkie wizje w magicznym zwierciadle, lód w mgnieniu oka topniał jej pod palcami, pękał z trzaskiem, łamał się na kawałki wśród spienionych rozbryzgów. Uwięzione pod nim skrzydlate cienie ożywały momentalnie i rzucały się w stronę powierzchni z taką prędkością, że Ida ledwo nadążała z kontrimaginacjami. Zamiast analizować sfałszowane pieśni, musiała skupiać całą uwagę na ponownym skuwaniu topieliska arktycznym zimnem, w przeciwnym razie któryś z oszukańczych wyroków mógłby wymknąć jej się wprost do odtajającej Rzeki i uczynić ofiarę całopalną z kolejnego magika.

Koniec końców, mimo wielu prób i tyluż samo błędów, Ida ustaliła jedynie tyle, że Fałszerz wykazał się niezwykłą precyzją oraz

konsekwencją w projektowaniu wyśnionych przez siebie wyroków śmierci. Nawet pośród tych paru przypadkowych migawek, które dziewczyna zdołała wyłowić spod lodu, rysowała się bowiem bardzo wyraźna chronologia wydarzeń. Duchożerca najpierw przejmował kontrolę nad nieboszczykami i wydobywał ich z rozmaitych miejsc spoczynku, od tradycyjnych cmentarzy w sercu miasta, przez kameralne wiejskie mogiły, aż po leśne odludzia. Następnie animując doskonale zachowane szczątki, składał wizyty bliskim wskrzeszonych zmarłych, obdarzonym większym lub mniejszym talentem magicznym. Potem nieszczęśni czarodzieje, śmiertelnie przerażeni tymi niespodziewanymi odwiedzinami zza grobu i popychani do samobójstwa przez urzeczywistniający się morderczy sen Fałszerza, wbrew własnej woli odprawiali ten sam rytuał całopalny, w wyniku czego ich ciała – a czasem także i księgozbiory – trawił nadprzyrodzony ogień. Na koniec zaś uwolnione z popiołów dusze oraz magiczna energia padały ofiarą żywych trupów, które uctowały długo i zapamiętałe wśród rozbryzgów czarnej widmowej krwi, zwierzęcego krzyku ginących zjaw oraz mokrego trzasku rozdzieranej ektoplazmy...

Chociaż więc szamanka wychwyciła sporo przebłysków z wyreżyserowanych przez duchożercę zbrodni, to jednak w żadnym z nich nie odnalazła odpowiedzi na choćby jedno z trzech zasadniczych pytań. Kim naprawdę był Fałszywy Pieśniarz? Gdzie i w jakiej postaci się ukrywał w rzeczywistym świecie? Wreszcie według jakiego klucza dobierał swoje ofiary oraz dlaczego wskrzeszał tych konkretnych zmarłych?

Ida była przekonana, że zeznania Kusiciela okazały się o wiele bardziej pomocne niż jej bezproduktywne próby wydarcia prawdy z własnej zainfekowanej podświadomości.

Szybko jednak zrozumiała, jak bardzo się pomyliła.

Ktoś, kogo szamanka nigdzie nie mogła dostrzec, potrząsał ją za ramię i uparcie powtarzał jej imię.

Pogrążona w głębokim letargu doznawała osobliwego rozszczepienia jaźni: była w pełni świadoma zarówno swojej czysto mentalnej postaci, jak i tego, co działo się z jej materialnym ciałem po

drugiej stronie snu. Najpierw wychwyciła zapach, który przyniósł ze sobą tak wiele wspomnień, że od natłoku oślepiających obrazów Idzie aż zakreśliło się w głowie i o mało nie runęła jak długa na śliską taflę jeziora. Potem poczuła silny uścisk nieco powyżej lewego łokcia, lecz kiedy zerknęła w dół, wbrew temu, czego się spodziewała, nie ujrzała tam niczyjej dłoni. A po chwili lód zadrżał pod jej stopami w rytm niecierpliwych słów:

„Ida? Słyszysz mnie?

Hej! Obudź się!”.

Zatoczyła się lekko na dźwięk tego głosu, z nadzieją rozejrzała wokoło. Zawieszane nad lodem wstęgi mgły białej i gęstej niby śmietana zrzędy raptownie, zmieniły kolor na niebieskosiwy, nasiąknęły zapachem dymu papierosowego.

„Ida!”.

Zadarła głowę.

W jednej sekundzie patrzyła w pochmurne, stalowe niebo...

...a w drugiej – w pochmurne, stalowe oczy.

– No nareszcie – ucieszył się łowca. – Spałaś jak kamień, myślałem, że cię już nie dobudzę.

A ja myślałam, że cię już nie zobaczę – miała na końcu języka, ale w porę się weń ugryzła.

Gdy tylko spróbowała wstać, w barkach i plecach zapulsował jej tępy ból; zdecydowanie zbyt długo przeleżała bez ruchu w tej samej pozycji. Usiadła z cichym jękiem, podsunęła się pod obitą materacami ścianę. Przyjęła od Kruchego litrową butelkę mineralnej, po czym piła długo, łapczywie, pozwalając wodzie ściekać strużkami z kącików ust i kapać za kołnierz. Otarła podbródek przedramieniem, zgmiotła pusty plastik w dłoniach i dopiero wtedy spytała z obawą:

– I jak wygląda sytuacja?

– Nie najgorzej – odparł łowca, przekładając srebrną zippo między palcami niczym wielką kanciastą monetę. – Ale i nie najlepiej. Mam dla ciebie dwie wiadomości...

– Niech zgadnę: jedną dobrą, drugą złą?

Potwierdził skinieniem.

– Od której zacząć?

– Od... – Ida w ułamku sekundy uświadomiła sobie, że nie, nie ma mowy, nie zniesie teraz wieści o kolejnej klęsce. Musi najpierw usłyszeć coś, w obliczu czego myśl o jej samobójstwie dla dobra ludzkości nie będzie się jawić jako ta bardziej optymistyczna opcja. – Od... dobrej. – Bezwiednie zacisnęła kciuki.

Zamiast odpowiedzieć od razu, Kruchy pokonał dzielący ich krok, przykucnął obok dziewczyny i nachylił się lekko, żeby zajrzeć jej w oczy.

– Udało ci się, aniele – oznajmił z bardzo poważną miną, a jednak w ciepłym tonie jego głosu oraz delikatnych zmarszczkach w kącikach powiek czaiła się subtelna, lecz całkiem wyraźna zapowiedź uśmiechu. – Naprawdę ci się udało.

Ida, która ze zmęczenia i buzujących w niej emocji nie była w stanie wykrztusić żadnego artykułowanego dźwięku, poprosiła gestem łowcę, aby rozwinął myśl.

– Odkąd cztery doby temu zablokowałeś z Aisling swoje sny, Falszerz nie zabił już nikogo więcej. Nikogo, słyszysz? Powstrzymałeś skurczybyka.

Szamanka machinalnie pokiwała, a zaraz potem pokręciła głową, bo sens tego, co usłyszała, docierał do niej pomału, po trochu i z oporami. Jak gdyby dla własnego dobra bała się uwierzyć, że wreszcie coś poszło zgodnie z planem, żeby przypadkiem znowu boleśnie się nie rozczarować.

– Jesteście pewni? – szepnęła z przejęciem. – Może on tylko zmienił obszar działania? Może zaczął lepiej się maskować? Sprawdziliście wszy...

– Sprawdziliśmy – zapewnił, przezornie nie pozwalając jej się rozkręcić. – Oddziały Firmy w całej Polsce zostały postawione w stan pełnej gotowości. Poniedziałek i Smoczyński są w stałym kontakcie z wtajemniczonymi w całą sprawę jednostkami policji, pogotowia i straży pożarnej we wszystkich województwach. Gdyby Falszerz dopadł kogoś nowego, już dawno byśmy o tym wiedzieli.

Ida po raz pierwszy od tygodni odetchnęła pełną piersią i niemal zachłysnęła się życiodajnym powietrzem. Wielki kamień spadł jej z serca, z hukiem roztrzaskał się w drobny mak.

I w końcu to do niej dotarło.

Już po wszystkim.

Jednak nie będzie musiała umierać za miliony, jednak wyjdzie z tej afery w jednym kawałku...

Zamrugła prędko, bo coś zapiekło ją pod powiekami. Zagryzła wargi, żeby przestały zdradliwie drżeć. Na próżno. Zakłopotana opuściła wzrok, ale łowca miał lepszy refleks i nie pozwolił jej odwrócić głowy. Delikatnie, acz stanowczo ujął Idę za podbródek, zmusił, żeby na niego spojrzała. Czuła na twarzy ciepło jego dłoni bijące spod czarnej skórzanej rękawiczki i z nową mocą przypomniała sobie, jak bardzo tęskniła za czyimś dotykiem...

Nie. Oj, nie, nie...

Kogo niby próbowała oszukać?

Wcale nie za *czyimś*.

Nie czyimś, czyimkolwiek, tylko właśnie...

Zakłęta w duchu, bo oczy znowu zaszkliły jej się niebezpiecznie.

Kruchy albo świetnie się kamuflował, albo naprawdę nie był zażenowany. Powolnym, niemal pieszczotliwym ruchem starł jej kciukiem łzę z policzka, a kiedy cofał rękę, dał lekkiego pstryczka w czubek nosa.

– Ty mi się tu nie rozklejaj, aniele – zażartował. – Wiedz, że jestem całkowicie bezradny wobec kobiecego płaczu, więc bardzo cię proszę, nie rób scen...

Oczywiście tego tylko brakowało, żeby szamance zupełnie puściły hamulce. Załkała bezgłośnie, zakrywając usta dłonią i mocno zaciskając powieki.

Łowca westchnął. A potem, przecząc własnym zapewnieniom, zrobił dokładnie to, co należało: bez słowa przyciągnął Idę do siebie, objął i pozwolił jej się wypłakać.

– Zasmarkałam ci bluzę – bąknęła zduszonym głosem długą chwilę później, z twarzą wciśniętą w jego tors.

– Trudno. – Poczwała, jak wzrusza ramionami. – Będziesz prać.

Parsknęła czymś pomiędzy śmiechem a szlochem.

– I oplułam...

– Weź ty się z łaski swojej ogarnij i powściągnij emocjonalność, bo



to się może skończyć tragicznie. Skąd mamy wiedzieć, czy zabójcze są tylko twoje sny i dotyk, czy może także wydzieliny ciała?

– No wiesz co...

– Co? Że niby jestem obrzydliwy, tak? A kto tu na mnie właśnie napluł i nasmarkał?

Zaśmiała się znowu, po czym delikatnie wyswobodziła z jego objęć. Pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni.

– Wyglądasz kwitnąco – ocenił Kruchy z kamienną twarzą, gdy popatrzyła na niego zza zaczerwienionych, opuchniętych powiek. – Poczekaj... – Poklepał się po kieszeniach kurtki, wyjął paczkę chusteczek. – Wizualnie toto raczej niewiele pomoże, ale przynajmniej przestaniesz przeciekać...

Kiedy już jako tako doprowadziła się do porządku, podał jej rękę i pomógł wstać. Zachwiała się lekko na dawno nieużywanych nogach, ale zdołała utrzymać równowagę. Łowca szarmancko podał jej ramię, po czym ruszyli razem w stronę drzwi.

– Naprawdę mogę stąd wyjść? – spytała z niedowierzaniem, stąpając chwiejnie po miękkiej podłodze. – Ruda zgodziła się na mój powrót do domu?

Jeden rzut oka na profil Kruchego pogruchotał nadzieje Idy w drzazgi drobniejsze od pyłu.

– To jest niestety ten moment, aniele, w którym muszę przejść do złej wiadomości...

## Rozdział szesnasty

Kusiciel siedział w posągowym bezruchu, wciśnięty bokiem w kąć izolatki, i bezmyślnie gapił się w ścianę. Jasne włosy opadały mu na policzki i ramiona zmierzwionymi strąkami. Różnobarwne oczy, jedno jaskrawozielone, drugie koloru gorzkiej czekolady, błyszczały osobliwie, a przy tym były zupełnie pozbawione wyrazu i głębi, jak gdyby ktoś zastąpił mu je guzikami lub plastikowymi szkiełkami, przez co jego poszarzała twarz jeszcze bardziej przypominała oblicze obojętnej na wszystko lalki.

Ida przyglądała mu się dobrą minutę przez półprzepuszczalne zwierciadło. Wreszcie odwróciła głowę i odpowiedziała na wyczekujące spojrzenie Rudej.

– I przez cały ten czas do nikogo się nie odezwał? – spytała szamanka, starając się ukryć swoją konsternację.

– Ani słowem. – Czarownica nieładnie wykrzywiła wargi. – Nawet nie zmienił pozycji.

– A jego umysł...

– Bez zmian – odparł Grzegorz. – Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, żadnych postępów.

Szamanka osunęła się powoli na jedno z krzeseł. Oparła łokcie na stoliku, a czoło na złączonych dłoniach.

Próbowała nie wyobrazić sobie najgorszego, żeby całkiem nie stracić ducha, lecz czarne scenariusze pojawiały się w jej głowie lawinowo, uparcie i bez zaproszenia.

Ponieważ nie uzyskali od Kusiciela żadnych informacji, to wciąż nie wiedzieli, kim jest Fałszerz, czyli nadal nie mieli pojęcia, jak go wytropić ani czym pokonać. Dopóki zaś nie unicestwią skażonego źródła, z którego wypłynęły kłamliwe Pieśni Umarłych, dopóty ten koszmar na jawie będzie trwał w najlepsze. Im dłużej będzie trwał, tym duchożerca będzie stawał się silniejszy, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że zdołają go dopaść, tym mizerniejsze szanse,

aby odwrócić spaczony bieg czasu...

Nie wspominając już nawet o tym, że jak długo istnieje Fałszywy Pieśniarz, tak długo Ida będzie nosiła klątwę zabójczego dotyku.

Na samą myśl o tym zawartość żołądka podeszła jej do gardła razem z łomoczącym sercem i ściśniętymi płucami. Skórzane rękawiczki zaskrzypiały przeciągle, gdy mocniej splótła palce.

– Nie rozumiem, dlaczego Szkuclarek tak się posypał na widok tej broni – odezwała się Ruda, obracając w dłoni nóż o rękojeści z jeleniego rogu oraz ostrzu gładkim i lśniącym niczym odłamek lusterka. – Skoro to jednak nie jest drugi klucz do wspomnień Karewicza...

– To musi być drugi klucz. – Szamanka raptownie uniosła głowę. – Mój rytuał zadziałał tak, jak powinien, i wiem, co widziałam. Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Reakcja siewcy jest tego najlepszym dowodem, w końcu znał swoje artefakty jak nikt inny...

– W takim razie dlaczego twoim zdaniem Karewicz nadal nie wyszedł z trybu bezmózgiego zombi? – Ruda oskarżycielskim ruchem wycelowwała końcem klingi w szybę.

– Nie wiem – przyznała Ida z ociąganiem. – Mam za mało danych. Dla przykładu, co się stało, kiedy dotknął noża?

– Nic. – Czarownica zbyła pytanie lekceważącym machnięciem ręki. – Zero reakcji.

– Tak bym tego nie nazwała. – Margo rzuciła Rudej wymowne spojrzenie znad okularów. – Owszem, Kusiciel pozostaje obojętny na bodźce i konsekwentnie ignoruje wszystko i wszystkich, ale jak pomachać mu tym nożem przed twarzą, to od razu zaczyna wodzić za nim wzrokiem, czego nie robi w przypadku żadnego innego przedmiotu. Poza tym, kiedy w ramach eksperymentu Grzesiek włożył mu klucz do ręki, Karewicz kurczowo zacisnął palce na rękojeści i za nic nie chciał rozluźnić uchwytu. Nie potrafi utrzymać w dłoni plastikowej łyżeczki podczas karmienia, ale w przypadku tego konkretnego noża instynktownie wie, jak się nim posługiwać. I co najbardziej znamienne, zdaje się rozumieć, że ta broń ma dla niego szczególną wartość. To musi coś oznaczać.

Czarownica nie wyglądała na przekonaną, ale nie próbowała

polemizować.

– Czy to możliwe – zastanowiła się na głos Ida po chwili zupełnej ciszy – żeby tak bardzo zaplątał się we własnej niepamięci, że teraz nie umie sam odnaleźć drogi z powrotem? Chociaż dostrzega całkiem dosłowne światło w tunelu? Mimo że trzyma w rękach i rozpoznaje klucz do tego, co właśnie próbuje sobie przypomnieć?

– Całkiem prawdopodobne – ziewnęła głośno Aisling, a na tle białych ścian pokoju obserwacyjnego zamajaczył popielaty rozmazany zarys jej smukłej sylwetki. – Brak wspomnień potrafi wywołać równie silne uczucie derealizacji i depersonalizacji co najdziwniejszy sen. Czasem im dłużej trwa amnezja totalna, tym trudniej wybudzić się z wywołanego przez nią koszmaru, ponieważ podświadomość, która stara się chronić jaźń przed traumą, nie akceptuje powracających wspomnień, a zamiast tego zniekształca je i traktuje jako kolejne fantasmagorie...

– Bardzo to wszystko ciekawe, ale pozwolę sobie zauważyć, że ostatnim razem Karewicz jakoś nie miał takich problemów – skomentowała sceptycznie Ruda. – Wystarczyło, że Ida oddała mu szklaną kulę...

– Ostatnim razem – wtrącił Kruchy, na zmianę to zapalając, to znów gasząc zapalniczkę i wypełniając powietrze nikłym zapachem benzyny – Ida spotkała się z Kusicielem w jego lustrzanych pieklach. A skoro te były wizualizacją jego ogarniętej niepamięcią jaźni, to oznacza, że tak jakby weszła mu do głowy...

– Otóż to – zgodziła się prędko Margo.

– Poza tym z zeznań Szkudlarka jasno wynika, że samo zwrócenie fizycznego klucza czasami nie wystarczy – dopowiedziała z pełnymi ustami Kornelia, która wespół z wyraźnie zestresowanym Grzegorzem zagryzała dzbanek piekielnie słodkiej czarnej kawy furą eklerek, ptysi oraz lukrowanych pączków. – W paru przypadkach – kontynuowała nieco zdławionym, lepkiem od cukru głosem – siewca musiał własnoręcznie przelewać zaklęte w przedmiocie wspomnienia z powrotem do umysłu pacjenta. Niewykluczone też zresztą, że celowo zaprojektował drugi klucz w taki sposób, żeby amnezja Kusiciela nie ustąpiła samoistnie...

– Niewykluczone – przytaknął Grzegorz, energicznie otrzepując koszulę z okruszków. – To by wyjaśniało, dlaczego Szkudlarek doznał tak wielkiego szoku psychicznego na wieść, że Ida przywróciła Karewiczowi pamięć... Swoją drogą, bardzo podstępne i bardzo skuteczne kłamstwo, wiesz. – Czytacz z uznaniem skinął szamancę głową.

Odpowiedziała mu tym samym, choć tak po prawdzie zdążyła już zapomnieć, z czego właściwie była tak dumna tamtego dnia. Z perspektywy czasu owo małe zwycięstwo okazało się całkiem bez znaczenia. Wciąż tkwili w ślepej uliczce i walili głową w mur.

– A do tego... – zaczął łowca, ale Ruda nie dała mu dokończyć, uniosła obie ręce w geście kapitulacji.

– Dobra, w porządku, wygraliście – zapewniła szybko, łagodniejąc pod tym ogólnym ostrzałem. – Ja jestem głupia wiedźma, a wy jesteście mądre spece od snów, umysłów, wspomnień, dusz i innych eterycznych stanów istnienia. Niech więc będzie, że to wy macie rację. I co dalej? Ida odebrała Fałszerzowi dostęp do swoich pieśni, ale drań nadal pozostaje na wolności i głowę dam, że jeszcze nie pokazał nam, na co go stać. Przypominam, że w ostatnich dniach pożarł wielu uzdolnionych czarodziejów, łączny ładunek zrabowanej przez niego mocy jest wprost niewyobrażalny. Na razie nie korzysta ze skradzionych przez siebie magicznych talentów, ale moim zdaniem to tylko kwestia czasu. Szczególnie teraz, kiedy Ida uniemożliwiła mu dalsze polowania, należy oczekiwać z jego strony radykalnej zmiany modus operandi. Krótko mówiąc, jeśli on znajdzie sposób na używanie przywłaszczonej magii, zanim my znajdziemy jego, to urządzi nam tu taki Sajgon, że się, drodzy państwo, już nie pozbieramy. Bez pomocy Karewicza będziemy zgubieni, co do tego chyba żadne z nas nie ma wątpliwości. Pytanie, jak w obecnej sytuacji możemy przywrócić mu wspomnienia i zmysły. No i jeszcze zdolność mowy, chociaż bez tego to sobie akurat doskonale poradzimy, prawda, Margo?

Zgromadzeni w pokoju obserwacyjnym agenci popatrzyli po sobie w milczeniu. A potem wszyscy poszli za przykładem Kornelii i jak jeden mąż utkwili wzrok w piaskunce. Pod wpływem tych spojrzeń

postać oneironautki stała się odrobinę bardziej wyraźna.

– Gdyby był pogrążony w zwyczajnym śnie, mogłabym go w nim odnaleźć – odezwała się Aisling po chwili sennej zadumy. – Ale skoro on tak fatalnie reagował na obce wspomnienia, gdy podsuwaliście mu cudze klucze, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że równie źle zniesie kontakt z obcym umysłem...

– A my chyba nie chcemy ryzykować, że się nam nieodwracalnie zwarzywi, prawda? – spytał retorycznie Grzegorz.

Nikt się nie odezwał. Całe towarzystwo jak na komendę odwróciło głowy, ponownie podążając za spojrzeniem Skittles.

Szamanę, która zdążyła już na powrót pogrążyć się w ponurych rozmyślaniach, zaalarmowało świdrujące w uszach, dziwnie donośne milczenie. Odruchowo zeszywniała na swoim miejscu, spięła wszystkie mięśnie. Przemknęła wzrokiem po obecnych, czując, jak całe jej ciało pokrywa gęsia skórka.

Tylko Aisling się do niej uśmiechała. Reszta wręcz przeciwnie.

Ida zrozumiała, czego od niej chcieli, zanim ktokolwiek choćby otworzył usta.

– Dobrze. – Wstała gwałtownie, z impetem odsuwając krzesło. – Zrobię to. Nie wiem jeszcze jak, ale zrobię.

Wyciągnęła rękę do czarownicy, a ona bez słowa wręczyła jej nóż.

Niespełna pięć minut później szamanka znalazła się po drugiej stronie półprzepuszczalnej szyby.

Kłęcząca na podłodze naprzeciwko Demona Luster, tak blisko, że czuła na policzkach jego spokojny, miarowy oddech. Przysiadła na piętach, machinalnie poprawiając chwyt na rogowej rękojeści, a palcami drugiej dłoni wodząc po wygrawerowanych na ostrzu runach.

Wreszcie zebrała się na odwagę, popatrzyła Kusicielowi w bladą, obojętną twarz. I mimo że jego źrenice były puste i płytkie niczym zasypane studnie, a w różnobarwnych tęczęwkach, choć błyszczących niby w gorączce, nie dostrzegła nawet iskierki dawnej drapieżności, to i tak przeszył ją lodowaty dreszcz.

Weź się w garść, nakazała sobie, zwilżając językiem spierzchnięte wargi. Weź się w garść, bo inaczej nic z tego nie będzie.

Tylko ty możesz to zrobić, bo tylko ty byłeś już w jego umyśle.

To nic, że nie masz pojęcia, jak tam teraz wejść. To nic, że nie potrafisz nawiedzać cudzych snów tak jak Aisling. To nic, że...

Przestań.

Skoncentruj się na rozwiązaniu, nie na problemie.

Imię to klucz do ciała i duszy, pamiętasz? Musisz tylko odnaleźć drzwi.

Ta, jasne, łatwo powiedzieć, tylko że...

Przestań! Skup się, do cholery!

Imię to klucz. Imię to klucz...

Klucz.

W zamyśleniu obróciła nóż w rękę i zmrużyła powieki, oślepiona refleksiem światła na klindze. Zerknęła w dół. Z gładkiego jak lustro ostrza spoglądała na nią jej własna twarz, tu i ówdzie poprzecinana liniami run.

Ida poderwała głowę, spojrzała Kusicielowi prosto w oczy.

I tym razem zobaczyła w nich coś więcej. Coś, co było tam od zawsze i właśnie dlatego tego wcześniej nie zauważyła. Najtrudniej wszak dostrzec prawdę ukrytą na widoku.

Dopiero teraz w oczach Demona Luster dostrzegła swoje odbicie.

Oczy to zwierciadła duszy, przypomniała sobie, a serce szybciej zabiło jej w piersi.

Oto moje drzwi.

Ścisnęła mocno rękojeść noża. Odruchowo skierowała sztych w stronę Karewicza, jak gdyby podświadomie pragnęła go zasztyletować, a potem wypłynęła z ciała razem z ostatnim świadomym oddechem i wtopiła się miękko w czarną toń szerokich, zmartwiałych źrenic.

Nie jest pewna, czy ból pozbawił ją przytomności, czy może właśnie otrzeźwił.

Jawa i sen zlały się w jedną nierzeczywistość, rozmazaną, płochliwą, drżącą niczym deliryczny majak. W głowie świdruje przenikliwy pisk, mózg kipi pod stłuczoną czaszką, kruchą, jakby kości zastąpiło cienkie szkło. Ida ma mroczki przed oczami i coraz silniejsze mdłości. Zaciska powieki. Chce zasłonić uszy, lecz ręce

okazują się ciężkie jak żelazne sztaby, nie ma dość sił, żeby je unieść.

Kolejne sto lat później białe światło, które zalało jej świadomość oślepiającą strugą, wreszcie przygasa. Resztki wspomnień walają się bezładnie na dnie pustego umysłu. Szamanka stara się poskładać je w całość, lecz są niekompletne, z chirurgiczną precyzją wykrojone z kontekstu. Skalpel niepamięci ciął pewnie i czysto, nie pozostawiając żadnych wskazówek, żadnego punktu zaczepienia dla domysłów. Dziewczyna nie jest w stanie dostrzec większego obrazu czy jakiegoś wzoru, który pozwoliłby się domyślić, co widnieje na brakujących elementach. Zupełnie jakby ktoś zaczerpnął dłonią i wyrwał jej pamięć z korzeniami, zostawiając tylko kilka suchych liści, ostrych cierni i garść ziemi. Okruchy wspomnień szemrzą cicho na dnie czaszki jak ostatnie ziarenka piasku w rozbitej klepsydrze. Ida wie, że gdzieś tam są, lecz nie ma do nich dostępu.

Otwiera oczy.

Świat chlupocze wokół spienionymi rozbryzgami szaroburzych barw, a odległe głosy z przeszłości, melodyjne, kusicielskie i zwodnicze, przywodzą na myśl syreni śpiew. Jej umysł tkwi na mieliźnie, tonie w bagnie sennego zubożenia. Szamanka nie ma pojęcia, jak wyrwać się z tego dziwnego stuporu, wie tylko, że musi to zrobić, i to jak najprędzej. Niezlomne przekonanie, że w przeciwnym wypadku stanie się coś strasznego, tkwi jej w duszy niczym cierń i choć dziewczyna nie umie powiedzieć, skąd się wzięło, postanawia zaufać instynktowi.

W ustach czuje smak alkoholu i krwi. W powietrzu unosi się silna, kręcąca w nosie woń i dopiero po dłuższej chwili Idzie udaje się ją rozpoznać: to zapach zaklęć, alchemicznych ingrediencji i wilgotnego kamienia, na tyle znajomy, żeby obudzić gwałtowną lawinę skojarzeń. Szamanka całą uwagę skupia na tym olfaktorycznym okruchu rzeczywistości, bo tylko dzięki niemu może zakotwiczyć się myślami we własnej jaźni i powstrzymać świadomość przed odpłynięciem z powrotem w bełkotliwy mrok.

I nagle widzi. Słyszy. Czuje.

Istnieje.

Tu i teraz, choć nadal nie wie, co to za miejsce ani jaki czas.



Wie za to, kto to wie. Kogo musi czym prędzej wyrwać z koszmaru, zanim sama w nim utknie, skuszona obietnicą błogiej niepamięci.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzała pośród szarzejącej nicości, była biała jak kreda twarz Kusiciela. Jego rozszerzone strachem oczy. Niemy krzyk zastygły na suchych, spękanych wargach.

Wciąż klęczała przed nim na podłodze, ale teraz zamiast w szpitalnej izolatce znajdowali się w pracowni alchemicznej, a miękkie materace zastąpiła zimna posadzka z gładkiego kamienia. Półmrok rumienił się wokół nich w ciepłym świetle mrugającej żarówki. Refleksy światła drżały płochliwie na szkle butelek, fiolek i słoików, na stalowych blatach stołów, na metalowych częściach misternej aparatury...

I na zakrwawionym ostrzu noża, który leżał między Idą a Demonym Luster wśród szkarłatnych rozbryzgów.

Tuż obok, w ogromnej, ciemnej plamie, stygło ciało zasztyletowanej kobiety. Szamanka nie widziała jej twarzy skrytej w ciemnościach, lecz rozpoznała ją od razu po śnieżnobiałych włosach. Lajla. Żona Karewicza. Nieco dalej w cieniu majaczyły zwłoki mężczyzny i dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości, że to nie kto inny jak Adam Anonim.

Przygotowała się psychicznie na podobną scenę. Już to przecież kiedyś przeżyła – choć nie na własnej skórze, tylko we wspomnieniach Adama – i wiedziała od dawna, że Kusiciel przepadł jaźnią właśnie tutaj. W tym czasie, w tej zapętłonej bez końca tragedii, której nie pamiętał, a jednak nie potrafił przestać w kółko jej przeżywać, bo podświadomie czuł ją każdą komórką ciała i każdą cząstką udręczonej duszy. Lecz mimo że Ida spodziewała się dokładnie tego, co tu zobaczyła, to i tak zrobiło jej się trochę niewyraźnie. Z pewnym trudem oderwała wzrok od wszechobecnej czerwieni, po czym baczniej przyjrzała się Karewiczowi.

Do złudzenia przypominał rzeźbę.

Nie poruszał się. Nie mrugał. Nawet nie oddychał. Jedną dłoń miał wyciągniętą w stronę Adama w geście bezsilnej rozpacz, w rozpaczliwej próbie powstrzymania czegoś, co już się zdarzyło

i czego nie można cofnąć. Drugą ręką przyciskał do piersi starą, mocno podniszczoną księgę.

Ida nie mogła dostrzec tytułu, lecz na sam widok okładki włoski na karku stanęły jej dęba. Nie miała pojęcia, skąd wzięła się natrętna myśl, że oprawę woluminu wykonano z ludzkiej skóry, ale uwierzyła w to natychmiast, bez zawahania. I przez długą, bardzo długą chwilę nie potrafiła się zmusić, żeby jej dotknąć.

W końcu jednak przemogła atawistyczny wstręt, wyjęła księgę z zeszywniałych palców Kusiciela. Jak się okazało, tytułu nie było w ogóle. Podobnie zresztą jak treści. Szamanka przekartkowała kilkadziesiąt stron, potem kilka razy otworzyła tomiszcze na chybił trafił – nigdzie nie znalazła ani jednego zapisanego słowa, jedynie parę bladych kleksów i zarysów pojedynczych liter. Wszystko inne wywabiła niepamięć.

Ida zatrzasnęła wolumin i z odrazą odrzuciła go na podłogę. Szurnął głośno po gładkim kamieniu, wypadł z kręgu światła. I zniknął. Szamanka patrzyła za nim przez jakiś czas, nie wiedząc jeszcze, co jej nie pasowało. W końcu wstała z klęczek, ruszyła w tamtym kierunku, zajrzała za regały z alchemicznym sprzętem. Bez szczególnego zdziwienia stwierdziła, że pracownia kończy się tam, gdzie zaczyna się mrok. Ciepły blask żarówki był granicą między istnieniem a niebytem i gdy tylko szamanka się do niej zbliżyła, poczuła na policzkach znajomy chłód kosmicznej próżni.

Dziewczyna podeszła do białowłosej kobiety. Jej twarz nie miała oczu, nosa ani ust, była zaledwie jasną plamą pośród gęstego cienia. Rysy Adama również zlały się w jeden niewyraźny kleks. Ida nabrała naraz niezłomnego przekonania, że z każdą upływającą tutaj sekundą, z każdym mrugnięciem nagiej żarówki gaśnie kolejny maleńki szczegół, a cała pracownia powoli kurczy się i czernieje niczym wrzucona w płomień pocztówka.

Musiała jak najszybciej wydostać ich z tego miejsca.

Wróciła do Karewicza.

– Najwyższy czas sobie przypomnieć, kolego – mruknęła, sięgając po nóż. – Najwyższy czas się obudzić.

Przez moment krótszy niż uderzenie serca miała przemożną

ochotę wrazić mu ostrze między żebra aż po sam jelec. I gdyby istniał choćby cień szansy, że dzięki temu jej życie znowu będzie takie jak dawniej, pewnie nawet by się nie zastanawiała. To przecież przez niego i jego destrukcyjne tajemnice Ida nieświadomie powołała do życia Fałszywego Pieśniarza, pieprzonego niszczyciela światów. W końcu siedział przed nią nie kto inny, tylko bezduszny morderca...

A ja to niby kim jestem? – przemknęło jej nagle przez głowę.

Nigdy jeszcze celowo nie odebrałam nikomu życia, ale jak widać, to tylko kwestia czasu. Lub okoliczności. Być może zasłużyłam sobie na to wszystko, co mnie spotkało. Na zabójcze sny i śmiercionośny dotyk. Być może ten dar i ta klątwa to tylko odzwierciedlenie mojej prawdziwej natury. Skoro potrafiłabym zabić, żeby odzyskać to, co straciłam, w niczym nie jestem lepsza od Demona Luster. Wszak on robił przez lata dokładnie to samo...

Przestań!

Chcesz tu ugrzęznąć na zawsze?

Jeśli tak, to proszę bardzo, biczuj się dalej, pograżaj w dławiającym poczuciu winy, aż wreszcie nie zostanie ci nic, ani jedno dobre wspomnienie, tylko gorycz, tęsknota i żal, i znowu zapragniesz zniknąć.

I zostaniecie sobie tutaj oboje – dwoje morderców pożartych przez przeszłość oraz wyrzuty sumienia.

Żarówka zamrugła nerwowo, tym razem pograżając ich w niezgłębionym mroku na czas tylko odrobinę krótszy niż wieczność. Ida w mig przypomniała sobie, jakie to uczucie rozpływać się w nicość. Kiedy więc światło zalało na powrót zanikającą jaźń Kusiciela, dziewczyna ostro szarpnęła głową, trzasnęła się z rozmachem otwartą dłonią w policzek.

Skóra zapiekła nieznośnie, zatętniła gorącem. Łzy zaszczypały pod powiekami.

Pomogło.

Szamanka uniosła się na kolanach. Obróciła nóż ostrzem do siebie. Chwyciła Kusiciela za rękę i zacisnęła mu palce na rękojęści.

Powoli zamknął i otworzył oczy. Wzrok miał mętny, rozbiegany, lekki zez świadczył o tym, że nie mógł złapać ostrości. Poruszył

ustami, lecz jego język zapomniał chyba, jak nadawać kształt słowom, bo wydał z siebie tylko parę bełkotliwych dźwięków. Ciało zmiękło mu nagle, zachwiało się niczym topniejąca figura z wosku i Ida była pewna, że zaraz upadnie. Ale nie, oparł dłoń na podłodze, złapał równowagę.

I w końcu tak głęboko nabrał powietrza, jak gdyby cały ten czas spędził pod wodą i dopiero w tym momencie wypłynął na powierzchnię.

Długo patrzył na szamankę z kamiennym wyrazem twarzy. Obserwowała z uwagą, jak na dnie jego czarnych źrenic zapalają się iskry nagłego zrozumienia. Nieco zbyt późno zdała sobie sprawę, że znów w pełni zmysłów i niehumanie przenikliwy, wyczytał z niej wszystko, nawet to, co na razie wolałaby przed nim ukryć.

– Ostrzegałem cię, więdźmo – warknął z wyrzutem. – Ostrzegałem, żebyście nie zbliżali się do tego grobu.

Ida nie zdążyła mu odpowiedzieć.

Żarówka zgasła z cichutkim cyknięciem przepalanego wolframu, a ciemność wessała ich oboje niczym smoliste tornado.

## Rozdział siedemnasty

Chrapliwy śmiech Kusiciela przypominał zgrzyt stali na kamiennej płycie grobowca.

– Powstrzymać? – zarechotał szyderczo. – Unieszkodliwić? Nie macie pojęcia, o kim mówicie!

– No to nam wyjaśnij – zaproponowała cierpko szamanka. – I żeby była jasność, sprowadziłam cię z powrotem wyłącznie z tego jednego powodu. Jak dla mnie mógłbyś jeść przez rurkę i robić pod siebie do końca swoich dni.

Karewicz uklonił jej się z teatralną uniżonością.

– Och, dziękuję ci, wiedźmo. Jesteś szalenie uprzejma.

– Ależ proszę. A tak na marginesie, nie mam w sobie ani grama magii, więc przestań mnie tak tytułować.

Demon Luster uniósł głowę, powiódł dookoła bystrym wzrokiem, zatrzymując go kolejno na twarzach wszystkich obecnych w izolatce kobiet: Idy, Rudej, Margo, Kwiatka oraz Aisling, szarej i niewyraźnej niczym zamglony poranek.

– Wiedźma, czyli „ta, która wie” – odparł w końcu. – Wy wszystkie nimi jesteście. Widać to jak na dłoni, wystarczy zajrzeć wam w oczy. Moja żona była taka sama, mimo że znała się tylko na leczeniu i alchemii. Magia jako taka nie ma tutaj nic do rzeczy... No ale skoro nie wiedziałaś nawet tego – otaksował szamanek od stóp do głów – to faktycznie chyba się co do ciebie srogo pomyliłem.

– Oj, rozczarowany? – Dziewczyna skrzyżowała ramiona na piersi. – Weź numerki i stań w kolejce. Chociaż w sumie w twoich ustach to przecież komplement...

– Nie byłbym taki pewien. Co powiesz na mały zakład, który raz na zawsze rozstrzygnie tę kwestię?

– Dwa słowa. Drugie to „się”.

Ida i Kusiciel przez chwilę patrzyli na siebie bykiem, a potem nagle wyszczerzyli zęby w identycznych szerokich uśmiechach

niczym dwoje czytających sobie w myślach obłąkańców. Całkiem nawet zresztą pasowali do wystroju – do wyściełanych białą gąbką podłogi oraz ścian brakowało im tylko kaftanów bezpieczeństwa.

Tymczasem Margo podpięła kolejny drucik do metalowej obręczy, którą wcześniej zapięła Karewiczowi na skroniach. Siedzący z drugiej strony pomieszczenia Grzegorz nie odrywał oczu od podłączonej do Kusiciela kryształowej kuli, raz po raz zapisując coś w swoim nieodłącznym zeszycie.

– Dobra, kolego, dosyć żartów – zdenerwowała się Ruda. – Straciliśmy przez ciebie wystarczająco wiele czasu, cierpliwość skończyła mi się już dawno temu. Gadaj, co wiesz.

– Nie ma sensu, już po ptokach. – Kusiciel rozłożył ręce. – Cokolwiek wam teraz powiem, niczego to nie zmieni. To koniec, pogódźcie się z tym wreszcie. Zresztą sami się o to prosiliście, a trzeba było mnie słuchać i trzymać łapska przy sobie...

Miodowe tęczówki czarownicy zaiskrzyły złowrogo już po jego pierwszych słowach, a pod koniec płonęły żywym ogniem, ale Ida była szybsza, ubiegła przełożoną o ułamek sekundy.

– Jak to w ogóle możliwe, że zdołałeś nas ostrzec o czymś, czego podobno nie pamiętałeś? Szkuclarek pokpił sprawę i nie wymazał ci wszystkiego? Dlatego wiedziałeś, że w grobie czai się niebezpieczeństwo, ale nie potrafiłeś przypomnieć sobie jakie?

– Nieee... – Karewicz spoważniał momentalnie, powoli pokręcił głową. – To akurat moja wina. Feliks uprzedzał mnie, że zafundowałem sobie zbyt głęboką traumę, więc może mi się nie udać w pełni zapomnieć o tym, co zrobiłem. Przewidział też, że popadnę w stupor, jeśli nieoczekiwanie doznam przebłysku i spróbuję dogrzebać się do wspomnień, które mi wymazał. Znałem ryzyko, ale mimo wszystko musiałem wyrzucić to z pamięci...

– Co takiego? – podchwyciła szybko szamanka. – Po co ci był ten drugi klucz? I jak w końcu zginęła twoja żona: popełniła samobójstwo czy to Adam ją zabił, zanim ty zabiłeś jego?

Karewicz milczał długo, z uporem wpatrując się w podłogę, jak gdyby szukał na niej odpowiednich słów.

– A jednak wiedźma – stwierdził wreszcie, nie podnosząc oczu. –

Wiesz zaskakujące rzeczy, dziewczyno. Zobaczyłaś, co zaszło między nami trojgiem, kiedy znowu weszłaś mi do głowy, tak?

– Nie... To znaczy tak, wtedy też. Ale po raz pierwszy widziałam to już ponad dwa tygodnie temu. We wspomnieniach Adama.

Kusiciel poderwał głowę.

– Jakim cudem?

– Podobno jesteś nekromantą – zakpiła Ida, naśladując jego pełen politowania ton, którym uraczył ją zaledwie kilka chwil wcześniej. – Powinieneś wiedzieć, co to takiego pamiętnik umarlaka.

– Ach. No tak... – Uśmiechnął się samymi wargami. Różnobarwne tęczęwki pozostały chłodne i twarde jak szkło. – Zapomniałem, że rozmawiam z koleżanką po fachu.

– Nie schlebiaj sobie. Taki z ciebie szaman jak ze mnie czarownica...

– Wystarczy już tego pitolenia – sarknęła z irytacją Ruda. – Przejdziemy wreszcie do konkretów, Karewicz, czy Margo ma ci wydrzeć informacje prosto z neuronów, i to tak, żeby bolało? Mówże w końcu, o co chodzi z tym drugim kluczem, albo zamkniemy cię wewnątrz najpaskudniejszego wspomnienia, jakie nosisz w mózgu, i zmienimy twoją percepcję czasu tak, że jedna sekunda będzie ci się zdawała całą dekadą.

Demon Luster demonstracyjnie przewrócił oczami, Ida spostrzegła jednak, że zaczął uważniej śledzić ruchy krzątającej się wokół niego czytaczki.

– W szklaną kulę – odrzekł na pozór spokojnie – przelaliśmy wyłącznie prawdę. A w nóż – skinął dłonią w stronę trzymanej przez Kruchego broni – wyłącznie kłamstwo.

– Czyli fałszywe wspomnienia? – podłapała szamanka.

Kusiciel zaciął usta i ponownie opuścił głowę, pozwalając, aby strąki płowych włosów przysłoniły mu twarz.

– Fałszywe też... – szepnęła. – Obrazy, które ujrzałaś cztery miesiące temu, kiedy weszłaś w lustro i zwróciłaś mi kulę, przedstawiają faktyczny przebieg wydarzeń. Nóż natomiast skrywał historię, którą sam wyreżyserowałem od początku do końca po to, abym mógł... – zawahał się, odwrócił szybko i kaszlnął w dłoń, ale

szamanka mogłaby przysiąc, że wargi mu zadrżały, zanim je zakrył. – Prawda jest taka – zaczął znowu po krótkiej chwili – że Lajla popełniła samobójstwo na skutek opętania i Adam nie miał z tym nic wspólnego. Wszystko się skomplikowało, kiedy po jej śmierci złamałem tabu i spróbowałem ją wskrzesić. Zrobiłem to nie tylko niezgodnie z prawem, ale też wbrew jej ostatniemu życzeniu...

Ida zerknęła na łowcę kątem oka. Nie była pewna, ale chyba nieco zbladł, a nóż nieznacznie zadrżał mu w dłoni. Uciekła wzrokiem, zanim ją przyłapał.

– Adam na moją prośbę odszukał księgę – kontynuował Karewicz – w której opisano odpowiedni rytuał, ten jednak ostatecznie okazał się okrutnym podstępem. W rezultacie oddałem swoją duszę, nie dostając w zamian tego, co mi obiecano. Zostałem z niczym. I tak też poznałem Pożeracza Dusz, znanego wam jako Fałszujący Śpiewak...

– Fałszywy Pieśniarz – poprawiła machinalnie szamanka.

– Jeden pies.

Ruda i czytacz nie zdołali powstrzymać parsknięcia, ale reszcie towarzystwa jakoś nie było do śmiechu. Kornelia świdrowała Demona Luster znad grubych okularów wzrokiem przenikliwszym od promieni rentgena, a na jej uszmińkowanych zgniłym fioletem ustach nie zamajaczył nawet cień rozbawienia. Kruchy przyglądał się trzymanemu w dłoni nożowi w nad wyraz posępnym skupieniu. Aisling natomiast, która wyjątkowo sprawiała wrażenie całkowicie rozbudzonej i pełnej wigoru, strzelała oczami na wszystkie strony, jak gdyby instynktownie wyczuwała zbliżające się kłopoty.

Ida nie zwracała uwagi na nikogo poza Karewiczem. Mimowolnie nachyliła się w jego stronę, czekając w napięciu na dalszy ciąg opowieści.

– To właśnie Pożeracz stworzył ten oszukańczy rytuał – westchnął Kusiciel. – Cholerny łgarz ukradł mi duszę, próbując tym samym zrobić sobie ze mnie bezwolną marionetkę. Miałem mu pomóc powrócić do naszego świata z wymiaru, do którego został wypędzony przeszło sto lat wcześniej, ale na swoje szczęście jako nekromanta potrafię chronić się przed demoniczną magią intruzyjną i nie dałem się omamić. Pożeracz nie umiał zmusić mnie do posłuszeństwa,



zapropował więc układ: ja mu pomogę zdobyć kontrolę nad innym, słabszym ode mnie człowiekiem, a on odda mi duszę, dzięki czemu po śmierci nie rozplynie się w nicość, ale będę mógł dołączyć do żony i córki w zaświatach... – zawiesił głos na blisko minutę, znów zagapiając się w podłogę.

– A na czym polegał haczyk? – nie wytrzymał łowca, który z całego towarzystwa miał bezspornie największe doświadczenie w nielegalnym wskrzeszaniu zmarłych za pomocą mocno szemranych zaklęć.

Karewicz wyglądał, jakby w ustach zebrała mu się tylko gorzka ślina i sam nie wiedział, przełknąć ją czy wypluć.

– Żeby odzyskać to, co ukradł mi Pożeracz – odparł zdławionym głosem – musiałem złożyć mu w ofierze kogoś, kogo kochałem. A tak się złożyło, że w moim życiu została już tylko jedna taka osoba.

– Adam... – domyśliła się szamanka.

– Adam – potwierdził głucho Demon Luster i przymknął powieki. – W tym nożu – ciągnął po chwili grobowego milczenia, znów wpatrzony w poprzecinane runami ostrze w rękę łowcy – zamknęliśmy z Feliksem wszystko to, co musiałem zrobić, żeby własnoręcznie, świadomie i dobrowolnie zamordować najlepszego przyjaciela. Nie zamierzam o tym teraz opowiadać, jeśli macie ochotę, to sami sobie obejrzyjcie.

Pochyleni nad jego wspomnieniami kłębiącymi się w kryształowej kuli Margo i Grzegorz popatrzyli po sobie ze zgrozą, najwyraźniej ujrawszy właśnie dokładnie te sceny, o których Kusiciel nie chciał mówić na głos.

– Odzyskałem duszę, ale w zamian pozbawiłem się wszystkiego innego – ciągnął ze smutkiem i głęboką pogardą do samego siebie. – Przekroczyłem granicę, zza której nie było już powrotu. Nie mogłem żyć ze świadomością tego, co uczyniłem i czym się stałem. Ubłagałem Feliksa i w końcu zgodził się zmodyfikować mi pamięć. Obiecał, że później pozbędzie się noża, ale teraz się cieszę, że jednak tego nie zrobił. Destrukcja klucza bezpowrotnie niszczy zaklęte w nim wspomnienia. No a gdyby Ida mi ich nie przywróciła, nie mógłbym wyrwać się z tego horroru. – Ponownie skinął dziewczynie głową, tym

razem, o dziwo, bez śladu kpiny ani w wyrazie twarzy, ani w głosie, ani w samym geście. – I już na zawsze utknąłbym w szczątkach własnej przeszłości, bezskutecznie i bez końca próbując poskładać ją do kupy...

– Czyli według chronologii powstania to ten drugi klucz był w zasadzie pierwszym – podsumowała szamanka. – Szklaną kulę przemieniliście w artefakt zapomnienia dopiero później...

– Dopiero gdy pół roku psychoterapii po śmierci mojej rodziny oraz przyjaciela, którego w ogóle nie pamiętałem, ale który powracał do mnie w niejasnych koszmarach, nie przyniosło spodziewanych rezultatów – potwierdził cicho Kusiciel i zamilkł po raz kolejny, tym razem na dłużej.

Przez ładnych parę chwil nikt jakoś nie kwapił się, żeby go popędzać. W końcu jednak łowca stracił cierpliwość i zadał wyczekiwane przez wszystkich pytanie:

– Kim jest ten Pożeracz Dusz?

– Nikt już dzisiaj tego nie wie. – Karewicz wzruszył ramionami. – Wszystkie źródła, do jakich dotarłem, mówią, że kiedyś, wieki temu, był zwykłym człowiekiem, ale co do reszty nie są już wcale takie zgodne. Jedno z nich głosi, że urodził się z ogromnym darem magicznym, a jego własna potęga zdeprawowała go do cna, jeszcze zanim dobrze odrósł od ziemi. Według innego podania ukradł moc czarnoksiężnikowi, któremu poprzysiągł służyć, choć nie wiadomo, jak tego dokonał. Jeszcze inne utrzymuje, że w zamian za nadprzyrodzone zdolności zaprzedał własną duszę. Wersji jego historii jest bardzo wiele i nie sposób wskazać prawdziwej. Może zresztą wszystkie się mylą i on nigdy nie był jednym z nas, tylko przybył tutaj z innego wymiaru? Nie da się tego stwierdzić, a jemu samemu nie można wierzyć nawet w tej kwestii.

Ruda zachnęła się na tak enigmatyczną odpowiedź i już się szykowała, aby dać temu wyraz, ale Kruchy powstrzymał ją gwałtownym ruchem dłoni.

– Poznałem go jako Pożeracza Dusz – podjął Demon Luster, wpatrując się w niego z osobliwym zainteresowaniem – lecz ta istota nosi wiele imion i wiele różnych twarzy: Truciciel Umysłów,

Sprzedawca Marzeń, Zaklinacz Duchów... Lichwiarz.

Łowca zacisnął zęby, mięśnie szczęk zagrały mu silnie pod poszarzałą skórą. I tym razem szamanka wcale by tego nie zauważyła, gdyby nie to, że sekundę wcześniej Kornelia zaszeleściła głośno torebką cukierków, nabierając całą garść żelkowych robali i pakując je do ust w nagłym napadzie głodu.

– To nie wystarczy, żeby wyśnić śmierć Fałszerza – zaniepokoiła się czarownica. – A musimy być przygotowani na taką ewentualność. Ida potrzebuje więcej informacji...

– Życzę powodzenia. – Kusiciel oparł się wygodniej o miękką ścianę i skrzyżował w kostkach wyciągnięte przed siebie nogi. – Kiedy mowa o Pożeraczu, tylko jedno jest pewne: on ma obsesję na punkcie nieśmiertelności i władzy. Stworzył i opisał całe mnóstwo fałszywych rytuałów, które obiecywały przywrócić życie zmarłym, odegnąć chorobę lub chronić przed złem, a tak naprawdę wpływały na wolę innych ludzi i karmiły go energią życiową nieszczęśników dość naiwnych, by uwierzyć, że mogą pokonać śmierć. Paradoks polega na tym, że jedyną osobą, której to się kiedykolwiek udało, jest sam Pożeracz. Z każdą zjedzoną duszą nie tylko rośnie w siłę, nie tylko kradnie magię, jeśli akurat upoluje jakiegoś czarodzieja, ale przede wszystkim przedłuża swoje istnienie. Za pomocą tych wszystkich wyrachowanych zaklęć, kuglarskich sztuczek i kłamliwych obietnic stworzył sobie niegdyś potężną armię Bezdusznych: uległe pionki, puste, choć niepozbawione świadomości ciała, w które mógł przelewać własną jaźń i które wykorzystywał do rozpowszechniania tych swoich szalbierskich rytuałów. A jednak śmiazków skłonnych skorzystać z podejrzanych obrzędów było zbyt mało, aby zaspokoić jego nieludzki głód. Przez lata pozostawał nienasycony, aż w końcu podobno posunął się do tego, że obłożył własne ciało potężnym urokiem.

Ida wyprostowała się raptownie jak porażona prądem. Tym razem to ona poczuła, jak Kruchy jej się przygląda, lecz był szybszy i odwrócił oczy, zanim złowiła jego spojrzenie.

– Ponieważ nie mógł pochłonąć duszy człowieka, jeśli on sam mu jej nie podarował – opowiadał dalej Karewicz – rzucił na siebie

klątwe, która w mgnieniu oka odbierała wolę życia każdemu, kogo tylko dotknął, i zmuszała umierających do złożenia swojego ducha Pożeraczowi w ofierze... – W zamyśleniu pociągnął się za sfilcowany kosmyk włosów. – Na własnej skórze przekonałem się, do czego ten bydlak jest zdolny, ale w to akurat jakoś trudno mi uwierzyć...

– No to lepiej uwierz – bąknęła szamanka, mnąc w dłoniach skraj tuniki.

Demon Luster jeszcze raz zmierzył ją z góry na dół, zatrzymując wzrok kolejno na opadającym jej na oczy kapturze, rękawach długich aż po koniuszki palców, skórzanych rękawiczkach oraz legginsach wpuszczonych w wysokie cholewki ciasno zasznurowanych trzewików.

– A więc jednak – mruknął z ponurą satysfakcją. – Od momentu, w którym cię dzisiaj zobaczyłem, odniosłem wrażenie, że za twoim strojem kryje się coś więcej niż tylko upodobanie do żalobnej czerni... Nasz wspólny łakomczuszek nadgryzł ci to i owo, co, więdźmo? I zakorzenił się w twoim ciele, dlatego przejęłaś jego legendarny śmiercionośny dotyk. A co zabrał tobie?

– Sny.

– Sny? – Kusiciel uniósł brew. – Tylko tyle?

– Też początkowo bagatelizowałam ich brak – odparła szamanka. – Dopóki nie okazało się, że moje sny to nie zwykłe Pieśni Umarłych, ale wyroki śmierci.

– Ach, teraz rozumiem... – Jasnozielone oko Karewicza błysnęło niczym ślepie kota zaczajonego w mroku, drugie zaś pociemniało jeszcze bardziej, co razem dało wielce niepokojący efekt. – A zatem jesteś Pieśniarką. – Źrenice rozszerzyły mu się gwałtownie, niemal zupełnie pochłaniając tęczę. – Ha, i to dlatego nazywacie Pożeracza Fałszywym Pieśniarzem, dopiero załapałem kontekst! Czyli nie dość, że wypuściliście go na wolność, to jeszcze na dzień dobry nakarmiliście darem zabójczego śnienia? – Wybuchnął paskudnym, suchym jak kaszel śmiechem. – Winszuję! Doprawdy, winszuję. Sam nie wymyśliłbym chyba skuteczniejszego sposobu na błyskawiczną zagładę świata...

– Wspominałeś, że kiedyś został wypędzony w inny wymiar –

przypomniała oschle Ruda. – I tobie też już raz udało się go powstrzymać. Dlaczego niby nie mielibyśmy tego powtó...

– Otóż dlatego – przerwał jej obcesowo Kusiciel – że nie mamy pojęcia, w jaki sposób wyrzucono go z naszego świata przeszło stulecie temu. A skoro już przed siedemnastoma laty nie udało mi się dotrzeć do nikogo, kto wiedziałby na ten temat więcej niż to, co sam znalazłem w rozpadających się ze starości manuskryptach, to teraz tym bardziej nie namierzycie żadnego żywego świadka tamtych wydarzeń. Czarodzieje, którzy brali udział w wygnaniu Pożeracza, byli wtedy u szczytu swoich magicznych zdolności, a co za tym idzie, u kresu życia. I nawet jeśli istniał kiedyś jakiś raport z owej misji, to przepadł bez wieści, ręczę za to własną duszą. To raz. – Demon Luster zrobił w tym miejscu przydługą pauzę chyba tylko po to, żeby rozdrażnić Rudą, bo obserwował jej napinające się mięśnie twarzy z nieukrywanym zadowoleniem. – A dwa – podjął z ociąganiem – kiedy zastawiłem na niego pułapkę w ciele Adama i uwięziłem go w środku, Pożeracz był wygłodniały i słaby jak zeschnięty liść, prawie w ogóle nie stawiał oporu. A tym razem potrafi zabijać dosłownie przez sen, więc nawet się przy tym nie męczy, nie zużywa ani krztyny zrabowanej mocy. I teraz po... ilu? Dwóch tygodniach?

– Trzech... – sprostowała markotnie Ida.

– Po trzech tygodniach żerowania na magach jest tak napompowany nadprzyrodzoną energią, że jeśli w końcu eksploduje, to Hiroszima i Nagasaki będą mogły się scho...

– Nie eksploduje – wpadł mu w słowo łowca. – Dowody poszlakowe sugerują, że magazynuje magię w ożywionych przez siebie zwłokach.

– To oczywiste, że przechowuje moc w jakichś naczyniach i że tymi naczyniami są Bezduszni. – Karewicz zerknął na niego pobłaźliwie. – W przeciwnym razie albo już dawno by go rozerwało, albo już dawno byście go namierzyli. Przelana w martwe ciała moc pozostaje niewykrywalna. Ale on przecież nie gromadzi energii dla samego gromadzenia, prędzej czy później spróbuje jej użyć. A wtedy, nie wiem jak wy, ale ja zdecydowanie wolałbym znaleźć się gdzieś bardzo daleko po drugiej stronie lustra...

– Powiedziałaś, że jego naczyniami są Bezduszni? – Czarownica ostrym ruchem strzepnęła z czoła rudy lok. – Czyli ci wszyscy wskrzeszeńcy...

– Zostali przemienieni w marionetki Żarłocznego Fałszerza przez swoich najbliższych, nieświadomych ogromu własnej głupoty – dokończył za nią Kusiciel takim tonem, jakby cała ta rozmowa zaczynała go nużyć. – Wszyscy ci pochłonięci przez Pożeracza magowie to ludzie, którzy skorzystali z jego rytuałów, podczas gdy on sam przebywał uwięziony w ciele Adama. W trakcie obrzędów posmakował ich krwi, skosztował dusz i poznał imiona, lecz dopiero teraz, gdy dzięki waszej głupocie odzyskał wolność, wreszcie mógł to wykorzystać. Cały ten jesienny marsz żywych trupów to nic innego jak pospolite ruszenie jego Bezdusznych...

– Imiona... – Ida dramatycznym gestem wpiła palce we włosy pod przepastnym kapturem. – Rany boskie, jak ja mogłam na to wcześniej nie wpaść! Wałkowałam to już przecież tyle razy...

– No ja tam nie jestem jakoś szczególnie zdziwiony – skwitował kąśliwie Karewicz. – Przykro mówić, ale jak na wiedźmę to ty wybitnie opornie dodajesz dwa do dwóch.

– Ale co imiona? – zainteresowała się czarownica, całkowicie ignorując Kusiciela.

– Imię to klucz do ciała i duszy – wyjaśniła szamanka z mieszaniną przejęcia, grozy oraz zażenowania własną bezmyślnością. – To dzięki nim Pożeracz może pożerać duchy tych, których zabija, i animować Bezdusznych... – zająknęła się i ponownie chwyciła za głowę. – I to dlatego wszamał Roberta, ale Marii i Chmielarza już nie...

– A skąd niby miałyby znać imię Roba? – zdziwiła się Ruda.

– Sama mu je podałaś – przypomniał sobie Kruchy po krótkim namyśle.

– Co takiego? – Czarownica zrobiła wielkie oczy. – Ja?!

– Krzyknęłaś do niego, żeby zastąpił Idzie drogę, kiedy opętana przez Pecha biegła w stronę grobu... I właśnie wtedy wypowiedziałaś jego imię.

Ruda zastanawiała się przez chwilę, wędrując w tę i z powrotem po izolatce sprężystym krokiem rozdrażnionej lwicy. W końcu

obróciła się na pięcie i spojrzała na łowcę.

– Faktycznie... – przyznała niemal szeptem.

Demon Luster tym razem łaskawie się nie odezwał, a cały swój komentarz ograniczył do krzywego uśmiešku pełnego jadu oraz najwyższego politowania.

– To, co nigdy nie żyło – mruknęła szamanka, nakręcając na palec czarny lok i próbując jakoś zebrać to wszystko, czego się dowiedzieli, do kupy – jak również to, co już jest martwe, nie może korzystać z mocy...

– ...ani innego nadprzyrodzonego daru, który wymaga znacznych nakładów energii życiowej – uzupełnił Karewicz. – A skoro tak, to cel Fałszerza jest jasny. No, ruszże głową, dziewczyno. To naprawdę nie jest aż tak skomplikowane.

– Ciało – odparła niemal natychmiast. Czowała się tak, jakby Kusiciel samym tylko spojrzeniem i samymi słowami poprzestawiał jej w mózgu kilka kluczowych trybików, tworząc całkiem nowy mechanizm. – On chce zdobyć ciało...

– Brawo, bravissimo, jakby to powiedział Pożeracz, gdyby cię teraz usłyszał. – Demon Luster zaklaskał powoli i bez entuzjazmu. – Jego oryginalna materialna powłoka została zniszczona przez magów, którzy go wypędzili. Wygnanie eterycznej postaci waszego Śpiewaka to był jedyny sposób, żeby się go pozbyć, bo nafaszerowanego skradzioną energią życiową nie dali rady zabić, pozbawili go tylko cielesności. A kiedy ją odzyska i będzie mógł wreszcie korzystać ze wszystkich przejętych nadprzyrodzonych talentów, stanie się niemal wszechpotęgą... – Kusiciel urwał nagle i zadumał się nad czymś głęboko, stukając paznokciami w miękką wyściółkę podłogi. – Hmm... Jedyna nadzieja w tym, że sam siebie rozpieprzy w drobny mak... – stwierdził powoli. – Gdyby tylko coś poszło nie tak podczas tworzenia nowej powłoki... Wystarczy mały błąd przy splataniu mocy i natychmiast nastąpi wybuch... Ale wtedy będzie i po Fałszerzu, i po nas wszystkich, więc to raczej marna pociecha.

Niekoniecznie, pomyślała Ida w przyływie ostrożnego optymizmu.

„Fałszywy Pieśniarz musi zostać zniszczony. Tylko wtedy istnieje

cień szansy, że uda się to wszystko jeszcze jakoś odwrócić...”.

Oby.

Szamanka mimowolnie zacisnęła kciuki.

Oby Tekla miała rację.

– Nie możemy tak po prostu siedzieć na dupach z założonymi rękami w nadziei, że bydlak weźmie i sam z siebie pęknie – sarknęła Ruda.

– No ba, tak się przecież nie godzi prawdziwym bohaterom. – Kusiciel wykrzywił się wrednie. – Jeśli naprawdę jesteście na tyle powaleni, żeby pchać się do potencjalnej strefy zero, to ja nie mam więcej pytań. Wystarczy monitorować aktywność magiczną w okolicy Wrocławia: kiedy moc zostanie uwolniona z Bezdusznych, odczyty od razu wystrzelą poza skalę, znajdziecie kryjówkę Pożeracza bez większego trudu. Tylko nie bardzo rozumiem, czego wy tam niby zamierzacie dokonać...

– Celowo zakłócić proces tworzenia ciała i doprowadzić do kontrolowanej eksplozji – odparła czarownica bez zająknięcia. Powieka nie drgnęła jej nawet wtedy, gdy wszyscy obecni wbili w nią skonsternowane spojrzenia. Wszyscy poza Karewiczem.

– Misja kamikaze, co? – Wyszczerył się z jeszcze większą kpina. – Cóż znaczy życie kilku agentów, kiedy ważą się losy całej ludzkości? Takie to szlachetne i durnowate, że nawet mi was nie szkoda.

Czarownica zbyła jego szyderstwa pogardliwym milczeniem. Złowiła wzrokiem oczy zgarbionej nad kulą Margo i pytająco uniosła brwi, na co czytaczka zdecydowanie kiwnęła głową.

– Nie widzę żadnego powodu, żeby was okłamywać – błysnął domyślnością Demon Luster i mrugnął szelmowsko do obu kobiet. – Moje słowa są czyste niczym źródłana woda.

Ruda parsknęła z lekceważeniem, a jednak Ida, być może naiwnie, ale jakoś nie wątpiła, że on naprawdę niczego przed nimi nie zataił.

– Za pół godziny mam zebranie sztabu – burknęła czarownica w stronę lekko zdezorientowanego Grzegorza, który niechybnie zaczął się zastanawiać, kto tu komu właściwie czyta teraz w myślach: oni Karewiczowi czy Karewicz im. – Kiedy wrócę, chcę mieć raport z prześwietlania na biurku. Kruchy? Idziesz?



– Nie, dzięki. – Łowca wrzucił nóż do pudła na dowody. – Nie zamierzam spędzać ostatnich chwil przed potencjalnym końcem świata w towarzystwie starych nadętych pierdzieli. Ale ty baw się dobrze, szefowo.

– Jak sobie chcesz. – Czarownica łypnęła koso najpierw na niego, potem na szamanę. – Wygląda na to, że co mogłaś zrobić, to już zrobiłaś, nie ma sensu cię tu dłużej trzymać. Udzielam ci pozwolenia na opuszczenie szpitala. Ale tylko pod warunkiem, że nie wyściubisz nosa za próg swojej willi ani nikogo spoza WON-u za ten próg nie wpuścisz. Jeszcze tego by brakowało, żebyś znowu kogoś przypadkiem ukatrupiła dotykaniem. Czy to jest jasne?

Ida skwapliwie pokiwała głową.

– Na pewno ucieszy cię wiadomość – ciągnęła Ruda pozornie beznamiętnym tonem – że podwładni nieodżałowanego Łuka zgłosili się na ochotnika do pełnienia warty przed twoją posesją. Będą cię mieć na oku przez okrągłą dobę od jutra rano do odwołania. Jeśli dowiem się, że nie przestrzegasz warunków aresztu domowego, natychmiast wracasz na dołek. Rozumiemy się? Wyśmienicie. Kwiatek, Aisling, pozwólcie ze mną. Jest parę spraw, które jeszcze powinniśmy omówić...

Czarownica wymaszerowała z izolatki, a Skittles i piaskunka posłusznie podążyły za nią. Łowca odprowadził Kornelię wzrokiem, a ona obejrzała się na niego, zanim zamknęła drzwi. Szamanka była przekonana, że tą krótką wymianą spojrzeń powiedzieli sobie więcej niż tysiąc słów.

– Chodźmy, Ido – rzucił Kruchy, gdy już ucichły kroki w korytarzu. – Odwiozę cię do domu.

– Jedną chwilę, coś mi przyszło do głowy. – Dziewczyna łypnęła na Karewicza podejrzliwie. – Dlaczego ty właściwie jeszcze żyjesz, co? – wypaliła, lekko mrużąc powieki. – Skoro Pożeracz zmuszał moimi snami do samobójstw ludzi, którzy skorzystali kiedyś z jego rytuałów, to co ty tu jeszcze robisz?

– Ależ to banalnie proste. – Kusiciel omiół wzrokiem sufit z głośnym westchnieniem rezygnacji. – Kiedy siedziałem uwięziony wewnątrz własnej czaszki, nie mogłem wpłynąć na moją wolę. Ale nie

wszystko stracone, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby mnie zeżarł teraz, skoro już jestem z powrotem. Jeszcze raz serdecznie dziękuję za ratunek – zakpił.

– Nie wiem, czy wspominałam, ale udało mi się odebrać Fałszerzowi kontrolę nad moimi pieśniami. – Ida nie potrafiła się nie uśmiechnąć na widok zaskoczonej miny Demona Luster. – A zatem nie bój nic, samospalenie już ci nie grozi. Jeszcze raz nie ma za co.

Różnobarwne oczy rozbłysły jak fajerwerki na bezgwiezdnym niebie.

– Ty wciąż tak mało wiesz, więdźmo – orzekł z zagadkowym uśmiezkiem i pokręcił głową. – Tak strasznie mało...

Szamanka czuła, że powinna zapytać go o coś jeszcze – w końcu tak długo czekała, żeby z nim porozmawiać, i tak wiele spraw nadal wymagało gruntownych wyjaśnień – lecz jej mózg, kompletnie wypompowany blisko dwutygodniową przygodą ze zmienionymi stanami świadomości, wybrał sobie akurat ten moment, żeby kategorycznie odmówić posłuszeństwa. Ida ze zmęczenia gubiła i mieszała wątki, nie potrafiła sklecić ani jednej w miarę rozsądnej myśli. Przez pół minuty walczyła z otępiającą sennością, aż w końcu musiała dać za wygraną. Dźwignęła się na nogi i ruszyła za Kruchym w stronę wyjścia.

Ale już w progu stanęła jak wryta pod wpływem nagłego olśnienia. Powoli obróciła się w stronę Kusiciela, który obserwował ją z przebiegłą miną spomiędzy skołtunionych włosów. Dziewczyna otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła, pośpiesznie zerknęła przez ramię. Dopiero upewniwszy się, że Kruchy oddalił się na bezpieczną odległość, zadała półgłosem ostatnie pytanie:

– Jaki tytuł nosiła ta księga, którą znalazł dla ciebie Adam?

Demon Luster długo nic nie mówił, w oczywisty sposób delektując się rosnącym zdenerwowaniem dziewczyny. Szamanka była wręcz przekonana, że Karewicz lada chwila wysunie język i mlaśnie nim cicho o podniebienie, nieśpiesznie obliże chropowate, spękane wargi. Wzdrygnęła się, mając nadzieję, że przynajmniej tego nie zauważył.

W końcu nachylił się w jej stronę i w konspiracyjnym geście przyłożył dłoń do ust.

– Przecież znasz już odpowiedź – szepnął, po czym mrugnął porozumiewawczo.

Dwie minuty później Ida wyszła na korytarz na miękkich kolanach. Oparła się plecami o drzwi, zamknęła oczy. Równym, spokojnym oddechem spróbowała uporządkować chaos, który wybuchł jej nagle w głowie, sercu i rozdartej duszy.

Na próżno.

## Rozdział osiemnasty

Kiedy wyszli z przysadzistego, rozległego gmachu z ciemnoczerwonej cegły, słońce dawno już schowało się za horyzontem, a chociaż nigdzie nie było widać ani jednej chmury, w powietrzu unosił się kręcący w nozdrzach zapach deszczu i nadciągającej burzy. Granatowofioletowe niebo pękało raz po raz wzdłuż połamanej linii błyskawicy, nie towarzyszył temu jednak ani łoskot gromu, ani nawet cichy, odległy pomruk. Firmament pruł się na wszystkie strony w bezdźwięcznych eksplozjach, jak gdyby czyjaś niewidzialna ręka cięła je na kawałki nożycami o ostrzach z białego złota, po których tańczyły brylantowe refleksy księżyca i gwiazd – wyglądało na to, że sklepienie lada moment zacznie spadać na ziemię strzępami ciemnej tkaniny.

Ida i Kruchy opuścili szpital przez główną bramę, po czym wsiedli do terenówki zaparkowanej pod rozłożystym dębem. Półnogie gałęzie skrzypiały z wysiłkiem, targane podmuchami jesiennej zawieruchy, żółędzie roztrzaskiwały się na wybrzuszonych przez korzenie płytach chodnika, stukwały głośno o karoserię samochodu. Szamanka aż podskoczyła w fotelu, gdy jeden z takich pocisków huknął w sam środek przedniej szyby, zostawiając na niej drobną pajęczynkę rys. I już, już miała rzucić jakimś niezobowiązującym komentarzem co do panującej wokół osobliwej aury, żeby zaraz potem płynnie zmienić temat na znacznie istotniejszy, ale wtedy łowca ostrym ruchem przekręcił kluczyk w stacyjce i słaby głos dziewczyny utonął w chrapliwym warkocie silnika. Zmilczała więc, kompulsywnie skubiąc zębami kciuk rękawiczki.

Jechali w ciszy przez puste ulice, pogrążeni każde we własnych myślach. Ślepo zapatrzona w szybę Ida dopiero po trzech kolejnych skrzyżowaniach zauważyła, że Kruchy konsekwentnie i z premedytacją skręca w nie tę stronę, co trzeba – ale jakoś nie uznała za zasadne tego komentować. Czuła przez skórę, że miał po

temu dobry powód. Domyślała się już zresztą jaki. Oddychała podczas drogi wyłącznie dlatego, że wstrzymywanie powietrza przez bitą godzinę wykraczało daleko poza możliwości jakiegokolwiek człowieka.

Nie zadała ani jednego pytania, gdy minęli tabliczkę z przekreśloną nazwą miasta. Nie odezwała się słowem, kiedy po czterdziestu minutach skręcili z szosy w wyboistą leśną drogę, a po kolejnych pięciu dotarli na skraj niewielkiej polany zalanej srebrzystobiałym światłem księżyca. Nie powiedziała nic, gdy łowca zaciągnął ręczny, wysiadł z samochodu, nie zamykając drzwi, nie wyłączając reflektorów ani silnika, po czym przystanął parę kroków przed maską i zapatrzył się gdzieś w pogrążoną w mroku dal. Jego karykaturalnie długi, patykowaty cień rzucony na lśniąca od wilgoci ściółkę zdawał się przestępować niecierpliwie z nogi na nogę, pająkowate palce obracały zwinnie benzynową zapalniczkę.

Po chwili niepewności szamanka odpięła pas i wygramoliwszy się z terenówki, dołączyła do Kruchego. Machinalnie przyjęła od niego papierosa oraz ogień. Zupełnie jak gdyby tak się wcześniej umówili, jakby ich wspólny plan na ten wieczór od początku przewidywał szybkiego dymka pośród ciemnej, leśnej głuszy pięćdziesiąt kilometrów za Wrocławiem. Ida wciągnęła do płuc chmurę nikotyny wymieszanej z rześkim, nocnym powietrzem, po czym zastygła z papierosem przytkniętym do warg na widok tego, czego łowca nie spuszczał z oka już prawie od minuty.

Kilkanaście metrów przed nimi, na samej granicy światła i mroku, tuż przy kępie smukłych brzoź po przeciwnej stronie polany, czerniła się niewysoka hałda ziemi, przywodząca na myśl miniaturowy krater wulkanu. Kruchy jakimś szóstym zmysłem musiał wyczuć moment, w którym szamanka zauważyła nareszcie cel ich podróży, bo niemal natychmiast ruszył w tamtym kierunku przez mokrą trawę. Pełna jak najgorszych obaw oraz dręczona jeszcze gorszą pewnością dziewczyna podążyła w ślad za nim.

Potem długo stali obok siebie nad rozkopaną mogiłą, paląc w głębokim, posepnym milczeniu. W pewnej chwili łowca sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, zamienił zapalniczkę na piersiówkę

z obszytej ciemną skórą stali. Odkręcił zakrętkę, pociągnął spory, powolny łyk. Bez słowa podał flaszkę Idzie. Powąchała, zanim przytknęła ją do ust, zerkając ukradkiem na lewy nadgarstek Kruchego – amulet neutralizujący działanie alkoholu i innych substancji psychoaktywnych był na swoim miejscu. Nieco uspokojona przełknęła palący w gardle płyn, pośpiesznie oddała łowcy piersiówkę. Kaszlnęła w pięść, po czym mocno zaciągnęła się dymem.

Powtarzali cały rytuał w zupełnej ciszy, zakłócaney jedynie potępieńczym jękiem wiatru oraz szumem rozkołysanych drzew, dopóki nie zgasł żar papierosów i nie zabrakło im whisky. Bo wtedy nadszedł czas, żeby w końcu coś powiedzieć.

Cokolwiek.

– Zanim wyszłam od Karewicza – zaczęła ostrożnie szamanka, siląc się na spokój i obojętność – Margo opowiedziała mi o pewnym intrygującym wspomnieniu Szkudlarka.

Kruchy milczał uparcie ze wzrokiem wbitym w dno pustego grobu, ale po chwili skinął głową na znak, żeby mówiła dalej.

– Mniej więcej siedemnaście lat temu siewca sprzedał starą i mocno zniszczoną księgę jakiemuś czarnorynkowemu antykwariuszowi... – ciągnęła Ida. – Uwagę czytaczy zwróciła nie tylko walizka pełna pieniędzy, którą Szkudlarek otrzymał w zamian, ale przede wszystkim fakt, że owa krótka transakcja to zarazem pierwszy i ostatni raz, kiedy to opasłe tomisko pojawia się w retrospekcjach siewcy. – Starła się jak najprecyzyjniej ubierać rozbiegane myśli w słowa i nie dopuszczać do głosu buzujących w niej emocji, w czym trochę pomagał, ale bardziej jednak przeszkadzał szumiący we krwi alkohol. – Taka wybiórczość sugeruje, że cwaniak zafundował amnezję także samemu sobie. I to dlatego prześwietlenie jego odblokowanej jaźni nie dostarczyło nam właściwie żadnych informacji na temat duchożercy... Ani jeden z kluczy, które mamy w magazynie, nie załatał mu tej ewidentnej dziury w pamięci, ale ponieważ czytacz nie widzieli związku między jakimś rozlatującym się woluminem a Kusicielem czy Fałszywym Pieśniarzem, to i nie drążyli tematu... – Umilkła, trochę onieśmielona tym, że łowca jeszcze jej nie przerwał.

Stał tuż obok, patrzył na dziurę w ziemi, jak gdyby oczekiwał, że zaraz coś z niej wylezie, i czekał na puentę.

– Dopóki nie zajrzeli dzisiaj w umysł Karewicza – dokończyła dobitnie szamanka, uważnie obserwując jego twarz.

– A zatem już wiemy – odezwał się Kruchy zduszonym głosem – w jaki sposób ludzie pokroju Barbary Sziler dostali w swoje ręce taki unikat wśród białych kruków jak *Necrosis*...

– Oraz czemu w przypadku Sziler i kilku innych magów spłonęły nie tylko ich ciała, ale też księgozbiory. – Ida pochyliła się, zerwała długie źdźbło trawy i zaczęła starannie, metodycznie nakręcać je sobie na palec. – Pożeracz musiał w taki sposób zaprojektować swoje wyroki, żeby jego ofiary same zniszczyły wszystko, co mogłoby go zdemaskować. Sziler oddała *Necrosis* tobie, ale skoro miała obsesję na punkcie wskrzeszenia córki, to chyba możemy przyjąć, że w swojej kolekcji zgromadziła wiele nekromanckich manuskryptów. A wśród nich zapewne znalazły się także i inne dzieła naszego duchożercy o wielu imionach...

– Tak... – przytaknął łowca nieobecny tonem. – Chyba możemy tak założyć... – Przesunął dłonią po twarzy i zaklął z cicha. Nad wyraz plugawie. – I pomyśleć tylko, że *Necrosis* przez cały czas skrywało wszystkie odpowiedzi i że kiedyś miałem je w rękach! Ta przekłeta cegła liczyła sobie prawie dwa i pół tysiąca stron, nie przestudiowałem jej całej, wyłącznie te rytuały, które pozwalały odtworzyć ciało i duszę wskrzeszeńca... Gdybym tylko nie spalił tej książki, gdybym przeczytał ją od deski do deski, gdybym wcześniej dowiedział się o Pożeraczu i Bezdusznych, być może sprawy nie zaszyłyby aż tak daleko...

– Niepotrzebnie się biczujesz – odparła szybko Ida. – Słyszałeś, co powiedział Karewicz. Nic nie można było zrobić. Nawet gdybyś wcześniej skojarzył, że Fałszerz to Pożeracz, a żywe trupy to jego kukielki, co by nam to dało? Tak samo jak i teraz moglibyśmy jedynie trzymać kciuki za to, że się sukinsyn przez przypadek wysadzi w powietrze. Albo że Ruda znajdzie ochotników na tyle szalonych, żeby mu w tym dopomogli.

– Masz rację... Ale i tak czuję się podle.

– Wyobrażam sobie.

Szamanka owinęła wokół palca całe źdźbło trawy, od nitkowatych korzeni aż po końcówkę zwieńczoną miękkim kłosem drobnych, pierzastych kwiatków – i uznawszy to za niechybny znak, aby przestać nareszcie owijać w bawełnę, zebrała się na odwagę, po czym wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Posłuchaj, Kruchy, to, że do wskrzeszenia Leny użyłeś rytuału Pożeracza i przez to poznał twoje imię, ani nawet to, że teraz uprowadził jej ciało, niczego jeszcze nie przesądza, bo ja przecież odebrałam mu sny, więc nie może zmusić cię do samobójstwa w ofiarnych płomieniach, nie zdoła wyrządzić ci żadnej krzywdy...

– Przynajmniej tak długo – przerwał jej ze spokojem – jak długo nie ma ciała.

– Kostek... – zaczęła, ale znów nie pozwolił jej dokończyć.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o jasnowidzu, którego kiedyś przesłuchiwałem i który przepowiedział mi śmierć Leny? – zapytał niespodziewanie, częstując dziewczynę następnym lucky strikiem.

Nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu na tyle skutecznie, że przez trzy drażniąco długie sekundy Ida w ogóle nie potrafiła skojarzyć, o czym on mówi. I wtem natrafiła na odpowiednie wspomnienie, przywołała tamtą pod wieloma względami przełomową rozmowę na stacji benzynowej, którą odbyła z łowcą nie dalej jak w maju – chociaż po wszystkim, co się wydarzyło od tamtego wieczoru, można by pomyśleć, że minęło już co najmniej kilka lat...

– Pamiętam – potwierdziła, po czym odruchowo sięgnęła po fajkę.  
– I co z nim?

– Wyjawiał mi wtedy coś jeszcze. – Kamień zippo zgrzytnął głośno, knot trysnął iskrami. Kruchy podsunął Idzie ogień, a potem sam się zaciągnął, głęboko, łapczywie, aż do dna płuc. – Coś, czego znaczenia do dzisiaj nie rozumiałem... – urwał i zamilkł.

Szamanka gwałtownie wydmuchnęła dym, o mało się nim nie zachłystując z nerwów. Niecierpliwym ruchem strzepnęła popiół na kopiec czarnej ziemi.

Wytrzymała w ciszy zaledwie pół minuty.

– Och, na miłość boską! – Dźgnęła łowcę łokciem w żebra, aż



stęknął boleśnie. – Wyduś to wreszcie, bardzo proszę, bo nas tu świt zastanie.

Uśmiechnął się krzywo, od razu rozpoznając w tej połajance własne słowa sprzed paru miesięcy.

– Oznajmił mi dwie rzeczy – podjął z ociąganiem, znowu wpatrzony w rozżarzoną końcówkę papierosa. – Pierwsza: człowiek nie jest karany za swoje grzechy, lecz *przez nie*.

– Ładne – oceniła szamanka, gdy po raz kolejny zrobił przydługą pauzę. – I w sumie całkiem trafne...

– Prawda?

– A druga?

Kruchy, który do tej pory starannie unikał jej wzroku, odwrócił głowę i popatrzył na Idę. Połowa jego twarzy, opromieniona blaskiem świateł samochodowych, przywodziła na myśl woskową maskę, druga zaś, przez oko, nos i policzek podkreślone grubymi krechami głębokiego cienia, do złudzenia przypominała czaszkę: nagie kości, czarny trójkąt nad ustami oraz ogromny, pusty oczodół...

Pod szamanką ugięły się kolana. Zamrugwała szybko, zadrobiła w miejscu, by odzyskać równowagę. O wiele bardziej od samej niepokojącej iluzji przeraziła ją świadomość, że doznała tego przywidzenia już po raz drugi.

A zatem to rzeczywiście był znak. Zły omen. Ostrzeżenie.

Coś szarpnęło ją za serce. Mocno. Boleśnie.

– Wieszczy powiedział mi także – podjął Kruchy, zniżając głos do szeptu – że najpierw to ja zabiję swoją prawdziwą miłość. A potem ona... – zawahał się. Spojrzał Idzie prosto w oczy. – A potem miłość mojego życia zabije mnie.

Szamanke aż ścisnęło w dołku, lecz dzielnie nie odwróciła wzroku. Patrzyli na siebie w milczeniu przez wstęgi siwego dymu snujące się z papierosów i blade obłoczki pary, która uciekała im z ust w rytm przyspieszonych oddechów.

– Czyli że co? – spytała Ida o wiele surowszym tonem, niż zamierzała, bardziej ze strachu niż rozdrażnienia. – Lena, miłość twojego życia i zarazem najcięższy z grzechów, jakie popełniłeś, wstała z grobu, żeby cię ukarać, tak? Za to, że ją zabiłeś, a później

złamałeś tabu i próbowałeś przywrócić jej życie? Od kiedy zacząłeś wierzyć w przepowiednie, Kruchy, a szczególnie tak fatalistyczne?

Uśmiechnął się smutno, lekko pokręcił głową. Przez moment sprawiał wrażenie, że zamierza zaprzeczyć, ale zamiast tego powiedział:

– Odkąd zaczęły się spełniać.

– I ty to mówisz? – Uniosła brew, czarną i wygiętą jak skrzydło jaskółki. – Facet, który jeszcze nie tak dawno twierdził, że nic nie jest przesądzone, dopóki się nie wydarzy, a przeznaczenie, zakładając, że w ogóle istnieje, ma w głębokim poważaniu i dalej robi swoje bez względu na wszystko?

– Ty naprawdę słuchasz, co do ciebie mówię – stwierdził po części żartobliwie, po części ze zdumieniem, a po części z dziwnie nostalgiczną powagą.

– Oczywiście, że słucham. – Oparła pięści o biodra i hardo zadarła podbródek. – A czasem nawet zapamiętuję, jeśli akurat uda ci się dla odmiany powiedzieć coś z sensem, ale dzisiejsza noc do tych razów niestety nie należy. Ty nie możesz umrzeć, rozumiesz? Za nic w świecie ci na to nie pozwolę...

Ucichła zaskoczona, gdy nagle podszedł krok bliżej.

– Nie? – Przechylił głowę na ramię, przymrużył oczy. Stal jego tęczówek lśniła jasno w świetle reflektorów i milczących piorunów, przebijając szamankę na wskroś, docierając do najskrytszych zakamarków jej duszy. – Potrafisz mi zatem wyjaśnić, czemu przed chwilą patrzyłaś na mnie tak, jakbym już był trupem?

Szamanka poruszyła ustami bezgłośnie, bezradnie, bez nadziei, że zdoła wymyślić jakąkolwiek wymówkę. Zagryzła wargi, prędko uciekła spojrzeniem w bok. Ciasno oplotła się ramionami, bo naraz oblało ją przejmujące zimno, niby mroźny oddech nadchodzącej śmierci.

I to w zasadzie wystarczyło Kruchemu za całą odpowiedź.

## Rozdział dziewiętnasty

Nadszedł świt.

Zapadł zmrok.

Upłynął dzień.

Minęła noc.

A potem znowu nastał brzask, po nim zaś kolejny zmierzch...

Słońce trzykrotnie weszło i skryło się za horyzontem, ale pogrążona w dziwnym marazmie Ida zdawała się w ogóle tego nie zauważać. Odkąd łowca odwiózł ją do domu w środę po północy, szamanka funkcjonowała wyłącznie w dwóch trybach i w żadnym nie miała zbyt dobrego kontaktu z realnym światem.

Tryb pierwszy: somnambulizm na tle nerwicowym. Półprzytomna ze zmęczenia oraz niepokoju snuła się po willi z komórką na stałe przyrośniętą do dłoni, czekając jak na szpilkach, aż Kruchy ponownie da znać, że żyje. A trzeba mu przyznać, że nawet zajęty tropieniem wzmożonej aktywności magicznej we Wrocławiu i okolicach przesyłał Idzie dowody życia dość regularnie, średnio raz na godzinę – choć i tak za rzadko, bo każdy esemes koił zszargane nerwy dziewczyny na nie dłużej niż kwadrans.

Tryb drugi: eksterioryzacja eskapistyczna. Aby uciec od rzeczywistości i nieznośnego napięcia, szamanka notorycznie opuszczała ciało. I albo przechodziła na drugą stronę lustra, gdzie z coraz bardziej rozpaczliwą nadzieją gapiła się w zwierciadlane odbicie kuchennego zegara, którego wskazówki wędrowały do tyłu, jak gdyby cofały zafałszowany przez Pożeracza czas... Albo zapadała w świadomy sen i godzinami wędrowała w tę i z powrotem po ścietym mrozie jeziorze własnej podświadomości, sprawdzając, czy przypadkiem nie zaczęło gdzieś pękać lub topnieć, czy uwięzione pod nim nietoperzowe kształty nie znalazły aby jakiejś innej drogi do Rzeki Śmierci. Ale nie, lód trzymał mocno. Twardy i błyszczący jak diament, od porośniętych szuwarami brzegów aż po sam środek tafli.

Nie zatrzeszczał ani się nie zarysował nawet wtedy, gdy Ida z całej siły wbijała weń obcas trzewików.

Nieco uspokojona inspekcją zamrażniętych pieśni powracała do ciała i znów pałętała się po domu, bez apetytu przeżuwając jabłko lub kromkę chleba z masłem, a gdy ogarniające ją zdenerwowanie stawało się nie do wytrzymania, natychmiast uciekała w lustro. I tak w kółko, przez blisko trzy doby.

Sen, ten zwykły, nieświadomy, w teorii życiodajny i relaksujący, w ogóle nie wchodził w rachubę. Brak nocnych majaków swędział jak wciąż niezagojona rana, dokuczał niczym ból fantomowy w amputowanej kończynie. Ledwo udało jej się zapaść w drzemkę, szamanka zrywała się złana zimnym potem, jeszcze bardziej wycieńczona i rozdrażniona niż wcześniej.

W sobotę po południu, kiedy podczas kolejnej rundki po stękającej z pretensją i pojękującej starymi deskami willi, zupełnie nieprzywykłej do takich maratonów, Ida wkroczyła do kuchni po to tylko, aby w zamyśleniu okrążyć stół, po czym wymaszerować z powrotem do przedpokoju, komórka skryta w przepastnych czeluściach jej szlafroka zawibrowała rytmicznie z ledwie słyszalnym bzyczeniem. Szamanka przystanęła w pół kroku i czym prędzej wygrzebała telefon z kieszeni. Zmarszczyła czoło.

Numer prywatny.

Zerknęła na zegar nad lodówką – zupełnie bez sensu, bo przecież miała godzinę wyświetloną na ekranie. Za siedem piąta. Kruchy nie odzywał się już prawie od trzech godzin. Najwyższy czas, żeby się zameldował, ale szamanka nie znalazła żadnego logicznego powodu, dla którego miałyby dzwonić do niej z zastrzeżonego numeru...

Z bolesnym ukłuciem paniki za mostkiem wcisnęła zieloną słuchawkę, wolno i z wahaniem przyłożyła urządzenie do ucha. Głos po drugiej stronie linii zaczął mówić z prędkością karabinu maszynowego, nie czekając, aż Ida wykrztusi cokolwiek, choćby krótkie „Halo?”. Dziewczyna słuchała w osłupieniu, z rozdziawionymi ustami. Nie ogarniała wyczerpanym umysłem co najmniej połowy z całego potoku zalewających ją wiadomości, a z każdą nową informacją, którą jakoś zdołała przyswoić, jej oczy stawały się coraz

większe i większe. W pewnym momencie poczuła, że jeszcze sekunda i jak nic rymnie na podłogę. Wymacała krzesło, osunęła się na nie bez sił. Przez ogłuszający biały szum w mózgu nie zauważyła nawet, kiedy w słuchawce zapadło pełne wyczekiwania milczenie.

– Dlaczego nic nie mówisz? – spytała ostro Kornelia. – Jesteś tam jeszcze?

– Je... Jestem...

– Bełkoczesz, kochanieńka. Piłaś?

– Nie.

– Brałaś jakieś leki?

– Nie...

– Przychodzi ci do głowy cokolwiek, co może negatywnie wpływać na twoją obecną kondycję psychofizyczną?

Ida drżącą ręką sięgnęła po szklanke z wodą, wypila kilka łyków, dzwoniąc zębami o brzeg naczynia.

– Chroniczny stres i deprawacja snu się liczą? – zdołała wykrztusić, zanim rosnąca gęła w gardle na dobre odebrała jej mowę.

– Oczywiście... – Głos Skittles zmiełł raptownie. – No, już, już, nie płacz, dziecko. Nie pora na łzy.

– Nie płaczę – skłamała szamanka, ocierając oczy i cicho pociągając nosem.

– Nie wolno ci się teraz rozklejać, słyszysz?

– Mhm.

– Nie mamy wiele czasu, powtórzę zatem tylko najważniejsze rzeczy. A ty się skup, słuchaj, zapamiętuj i jeśli ci życie miłe, stosuj się do instrukcji. Zrozumiałaś?

– T-tak...

– Kusiciel nie żyje – powtórzyła Skittles chłodnym, rzeczowym tonem prezenterki głównego wydania wiadomości. – Przed godziną spłonął żywcem we własnej celi. Zabezpieczona wokół prochów sygnatura psychoenergetyczna pasuje jak ulał do aury twoich snów. Podobnie jak sygnatura w lofcie Kruchego, z którym od kilku godzin nie ma żadnego kontaktu...

Pogrążona w wieczornym półmroku kuchnia zawirowała Idzie przed oczami.

- Czy to znaczy, że nie znaleźliście u niego żadnych...
- Szczątków? Nie. Nigdzie ani śladu po pożarze, ale nie ma wątpliwości, że to albo robota Fałszerza, albo... No cóż, twoja.
- Chyba nie myślisz, że mogłabym...
- Nie. Osobiście obstawiam pierwszą opcję.
- Ale ona też nie wchodzi w grę! – zaproponowała żywo szamanka.
- Jestem na sto... nie! Na dwieście procent pewna, że Fałszerz nie ukradł mi żadnego nowego snu! Już od tygodnia trzymam je pod kluczem, co chwila sprawdzam, czy gdzieś w moim umyśle nie ma przecieku, więc jakim cudem...
- Nie wiem, jakim cudem – ucięła Kornelia, a jej szorstki ton bardzo jasno dawał do zrozumienia, że to wybitnie nieodpowiedni moment na podobne rozważania. – W tej chwili to nieistotne. Istotne jest to, że zamontowane w okolicy kamery miejskie zarejestrowały młodą, atrakcyjną, choć nieco... hmm... przykurzoną kobietę o kasztanowych włosach i zielonych oczach, która o drugiej siedemnaście zmierzała w kierunku mieszkania Kruchego.
- Lena... – wyszemrała szamanka, zakrywając usta dłonią.
- Lena – potwierdziła Kornelia. W jej ustach to imię zabrzmiało twardo, złowieszczo i jakoś tak kategorycznie.
- Macie dostęp do cholernie dobrych kamer, jeżeli uchwyciły nawet kolor tęczówek...
- Nie, to ja mam dostęp do cholernie dobrych ekspertów od zapisów audiowizualnych – uściśliła Kwiatek. – Ani Ruda, ani nikt inny w Firmie jeszcze nie wie o tym nagraniu. Ale w sumie to bez znaczenia. Ślady znalezione u Kostka jednoznacznie sugerują, że wpadł w łapy Pożeracza. Nieważne, w co wierzysz ty, skarbeńku – ubiegła kolejne protesty szamanki. – Ważne, w co wierzy cała reszta. My tu sobie gadu-gadu, a zegar tyka. Lada chwila ktoś przyjedzie cię aresztować. Ruda co prawda wyklucza możliwość, że mogłabyś celowo odblokować swoje sny i skrzywdzić Kruchego, ale ma związane ręce, musi wypełniać rozkazy z góry. A wiesz, co ci zrobią, jak cię złapią.
- Zabiją – odparła szamanka z żelazną pewnością. – Z ich perspektywy blokada śnienia na nic się zdała, więc na dobrą sprawę

niczym nie ryzykują. A nuż moja śmierć unieszkodliwi Fałszerza, tym razem na dobre, i kupi im trochę czasu. A ponieważ nie mogę zesałać wyroku na kogoś, kogo nie znam ani z twarzy, ani z imienia, nie przydam im się na nic w walce z Pożeraczem, mogę za to urządzić prawdziwą rzeź niewiniątek w Firmie, nie będą zatem zwlekali z moją egzekucją...

– Bingo.

Dziewczyna zerwała się z krzesła, podbiegła do okna, gratulując sobie w duchu, że nie zapaliła światła.

Czarny van z przyciemnianymi szybami, zaparkowany ostentacyjnie tuż przed jej domem, w samym środku krągłej plamy światła latarni, wciąż stał na swoim miejscu.

– Ludzie Chmielarza nadal tu są – mruknęła Ida do słuchawki, niepotrzebnie ścisząc głos. – Od czwartku pilnują, żebym nie złamała warunków aresztu domowego. Dlaczego jeszcze po mnie nie przyszli? Powinni już dostać zgłoszenie z centrali...

– Wyglądasz przez okno w kuchni. – To nie było pytanie.

– No tak... – Ida rozejrzała się odruchowo po ciemnej ulicy, ale nigdzie, ma się rozumieć, nie dostrzegła Kwiatka.

– To teraz przypatrz się uważniej.

Szamanka dyskretnie odchyliła firankę, wyteżyła wzrok. W pierwszej chwili nie zauważyła niczego szczególnego – jedynie to, że szyba samochodu od strony kierowcy była opuszczona do połowy – lecz po paru sekundach jasny, rozmazany obłok, który wzięła omyłkowo za strzęp wieczornej mgły, raptem zaczął zmieniać kształt, zarysował się w powietrzu wyraźniejszymi konturami. Teraz stojąca przy vanie postać przypominała ruchomą figurkę z prześwitującego, mlecznego szkła.

Aisling.

Piaskunka odjęła otwartą dłoń od złożonych w dzióbek warg. Wyprostowała się powoli, starannie otrzepała ręce z ziarenek piasku, migoczących w świetle latarni niczym złocisty wrózkowy pył. A potem, jak gdyby przyciągnięta spojrzeniem szamanki, odwróciła popielatą głowę i posłała w stronę willi piękny, rozmarzony uśmiech. Zrobiła kilka tanecznych kroków prosto w mrok przyczajony między

ulicznymi lampami i już w następnej chwili rozplynęła się w powietrzu niczym sen.

– Nieprędko się obudzą – zawyrokowała Kornelia.

– Aisling nie będzie miała przez to problemów?

– Ależ skąd. Zanim opuściłaś szpital, na moją prośbę ukryła sakiewkę usypiającego piasku wśród twoich rzeczy. Więc w razie czego będzie na ciebie.

Szamankę zamurowało.

– O nic nie pytaj – zastrzegła Skittles, bezbłędnie wyczuwając moment, w którym dziewczyna otworzyła usta. – Wszystko ci opowiem, a ty lepiej rusz tyłek, aniołku. Masz jakieś pięć minut, zanim zjawi się u ciebie oddział szturmowy.

Idzie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wystrzeliła z kuchni, wbiegła po schodach, jak burza wpadła do sypialni. Przełączywszy komórkę na głośnomówiący, odrzuciła ją na łóżko, po czym zdarła z siebie szlafrok i doskoczyła do komody.

Skittles tymczasem ani na moment nie przestawała mówić:

– Pamiętasz, jak Ruda poprosiła mnie i Aisling o chwilę rozmowy? Zośkę niezmiernie interesowało, czy nie istnieje przypadkiem jakaś oneironautyczna technika, która pozwoliłaby ci dostroić się podczas snu do jaźni Pożeracza, aby poznać jego prawdziwe imię i zesłać na niego śmierć. Aisling zgodnie z prawdą zapewniła, że nie, ale Ruda nie wyglądała na kogoś, kto ma zamiar łatwo dać za wygraną. Założyłam, że albo z własnej inicjatywy, albo z rozkazu przełożonych dalej będzie kombinować, jak by tu cię jednak wykorzystał w charakterze żywej broni. A wiemy przecież, że takie rozwiązanie oznaczałoby wyrok także dla ciebie. Postanowiłam więc na wszelki wypadek uzbroić cię w usypiacz, choć prawdę mówiąc, nie przewidziałam, że sprawy przyjmą aż tak dramatyczny obrót...

– Dziękuję ci, Kwiatku! – zawołała Ida do telefonu, wskakując w czystą bieliznę.

– Ty mi nie dziękuj, tylko zagęszczaj ruchy. Zostały cztery minuty i dwanaście sekund.

Szamanka wszystko próbowała zrobić jednocześnie, no i oczywiście rezultat był taki, że kiedy mocowała się z haftkami



stanika, straciła równowagę przez na wpół podciągnięte figi, a wtedy zwinięte w kulkę skarpetki wypadły jej z dłoni i poturlały się pod łóżko. Dziewczyna zakłęła pod nosem, wyjęła z szuflady drugą parę i wsunęła ją na stopy, podskakując po sypialni raz na jednej, raz na drugiej nodze, zamiast po prostu usiąść na łóżku jak człowiek.

A Kornelia przez cały ten czas referowała dalej:

– Ponieważ jesteś podejrzewana co najmniej o nieświadomą współpracę z Fałszerzem, a na domiar złego właśnie stracili kontakt z obydwojoma agentami obstawiającymi twój dom, raczej nie będą się starali zatrzymać cię żywcem. Wejdą na bojowo i nie zawahają się użyć broni. Musisz pryskać. Natychmiast. Trzy minuty, czterdzieści jeden sekund.

– Zaraz, zaraz... – Ida wciągnęła tunikę przez głowę i uporawszy się z rękawami, porwała leżące na podłodze legginsy. – Dlaczego Pożeracz uprowadził Kruchego? Czemu go po prostu nie zabił i nie ukradł mu mocy tak jak pozostałym?

– Dobrze pytanie.

– A po magię i duszę Kusiciela nie zgłosił się żaden Bezduszny, prawda? – zapytała po krótkim namyśle szamanka, schylając się po trzewiki.

Przez parę chwil w słuchawce panowała absolutna cisza. Dziewczyna, która odzyskała nareszcie jasność umysłu i przycupnęła na krawędzi łóżka, żeby włożyć buty, zerknęła czujnie na leżący obok telefon. Wbrew jej obawom Kornelia nie przerwała połączenia.

– Ciekawe, że o tym wspominasz... – Albo to zakłócenia zniekształcające barwę głosu, albo w tonie kobiety zadźwięczała subtelna nuta podejrzliwości.

– Mam rację?

– Masz. Wyjaśnij, bardzo proszę, zanim wyciągnę niewłaściwe wnioski i zakończę tę rozmowę.

– Banalnie proste. – Ida skończyła sznurować jeden trzewik, zabrała się za drugi. – Kusiciel sprzedał Pożeraczowi imiona tylko dwóch bliskich mu osób: swojej żony i przyjaciela. Ciało Adama rozsypało się w pył, z Lajli wykiełkowało demoniczne drzewo, i to tyle. No i nie bez powodu Fałszerz potrzebuje tak wielu Bezdusznych,

zamiast wysłać do umierających magów jednego i tego samego wskrzeszeńca, w porywach do dwóch. Ich wydajność magazynowania nadprzyrodzonej energii musi mieć jakieś poważne ograniczenia...

– Doskonale – pochwaliła ją Skittles. – Dwie minuty, dwadzieścia dwie sekundy.

– A poza tym – Szamanka schowała włosy pod kapturem tuniki, sięgnęła po rękawiczki – szpital jest świetnie strzeżony, sama widziałam te magiczne zasieki. Fałszerzowi mogło zwyczajnie aż tak nie zależeć na kolejnej wyzerce, zadowolili się więc samym zabójstwem z zemsty za uziemienie go w grobie Adama Tabaki na blisko dwie dekady...

– Podziwu godna dedukcja.

– Kpisz sobie?

– Bynajmniej. Cieszę się, że odzyskałaś zdolność logicznego myślenia – zapewniła Kornelia z wyraźnym ukontentowaniem. – Chętnie sama wywiozłabym cię z miasta, ale jestem uziemiona. Muszę wracać do sali odpraw, zanim ktoś zauważy moją nieobecność. Jesteś odtąd zdana na siebie, gołąbeczko. Masz minutę i pięćdziesiąt trzy sekundy. Powodzenia.

Komórka wydała z siebie krótki, urywany sygnał, po czym umilkła na dobre.

Ida dopadła do niej w dwóch susach, szybko przeszukała listę kontaktów, wybrała numer. Wsłuchując się w sygnał oczekiwania na połączenie, zaczęła wyrzucać z torby niepotrzebne rzeczy i wtedy w ukrytej w podszewce kieszeni znalazła satynowy woreczek z przelewającą się przez palce, sypką zawartością. Po namyśle schowała go z powrotem. Jeszcze raz przeskanowała sypialnię, zgarnęła wszystko, co uznała za niezbędne, i kiedy już miała wybiec na korytarz, zahaczyła wzrokiem o wiszący nad łóżkiem amulet. Bez zastanowienia, pod wpływem niejasnych skojarzeń i jakiegoś neodpartego przymusu, zerwała łapacz z gwoźdźcia i wsunęła go do torby.

– Siemasz, Smoku – powitała nabzdyczony głos policjanta po drugiej stronie linii, na złamanie karku sfruwając ze schodów. Porwała z wieszaka przeciwdeszczową parkę, po czym runęła pędem

przez kuchnię i przeszklonymi drzwiami wypadła do ogrodu. –  
Wybacz, jeśli rujnuję ci plany na Halloween, ale to sprawa życia  
i śmierci...

## Rozdział dwudziesty

– Kogoś innego zapytałbym teraz, dlaczego zamiast przejść chodnikiem jak normalny człowiek, wybrał bieg na przełaj przez kolczaste krzaki i półtorametrowe ogrodzenia, z wielokrotnym wtargnięciem na cudzą posesję w pakiecie... – Smoczyński na moment zawiesił głos, złowiwszy wzrok szamanki we wstecznym lusterku – ...ale mam jakieś niejasne przeczucie, że powinienem jednak powściągnąć ciekawość.

– Chyba rzeczywiście tak będzie lepiej – przytaknęła najbardziej niezobowiązującym tonem, na jaki w tej chwili potrafiła się zdobyć.

– To dokąd jedziemy?

Nie odpowiedziała od razu, zajęta wyplątywaniem suchych liści z włosów i rzepów z frędzli apaszki.

– Ida?

– Problem w tym, że jeszcze nie wiem... – mruknęła, po raz kolejny zerkając przez tylną szybę, żeby sprawdzić, czy nikt nie siedzi im na ogonie. Ale nie, ulica była pusta i pogrążona w ciemnościach, tu i ówdzie przerywanych słabym światłem latarni.

– Aha. Nie żebym coś sugerował, ale twój głos przez telefon brzmiał tak, jakbyś miała plan.

– Bo miałam. Bardzo prosty: dostać się do twojego samochodu.

– I tyle?

– I tyle.

– Aha. To super. – Smoczyński zatrzymał wóz przed przejściem dla pieszych, przeciągnął się, ziewnął szeroko. – Ale z tą sprawą życia i śmierci to był tylko żart, co nie?

Ida ponownie napotkała jego spojrzenie w lusterku. Nie musiała się odzywać ani nawet kręcić głową, zrozumiał od razu.

– Czy ja ci właśnie pomagam w popełnieniu przestępstwa? – spytał po chwili lekko zmienionym tonem.

– W świetle polskiego prawa karnego? Nie.

– A w świetle polskiego prawa magicz... – urwał, chrząknął, szybko zmienił taktykę – ...eee... waszego?

– Tak.

– Aha. I ma to jakiś związek z tymi samospaleniami i zaginionymi nieboszczykami?

– Ma.

– Yhym. A czy...

– Smoku – przerwała mu, bo było już całkiem jasne, że wbrew temu, co jej zakomunikował na wstępie, wcale nie zamierzał albo zwyczajnie nie potrafił powściągnąć wrodzonej ciekawości śledczego.

– Uwierz mi, tego się nie da opowiedzieć po łebkach, więc mamy dwie możliwości. Albo nie zdradzam ci nic a nic, a ty dla własnego dobra przestajesz drążyć, albo mówię wszystko, wszyścusięńko, ale nie biorę żadnej odpowiedzialności za twój stan psychiczny. Co wybierasz?

Milczał jakiś czas, rozważając te opcje.

– Sugerujesz, że ignorancja to wybawienie?

– Oj, chłopie, gdybyś tylko wiedział...

– A ty?

– Co ja?

– Co ty wybierasz?

– Ja wolę milczeć – przyznała uczciwie, niemal bez namysłu. – Bo jak poznasz prawdę, możesz nie zechcieć mi pomóc, a jesteś w tej chwili jedyną osobą, na której mogę polegać. Jakkolwiek dramatycznie by to brzmiało.

Policjant wyglądał, jakby chciał coś wtrącić, wyraźnie zdeprymowany takim postawieniem sprawy, jednak dziewczyna nie pozwoliła mu dojść do głosu.

– Ale jeśli sobie tego życzysz – ciągnęła powoli, bardzo powoli, żeby miał czas dobrze przemyśleć każde jej słowo – odpowiem na wszystkie twoje pytania bez względu na konsekwencje. Po wszystkim, co dla nas zrobiłeś, zasługujesz na szczerłość. Tyle że szczerłość ma swoją cenę i ty również będziesz musiał ją zapłacić.

– Przygotowałeś sobie ten monolog już wcześniej, przyznaj się – zawyrokował z nieco wymuszoną kpina. – Nie powinnaś mi teraz

zapropnować pigułki, co? Niebieskiej albo czerwonej?

– To nie są żarty, Smoku, i dobrze o tym wiesz. Masz nosa do takich spraw.

– Czyli jakich?

– Czyli takich, które wykraczają daleko poza racjonalne wytłumaczenie.

Przejechali kilka przecznic w zupełnej ciszy. Nawet pioruny rozpruwające nieskazitelnie czyste niebo, co samo w sobie stanowiło kuriozum, nad którym meteorolodzy łamali sobie głowy już od paru dni, nie wydały z siebie najmniejszego dźwięku. I być może to właśnie przez tę dziwną aurę wrocławianie woleli pozostać w domach, a miasto świeciło pustkami jak rzadko. Dopiero w okolicach Rynku pojawiły się grupki zaaferowanych imprezowiczów, poprzebieranych za wiedźmy w spiczastych kapeluszach, okutane bandażami mumie, duchy z prześcieradeł, wampiry łożące czarno-czerwonymi pelerynami o barokowych, stojących kołnierzach, diabły ze świecącymi rogami oraz inne atawistyczne lęki ludzkości, które ta na przestrzeni wieków zdołała nie tylko oswoić, ale też skomercjalizować.

– Nie, to ja jednak podziękuję – stwierdził w końcu policjant, odprowadzając wzrokiem zielonoskórego zombi w koronkowych mitenkach, ciasno zasznurowanym, gotyckim gorsecie i ciągnącej się po ziemi spódnicy z czarnego tiulu. – Wolę nie wiedzieć, w czym biorę udział.

– Słuszna decyzja.

– To co teraz? – Zamiast znowu poszukać wzroku szamanki we wstecznym lusterku, skorzystał z okazji, że stali na czerwonym, i obrócił się do niej w fotelu. – Jakież wskazówki, jak ta moja pomoc miałyby wyglądać?

– Na razie tylko jedna. Po prostu jedź przed siebie, byle gdzie, nie oddalaj się tylko za bardzo od Wrocławia. A ja się pogapię w okno i spróbuję coś wykombinować.

Smoczyński z trudem, bo z trudem, ale zdołał zachować milczenie. Nad wyraz wymowne.

– W ruchu trudniej mnie będzie namierzyć – wyjaśniła

z ociąganiem.

– Ach, czyli wiozę zbiega. No rewelacja. – Policjant popatrzył ponuro na wskaźnik paliwa. – W takim razie musimy zahaczyć o stację benzynową, bo na tych oparach to daleko nie zajedziemy...

Bez błędnie odczytawszy jego zboląłą minę, Ida sięgnęła do torby, namierzyła portfel. Wyjęła z niego dwa stużłotowe banknoty i podała policjantowi, który na widok gotówki momentalnie się rozpozogdził.

– Koszty paliwa biorę na siebie – oznajmiła wspaniałomyślnie. – I może weź nam jakieś kanapki czy coś?

Szamanka nie wiedziała, czy Smoczyński celowo tak wybiera trasę, czy robi to zupełnie nieświadomie, ale kiedy przemierzali w tę i z powrotem sobotni, halloweenowy Wrocław, co rusz mijali jakiś cmentarz obsypany ognikami tysięcy zniczy. Patrząc na snujące się wśród ciemnych grobów niewyraźne sylwetki, Ida nie potrafiła uniknąć przykrych skojarzeń, w związku z czym nieustannie gubiła trop we własnych myślach i musiała cofać się do punktu wyjścia.

Każdy kęs zawzięcie przeżuwanego hot doga ze stacji benzynowej rósł jej w ustach, ale przełykała, kawałek po kawałku, bardziej z rozsądku i wrodzonego uporu niż z głodu. W końcu od trzech dni nie miała w ustach niczego prócz paru jabłek i kilku kromek chleba, jej mózg rozpaczliwie domagał się zastrzyku kalorii. Skończyła posiłek, dopiła kawę na wynos, o dziwo, bardzo smaczną, i to nawet pomimo pięciu saszetek cukru, które Smoczyński wręczał szamance z niejaką niepewnością. I znowu poczuła ostre szarpnięcie w okolicach żołądka, gdy kątem oka dostrzegła kolejne morze mogił skąpane w gęstym mroku oraz rozedrganym świetle świec, doskonale widoczne przez prety cmentarnego ogrodzenia.

Prędko odwróciła głowę. Wbiła wzrok w zalany blaskiem reflektorów odcinek drogi przed nimi oraz czerwone punkciki tylnych świateł, majaczące gdzieś daleko pośród nocnej czerni.

Skoro Kusiciel spłonął – myślała gorączkowo, przygryzając paznokcie kciuka – a Kruchy został uprowadzony, mimo że nie straciłam kontroli nad śnieniem, to może oznaczać tylko jedno: Fałszerz wydał te dwa wyroki znacznie wcześniej. Zanim odcięłam go od daru.

Moje sny mają moc sprawczą, ale tylko wtedy, gdy dotyczą czyjejś śmierci. Pożeracz udowodnił jednak, że na zabójczą Pieśń Umarłych może składać się całkiem długa seria szczegółowo i precyzyjnie zaplanowanych incydentów... Niewykluczone, że wszystkie wyroki skonstruował tak, żeby jakieś konkretne zdarzenie działało jak wyzwalacz, który uruchamiał całą sekwencję wypadków ze zgonem w finale. W przypadku samospaleńców początek końca mogły inicjować na przykład te wizyty z za grobu. U Kusiciela katalizatorem prawdopodobnie był jego powrót do pełni władz umysłowych po całych miesiącach mentalnej zwiechy. A co do Kruchego...

Ida przymknęła oczy i zakryła twarz dłonią.

Jeśli chodzi o Kruchego, to nie ma się co oszukiwać, Fałszierz bez wątplenia zamierza go zabić. Sny szamanki pozwalały wszak kształtować rzeczywistość wyłącznie przez sprowadzanie na kogoś śmierci. A jednak fakt, że Pożeracz uprowadził go z mieszkania, zamiast od razu zmusić do popełnienia ofiarnego samobójstwa, dawał pewne nadzieje na to, że łowca nadal żyje, że zafałszowana nić jego losu jeszcze się nie przerwała. A skoro tak, skoro ta pieśń wciąż trwała, to może szamance uda się przejąć kontrolę nad jeszcze niewykonanym wyrokiem, zmienić jego treść i ocalić Kruchego, opóźniając jego śmierć o kilkadziesiąt lat?

Czy taka ingerencja w cudze przeznaczenie uczyni z niej Fałszywą Pieśniarkę? Raczej tak. Ba, na pewno, znając jej szczęście... Ale tym się będziemy martwić później. Grunt, żeby łowcy nic się nie stało.

„Postąpiłeś paskudnie. Ale skąd ja mogę wiedzieć, co zrobiłabym na twoim miejscu? Może dokładnie to samo? Może czując to co ty w tamtej chwili, ja także próbowałabym odwrócić nieodwracalne bez względu na cenę?”

Iskra nadziei zapłonęła w dziewczynie niczym światełko w tunelu, rozgrzała i rozpędziła jej krew... po czym zgasła z głośnym sykiem jak zapalka, na którą ktoś wylał całe wiadro lodowatej wody.

Aby przechwycić pieśń o śmierci Kruchego, Ida musiałaby stopić lód na jeziorze, a tym samym uwolnić sny z głębin podświadomości. Wtedy Pożeracz natychmiast wznowi żniwa, nie ma mowy, żeby przepuścił taką okazję...



Szamanka zakłęła pod nosem, uderzyła pięścią w siedzisko kanapy.

Musi istnieć inny sposób. Po prostu musi. To się przecież nie może tak skończyć!

Jakieś pomysły?

Żadnych.

Zero. Nul. Figa. Nic, nic, nic... NIC!

Spojrzała na swoje odbicie w szybie, które pojawiała się i znikła na przemian, w miarę jak mijali kolejne latarnie.

Ciekawe, co teraz zrobisz? Jak zamierzasz wyciągnąć Kruchego z łap Pożeracza, skoro nawet nie wiesz, gdzie ich szukać?

No JAK?!

– A niech to wszystko szlag trafi i krew jasna zaleje! – zawarczała wściekle, kopiąc fotel pasażera przed sobą.

Smoczyński zerknął we wsteczne lustro, ale wszelkie uwagi przezornie zachował dla siebie.

Ida ponownie zapatrzyła się w przednią szybę.

Przede wszystkim zachowaj spokój, nakazała sobie w duchu. Nie wpadaj w histerię, nie trać głowy, bo wtedy będzie pozamiatane.

Wdech. Wydech.

Oddychaj i myśl. Tylko spokojnie.

Odchyliła głowę na oparcie kanapy. Długo gapiła się w sufit, jak gdyby oczekiwała, że wszystkie odpowiedzi na dręczące ją pytania po prostu się na nim pojawią.

No dobrze, to jeszcze raz. Od początku.

Musisz wydostać pieśń o Kruchym z głębin jeziora. To po pierwsze.

Ale tak, żeby te wciąż niespełnione sny Fałszerza nie zapaskudziły Rzeki i jeszcze bardziej nie wypaczyły naszej rzeczywistości. To po drugie.

Zatem nie możesz się całkowicie pozbyć lodu, bo wtedy Pożeracz znowu zacznie ucztę. To po trzecie.

Tyle że za każdym razem, kiedy próbowałaś sięgnąć umysłem w toń jeziora, zmrożona tafła wody zaczynała topnieć i rozpadać się na wielkie kawały kry, a koszmary Fałszerza próbowały cię dopaść.

To po czwarte.

A gdyby tak...

Ida poderwała się gwałtownie.

Gdyby usunąć tylko mały fragment? Wykuć przerębel i urządzić łowienie pod lodem? Ilekroć szamanka starała się odczytać wyroki wydane przez Pożeracza, miała mgliste wrażenie, że pokrywa pęka dlatego, iż w przeciwnym wypadku przywoływane przez nią obrazy nie mogłyby odpowiedzieć na wezwanie i wypłynąć na powierzchnię – wtedy jednak zupełnie nie miała pomysłu, jak temu zaradzić. Może jeśli teraz zapewni sobie dostęp do głębin własnej podświadomości, reszta lodu wytrzyma?

To się nawet chyba może udać...

Akurat!

A jak niby miałyby schwytać ten sen?

Poza tym najpierw trzeba go jeszcze odnaleźć, tymczasem poczwary Fałszerza nie będą przecież beczynn timer czekały, aż szamanka namierzy w odmętach to, po co przyszła. Wielokrotnie jej pokazały, co potrafią, a śmierć tam oznacza śmierć i tu. Mózgową. Na amen, bez odwrotu.

Ale czy jest inne wyjście?

Wiedziała, że nie ma. Lecz i tak próbowała znaleźć jakąś alternatywę. Jakąkolwiek. Byle jaką. Byle była.

Tyle że nic jej nie przychodziło do głowy.

I nagle przypomniała sobie inne słowa, które wypowiedziała do łowcy zaledwie dwa tygodnie temu, kiedy siedzieli razem nad zniszczonym grobem córki Barbary Sziler:

„W przeciwieństwie do ciebie jeszcze nigdy niczym nie ryzykowałam dla drugiego człowieka. Nigdy. Ty tak. Choćby dla mnie”.

Kolejne życzenie, które spełniło się zupełnie na opak.

Miałś dosyć roli egocentrycznego tchórza i chciaś dla odmiany zabawić się w bohaterkę? W takim razie nigdy więcej nie mów nigdy, bo oto nadszedł twój pierwszy raz.

Ida uśmiechnęła się gorzko do własnych myśli.

Za nic w świecie nie siedziałaby tu teraz, gdyby chodziło o kogoś

innego, tylko od razu zwiąłaby z miasta, ba, nawet kraju, i tyle by ją widzieli. Ale za Kruchym skoczyłaby w ogień bez chwili wahania. Zdawała sobie z tego sprawę już od pewnego czasu, jednak dopiero teraz w pełni dotarło do niej, dlaczego była gotowa zrobić ten wyjątek właśnie dla łowcy.

Nie, nie chodziło tylko o wyrównanie rachunków, o spłacenie dawno zaciągniętego długu. Chodziło o to, że Kruchy jako jedyny człowiek na tym smutnym świecie akceptował ją w pełni taką, jaka była. Bezwarunkowo, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Po prostu. Pomimo. I chociaż wcześniej nie potrafiła tego dostrzec, przez cały ten czas był dla niej rodziną.

A za rodzinę – tę prawdziwą, z wyboru, a nie pokrewieństwa – Ida dałaby się pokroić.

I tak też mniej więcej brzmiał jej nowy plan.

Lód pękł z niskim, wibrującym rykiem, który brzmiał niczym podziemny grom.

Ida zanurzyła koniuszki palców w porażająco zimnej wodzie, sięgnęła myślami w odmęty jeziora, głęboko, aż do dna. Już po chwili białobłękitna tafla wokół ciemnej źrenicy przerębla zatętniła szybkimi sekwencjami migawkowych obrazów. Kadry przechodziły jeden w drugi w takim tempie, że oszołomiona szamanka przez długą chwilę w ogóle nie mogła się zorientować, na co właściwie patrzy, a kiedy w dzikim kalejdoskopie świateł i barw zaczęła w końcu dostrzegać twarze oraz widmowe zarysy sylwetek, te znikwały zbyt prędko, by dało się je rozpoznać. Ida próbowała jakoś spowolnić ten stroboskopowy seans, zaczepić jaźnią o którykolwiek ze snów i zatrzymać go na dłużej – bez skutku. Jej napędzany adrenaliną umysł za nic nie potrafił wejść na niższe obroty.

Wiedziała, jak to się skończy, jeszcze zanim straciła czucie w skostniałych dłoniach, a pod powierzchnią wody zamajaczyła skrzydlata czerń. Ale ponieważ na gładkim lustrze lodu pojawiła się właśnie wykrzywiona bólem twarz Kruchego, szamanka na ułamek sekundy zapomniała o zagrożeniu.

Zagrożenie jednak nie zapomniało o niej.

Wielkie, szponiaste łapsko wytrysnęło z wody, złapało Idę za

nadgarstek i pociągnęło w dół tak gwałtownie, że cudem tylko zdążyła zareagować. Osloniła twarz wolnym ramieniem, zasklepiła przerębel oszronioną szklanką, którą rozbiła natychmiast własnym podbródkiem. Splunęła krwią z rozbitej wargi, ostrożnie przesunęła językiem po zębach – jakimś cudem wszystkie były całe. Krzyknęła, gdy uczepony jej ręki koszmar szarpnął dziko, próbując za wszelką cenę wciągnąć ją do jeziora.

Skoncentrowała się ostatkiem zdrowych zmysłów. Siłą woli napędzaną czystym przerażeniem wzmocniła lód, gotowa odciąć sobie całe ramię, gdyby zaszła taka konieczność. Woda w przeręblu stężała z trzaskiem, uwięziony pod taflą bark Idy błyskawicznie zaczął sztywnieć od zimna oraz z powodu odciętego krążenia. Tyle dobrego, że odrętwienie przytłumiło ból, z jakim ostre pazury kotłującej się w dole poczwary rozdzierały z pasją miękkie ciało dziewczyny. Przymarznęta do jeziora, niezdolna do żadnego ruchu szamanka zaczęła rozpaczliwie zastanawiać się, co dalej. Teoretycznie mogła tutaj dokonać wszystkiego, nawet rzeczy niemożliwych. W praktyce ze strachu miała w głowie czystą próżnię i absolutnie żadnych pomysłów... I nagle poczuła, jak łapa poczwary ześlizguje się jej z dłoni razem z rękawiczką.

Instynkt zadziałał sam, bez udziału świadomości.

Ida z całej siły strzepnęła nadgarstkiem, błyskawiczną myślą, której nawet nie zdążyła zarejestrować, roztopiła lód wokół ramienia, po czym mocno szarpnęła ciałem do tyłu i uwolniła rękę, tryskając wokół wodą oraz kroplami ciemnej krwi. Szpony koszmaru natychmiast wbiły się w krawędź wyrwy i przejechały po tafli z piskliwym zgrzytem. Szamanka kopniakiem strąciła łapsko z powrotem do jeziora i na powrót zapieczętowała przerębel.

Leżała na plecach, dysząc i klnąc na czym świat stoi. Potem usiadła z wysiłkiem i ostrożnie obmacała ramię. Nie wyglądało najlepiej, jeden wielki krwawy strzep rękawa i rozciętej skóry... Ledwie to pomyślała, rany zasklepiły się na jej oczach, porozrywany materiał zacerowała czyjaś niewidzialna ręka, a na nagiej i czerwonej z zimna dłoni wykwitła nowa rękawiczka.

Kilka sekund później jedynym śladem po całym zajściu były

szkarłatne rozbryzgi na zeszkłonej powierzchni wody.

Ida otworzyła oczy.

Zamrugła szybko, pozbywając się resztek piasku spod piekących powiek. Zerknęła na wyświetlacz komórki. Spała zaledwie trzy minuty, lecz jej zwinięte na tylnej kanapie ciało i tak zdążyło całe zeszywnieć, od zastałego karku aż po dokuczliwie mrowiące stopy. Dźwignęła się powoli do pozycji siedzącej i poruszyła zranionym we śnie ramieniem. Nie bolało, nic a nic.

– No i jak tam, wymyśliłeś coś? – spytał Smoczyński, gdy tylko jej odbicie pojawiło się w lusterku.

– I tak, i nie – mruknęła zniechęcona. – Mój pierwszy plan szlag trafił w przedbiegach, muszę go jakoś zmodyfikować... Pozwolisz, że zapalę?

– A pal sobie. Tylko otwórz okno.

Zrobiła, o co prosił, zauważając przy okazji, że mijają właśnie kolejny cmentarz.

– Czy ty się nabawiłeś jakiejś obsesji na punkcie grobów? – nie wytrzymała.

– Co? O czym ty... A. – Załapał dopiero, gdy podążył za jej spojrzeniem. – W sumie to po części wasza wina.

– Nasza?

– Przez tę aferę ze znikającymi zwłokami wyrobiłem sobie pewne niekontrolowane odruchy. Raz nawet nie mogłem zasnąć po tym, jak sobie uświadomiłem, że po drodze z pracy nie zrobiłem patrolu wokół najbliższego cmentarza. A skoro sobie teraz tak jeździmy bez celu, to trasa jakoś sama mi się wybiera... Nie śmieję się, ja mam rodzinne predyspozycje do nerwicy natręctw.

– W ogóle nie jest mi do śmiechu, Smoku.

– No tak... Wybacz. Widzę przecież, że coś cię strasznie gryzie.

– Uhm.

– To nie przypadek – drążył dalej policjant takim tonem, jakby zdawał sobie sprawę, że stąpa po bardzo cienkim lodzie – że nie ma z tobą Kostka, prawda?

Nie znalazła w sobie dość sił, aby odpowiedzieć na głos na to pytanie. Bo w myślach odpowiedziała od razu, czując, jak cierpnie jej

skóra.

Smoczyński odczytał milczenie dziewczyny zgodnie z jej intencją i na tym litościwie zakończył przesłuchanie.

Gdy szperała w torbie w poszukiwaniu papierosów, Ida natrafiła na łapacz snów. Rozparła się wygodniej, wciągając dym tak głęboko w płuca, jak gdyby wcale nie był zgubną mieszanką rakotwórczych substancji smolistych, ale najprawdziwszym szamańskim zieleń, które oczyszcza umysł, zsyła wizje, pozwala spojrzeć na rzeczywistość z dystansu i zupełnie innej perspektywy. Ida przez jakiś czas obracała amulet w palcach i tylko słuchała cichutkiego grzechotania zderzających się ze sobą kamyków i pazurów, ledwie słyszalnego szeptu sowych piór...

A kiedy wreszcie dotarło do niej to, co od dłuższego czasu krążyło gdzieś po obrzeżach jej świadomości, na samej granicy światła i cienia, aż się wyprostowała i mocno wparła stopy w podłogę samochodu niby w niewidzialne hamulce. Trwała nieruchomo, wyprężona jak struna, z papierosem przylepionym do lekko rozchylnych warg, dopóki dym nie zaczął jej gryźć w oczy. Cisnęła niedopałkiem za okno, otarła rękawem zaczerwienione powieki, lecz ani na moment nie oderwała załzawionego wzroku od łapacza. Przesunęła koniuszkami palców po gęstej pajęczynie z grubej, szorstkiej dratwy.

I już wiedziała, co musi zrobić.

Po raz drugi tego wieczoru sięgnęła do satynowego woreczka od Aisling, bez zastanowienia sypnęła sobie piaskiem w oczy, a potem znowu zapadła w sen.

Zwierciadło, które wyśniła pośrodku skutego lodem jeziora, było kropka w kropkę jak to stojące u niej w sypialni: ogromny owal wprawiony w zdobioną ramę o misternie rzeźbionych podpórkach. Ida obróciła je raz w jedną, raz w drugą stronę i kilkakrotnie obesła dookoła, oglądając odbity w nim obraz pod rozmaitymi kątami. Upewniwszy się wreszcie, że lustro działa bez zarzutu, niczego nie pomija ani nie zakrzywia, cofnęła się kilka kroków i pstryknęła palcami.

Wtedy wszystko zniknęło.

W następnej sekundzie znowu siedziała na tylnej kanapie samochodu Smoka. Potrzebowała zaledwie paru głębszych oddechów, żeby senność ulotniła się z niej razem z powietrzem. Nie tracąc ani chwili, przeszła do drugiej części planu.

Mocniej zacisnęła palce na amulecie, po czym wypłynęła duszą z ciała. Nie bez pewnej ulgi stwierdziła, że utkany ze snów łapacz – w połowie majak, w połowie zjawa, namacalny, acz nie do końca realny byt zawieszony między istnieniem a nieistnieniem – nie pozostał w rękach jej pustej powłoki, ale zdołała utrzymać go w swojej drugiej, niematerialnej dłoni.

Przeniknęła miękko przez szparę między fotelami, starannie wybierając moment, w którym skupiony na drodze policjant nie mógł zauważyć amuletu lewitującego mu tuż obok głowy, po czym dała nura prosto we wsteczne lustro.

Wyskoczyła z wyśnionego zwierciadła z takim impetem, że przejechała po lodzie dobrych parę metrów, zanim wreszcie zatrzymała się na warstwie świeżego śniegu. Opadła na kolana tam, gdzie stała, rozgarnęła puch. Przyłożyła dłoń do tafli, gładkiej i przejrzystej niby szkło butelki, w której natychmiast pojawił się kolejny przeręb, wytopiony gorącym dotykiem dziewczyny.

Ida wyciągnęła przed siebie drugą rękę i bezwiednie wstrzymując oddech, zanurzyła amulet w ciemnej toni jeziora.

Rezultat przeszedł jej najśmielsze oczekiwania.

Woda zakipiała, jakby w ułamek sekundy doprowadzona do wrzenia. Misterna sieć konopnych nici rozbłysła oślepiającym srebrzystym światłem. Łapacz wyrwał się z palców szamanki, chlupnął w odmęty ciężko niczym kamień po to tylko, żeby chwilę później wyprysnąć na powierzchnię w fontannie brylantowych kropel. Napęczniały od snów, które pochłonał w głębinach, amulet zaczął wirować w powietrzu, puszczając po lodzie wielobarwne zajaczki. Z każdą sekundą coraz bardziej rósł, coraz gwałtowniej zmieniał kształt.

Na widok fioletowej lisiej kity oraz ogromnych żółtych ślepi Idę aż zakłuło w piersi.

– Gryzak!

Opadł na lód lekko niby mydlana bańka. Zastrzygł uszami i strzelił ogonem jak z bicia. Obrzucił swoją panią czujnym spojrzeniem, lecz zamiast od razu dać susa w jej rozpostarte ramiona, obrócił się niespodziewanie i skoczył w stronę przerębla, prosto na wyłaniający się spod wody skrzydlaty cień.

Szarpanina trwała zaledwie kilka uderzeń serca.

Ida nie zobaczyła w niej zbyt wiele, za to doskonale słyszała rozpaczliwy skowyt konającego stworzenia, mokry chrzęst rozrywanego ciała, trzask łamanych kości. Nawet koszmar Fałszerza nie mógł się równać z wygłodniałym łapaczem snów. Gryzak pożarł poczwagę kilkoma kłapnięciami, po czym jak gdyby nigdy nic przycupnął na śniegu obok wielkiej parującej plamy i zabrał się do czyszczenia schlapanego brunatną posoką futra. Widząc, jak pod wpływem zjedzonego widziadła łapaczowi wyrastają skórzaste skrzydła, a rysie pazurki przeobrażają się w imponujące, zakrzywione szpony, szamanka poczuła, że przewraca jej się w żołądku.

Jest tym, co je, przypomniała sobie z dziwną mieszaniną dumy i grozy.

Odwróciła głowę i szybkim gestem zasklepiła lód.

– Chodź tu do mnie, Gryziu! – zawołała, gdy nareszcie skończył toaletę.

Podbiegł ochoczo z ogonem postawionym na sztorc. Od razu wpakował jej łeb pod pachę i zaczął głośno domagać się pieśczoć. Wystarczyło, że przesunęła mu dłoń po grzbiecie, by skrzydła zniknęły, a pazury zmniejszyły się do swoich normalnych rozmiarów.

– Ja też za tobą tęskniłam, łobuzie – szepnęła Ida, wtulając twarz w jedwabiste futro.

Podrapała łapacza pod brodą i za uszami, tak jak lubił najbardziej, aż zmrużył powieki, wyprężył grzbiet i zamruczał donośnie niczym miniaturowy traktor. Potem ujęła jego pyszczek w obie dłonie i zajrzała głęboko w wielkie, żółte ślepie.

– A teraz pokaż mi Kruchego – poprosiła miękko.



## Rozdział dwudziesty pierwszy

– Uwaga, Smoku, teraz w lewo! – zakomenderowała Ida, uważnie śledząc wzrokiem znajomą czworonożną sylwetkę, która gnała poboczem kilkanaście metrów przed ich samochodem.

– Co lewo, jakie lewo? Gdzie ty tu widzisz lewo?! – zdenerwował się policjant.

W przeciwieństwie do dziewczyny nie mógł widzieć Gryzaka otoczonego aureolą wyśnionych płomieni, który właśnie dawał susa między spowite mrokiem drzewa.

– To lewo! – Wycelowała palec w oświetlony reflektorami żółty trójkąt z wizerunkiem jelenia. – Zaraz za tym znakiem!

– Noż ja pier...

Smoczyński dał po hamulcach, aż zapiszczały opony, a tyłem auta ostro zarzuciło. Szamanka zakląła szpetnie, gdy pas boleśnie wpił jej się w ciało, ledwo zdążyła osłonić głowę ramieniem, żeby nie przywalić skronią o szybę. Przez uchylone okna doszedł ją smród palonej gumy.

– Ta cała afera jest dużo bardziej popieprzona, niż oczekiwałem! – poskarżył się policjant, skręcając w pełną błota i wertepów leśną drogę. – I to nawet biorąc poprawkę na znajomość z tobą!

Dzika gonitwa przez podwrocławską głuszę zaczęła się zaledwie kilkanaście minut temu, ale Smoczyński już czuł, jak mokra od potu koszula nieprzyjemnie lepi mu się do ciała. Nigdy nie był fanem samochodowych pościgów i nie bez przyczyny na samym początku policyjnej kariery dosłownie stanął na głowie, żeby się raz na zawsze wymiksować z drogowki. Prowadził nieźle, lecz jako stworzenie nie tyle przystosowane do, ile uzależnione od życia w miejskiej dżungli najlepiej czuł się przy swojskich pięćdziesięciu na godzinę w terenie zabudowanym, natomiast karkołomny rajd po wyboistym, niewyafaltowanym podłożu w środku pogrążonego w ciemnościach lasu plasował się bardzo wysoko w pierwszej dziesiątce jego

najkoszmarniejszych koszmarów.

Ida była jednak nieugięta. Kiedy po spokojnej rundce po przedmieściach mieli właśnie wjechać z powrotem do Wrocławia, szamanka z wrzaskiem zerwała się z kanapy, jak gdyby obudziła się właśnie ze złego snu. Wymamrotała coś szybko do własnych kolan, po czym wystawiwszy głowę za okno, wykrzyczała w mrok parę szybkich słów, a następnie poprosiła zdębiałego Smoczyńskiego, żeby zawrócił. Początkowo chciał odmówić albo przynajmniej poznać powód. Jednak coś w oczach oraz tonie głosu dziewczyny kazało mu niezwłocznie opuścić swoją strefę komfortu, zakręcić kierownicą i bez zbędnych pytań wcisnąć gaz do dechy.

– Gdzie teraz? – spytał, gdy blask reflektorów wyłowił z mroku poorane koleinami rozwidlenie dróg.

– Na razie prosto – odparła natychmiast, ani na moment nie spuszczać z oka ognistej sylwetki łapacza. – Nie mógłbyś trochę przyspieszyć?

– Tobie chyba całkiem rozum odjęło! Chcesz nas pozabijać?!

– Wręcz przeciwnie.

Zerknął na nią z miną kogoś, kto wcale nie musi czytać w myślach, aby wiedzieć, że bynajmniej nie stroiła sobie z niego żartów.

Naprawdę miał nosa do takich spraw.

Nie zamierzała mówić mu, że jeśli dotrą do celu choćby o sekundę za późno, Kruchy zginie, a ich świat umrze razem z nim i nic już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Ale Smoczyński, czy tego chciał, czy nie, potrafił czytać między wierszami. I wyciągać wnioski. Idę aż wgniotło w oparcie kanapy, gdy samochód z rykiem wyrwał w gęsty mrok.

Gdy wpatrywała się jak zahipnotyzowana w tańczące w oddali płomienie wokół łapacza, nie mogła przestać myśleć o tym, co się stanie, jeśli nie zdążą na czas. Albo jeśli zdążą, ale ona i tak nie zdoła niczemu zapobiec. Nie przygotowała sobie przecież żadnego planu. Nie miała pojęcia, co ją czeka tam na miejscu, więc będzie musiała improwizować. I to ją przerażało. Presja nigdy nie działała na nią motywująco – wręcz przeciwnie. A całkowity paraliż władz

umysłowych to akurat ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała, tym bardziej że dotąd nie popisała się bynajmniej ostrością intelektu...

Kiedy Gryzak pokazał jej wyreżyserowaną przez Fałszerza śmierć łowcy, szamanka miała ochotę dać sobie po gębie. Powinna była się od razu domyślić, dlaczego duchożerca po prostu go nie spalił i nie zjadł na miejscu, zamiast uprowadzać – odpowiedź rozbrzmiewała jej teraz z tyłu głowy ponurym głosem Kruchego, który sam już dawno, chociaż nieświadomie, rozwiązał zagadkę własnego zniknięcia...

Ida spędziła nad jeziorem wiele cennych minut, próbując zmodyfikować ten sen i odroczyć egzekucję łowcy. Wykorzystała w tym celu wszystkie sztuczki, których nauczyła ją Aisling, lecz albo zdolności początkującej oneironautki okazały się zbyt marne w zderzeniu z talentem Pożeracza, który zdołał jakoś zapieczętować wydane przez siebie wyroki, albo po prostu żadnej pieśni nie można było odmienić, jeśli już zaczęła się spełniać, bez względu na to, kto był jej autorem. Tak czy owak, ponieważ świadome śnienie okazało się ślepym zaułkiem, dziewczynie nie pozostało nic innego, jak tylko odszukać Fałszerza na jawie.

I tu z pomocą przybył jej Gryzak.

Zanurzony w Idowej podświadomości zainfekowanej przez duchożercę oraz skosztowawszy wyśnionych przez niego majaków, łapacz niczym żywy kompas wiedział dokładnie, dokąd należy się udać po tej stronie snu. Ledwo wraz z szamanką przedostał się lustrami z jej umysłu z powrotem do samochodu policjanta, Gryzak złapał trop. Najpierw zaczął węszyć i powarkiwać, potem zapamiętałe drapać w szybę, a gdy tylko dziewczyna uchyliła okno, wyskoczył na szosę i pognał przed siebie. Ida zdążyła jeszcze krzyknąć za nim, że w ciemnościach kiepsko go widać, na co zareagował natychmiast, otaczając się wianuszkami onirycznych płomieni, zaczerpniętych prosto z pieśni Fałszerza.

Pod tym jednym jedynym względem Pożeracz i łapacz snów byli do siebie bardzo podobni: obaj stawali się dokładnie tym, co zjedli.

Szamanka zawierciła się niespokojnie, ponieważ Gryzak w kilku gepardzich susach odsadził się tak daleko od samochodu, że przypominał teraz błędny ogień wśród ciemnych bagien. Na

szczęście odcinek drogi, który właśnie pokonywali, był prosty niczym strzała i prawie zupełnie płaski. Smoczyński dodał gazu, aż zawył silnik, a tylne koła zabuksowały w rzadkim błocie. Zaraz jednak musiał wyhamować, bo raptem droga skończyła się jak nożem uciął, a przed nimi wyrosła zwarta ściana drzew.

Ida niecierpliwymi ruchami odpięła pasy, przypadła najpierw do jednego, a potem drugiego okna. Nigdzie nie dostrzegła łapacza. Z dziko walącym sercem wcisnęła się w lukę między przednimi siedzeniami, wlepiając wzrok w ciemność przyczajoną tuż za granicą blasku samochodowych reflektorów.

– I co teraz? – zapytał Smoczyński po chwili napiętej ciszy.

– Nie wiem, nie widzę...

– Czego nie widzisz?

– Zgaś światła.

– Ale... po co? Masz podczerwień w oczach czy jak?

– Zgaś je, proszę.

Mrok naparł na nich ze wszystkich stron, czarny, zimny, nieprzenikniony niczym głębia oceanu. I w końcu Ida dostrzegła krótki błysk płomieni daleko w leśnej gęstwinie.

Naraz poczuła, że Pożeracz jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki.

– Smoku, jesteś najlepszy – rzuciła przez ramię, otwierając drzwi.

– Dzięki za wszystko, bez ciebie nie dotarłabym aż tutaj. Ale dalej muszę iść sama...

– Sama? Do lasu? W środku nocy? – Zerknął na szybę, w którą niespodziewanie zabębniły wielkie krople deszczu. Niebo, zasnuwane atramentowymi chmurami, pękło na pół od uderzenia pioruna, porastając zygzakami świetlistych rys, rezonując gardłowo przeciągłym łoskotem gromu. – W burzę? Oszalałaś?

– Już dawno temu.

– Ej, nie możesz tak... Czekaj! Idę z tobą!

Nie było czasu na kłótnie, negocjacje ani tłumaczenia. Smoczyński już dostatecznie wiele dla niej zrobił i szamanka nie zamierzała narażać go na spotkanie z Fałszywym Pieśniarzem, tym bardziej że nadal nie miała bladego pojęcia, co właściwie powinna zrobić, kiedy już dotrze na miejsce. Wiedziała jedno: potrafiła teraz myśleć

wyłącznie o Kruchym i jego bezpieczeństwie. Nie mogła jeszcze do tego martwić się o policjanta, który nie podejrzewał nawet, w jaką kabałę chciał się właśnie wpakować na własne życzenie...

Wystarczył rzut oka na jego zaciętą twarz, aby odgadnąć, że Smoczyński tak łatwo nie odpuści. Westchnęła cicho, ukradkiem wsunęła dłoń do torby.

– Jest coś, co możesz zrobić, żeby mi pomóc – powiedziała wolno, niżając głos i przysuwając się do przerwy między fotelami.

Tak jak oczekiwała, on również nachylił się w jej stronę w bezwolnym odruchu urodzonego spiskowca.

– Co?

Nawet nie zdążył mrugnąć, gdy uniosła do ust zaciśniętą dłoń, rozchyliła palce i dmuchnęła mocno w maleńki kopczyk piasku. Twarz Smoczyńskiego owiała chmura srebrzystoperłowych drobinek.

Zasnął snem sprawiedliwego, jeszcze zanim na dobre zamknął oczy.

Noc trwała wiecznie.

Las nie miał końca.

Nawałnica, która szarpała zaciekle koronami drzew i trzęsła całym niebem, z każdą chwilą stawała się coraz gwałtowniejsza, jak gdyby nie zamierzała już nigdy przeminąć.

Kiedy Ida przedzierała się przez mokrą gęstwinę, dręczyło ją silne przeświadczenie, że czasoprzestrzeń wokół niej uległa dziwacznemu zniekształceniu. Że zamiast sekund upływają tu całe godziny, że odległości kurczą się i rozciągają wedle własnego uznania, zupełnie lekceważąc zasady fizyki czy perspektywy. Wszystko wokół falowało niczym fatamorgana skąpana w deszczu i chłodnym mroku nocy, a niewielka polana, która majaczyła pośród czarnych drzew, raz po raz oświetlana białym fleszem błyskawicy, z każdym krokiem odpływała coraz dalej i dalej, zamiast się przybliżać...

Jak w najprawdziwszym koszmarze.

Burza nie przemijała, noc trwała wiecznie, las nie miał koń...

Ida stanęła ja wryta. Rozejrzała się szybko, zerknęła przez ramię. Ze zdziwieniem pokręciła głową.

Dopiero co brnęła przez dzikie zarośla, a teraz zniecka znalazła

się na skraju uciekającej polany. Która jak się okazało, wcale polaną nie była.

Kolejny błysk pioruna wyłonił z ciemności pozapadane w ziemię, zarośnięte mchem i dzikim bluszczem nagrobki o przekrzywionych krzyżach, obłupanych rzeźbach oraz zupełnie nieczytelnych napisach. Dalej, po przeciwnej stronie starego cmentarzyska, stała kaplica, mała i niepozorna, ledwie widoczna na tle czarnych drzew. Ida nigdzie nie mogła dostrzec łapacza, lecz wyczuwała jego bliską obecność.

Czuła też coś jeszcze.

Coś, co przyciągało jej duszę do opuszczonej budowli niczym ćmę do płomienia. I chociaż instynkt samozachowawczy kazał jej czym prędzej wycofać się do lasu, szamanka zdawała sobie sprawę, że nie ma dla niej innej drogi. Że musi stanąć twarzą w twarz z istotą, która spełniła przewrotnie wszystkie jej życzenia, zmieniając każde senne marzenie w istne piekło na jawie. Fałszerz miał wszystko, co należało do niej. Był jej odbiciem w krzywym zwierciadle, najgorszą wersją tego, czym mogła się stać, i wiedziała, że jeśli teraz stchórzy, jeżeli zawróci, to tak naprawdę wcale nie ucieknie przed nim, tylko przed samą sobą. I już do końca życia nie przestanie uciekać.

Wystawiła twarz na zimny deszcz, by zmyć z siebie lepki strach. Tutaj, na otwartej przestrzeni, ulewa siekła tak mocno i głośno, że w ogłuszającym szumie kropel Ida nie potrafiła zrozumieć własnych myśli.

Tak zresztą było chyba najlepiej.

Poprawiła kaptur, zaciągnęła troczki, po czym na sztywnych nogach ruszyła między mogiły, uważając, aby nie poślizgnąć się na dywanie mokrego bluszczu. Zniekształcone przez czas i pogodę nagrobne figury zdawały się wykrzywiać usta, odwracać głowy, śledzić szamanę pustymi oczami. Parę razy obejrzała się mimowolnie przekonana, że tuż za sobą słyszy ciężkie stapanie, miarowy chrobot kamienia o kamień...

Wcisnęła głowę w ramiona i przyśpieszyła kroku.

Gryzak czekał na nią u stóp schodów do kaplicy. Nie płonął już, owiany wąsami siwego dymu. W ostrym świetle błyskawicy Ida zauważyła, że zamiast rysich pazurów znów miał ogromne,

zakrzywione szpony, ze zjeżonego grzbietu wyrastały mu nietoperze skrzydła, a on sam rozmiarami bardziej przypominał teraz wilka niż lisa. Wyglądał dosyć przerażająco, ale szamanka paradoksalnie poczuła się bezpieczniej. Podrapała łapacza za uchem, a potem zaczęła wspinać się po szerokich, półokrągłych stopniach. Gryzak natychmiast podążył za nią.

Podejrzewała, że jeśli zatrzyma się chociaż na moment i zacznie analizować sytuację, to może już nie znaleźć w sobie dość odwagi, żeby wejść do tej kaplicy. Dlatego chociaż nogi przy każdym kroku miękły pod nią niczym topniejący wosk, a jej własny cień zdawał się w desperacji czepiać poręczy i krawędzi schodów, dziewczyna nie zwolniła. Zamiast tego zaczęła biec. Nie pozwalając sobie nawet na sekundę zastanowienia, chwyciła mosiężną klamkę, nacisnęła i szarpnęła do siebie. Ciężkie drzwi zdobione metalowymi okuciami otworzyły się przed szamanką z upiornym, rdzawym jękiem zawiasów, po czym zamknęły z hukiem tuż za jej plecami, aż zawibrowała posadzka, a spotęgowany pogłos długo rezonował wśród filarów i odrapanych ścian.

Potem zaś zapadła cisza.

Dopiero po paru chwilach Ida wychwyciła nikły, krystaliczny odgłos, który dobiegał z głębi kaplicy. Wyjrzała ostrożnie zza spiralnie rzeźbionej kolumny i przyświecając sobie komórką, od razu dostrzegła jego źródło: z pociemniałego i napęczniałego od wilgoci tynku na suficie kapiała woda, dzwoniąc srebrzystym echem, z cichutkim pluskiem wpadając w mętną kałużę. Ten dźwięk, a także zapach mokrego kamienia oraz bijący zewsząd chłód nasunęły dziewczynie skojarzenie z wnętrzem podziemnej jaskini. Ledwo to pomyślała, światło komórki wyłowiło z mroku kolejne filary, które ciągnęły się w głąb kaplicy niczym las smukłych stalagnatów.

Ida schowała telefon do kieszeni. Ruszyła w stronę niewidocznego w ciemnościach ołtarza. Starła się stąpać jak najciszej wśród kawałków cegieł i skruszonej zaprawy, spuchniętych od wody modlitewników oraz zbutwiałych szczątków drewnianych ław, które ktoś dawno temu porąbał w drzazgi – zapewne na opał. Przemykała na palcach od kolumny do kolumny pewna, że szaleńcze łomotanie jej

serca odbija się od ścian niczym bicie cmentarnego dzwonu.

I rzeczywiście, ktoś je usłyszał. Być może dlatego, że w jego własnej piersi od dawna panowała martwa cisza.

Szamanka wychyliła się powoli zza kolejnego filaru i zamarła pod spojrzeniem intensywnie zielonych oczu, które błyszcząły w ciemnościach jak latarenki drapieznika. Zastukały obcasy, zaszeleściła ciągnąca się po ziemi tkanina. Ostre światło błyskawicy trysnęło z okien i przecięło mrok, ukazując na moment kasztanowowłosą kobietę w powłóczystej, koktajlowej sukience w przepięknym, szmaragdowym kolorze.

– No proszę – przemówiła Lena męskim, chrapliwym głosem. – Miałem nadzieję, że jednak do nas dołączysz.

Bez namysłu szamanka odskoczyła gwałtownie i wsunęła rękę do torby. Cisnęła Pożeraczowi w oczy garścią perłowego piasku.

Nawet nie mrugnął.

Wybuchnął głośnym, zgrzytliwym śmiechem, po czym szybkim ruchem chwycił ją za gardło i przyparł do kolumny.

– Nie bądź głupia – syknął, mrużąc migdałowe oczy Leny. – Naprawdę myślałaś, że to załatwi sprawę? Kto jak kto, ale ty, droga Pieśniarko, powinnaś najlepiej wiedzieć, że martwi nie mogą już bardziej zasnąć.

Ida nie odpowiedziała. Brakowało jej powietrza, z miążdżonego w żelaznym uścisku gardła popłynął tylko charkotliwy świst. Wpiła palce w lodowatą dłoń Fałszerza, ale równie dobrze mogłaby próbować gołymi rękami skruszyć diament.

Obserwował jej beznadziejne wysiłki z obojętną pogardą. A potem bez żadnego trudu podniósł dziewczynę wyżej, aż straciła grunt pod nogami. Zacharczała z bólu, rozpaczliwie próbując złapać oparcie czubkami butów. W końcu przestała walczyć. Zawisła miękko jak laleczka z gałganków, bo każdy ruch pozbawiał ją resztek powietrza, mocniej zaciskał pętlę na szyi. Usta bezskutecznie starały się zaczerpnąć tchu, przed oczami tańczyły czarne motyle, w uszach huczała krew, coraz słabiej, coraz ciszej...

Naraz rozległ się wściekły, gardłowy warkot. Uchwyt zelżał niespodziewanie i szamanka gruchnęła bezwładnie na podłogę. Przez



dłuższą chwilę leżała bez sił, spazmatycznie łapiąc powietrze. A kiedy wreszcie ciało na powrót zaczęło jej słuchać, podniosła się na kolana, podpełzła do kolumny i wparła plecy w twarde, zimny kamień.

Zdarła kaptur z głowy i uniosła ją akurat, by zobaczyć, jak w kolejnym błysku pioruna Gryzak kłapnął ociekającymi śliną zębiskami tuż przed twarzą powalonej Leny. Pożeracz wcale nie próbował się bronić. Leżał spokojnie z rękami pod głową i przyglądał się łapaczowi z nieskrywaną fascynacją, za to bez śladu strachu.

– Kto mieczem wojuje, bydlaku – wycharczała szamanka, dźwigając się na nogi. – Poznajesz, prawda?

Gryzak jak na komendę rozpostarł skórzaste skrzydła na całą imponującą szerokość.

– Poznaje – potwierdził znudzonym tonem Fałszerz.

– Jest tak samo silny jak wyśnione przez ciebie koszmary, tyle że on w przeciwieństwie do nich nie znika po tej stronie snu. Jedno moje słowo i odgryzie ci głowę.

– No już się boję.

– Gdzie jest Kruchy?

Zielone oczy zapłonęły w mroku.

– Nie żyje.

– Łiesz. – Szamanka stanęła nad Pożeraczem, celując w niego latarką z komórki. Uspokajającym gestem położyła dłoń na łbie Gryzaka, który ani na moment nie przestawał warczeć. – Gdyby tak było, nie paradowałbyś teraz w ciele Leny.

– O? – W głosie Fałszerza dało się słyszeć coś na kształt miłego zaskoczenia. – Skoro tyle wiesz o moich planach, musisz również zdawać sobie sprawę, że nawet jeśli twój uroczy pluszak rozerwie to apetyczne ciało na strzępy, to i tak nie zdołacie mnie powstrzymać. Lena to tylko jedna z moich zabaweczek, puste naczynie, w które tymczasowo wlałem swoją jaźń. Nic więcej.

– Gdzie. Jest. Kruchy.

– Niedaleko. – Fałszerz błysnął zębami w okrutnym uśmiechu. – Chętnie cię do niego zaprowadzę.

Z powątpiewaniem uniosła brwi.

– Tak się składa – pośpieszył z wyjaśnieniem, gdy łapacz pochylił

łeb, zbliżając pysk do jego gardła – że odrobinę zależy mi na zachowaniu tej powłoki w całości, dlatego jestem skłonny współpracować. Chwilowo tylko dzięki Lenie będziemy mogli porozmawiać, a mamy sporo do omówienia, ty i ja. A zatem z największą przyjemnością spełnię twoje życzenie i pozwolę ci ujrzeć łowcę po raz ostatni. Prawdę mówiąc, nawet mi to na rękę, bo zamierzam złożyć ci pewną propozycję, a to, co zaraz zobaczysz, bez wątpienia korzystnie wpłynie na twoją decyzję...

Lepka, oślizgła nuta w jego głosie zbiegła szamance ciarkami po kręgosłupie.

– To jak będzie?

Ida wahała się przez chwilę, wodząc palcami po krwawych wybroczynach na obolałej szyi.

– Gryzak, zejdź z niego – zdecydowała wreszcie. – Ale jeśli zrobi choćby pół kroku w moją stronę, urwij mu nogi przy samej dupie.

Łapacz wycofał się posłusznie, choć z ociąganiem, po czym przysiadł u stóp swojej pani, gniewnie zamiatając podłogę ogonem.

Pożeracz wstał zwinnie, teatralnym gestem poprawił włosy, otrzepał sukienkę i posłał dziewczynie głośnego buziaka.

– Prawdziwa piękność z tej Leny, nie sądzisz? – Wolno przesunął dłońmi po kształtnych piersiach rysujących się wyraźnie pod cienką tkaniną, przebiegł palcami po wąskiej talii i zgrabnych pośladkach. – Nic dziwnego, że twój łowca stracił dla niej głowę.

– Chcę go zobaczyć.

– No ja myślę. – Mrugnął porozumiewawczo jadowicie zielonym okiem. – Głupio byłoby po tym wszystkim pozwolić mu odejść bez pożegnania. Za bardzo lubię melodramatyczne zakończenia, żeby do tego dopuścić... Zapraszam w moje skromne progi, szamanko od umarłaków.

Ruszyli główną nawą, Fałszywy Pieśniarz przodem, nieprzyzwoicie wręcz zgrabny oraz pełen gracji w obcisłej kiece i wysokich szpilkach, za nim czujny i zjeżony łapacz snów, a na końcu Ida, w której z każdym krokiem rosło racjonalne przekonanie, że daje się oto prowadzić prosto w paszczę lwa.

Ale jaki miała wybór?

Mimo że z zewnątrz wyglądała bardzo niepozornie, kaplica ciągnęła się w nieskończoność jak w surrealistycznym śnie. I nagle minęli ostatni szereg kolumn, a ciemność, która spowijała ołtarz nieprzeniknionym kirem, zrzęda gwałtownie niczym rozproszony wiatrem dym, zupełnie jakby przekroczyli magiczną, niewidzialną granicę – i pewnie zresztą tak właśnie było.

Szamanka w pierwszym odruchu zasłoniła twarz przed rażącym światłem. W drugim zmartwiała, zdjeta niewypowiedzianą grozą.

Wszędzie wokół leżeli półmartwi ludzie.

Zobojętniałe, bezwolne, wydrażone skorupy, uwięzione między życiem a śmiercią kuglarską magią Pożeracza. Ponad dwudziestu Bezdusznych o oczach ciemnych i błyszczących niby chitynowe pancerzyki, tępo wlepionych w sufit. Z rozchylonych ust każdego z nich wypływał strumień oleistego mroku, a wszystkie łączyły się w gigantyczną, czarną pajęczynę o nieustannie wijących się splotach, pośrodku której uwięziony był...

Kruchy.

Strugi energii gęstej i lepkiej jak smoła oplatały ciasno jego rozpostarte ciało, wsączając się pod napiętą, zroszoną potem skórę, pełzając pod nią niczym ruchliwe robaki. Łowca wydawał się znacznie szczuplejszy niż zazwyczaj. Na nagiej klatce piersiowej rysowały się wyraźne linie żeber, mięśnie były cienkie i żylaste niby poskręcane sznury, a zapadnięte policzki i podkreślone głębokimi sińcami oczy upodabniały jego twarz do nagiej czaszki.

Oto jaki koniec wyśnił mu Fałszywy Pieśniarz.

„Jako łowca demonów umiem spętać astralną energię i zamknąć ją w materialnej powłoce...”.

Kruchy umierał, tworząc Pożeraczowi nowe, nieśmiertelne ciało.

Fałszerz nie mógł po prostu zmusić go do samobójstwa tak jak pozostałych nieszczęśników, ponieważ wtedy nie byłby w stanie skorzystać z odebranych Kruchemu talentów – aby to zrobić, musiał najpierw odzyskać cielesność. Musiał znów być żywy. To dlatego zachował sobie łowcę na deser. Zaczekał, aż Bezduszni pochłoną wystarczająco wiele magicznej energii i dusz, z których można upleść potężną, niezniszczalną powłokę, i dopiero wówczas wysłał Lenę po

Kruczego, aktywując tym samym jego wyrok śmierci...

– Ależ ze mnie łajdak, co? – westchnął z zadowoleniem Fałszerz, przechadzając się leniwym, niezobowiązującym krokiem wśród nieruchomych postaci niczym wśród eksponatów w muzeum. – Nie dość, że dokonałem tego wszystkiego – omiótł podłogę niedbałym ruchem dłoni – za pomocą twoich snów, to jeszcze twój drogi łowca przywróci mi życie, poświęcając własne... Być może nieskromnie to zabrzmie, ale uważam, że mam doskonałe wycucie dramatyzmu. – Rozciągnął usta Leny w paskudnym uśmiechu, po czym znów zatoczył wokół szerokim gestem. – To tutaj wiele lat temu banda zarozumiałych waśniaków odprawiła rytuał, który wygnał mnie z tego świata i zniszczył moje ciało. Ale dzisiaj, podczas gdy oni wszyscy od dawna gryzą piach, ja powrócę, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. A wszystko dzięki tobie, moja mała Pieśniareczko. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię spotkałem.

Ida czuła, jak każde słowo Fałszerza wbija jej w trzewia tępy gwóźdź, jak gorąca krew o mało nie rozsadza jej skroni, a oddech rwie się na krótkie, płytkie westchnienia.

– Tak, tak, ja też jestem wzruszony – skomentował Pożeracz, najwyraźniej zachwycony tym, co wyczytał z twarzy szamanki. – Ale niestety wszystko, co dobre, szybko się kończy i oto nastał czas smutnych pożegnań. To, na jakich warunkach się rozstaniemy, zależy wyłącznie od ciebie. – Uniósł brwi, niby dopiero teraz zauważając, że dziewczyna wpatruje się w Kruczego jak zahipnotyzowana. Sam także obejrzał się na łowcę, po czym beztrąsko wzruszył ramionami. – Przykro mi, kochanie, ale cokolwiek zrobisz, on i tak zginie. Jego śmierć nie podlega żadnym negocjacjom. Ale twoje życie to już zupełnie co innego. Bo widzisz, ja bardzo lubię spełniać twoje życzenia. Sprawia mi to wręcz perwersyjną przyjemność, tym bardziej że sam nieźle na tym wychodzę, nie omieszkać zatem złożyć ci pewnej propozycji...

Szamanka nie mogła się zmusić, żeby na niego spojrzeć. Nie potrafiła oderwać oczu od łowcy, który powoli umierał z wycieńczenia, splatając i wiążąc energię magów zamordowanych jej przeklętymi snami.

– Skup się teraz, bo to ważne – upomniał ją Pożeracz. Nie zdecydował się jednak podejść bliżej, bo Gryzak, który instynktownie odczytał jego zamiary, wyszczerzył zębiska i zawarczał z głębi krtani. – Oddaj mi swój dar, a odejdiesz wolno. Tak, dobrze słyszałaś. Nie zabiję cię, tylko zapewnię długie i spokojne życie w świecie, w którym, nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu, będę jedynym panem i władcą. A jako taki mogę chyba sobie pozwolić na odrobinę ekstrawagancji, prawda? Dlatego jeśli dasz mi to, czego chcę, zostaniesz oszczędzona. Nie potrafię odebrać ci snów siłą, a wierz mi, próbowałem. Twoje własne pieśni z jakiegoś powodu na ciebie nie działają, co ogromnie mnie irytuje. Ale na szczęście dla nas obojga możesz się ich po prostu wyrzec. Przekazać mi je w pożegnalnym podarunku. Właśnie teraz, kiedy jeszcze przez chwilę dzielimy ciało. Bo jak już powrócę do życia we własnej powłoce, połączenie między naszymi jaźniami zniknie i wtedy nici z wymiany... Co ty na to, kochanie? – spytał słodko. – Umowa stoi? Przecież oboje wiemy, że niczego nie pragniesz bardziej niż zwykłego życia.

Ida z najwyższym wysiłkiem odwróciła głowę, bez słowa spojrzała Pożeraczowi w oczy.

– Oho. – Wydał wargi i prychnął pogardliwie. – Zdaje się, że to już nieaktualne, co? Twoje największe pragnienia dotyczą teraz czegoś... kogoś zupełnie innego. Tyle że łowca *musi* zginąć, mówiłem już. – Niecierpliwie zamachał ręką. I nagle wyszczerzył zęby z przebiegłym błyskiem w oku. – Ale dobrze, niech będzie. Skoro tak stawiasz sprawę, zrobimy po twojemu. – Podszedł do Kruchego rozkołysanym krokiem, owinał wokół niego zimne ciało Leny niczym trujący bluszcz. – Tylko od ciebie zależy – zasyczał i niemal czułym gestem przesunął połamanymi paznokciami po policzku łowcy – czy on zginie bezboleśnie, czy w niewyobrażalnych męczarniach. Podaruj mi sny, a jemu lekką śmierć. Albo odmów i na własne oczy przekonaj się, czym jest prawdziwa agonia.

Szamanka z przerażeniem patrzyła, jak twarz Kruchego wykrzywia się w paroksyzmach bólu. Łowca targnął się bezsilnie w objęciach sadystycznie uśmiechniętej, martwej kobiety, a oplatająca go pajęczyna czarnej magii zaskwierczała głośno, strzeliła iskrami.

Mocno zagryzł szczęki, lecz z ust i tak wyrwał mu się zduszony jęk.

– Gryzak! – wrzasnęła Ida.

Łapaczowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jednym susem dopadł Fałszerza, chwycił go zębami za gardło i powalił na podłogę. Trysnęła krew, mlasnęła rozdierana skóra, trzasnęły miażdżone kości. Ale wcale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że rozszarpywany na kawałki Pożeracz nawet nie próbował się bronić, tylko zanosił się chrapliwym śmiechem szaleńca.

– Mówiłem ci już, że to mnie nie powstrzyma! – rechotał opętańczo, krztusząc się spienioną, różowawą śliną. – To ciało to przecież nie ja! Nie jaaaaaaaaaaaaa!

– TO JESTEM JA! – ryknęli chórem Bezduszni, a ich szeroko otwarte obsydianowe oczy zapłonęły zielonym ogniem. – NIKT NIGDY NIE ZDOŁA MNIE ZABIĆ!

Ida nie od razu pojęła, że zwielokrotniony głos Fałszerza wcale nie dochodzi z ust półżywych trupów, lecz rezonuje od wypływającej z ich ciał mrocznej energii. Moc zawirowała w powietrzu niczym szarpane wiatrem wstęgi czarnego jedwabiu, po czym zaczęła morfować w rozmyte, ruchliwe, osobliwie znajome twarze...

Szamanka z podszytą grozą fascynacją patrzyła na ten szalony kalejdoskop karykaturalnie wykrzywionych masek. Zmieniały się tak prędko, że rozpoznała tylko kilka z nich.

Piotr Jaworski.

Barbara Sziler.

Robert Ochman.

Pech...

I wtem z kipiącej czerni wyłoniło się oblicze, którego Ida nigdy dotąd nie widziała na oczy.

Zapadnięte policzki. Włosy białe i cienkie jak nici białego lata. Głęboko osadzone oczy czarne niczym onyksy i zupełnie pozbawione białek, w których tlił się jadownicie zielony ogień...

A na ustach obłąkańczy uśmiech kota z Cheshire, najeżony garniturem spiczastych zębów.

Pożeracz Dusz we własnej, demonicznej, nienasyconej osobie.

– NADAL SĄDZISZ, ŻE MOŻESZ SIĘ ZE MNĄ RÓWNAĆ? ŻE

POTRAFISZ MNIE POKONAĆ?! NAPRAWDĘ MYŚLISZ, ŻE ZDOŁASZ GO OCALIĆ?

Skłębiona wokół Kruchego moc zaiskrzyła z sykiem, a on wyprężył się jak rażony prądem i wrzasnął rozdzierająco.

– TY JUŻ PRZEGRAŁAŚ, PIEŚNIARKO!

– Przestań! – krzyknęła Ida, zdając sobie sprawę, jak śmieszny, jak mały, jak nic nieznaczący jest jej gniew, zrodzony z rozpacz, desperacji i czystej, zwierzęcej paniki.

– Z DZIKĄ ROZKOSZĄ, ALE NAJPIERW ODDAJ MI SNY!!!

– Nie... słuchaj go... – wychrypiał nagle łowca. – Nie wolno ci... Aaaaagh...! Nie wolno ci odrzucić tego... kim jesteś... A już zwłaszcza dla niego... – Koniec zdania przeszedł w głuchy jęk.

– WYSTARCZY JEDNO TWOJE SŁOWO, SZAMANKO, A JEGO CIERPIENIE DOBIEGNIE KOŃCA!

– On... nie może... wrócić... – wyrzęził z wysiłkiem Kruchy, pokonując kolejny silny spazm. Uniósł głowę i popatrzył na Idę. – Sam nie dam rady tego przerwać, musisz mi pomóc. Powstrzymamy go oboje.

Coś w niej umarło, gdy tylko dotarł do niej sens tego, co właśnie powiedział. Prawda straszna i okrutna spadła na nią jak cios.

– Kruchy, nie każ mi... – Bała się dokończyć. – Ja przecież nie po to... Nie dlatego tu... Nie mogę tego zrobić, nie dam rady!

– Wiesz, że tak trzeba.

– Nie, wcale nie...

– Pokonasz go jego własną bronią. To jedyne wyjście.

– Nie!!!

– Spójrz na mnie, Ido.

Spojrzała przez łzy, zupełnie nie panując nad drżeniem warg.

– Tylko tak zdołamy to wszystko odwrócić, aniele.

– A co, jeśli Tekla się myli? – zaszemrała tak cicho, że sama ledwie słyszała własny głos. – Co, jeśli...

– Jestem gotów zaryzykować – przerwał jej i uśmiechnął się smutno. – Nie mamy wiele czasu, jego ciało za moment będzie gotowe.

Jak gdyby w odpowiedzi na słowa Kruchego wirująca nad nim

chmura mroku nabrała humanoidalnych kształtów i trysnęła na wszystkie strony snopami jadeitowego blasku. Oczy Bezdusznych zgasty na znak, że jaźń Pożeracza opuściła swoje martwe naczynia, a sączące się z ich ust pasma mocy stawały się coraz cieńsze i bledsze...

– ODDAJ MI SNY! – wrzasnął Fałszywy Pieśniarz, a łowca błysnął białkami, prawie tracąc przytomność z bólu. – ODDAJ MI DAR, KTÓRY DLA CIEBIE I TAK JEST PRZEKLEŃSTWEM!!!

– Kruchy!

– Jestem... – wykrztusił, prostując się ostatkiem sił. – Ale już niedługo. Skoro i tak mam tutaj umrzeć, nie każ mi umierać na jego warunkach. Skończmy to, zanim będzie za późno.

Ida podeszła bliżej. Miała wrażenie, że płyną oboje przez lodowaty kosmos, że wszystko wokół roztapia się w nicość, że pośród tej nieskończonej pustki, w której nic nie żyje i nic nie umiera, nie ma nikogo prócz nich.

Tylko to potrafię, pomyślała z goryczą. W tym jestem najlepsza.

Stanąła przed Kruchym na dygoczących nogach, wciąż nie dowierzając temu, co właśnie zamierzała zrobić. Łowca zerknął w górę, na chorobliwie szczupłą, męską sylwetkę majaczącą w kłębowisku roztętnionej magii, po czym skinął głową.

– Już czas – wyszeptał miękko, choć przez twarz i całe ciało przebiegł mu kolejny skurcz. – Nie bój się. Jestem przy tobie.

– To nie tak miało być – załkała cicho. – Zupełnie nie tak...

Popatrzył szamance w oczy i uśmiechnął się blado.

– Wiem, ale to w tej chwili najlepsze, co może mnie spotkać. Śmiało, aniele. Jestem gotów.

A ja wcale, odpowiedziała mu w myślach, ocierając łzy z policzków. A potem uniosła dłonie i spowolnionym jak we śnie ruchem zaczęła zsuwać z palców czarną rękawiczkę.

– Nie – zaprotestował nagle Kruchy. – Nie w taki sposób.

Siłą zrodzoną z determinacji zerwał magiczne więzy z ramion, przyciągnął Idę do siebie, zanurzył palce w burzę krucznych loków. Chciała coś powiedzieć, lecz zamknął jej usta pocałunkiem. Na moment długi niczym wieczność szamanka zapomniała o tym, co



zaraz nastąpi. Przez ułamek sekundy istniało tylko teraz i nic więcej nie miało znaczenia. Przywarła do łowcy całym ciałem, tak bardzo spragniona jego dotyku, że aż bolało. Odwzajemniła pocałunek, mówiąc nim wszystko, czego nie zdążyła wyrazić słowami, a serce pękało jej w piersi z krystalicznym trzaskiem zamarzającej wody.

Wiedziała, że to koniec, gdy łowca zaczął powoli wysuwać się z jej objęć. Oderwała usta od jego warg ostrożnie, z obawą, jakby dopiero tym mogła go zabić, ale gdy zajrzała w zeszkłone stalowe oczy, było już po wszystkim.

Kruchy zawisł bezwładnie w krępujących go więzach. I nagle cała pajęczyna mocy zaczęła się pruć i rozsnuwać, skwiercząc niby dogasające świece. Martwe ciało łowcy upadło na podłogę, a Ida osunęła się na kolana.

– NIEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEE!!!

Ryk Fałszerza przeszedł przez kaplicę z siłą trzęsienia ziemi. Budynek zadygotał w posadach, ściany zaroily się od rys, szyby trysnęły z okien migotliwym deszczem odłamków.

Szamanka odszukała dłoń Kruchego, uchwyciła ją mocno i zacisnęła powieki.

Unosząca się w powietrzu czarna sfera skumulowanej energii pęczniała gwałtownie, jakby spijała cały mrok tej nocy, aż wreszcie eksplodowała z ogłuszającym hukiem, bryzgając fontannami płomieni i iskier.

Ida nie widziała, jak Bezduszni jeden po drugim rozpadają się w proch, a świat dookoła kurczy się i zwija z sykiem trawionego ogniem papieru. Nie widziała strzępków rozdartej rzeczywistości wirujących w powietrzu niczym płatki czarnego popiołu. Poczowała tylko, że przestraszony łapacz snów zwinął się w kłębek u jej boku.

I to była ostatnia rzecz, którą zapamiętała.

# Epilog

Obudziło ją słońce.

Leżała na mozaikowej posadzce z kamiennych płytek, w okrągłej plamie kolorowego światła, które wpadało do kaplicy przez witrażową rozetę. Przysłoniła oczy dłonią i przez kilka chwil obserwowała wirujące w powietrzu drobinki kurzu. Zachodziła w głowę, co to za miejsce i jak, u diabła, tutaj trafiła.

Dźwignęła się na łokciach, rozejrzała dookoła nieco przymglonym wzrokiem. I wtedy z cienia zalegającego u stóp spiralnie rzeźbionej kolumny wyłonił się Gryzak – znów taki jak dawniej, bez skórzastych skrzydeł czy wielgachnych szponów...

Ida ze świstem wciągnęła powietrze, kiedy wszystko wróciło do niej lawiną powidoków, oszałamiającą kakofonią dźwięków, w których wyraźnie pobrzmiwało dziwnie spowolnione tykanie zegara. Skoczyła na równe nogi i zataczając się lekko, pobiegła główną nawą w kierunku ołtarza.

Wpadła na Kruchego zaraz za ostatnim filarem. Nie miał pustych oczodołów, kościotrupiej twarzy ani wystających żeber. Wyglądał jak zwykle: znoszona kurtka z ciemnobrązowej skóry, koszulka ze spranym, nieczytelnym nadrukiem, powycierane dzinsy, glany zdarte na nosach niemal do samej blachy.

Jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Ale szamance wystarczyło jedno spojrzenie w stalowe oczy, żeby wiedzieć, że łowca także wszystko pamiętał.

– A jednak Tekla miała rację. – Pierwszy przerwał wymowną ciszę.

– Na to wygląda. – Niepewnie zerknęła na boki. – Tylko czy cofając się w czasie, nie powinniśmy przenieść się także w przestrzeni? Z powrotem do punktu wyjścia?

Wzruszył ramionami.

– A to dla ciebie jakaś istotna różnica?

– Cóż, w zasadzie... – zawahała się. – W zasadzie to nie. Ale skąd

mamy wiedzieć, że Pożeracza faktycznie już nie ma?

Uśmiechnął się z błyskiem przekory w oku.

– Przychodzi mi do głowy pewien sposób, żeby to sprawdzić.

Drgnęła odruchowo i uniosła rękę, kiedy wyciągnął do niej dłoń.

– Ty przed chwilą padłeś przeze mnie trupem, naprawdę sądzisz, że to dobry...

– Tak właśnie sądzę. – Odgarnął Idzie kosmyk włosów z policzka, nieśpiesznym ruchem założył go jej za ucho. – Widzisz?

Zarumieniła się lekko, ale nie odwróciła wzroku.

– Rozumiesz już, dlaczego uwierzyłem w tamtą przepowiednię? – spytał, podchodząc jeszcze bliżej.

– Jaką przepowiednię? – Zmarszczyła brwi.

– Tę, która przewidywała, że najpierw zabiję swoją prawdziwą miłość... – Zajrzał jej głęboko w oczy. – A potem miłość mojego życia zabije mnie. I wierz mi lub nie, mój ty aniele śmierci, ale wszystko się sprawdziło...

Chciał dodać coś jeszcze, jednak nie zdążył. Ida wspięła się na palce, ujęła jego twarz w dłonie i przerwała mu pocałunkiem.

I tym razem, o dziwo, nikt od tego nie umarł.

Wręcz przeciwnie.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadzący: Anna Salwa, Ewa Pustelnik  
Redakcja: Piotr Chojnacki  
Korekta: Magdalena Matuszewska, Agnieszka Trzeszkowska  
Ilustracja na okładkę i projekt okładki: Dominik Broniek  
Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-7377-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**